

W tak idealnym  
miejscu nawet  
zbrodnia musi  
być doskonała

# APARTAMENT

IZABELA JANISZEWSKA



**APARTAMENT**

# APARTAMENT

IZABELA JANISZEWSKA



Copyright © Izabela Janiszewska, 2022

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2022

Redaktor prowadzący: Mateusz Witczak

Marketing i promocja: Joanna Zalewska

Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak

Korekta: Marta Akuszevska, Renata Kumala

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: © Tomasz Majewski

Ilustracje na okładce: © SimoneN / iStock

Zdjęcie autorki: © Zuza Krajewska / Warsaw Creatives

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-67324-04-5

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

*Wszelkie zło pochodzi ze strachu.*  
Anthony de Mello

# Wtedy



Świat zdawał się trwać w głębokim śnie. Przykucnęła na końcu drewnianego pomostu, obejmując ramionami ciało. Jezioro spowijała gęsta i lepka mgła, zza której wyłaniały się rozmyte kontury drzew. Kobieta nabrała tchu, czując drażniącą wilgoć wpełzającą do nosa i przenikającą przez oczka wełnianego swetra aż do nagiej skóry. Zadrżała. Mleczny widok tonął w ciszy, rozpraszaną jedynie pomrukiem szumiących na wietrze trzciny i delikatnym skrzypieniem desek pod nogami. Niebo zasnuwały szare chmury przypominające kłęby dymu. Kobieta schowała niesforne pasmo włosów za ucho, a później wbiła wzrok w czarną toń jeziora tuż przy pomoście. Nieprzenikniona otchłań ją hipnotyzowała. Zdawała się wołać i kusić skrytymi w głębi tajemnicami.

Zwilżyła językiem spierzchnięte wargi, po czym przymknęła na moment powieki, czując na plecach chłodny oddech lasu porastającego nabrzeże. Wiele lat wcześniej nad tym jeziorem usłyszała od matki słowa, które wracały do niej, ilekroć tu przychodziła: „Najgorsze nie jest okłamywanie innych, ale samego siebie”. Przełknęła gorycz zbierającą się w ustach, a jej paznokcie wbiły się głęboko w ramiona. Wiedziała, co musi zrobić. Po tafli jeziora sunęły właśnie dwa łabędzie o długich szyjach i czarnych oczach. Gdzieś za nią, w zaroślach, trzasnęła nadepnięta gałązka, a po chwili dobiegł ją szmer czyichś kroków. Wzdrygnęła się, by następnie powoli odwrócić głowę.

Spomiędzy drzew wyłaniał się niewyraźny, osnuty mgłą czarny kształt. Ni to ludzka, ni zwierzęca sylwetka zmierzająca w jej stronę. Żrenice kobiety rozszerzyły się, mięśnie zeszywniały, a serce zaczęło galopować w piersi. Wstrzymała oddech, zmuszając zastygłe ciało do ucieczki, ale ono nie zamierzało nawet drgnąć. Strach ścisnął jej szczękę i wbił swoje szpony w kark. W odruchu desperacji zamknęła oczy, mając nadzieję, że kiedy je otworzy, widziadło zniknie. Rozwieje się niczym mgła. Lecz gdy uniosła powieki, ono nadal tam było. Straszniejsze niż kiedykolwiek wcześniej.

Zbliżało się z parą buchającą z nozdrzy i płonącymi gniewem ślepiami, które zdawały się nie tylko wpatrywać w twarz kobiety, ale wręcz zaglądać w duszę. Przeważenie odbierało jej jasność umysłu. Rozchyliła wargi, by coś powiedzieć, lecz nie potrafiła znaleźć w sobie żadnych słów. Wszystko się w niej zatrzymało, myśli pierzchły niczym przestraszone zwierzęta, a ona przestała być pewna czegokolwiek. Tylko co do jednego nie miała wątpliwości: wiedziała, że oczy, w które patrzy, nie należą do człowieka, lecz do bestii.

# Teraz



– Hamuj! – wrzeszczy Nina.

Zza gęstej ściany lasu, przez którą przedzierają się promienie słońca, rysując na asfalcie wydłużone cienie, niespodziewanie wyskakuje sarna. Wyraźne w świetle reflektorów zwierzę, biegnąc, odwraca łeb w stronę samochodu, jakby chciało prosić smutnym, błagalnym spojrzeniem o litość. Oblewa mnie fala gorąca, a krew huczy w skroniach. Pewien, że lada chwila usłyszę głuchy łoskot zderzenia, po którym zobaczę w powietrzu szybujące ciało zwierzęcia, odbijam gwałtownie w prawo.

Autem zarzuca, łapiemy pobocze i pędzimy wprost na gruby pień strzelistego buku rosnącego przy drodze. Kątem oka zauważam, jak Nina szarpie pasy, jakby chciała je ciaśniej zaciągnąć, a później kładzie dłoń na sercu, ściskając kurczowo ubranie. W odruchu paniki zwieram mocno szczęki i gryzę język do krwi.

Dobiega mnie dźwięk szorowania podwozia o wysokie, dawno niekoszone trawy i chrzęst żwirowych kamieni uskakujących spod kół. W ostatniej chwili, tuż przed tym, nim dojdzie do kolizji, skręcam kierownicą w lewo i z całej siły wciskam pedał hamulca.

Moją czaszkę atakuje ostry pisk. Przypomina odgłos zatrzymującego się pociągu, gdy metalowe koła trą o szyny tak mocno, aż lecą iskry. Koszmarnie nieprzyjemny, wwiercający się w mózg. Opel obraca się bokiem, po czym staje prostopadle do jezdni.



Dygocząc od buzującej w żyłach adrenaliny, opieram głowę o zagłówek, zamykam oczy i powoli wypuszczam z płuc nagromadzone powietrze. Ręce mi drżą, a czaszka pulsuje. Wizg w uszach staje się nie do zniesienia. W myślach liczę od pięciu do jednego. Staram się uspokoić oddech, a gdy nieznośny dźwięk cichnie, stopniowo odzyskuję równowagę.

– Tomasz! Tomasz, odezwij się!

Ktoś mną potrząsa, czuję czyjeś dłonie na ramionach i wreszcie z wysiłkiem unoszę ciężkie powieki, spoglądając w przestraszoną twarz mojej żony. Nadal stoimy na środku drogi biegnącej między drzewami. Plamy światła tańczą na przedniej szybie, a przez uchylone okno do wnętrza samochodu wpada zapach lasu i śpiew ptaków.

– Cholera jasna, myślałam, że coś ci się stało.

– Nie, wszystko w porządku – wyjaśniam, wciąż nieco zdezorientowany. – Co z sarną?

– Chyba uciekła. – Wzdycha. – Jezu, mogliśmy przez nią zginąć – dodaje, kręcąc głową z niedowierzaniem.

Błede czoło Niny zdobią drobne krople potu, a jej piegi, zsypujące się z nosa aż na policzki, sprawiają wrażenie jaśniejszych niż zwykle. Ciepłe, błyszczące zazwyczaj oczy zdają się matowe, jakby zamieszkał w nich lęk, owinięta zaś wcześniej wokół smukłej szyi jedwabna apaszka, którą Nina dostała ode mnie na urodziny, zsunęła się na podłogę i leży obok przedmiotów wysypanych z przewróconej torebki.

Uświadamiam sobie, że moje palce nadal ciasno obejmują kierownicę. Zmuszam się, by je rozluźnić, po czym zerkam w stalowoszare niebo. Nad samochodem przelatują dwie kraczące wrony. Przysiadają na trawie obok drogi, a później dziobią ziemię, łypiąc na nas swoimi czarnymi jak noc oczami w kształcie koralików. Niektórzy uważają, że te ptaki przynoszą nieszczęście, a nawet zwiastują śmierć, ale nie ja.

Ja nie wierzę w znaki.

Odwracam twarz, posyłając Ninie uspokajający uśmiech, a później kładę dłoń na jej pergaminowej skórze. Wargi mojej żony drżą, a ona sprawia wrażenie tak delikatnej i kruchej, że przy mocniejszym porywie wiatru rozsypałyby się w powietrzu niczym nasiona dmuchawca.

– Wszystko już dobrze – mówię, ale w jej spojrzeniu dostrzegam niepokój.

– O rety, Tomek, ty krwawisz – stwierdza z drżeniem w głosie, obserwując moje czoło, po czym zaczyna panicznie przeszukiwać schowek.

Dotykam palcem czoła, a gdy moja opuszka pokrywa się ciemnoczerwoną, lepką cieczą, oglądam ranę w lusterku wstecznym.

– To nic takiego – zapewniam.

– Akurat. Nie rozumiem, dlaczego uparłeś się, by nie zakładać szwów. Ten plaster do niczego się nie nadaje. – Zrywa stary, częściowo odklejony opatrunek i przykleja nowy, wyszperany w samochodowej apteczce. – Spadłeś z drabiny i poważnie się potłukłeś, nie możesz udawać, że nic się nie stało. Nadal słyszysz te piski w uszach?

– Nie, już nie.

Nina gładzi dłonią mój policzek. Jej palce są ciepłe, a nadgarstek pachnie kardamonem i wanilią. Charakterystyczną wonią Kenzo Jungle L'Éléphant, jej ulubionych perfum. Dopiero teraz, gdy emocje opadają, zauważam rysującą się na horyzoncie za lasem panoramę Karkonoszy. Pasma górskie porośnięte świerkami przypominają łagodne, zielone fale, a pomiędzy gnających po niebie chmur wyłania się snop światła, który niczym reflektor oświetla wstążkę drogi. Wszystko we mnie się uspokaja, jakby to piękno i prostota działały niczym porcja relanium. Siedzimy tak przez jakiś czas w ciszy, wsłuchani jedynie w szmer naszych oddechów. W dole, za wzniesieniem, roztacza się widok na granatową połąć zbiornika Modrzewiówka, którego tafla skrzy się w kwietniowym słońcu.

– Pięknie, prawda?

– Idealnie. – Nina się rozpromienia, po czym zerka na swoje dłonie. – Choć nadal cała dygoczę. Nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli wysiądę i przejdę się, by trochę ochłonać? Przy okazji zrobiłabym kilka zdjęć. To światło jest obłądne – mówi, wyglądając przez okno.

Zanim zdążę odpowiedzieć, ona już sięga po torbę z aparatem, leżącą za fotelem kierowcy. Zabieramy go ze sobą w każdą z naszych podróży, a później wywołujemy zdjęcia i wieszamy je na ścianach, by przypominały o dobrych chwilach.

– Możesz śmiało jechać do hotelu – dodaje. – Zaczerpnę tchu, a później złapię cię na miejscu.

– Jesteś pewna? To jakieś dwa kilometry.

– Poradzę sobie. Po sześciu godzinach spędzonych w samochodzie chętnie rozprostuję kości. Sfotografuję tylko zalew i zaporę z tej strony, a za dwadzieścia minut spotkamy się w lobby. Zameldujecie nas?

– Jasne. Będę na ciebie czekał.

Nina pospiesznie wkłada rozsypane przedmioty do torebki, a później chwyta kurtkę i macha mi na pożegnanie. Powietrze pachnie świeżością i wilgocią. Nim ruszę, w lusterku wstecznym dostrzegam, jak żona zrywa jakiś polny kwiat o białych płatkach i przykłada go do nosa, mrużąc przy tym oczy.

Kiedy spoglądam na kobietę mojego życia, myślę o tym, że gdyby kiedykolwiek zniknęła, z bólu postradałbym zmysły.

\*

Po przekroczeniu progu Wichrowych Wzgórz gwałtownie wciągam powietrze. Zachwyty na widok olbrzymich okien, za którymi rysuje się zalew Modrzewiówka, sprawia, że intensywnie mrugam powiekami. To Nina wybrała hotel w Karkonoszach. Uznała, że dobrze nam zrobi, jeśli na chwilę oderwiemy się od codzienności i poodychamy świeżym powietrzem z dala od miejskiego zgiełku. Zajęci pracą, od miesiący nie wyjeżdżaliśmy nigdzie we dwoje, a kurort w otoczeniu dzikiej przyrody jawił się jako idealne miejsce na romantyczny wypad. Nina chciała odpocząć od wyczerpujących prób do musicalu *Aida*, w którym tańczyła, ja zaś urwałem się z Warszawskiej Szkoły Filmowej, gdzie prowadzę zajęcia z analizy filmu, by wreszcie znaleźć czas na pisanie książki, na którą niecierpliwie czeka mój wydawca.

Niczym zaklęty, obserwuję pejzaż za szybą. Ma w sobie coś hipnotyzującego, jest jak obraz, na który nie sposób przestać patrzeć. W lustrze wody odbijają się porośnięte drzewami góry, a dzięki przeszkleniom na suficie wewnątrz holu zalewają kaskady światła.

Tuż pod oknem w plamie słońca przeciąga się szary kot o grubej sierści, w powietrzu wychwytyję zaś subtelny świeży zapach przywodzący na myśl soczyście zieloną łąkę. Po chwili słyszę też delikatne dźwięki relaksującej muzyki w tle. Odgłosy szmerzącego cicho strumienia oraz szum wiatru w koronach drzew sprawiają, że niemal ulegam pokusie, by przymknąć powieki i zatopić się w jednym z wygodnych foteli, zapraszających do relaksu. Ostatecznie stwierdzam, że mamy przed sobą trzy dni, by cieszyć się tym miejscem, i rozmasowując zeszywniały po długiej podróży kark, ruszam w stronę recepcji.

– Dzień dobry – zwracam się do młodego mężczyzny w eleganckiej białej koszuli.

Recepcjonista, z równo przyciętymi blond włosami i niewielką blizną na prawym policzku, uśmiecha się promiennie, jakby naprawdę cieszył się na mój widok. Na jego piersi widnieje plakietka z imieniem Mariusz.

– Witam pana w naszym hotelu – odpowiada. – W czym mogę pomóc?

– Mam u państwa rezerwację na najbliższe trzy dni. Tomasz Engel.

– Oczywiście. Bardzo miło nam pana gościć. Poproszę o numer rezerwacji oraz dokument tożsamości.

Przez chwilę nie mogę zlokalizować portfela. Koszula pod pachami z nerwów staje się wilgotna, a dłonie drżą. Sprawdzam w wewnętrznej kieszeni płaszcza i już zaczynam myśleć, że może zostawiłem go w samochodzie albo co gorsza na stacji benzynowej, gdzie zatrzymywałem się po drodze, kiedy przypominam sobie, jak wkładałem dokumenty do torby na laptopa.

– Spokojnie, nie ma pośpiechu – zapewnia recepcjonista, obserwując z wyrozumiałością moje zmieszanie.

Wreszcie podaję mu dowód osobisty, a on wstukuje do komputera wszystkie niezbędne dane.

– Przygotowaliśmy dla pana apartament master suite z widokiem na zalew, w budynku B, który znajduje się po lewej stronie od wejścia – tłumaczy. – Można tam dotrzeć podziemnym łącznikiem lub ścieżką spacerową prowadzącą wzdłuż Modrzewiówki.

– Świetnie.

- Posiłki serwujemy w budynku głównym, w godzinach, które znajdzie pan wyszczególnione w specjalnym informatorze w pokoju. Zapraszam też do naszej restauracji à la carte, gdzie będzie się pan mógł delektować nie tylko wybornymi daniami, ale również unikatową panoramą Karkonoszy – podkreśla. – Na drugim piętrze mamy strefę wellness, z basenem, jacuzzi oraz kompleksem saun i siłownią. A wieczorami warto zajrzeć do lobby baru. Gramy muzykę na żywo, można usiąść przy kominku ze szklaneczką czegoś mocniejszego i zapomnieć o całym świecie.

- Brzmi kusząco.

- Jestem przekonany, że pobyt u nas na zawsze zapisze się w pana wspomnieniach.

Jego entuzjastyczne zapewnienia mnie bawią. Pocieram chropowaty, chrzęszczący pod palcami dwudniowy zarost, by ukryć uśmiech, który recepcjonista mógłby uznać za kpiący. Zastanawiam się, czy wszystkim gościom składa te same obietnice i czy ludzie dają się na nie nabierać. Mężczyzna bez wątpienia został profesjonalnie przeszkolony, nawet sposób, w jaki przechyla głowę – lekko w bok, z oddaniem – potwierdza jego gotowość do wysłuchania i spełnienia każdej mojej prośby.

Kiedy chowam do kieszeni płaszcz kartę magnetyczną i zamierzam już odejść, dociera do mnie, że dotychczas nie wspomniałem o Ninie, której pobyt odwołałem kilka dni temu, myśląc, że będzie musiała zostać w Warszawie z mamą. Wracam zatem do recepcjonisty, a małżeństwo z psem, oczekujące za mną w kolejce, wzdycha znacząco.

- Okazało się, że plany mojej żony uległy zmianie i będzie jednak mogła dołączyć do mnie podczas... – Urywam w pół zdania, gdyż stojący na kontuarze gliniany wazon z bukietem z suszonych traw upada z hukiem na podłogę, strącony nieopatrznie łokciem recepcjonisty, i roztrzaskuje się na wiele kawałków.

Łoskot płoszy olbrzymiego wyżła niemieckiego, który podskakując, zaczyna wrywać się właścicielowi, a przy tym niespokojnie ujadać. Chudy jak tyczka mężczyzna o wyglądzie wyrośniętego klasowego kujona, w okularach w rogowej oprawie, napina smycz, usiłując przyciągnąć do siebie pobudzone zwierzę, które zajadle obszczekuje recepcjonistę.

– Przepraszam najmocniej. – Pracownik hotelu trzęsącymi się rękoma zbiera potłuczone skorupy.

Jego ruchy są chaotyczne, a twarz kredowobiała. Zerka nerwowo na stojącą za mną parę oraz ich powarkującego psa. Na widok kłów wyżyła przełyka ślinę, a jego klatka piersiowa zaczyna poruszać się niespokojnie w rytm przyspieszonego oddechu.

– Filo, opanuj się! Siad! – nakazuje właściciel, szarpiąc zwierzę. Pupil jeszcze przez chwilę walczy, ale w końcu reaguje na polecenie i przestaje szczekać.

Recepcjonista pospiesznie uprząta rozsypane rośliny, nadal z niepokojem oglądając się na psa. Dłonią gorączkowo zgarnia z podłogi połamane źdźbła, po czym wrzuca je do kartonu, który wyciągnął spod lady, i ociera rękawem koszuli wilgotne czoło.

– Proszę wybaczyć to zamieszanie.

Wyprostowany staje za kontuarem, na jego twarz wraca profesjonalny uśmiech i tylko napięte mięśnie szczęki przypominają o niedawnym popłochu.

– Nic się nie stało – odzywa się piskliwym głosem właścicielka wyżyła, rachityczna kobieta z krwiście czerwoną pomadką na wąskich, ledwie widocznych ustach. – Dałby nam pan klucz do stodwunastki? Oboje zostawiliśmy swoje karty w apartamencie, a musimy nakarmić psa. Filo staje się nerwowy, gdy jest głodny. Zresztą sam pan widział.

– Tak, oczywiście. – Recepcjonista zerka do komputera. – Państwo...

– Kamińscy – podpowiada kobieta, po czym odbiera kartę od pracownika hotelu i razem z mężem odchodzi, nie mówiąc nawet „dziękuję”.

Wymieniamy z mężczyzną za kontuarem porozumiewawcze spojrzenia, a później obaj się uśmiechamy.

– Byłbym zapomniał – mówi, kładąc na ladzie drugą kartę magnetyczną do naszego apartamentu.

Otwieram usta, chcąc mu podziękować, ale wtedy o moją stopę uderza czerwona gumowa piłeczka. Schylam się, by ją podnieść, gdy zauważam wielkie niebieskie oczy blondwłosego chłopca w pomarańczowych dresach. Stoi jakies dwa metry ode mnie i zawstydzony ucieka spojrzeniem w stronę matki, która uśmiechem

zachęca go, by odebrał swoją zabawkę. Malec oblizuje usta, a potem z zakłopotaniem drapie się po głowie.

– To twoje? – pytam, przykucając, by moja twarz znalazła się na wysokości jego oczu.

W wyciągniętej dłoni trzymam piłkę. Chłopczyk kiwa głową, ale nadal się nie rusza. Sprawia wrażenie, jakby się czegoś obawiał, przez co ogarnia mnie dziwny rodzaj czułości. Wreszcie to ja wykonuję krok w jego stronę i oddaję mu zabawkę, siląc się przy tym na serdeczny uśmiech. Nasze palce na ułamek sekundy się stykają, a wtedy dogania mnie niepokojący obraz – wspomnienie, a może tylko wyobrażenie mężczyzny o wykrzywionej gniewem twarzy, zbierającego do płóciennego worka zabawki, a potem ciskającego je w gardziel pieca węglowego i każącego patrzeć, jak płoną.

Ten kadr ucieka równie szybko jak dziecko z piłką w ręce. Wizja sprawia jednak, że zaczyna kręcić mi się w głowie. Rozpinam górny guzik koszuli, dziękuję recepcjoniście i zabrawszy kartę, wychodzę na zewnątrz zaczerpnąć świeżego powietrza.



Chłodny kwietniowy wiatr smaga kark i policzki, dlatego stawiam kołnierz, a dłonie ukrywam w kieszeniach płaszcza. Zastanawiam się, co przyniosą te podmuchy, bo wiatr zawsze coś przynosi, choć niekiedy też odbiera. Mimo słońca popołudnie nadal jest rześkie. Wzdrygam się pod wpływem dreszczu, który przebiega po moich plecach, a następnie zaczynam dreptać wzdłuż automatycznie rozsuwanych drzwi hotelu, by rozgrzać ciało w oczekiwaniu na żonę.

Właściwie marzę już tylko o tym, by jak najszybciej znaleźć się w naszym apartamencie. Zniecierpliwiony spoglądam na gęsty las po drugiej stronie drogi, gdy na teren hotelu wjeżdża rozpędzony biały van. Zza samochodu wyłania się sylwetka Niny z aparatem przewieszonym przez ramię. Pojedyncze pasma jej jasnych kręconych włosów uciekają spod kaptura kurtki i tańczą na wietrze. Obserwuję, jak kroczy

z pochyloną głową. Wydaje się pogrążona w myślach, ale gdy ją wołam, unosi wzrok i radośnie do mnie macha.

– Jak się udał spacer? – pytam, wychodząc jej na spotkanie.

– Doskonale, zrobiłam dużo świetnych zdjęć. Szkoda tylko, że zalew na całej długości ogrodzony jest siatką i nie można podejść bliżej. Podobno chodzi o względy bezpieczeństwa, bo to zbiornik wody pitnej dla okolicy. Wstęp mają tylko osoby upoważnione.

– Może to i dobrze, dzięki temu nie roi się tam od turystów, a my mamy pejzaż jak z pocztówki.

– Racja, nie mogę się już doczekać widoku z okien naszego pokoju. Nie wspominając o tym, że trochę zmarzłam i marzę o kubku gorącej herbaty.

Nina rozciera skostniałe dłonie. Czubek jej nosa i policzki są mocno zaróżowione.

– Zaraz się rozgrzejemy. Nasz apartament znajduje się w tamtym budynku. – Wskazuję dłonią bliźniaczy obiekt po prawej stronie.

– Świetnie. – Nina chwyta jedną z walizek na kółkach i rusza przed siebie, szczelnie osłaniając apaszką twarz przed lodowatymi podmuchami.

Przy wejściu do budynku B na drabinie stoi monter w kombinezonie roboczym i okularach ochronnych. Ściska w dłoniach wiertarkę, która ze zgrzytem wygryza się w ścianę, wywołując chmurę białego pyłu. Kurz osiada na ubraniu i włosach mężczyzny niczym mąka. Macham dłonią, by odgonić szczypiące w oczy pyłki, gdy nagle moja żona przystaje i zaczyna nerwowo obszukiwać kieszenie kurtki.

– Szlag! – wydaje z siebie jęk zawodu.

– Co się stało?

– Chyba zostawiłam telefon w samochodzie – stwierdza, przetrząsając torebkę. – Widziałeś go?

– Nie, ale może wypadł razem z innymi rzeczami wtedy, gdy tak ostro zahamowałam. Nie martw się, pewnie leży gdzieś pod fotelem.

Nina zerka w stronę parkingu.

– Sprawdzę, dobrze? Inaczej to mi nie da spokoju – mówi, a część jej słów niknie w hałasie pracującej wiertarki. – Mama może zadzwonić i niepotrzebnie będzie się niepokoiła. Zresztą i tak zamierzałam później



skoczyć na dół po swoją książkę, a w ten sposób upiekę dwie pieczenie na jednym ogniu.

– Nie ma sprawy, proszę. – Wręczam jej kluczyki. – Zaparkowałem na lewo od wejścia. Chcesz, żebym poszedł z tobą?

– Nie, poradzę sobie. Zmykaj na górę, zaraz do ciebie dołączę.

Żona oddaje mi torbę z aparatem i walizkę, a ja przekazuję jej kartę do apartamentu.

– W takim razie widzimy się za chwilę na trzecim piętrze – rzucam, obserwując, jak ukryta pod obszernym kapturem rusza w stronę samochodu.

Zręcznie omijam skupionego na pracy montera, po czym wchodzę do budynku, by za moment dotrzeć do windy, której drzwi rozsuwają się z radosnym brzęknięciem. Na panelu wybieram trójkę, a wtedy kabina zaczyna miękko sunąć w górę. Z lustra spogląda na mnie zarumieniona z podniecenia twarz o niebieskich oczach.

Kiedy wysiadam, gruby dywan tłumi odgłos moich kroków. W korytarzu słychać jedynie cichutki szum i popiskiwanie obracających się kółek od walizek. Mijam po drodze tyle zamkniętych drzwi, że czuję, jakbym błędził w hotelowym labiryncie. Wąskie przejścia spowijają nastrojowy półmrok, niczym w filmach noir, i tylko na metalowe cyfry układające się w numery pokoi pada ciepły blask ledowych lampek. Wreszcie odnajduję na ścianie znaki wskazujące drogę do apartamentu trzysta sześćdziesiąt sześć. Prowadzą do ciemnego zaułka po prawej.

Szybkim krokiem wyłaniam się z za rogu i niemal od razu z impetem wpadam na pokojówkę. Zaskoczona moim widokiem, podskakuje z okrzykiem, a wraz z nią taca, którą trzyma w dłoniach i którą zamierzała postawić pod sąsiednimi drzwiami.

– Cholera jasna – rzuca, gdy zauważa, że kawa z przewróconej filiżanki ścieka na dywan.

– Bardzo przepraszam, zagapiłem się.

– Nic się nie stało, to nie pana wina – zapewnia, choć wyraźnie widzę, jak zaciska zęby ze złości.

Dziewczyna chwyta zwitek ręczników papierowych i stara się zebrać nimi powiększającą się kałużę, ta jednak szybko wsiąka w beżowy dywan, tworząc ciemną plamę o nieregularnym kształcie, nieco

podobnym do gradowej chmury. Czuję się naprawdę niezręcznie. Pokojówka wygląda na niewiele więcej niż dwadzieścia lat, nosi szarą sukienkę na guziki przepasaną białym fartuszkim oraz czarne getry, a gdy na kolanach zawzięcie szoruje wykładzinę, spod jej legginsów wyłania się tatuaż przypominający cienką nitkę zawiązaną na kokardę tuż nad kostką.

Stoję nad nią, nie mając pojęcia, co zrobić z rękami, które smętnie zwisają wzdłuż mojego ciała. Z każdą kolejną sekundą czuję się coraz bardziej jak pajac, a nie kulturalny mężczyzna, za którego się uważam. Odchrząkuję zatem i pytam:

– Może mógłbym jednak jakoś pomóc?

– Dam sobie radę, dziękuję.

– Potwornie mi głupio, że tak na panią wpadłem. Naprawdę nie chciałem.

– Wszystko jest w porządku. – Zmusza się do tego, by spojrzeć mi w oczy, i choć trwa to tylko chwilę, odnajduję w jej delikatnej, młodzieńczej twarzy wyraźną niechęć.

W końcu żegnam się i nieco zmieszany przykładam kartę do czytnika w drzwiach. Moich uszu dobiega metaliczne zgrzytnięcie, a lampka kontrolna zmienia barwę z czerwonej na zieloną. Rozedrganą dłonią naciskam klamkę, by po chwili znaleźć się w apartamencie.

Słońce stopniowo chyli się ku zachodowi, przez co salon tonie w ciepłym świetle. Na środku pokoju znajduje się olbrzymia kanapa w kolorze kawy z mlekiem, ustawiona w stronę okna, by móc z niej podziwiać oszałamiający widok na zalew i góry. Jestem pewien, że stanie się ona ulubionym miejscem Niny. Niemal widzę, jak otulona kocem czyta tu książkę, co jakiś czas spoglądając na Modrzewiówkę.

Ja natomiast, jak na pisarza przystało, zachwycam się drewnianym biurkiem pod ścianą. Czuję przyjemne mrowienie w opuszkach palców, a gdzieś w moim wnętrzu odżywa nadzieja na przełamanie blokady twórczej, z którą zmagam się od miesięcy.

Ruszam w stronę sypialni, lecz gdy dobiega mnie zgrzyt zamka w drzwiach, przystaję w pół kroku. Po chwili do środka wchodzi Nina, której cera zdaje się wyjątkowo blada.

– Dobrze się czujesz? Wyglądasz, jakbyś miała zaraz zemdleć.

Podchodzę i odbieram od niej kurtkę. Zawieszam ją na haczyku przy wejściu.

– Winda, którą jechałam, zatrzymała się między piętrami – wyjaśnia, zdejmując buty. – Najpierw kabiną szarpnęło, a potem jeszcze zgasło światło, wyobrażasz sobie? Wszystko trwało raptem kilka sekund, ale i tak myślałam, że umrę tam ze strachu – opowiada, żywo gestykulując.

– To pewnie chwilowa awaria w dostawie prądu. – Obejmuję jej ciało ramieniem, a drugą dłonią odgarniam złote loki z twarzy Niny.

– Nie mam pojęcia, ale od tej pory chodzę tylko schodami. Za żadne pieniądze nie wsiądę do windy.

Kąciaki moich ust mimowolnie się unoszą.

– A telefon? Udało ci się go znaleźć?

– Niestety, nigdzie go nie ma – oznajmia z rezygnacją. – Zastanawiam się, czy nie zostawiłam komórki u mamy. Ładowałam ją w nocy, a rano, pakując się w pośpiechu, mogłam o niej zapomnieć.

– Na pewno dobrze sprawdziłaś?

Kiwa głową, odkładając na stolik kartę do pokoju i książkę, którą przyniosła z samochodu.

– Zaglądałam nawet do bagażnika, i nic. – Rozkłada bezradnie ręce. – Zostawmy to, do mamy mogę przecież zadzwonić od ciebie, a ja będę miała smartfonowy detoks. Zamiast w ekran będę patrzyła na góry. – Wskazuje dłonią na okno i niespodziewanie zastyga z otwartymi ustami, jakby dopiero teraz dostrzegła krajobraz za szybą.

Wyraz jej twarzy sprawia, że się uśmiecham.

– Miałem podobną minę, gdy wszedłem do pokoju.

– Wow, teraz już rozumiem, za co płacimy tyle pieniędzy. Mogłabym się tu budzić każdego ranka.

Staję tuż za nią i otaczam talię żony ramionami. Jej loki łaskoczą mnie w podbródek. Przytulam policzek do ucha Niny, dostrzegając, jak pod wpływem ciepła mojego oddechu drobne włoski na jej szyi i karku się unoszą. Przez dłuższy czas patrzymy razem w tym samym kierunku, zatopieni w odległych myślach. Nasze palce się splatają, a serca uderzają miarowo i spokojnie.

– Jesteś głodna? Podobno mają tu świetną restaurację – podejmuję, czując narastające ssanie w żołądku.

– Niespecjalnie, chyba najadłam się kanapkami ze stacji benzynowej. Właściwie to jestem wykończona po tej długiej podróży i najchętniej od razu wskoczyłabym pod kołdrę. Kiepsko spałam dziś w nocy, a teraz jeszcze migrena ściska mi głowę jak imadło. – Masuje palcami skronie, wykrzywiając przy tym usta w zbolałym grymasie.

– Myślę, że gorąca kąpiel poprawi ci nastrój. Zmykaj do łazienki, zrelaksuj się, a ja zaparzę nam herbaty.

Nina patrzy na mnie z wdzięcznością. Przyciągam ją mocno do siebie, po czym ujmuję w dłonie jej drobną twarz i nachylam się, by złożyć na miękkich wargach pocałunek. Żona sprawia wrażenie nieobecnej, jakby jej ciało znajdowało się ze mną w pokoju, ale umysł błędził w odległych rewirach.

– Pójdę już – mówi, uwalniając się z ciasnych objęć.

Wyjmuje z bagażu kosmetyczkę, a z szafy zabiera biały hotelowy szlafrok i jednorazowe kapcie. Kiedy znika za drzwiami łazienki, nastawiam wodę w czajniku, którego szum wypełnia salon. Przeglądam dostępne saszetki z herbatą i ostatecznie decyduję się na earl grey, którą Nina pija na co dzień.

Wkraczając do przytulnej sypialni z gigantycznym łóżkiem i przeszkleniami na suficie, uśmiecham się z zadowoleniem. Jestem pewien, że będzie się nam tu dobrze spało. Na ścianach wiszą zdjęcia prezentujące majestat położonej nieopodal Śnieżki. Oprawione w ramy fotografie ukazują alpinistów na pokrytych śniegiem górskich szczytach.

Zrzucam płaszcz, po czym kładę na łóżku swoją walizkę. Nucąc pod nosem melodię z filmu *Narodziny gwiazdy*, niespiesznie układam ubrania na półkach olbrzymiej szafy. „Tell me something girl, are you happy in this modern world?”, śpiewam, myśląc o żonie. Kiedy mój bagaż jest opróżniony, spoglądam kontrolnie na drzwi łazienki i wygrzebuje z bocznej kieszeni walizki skreconego papierosa. Wsuwam go do kieszeni spodni, a później uruchamiam w telefonie playlistę z romantycznymi piosenkami. Przygotowywałam ją wczoraj w nocy, szukając ulubionych kawałków Niny. Jest tam *Time of my life* z *Dirty dancing*, do której tańczyliśmy na naszym weselu dwa lata temu, kilka

zmysłowych utworów Barry'ego White'a i oczywiście klasyki w wykonaniu Franka Sinatry, wprost uwielbiane przez moją żonę.

Wyglądam pościel na łóżku i kładę na niej płaskie pudełko przewiązane czerwoną kokardą. Zza drzwi łazienki dobiega kojący szum wody, dlatego w oczekiwaniu na Ninę postanawiam wypakować również jej bagaż. Wyciągam z walizki ciepłe swetry oraz kolorowe sukienki. Jedną z nich, tę czerwoną z dekoltem na plecach, zbliżam do twarzy i wącham, jakbym szukał na niej zapachu żony. Starannie rozmieszczam ubrania na półkach w szafie, rozwieszam sukienki, a bieliznę wkładam do długiej szuflady w komodzie. Kiedy zamierzam zamknąć walizkę, za siatką zapinanej na suwak wewnętrznej kieszeni, w klapie zauważam białą kopertę z logotypem Centrum Medycznego Żelazna.

Jakaś część mnie pragnie natychmiast po nią sięgnąć, rozerwać papier i przeczytać zawartość, ale głos rozsądku nakazuje przestać szperać w korespondencji Niny.

W pamięci przywołuję jej poszarzałą ostatnimi dniami cerę, częste popadanie w zadumę i wyraźny spadek nastroju. Dotychczas tłumaczyłem sobie, że to efekt zbyt dużej ilości pracy, intensywnych treningów w teatrze oraz zatroskania o chorą matkę, ale teraz wątpliwości kłają mnie niczym pchły. Co, jeśli Ninie coś dolega, a ona, nie chcąc przysparzać mi zmartwień, ukrywa te informacje? Waham się jeszcze, lecz po chwili zdecydowanym ruchem odpinam suwak i wydaję kopertę.

Przyczajony dotychczas pisk w mojej głowie wraca niczym sygnał ostrzegawczy rozpedzonej lokomotywy, dlatego zaciskam mocno powieki, powoli wypuszczając powietrze z płuc. Od upadku z drabiny zmagam się z uciążliwym wizgiem w uszach i z towarzyszącym mu bolesnym dżganiem w czaszce. Przychodzą bez zapowiedzi, jak nieproszeni goście, i są tak intensywne, że niekiedy bywam bliski omdlenia. Wśród wszystkich wad tego stanu niewątpliwą zaletą pozostaje jego ulotność. Ból trwa zwykle tylko kilka sekund, po czym odchodzi w zapomnienie. Przed Niną udaję silnego. Okłamuję żonę i bagatelizuję problem, by jej nie kłopotać, ale gdy nie patrzy, gryzę do krwi wewnętrzną stronę policzka, byle tylko przetrwać potworne

chwile. Lekarz powiedział, że to przejściowe i niebawem minie, a ja chcę mu wierzyć.

Upewniwszy się, że Nina nadal zażywa kąpieli, rozedrganymi palcami wysuwam z koperty kartkę złożoną na czworo. Wmawiam sobie, że robię to tylko z troski o nią. Nerwowo zerkając w stronę łazienki, nabieram tchu, a potem rozkładam dokument, lecz zanim zdążę się z nim zapoznać, moją uwagę przyciąga niepokojąca cisza. Dociera do mnie, że woda pod prysznicem przestała płynąć. Spłoszony wciskam papier do koperty, po czym naprędce wpycham ją do kieszeni spodni. Sekundę później moja żona, owinięta we frotowy szlafrok, otwiera drzwi łazienki.

– Tego mi było trzeba – mówi, odwracając się do zaparowanego lustra.

Patrzę, jak zdejmuje ręcznik z włosów, które kaskadą spadają na jej plecy. Kiedy podchodzę bliżej, przeciera zamgloną taflę dłonią, w dolnym rogu kreśli palcem niewielkie serduszko, po czym uśmiecha się do mnie w sposób, który uznaję za zalotny.

– Czy to nasza piosenka, *Time of my life*? – Przechyliła głowę, nasłuchując.

Wzruszam ramionami i robię zdziwioną minę, jakbym nie miał pojęcia, o czym mówi.

– Dobiega gdzieś stąd... – Przechodzi do sypialni, a gdy dostrzega telefon z uruchomioną playlistą i pudełko przewiązane czerwoną kokardą, rzuca mi pytające spojrzenie. – No proszę. A cóż to takiego?

– Niespodzianka, sprawdź sama.

Zachęcona przysiada na brzegu łóżka, sięga po pakunek, a następnie rozwiązuje wstążkę. Obserwuję ją, oparty o futrynę, mając nadzieję, że trafiłem z kolorem. Kiedy odsłania wierzchnią bibułkę, słyszę, jak z jej ust wydobywa się zaskoczony westchnienie. Obraca w dłoniach czerwoną halkę z jedwabiu, zaproponowaną mi przez ekspedientkę w sklepie z bielizną, ale choć kąciki jej ust się unoszą, odnoszę wrażenie, jakby ten uśmiech był wymuszony.

– Nie podoba ci się?

– Nie, jest piękna – zapewnia. – Po prostu nadal nie czuję się zbyt dobrze.

Przez moment zamierzam zapytać, co się dzieje, i powiedzieć, że znalazłem kopertę ze szpitala, ale ostatecznie tylko z czułością całuję jej mokre włosy. Palce Niny błędzą po moim karku. Bliskość żony i świadomość, że pod warstwą szlafroka jest zupełnie naga, wywołują we mnie pożądanie.

– Może chociaż przymierzysz swój prezent? – zachęcam.

Nina przewraca oczami.

– Nie moglibyśmy odłożyć tego do jutra? Jestem naprawdę skonana. Chętnie poczytam w łóżku i zasnę przytulona do ciebie.

– To też możesz zrobić, ale nieco później. – Sięgam do paska przy szlafroku żony, rozwiązuję go niespiesznym ruchem, po czym delikatnie zsuwam okrycie z jej ramion.

– Tomasz... – broni się jeszcze, powstrzymując moje dłonie, ale kładę palec na jej ustach.

– Ciii... – szepczę.

Całuję jej długą szyję, a Nina poddaje się mojemu dotykowi.

Biorę ją w ramiona i delikatnie kładę na łóżku. Rozpinam guziki koszuli, która upada na podłogę, a wkrótce pokój wypełnia szmer przyspieszonych oddechów oraz zapach naszych ciał. W tle pobrzmiwa niski głos Barry'ego White'a, a my zatapiamy się w zmysłowym tańcu na białej, zmiętej pościeli. Nina smakuje wolnością. W jej spojrzeniu odnajduję namiętność, ale również jakiś rodzaj melancholii. Jęczy i wygina plecy w łuk. Upajam się nią, przemierzając językiem najskrytsze zakamarki jej skóry. Chciałbym, by ten moment nigdy się nie kończył.

Po wszystkim leżymy spleceni w objęciach. Wyczerpani i spełnieni. Głaszczę lśniące od potu plecy Niny, a potem nawijam na palec pasmo jej włosów.

Za oknem zrobiło się ciemno. Czerń wieczoru rozpraszają jedynie światła latarni usytuowanych nad zalewem Modrzewiówka i blask ozdobnych lampek zamontowanych wokół hotelu.

– Kocham cię – mówię i czekam na odpowiedź żony, ale ona milczy.

Słyszę jej miarowy oddech, a gdy zaniepokojony zbyt długą ciszą unoszę się na ramieniu, dostrzegam, że zasnęła. Z uśmiechem kręcę głową. Jej wargi są lekko uchylone, a włosy rozrzucone na poduszce.

Otulam ją delikatnie kołdrą, a potem całuję w upstrzony piegami policzek.

Kiedy wstaję, burczy mi w brzuchu. Czuję, jakby z głodu żołądek przywarł do kręgosłupa. Postanawiam więc wziąć szybki prysznic, a później skoczyć do restauracji, zjeść coś ciepłego i przy okazji popracować chwilę nad książką.

W kąpielni zerkam na wiszące na haczyku spodnie. Myśl o ukrytym w kieszeni liście, który zdaje się wypalać w niej dziurę, wywołuje bolesny skurcz trzewi. Powinienem był zapytać Ninę o tę cholerną kopertę, wyrzucam sobie. Zaczynam rozważać, czy nie lepiej byłoby, gdybym odłożył ją na miejsce. Odwrócił bieg zdarzeń i uwolnił się od poczucia winy. Jednak kiedy wracam do sypialni i dostrzegam żonę leżącą na brzuchu, z głową wspartą na zgiętej ręce, wiem, że nie mogę tego zrobić. Za bardzo boję się o jej zdrowie.

Obserwuję, jak śpi, cicho pogwizdując przy każdym wydechu. Przez cienką, jasną skórę na jej powiekach prześwitują fioletowe żyłki, a cienie pod oczami zdają się ciemniejsze niż zwykle. Dotykam palcami miękkich, pachnących słodkim szamponem włosów Niny, po czym zaciągam zasłony, by mogła spokojnie drzemać. Apartament tonie w przyjemnej ciszy, a ja wychodzę na korytarz i mknę po schodach, przeskakując naraz po kilka stopni, jakbym uciekał.

Niekiedy wydaje się nam, że jeśli będziemy wystarczająco szybko biegli, to, co złe, nas nie dogoni. W tej chwili i ja chcę w to wierzyć.

✱

Gdy docieram do głównego budynku, jest już po ósmej. Restaurację wypełnia tłum gości o roziskrzonych spojrzeniach i zaróżowionych policzkach. Wszechobecny gwar mnie przytłacza, ludzie śmieją się i żywo gestykują, jakby byli czymś wyjątkowo podekscytowani. Przy stolikach dostrzegam grupy znajomych, rodziny z dziećmi oraz trzymające się za ręce pary, których widok napawa mnie melancholią.

Moją uwagę przyciąga ojciec, który podnosi z podłogi bułkę z dżemem, upuszczoną przez kilkuletniego chłopca, przykłada ją do



twarży malca i wściekle rozsmarowuje marmoladę na jego policzkach. Zastygam w szoku, lecz gdy zamierzam interweniować, okazuje się, że mężczyzna wcale nie trzyma w dłoni bułki, tylko serwetkę, którą z czułością wyciera buzię uśmiechniętego syna. Zakłopotany potrząsam głową, by odgonić obraz z przeszłości, i odchodzę, zanim zdążą zauważyć, że się im przyglądałem.

Postanawiam zjeść w lobby barze, gdzie jest zdecydowanie mniej tłoczno i nikogo nie dziwią ludzie spędzający czas w pojedynkę. Klienci siedzą tu na metalowych hokerach i skórzanych kanapach, popijając drinki w akompaniamencie dźwięków saksofonu. Rozluźniam się nieco, a po chwili u barmana za wysoką kamienną ladą zamawiam burgera z colą. Wprawdzie w moim wieku trzeba już uważać na dietę, ale rano zamierzam przepłynąć kilka długości na basenie, więc nie martwię się o to, czy jednorazowe kulinarne szaleństwo mi zaszkodzi. Jak na niemal pięćdziesięciolatka, jestem w naprawdę niezłej formie, trzy razy w tygodniu biegam, w weekendy trenuję na pływalni, a studentki ze szkoły filmowej nadal wzdychają na mój widok.

– Może zamiast tej coli zaproponuję szklaneczkę whiskey? – zachęca barman, w którego łysinie odbija się światło żarówek. – Mam świetnego dziesięcioletniego bushmillsa.

Przez moment rozważam jego sugestię, choć doskonale wiem, że nie powinienem. Niemal słyszę cichy podszept namawiający do przekroczenia granicy, którą niegdyś sam ustanowiłem. Zupełnie jakby podstępny głos w mojej głowie drażnił się ze mną. Zerkam na swoją dłoń i uderzające o bar palce, które zaczynają poruszać się niczym w zwolnionym tempie. Z odrętwienia wrywa mnie dopiero brzęk tłuczonego szkła. Oglądam się i widzę grupkę podchmielonych znajomych, z których jeden strącił ze stolika szklanekę po piwie.

Obserwuję tę scenę przez chwilę, a później wracam do barmana, sięgającego właśnie po butelkę bushmillsa.

– Nie, nie, dziękuję – powstrzymuję go. – Może następnym razem. Dzisiaj wystarczy mi cola.

– Jak pan uważa. – Kiwa głową ze zrozumieniem, choć mam wrażenie, że po jego twarzy przemyka ironiczny grymas. – Proszę usiąść, przyniesiemy zamówienie do stolika.

Posłusznie zajmuję miejsce w zaułku nieopodal kominka. Kanapa ze skóry trzeszczy pode mną, gdy opadam na nią zmęczonym ciałem. Na kolanach trzymam torbę z laptopem, ale praca jest ostatnim, czym chciałbym się teraz zajmować. Moje myśli obsesyjnie krążą wokół białej koperty ukrytej w kieszeni. Saksofonista gra utwór *Lily was here*, rozślawiony przez Candy Dulfer. Robi to tak dobrze, że mimowolnie zaczynam kiwać się w rytm muzyki, podobnie jak języki ognia w palenisku.

– Pańskie zamówienie. – Barman zjawia się niczym duch, sprawnie napełnia szklankę colą, po czym układa serwetki i sztucce oraz podsuwa talerz z burgerem. – Smacznego – rzuca uprzejmie, a potem znika za ścianą kominka.

Nim zdążę wbić nóż w bułkę posypaną sezamem, mężczyzna wraca, stawiając na drewnianym stoliku szklankę z whiskey. Skonsternowany marszczę czoło i wpatruję się pytająco w barmana.

– Chyba zaszła jakaś pomyłka – tłumaczę. – Mówiłem, że zostanę przy coli.

– Wiem, ale to prezent powitalny od hotelu. – Puszczą do mnie oko. – Jest pan u nas pierwszy raz i chcielibyśmy, by to była wyjątkowa wizyta.

– Ale... – Poruszam bezgłośnie wargami niczym ryba wyrzucona na brzeg, szukając odpowiednich słów, by jakoś wybrnąć z tej niezręcznej sytuacji.

– Myślę, że będzie panu smakowała – mówi mężczyzna chwilę przed tym, nim odwróci się i zniknie mi z oczu.

Rozglądam się wokół, pewien, że wszyscy patrzą na mnie z wyczekiwaniem, stawiając zakłady o to, jaką podejmę decyzję, ale jestem w błędzie, bo goście zajęci są wyłącznie swoimi sprawami.

To jakiś absurd, myślę i prychem pod nosem. Mój wzrok omiata grube szkło kryjące złoty trunek. Unoszę szklankę, po czym kręcę nią w ręku, by usłyszeć, jak kostki lodu dzwonią o ścianki. Już sam ten dźwięk wywołuje uzależniające mrowienie w karku. Niczym śpiew syren, które wabiły marynarzy ku zagładzie. Na szczęście w porę dokonuję analizy następstw i odsuwam od siebie szklankę aż na drugi koniec stołu.

Pierwszy kęs burgera smakuje doskonale. Mięso jest odpowiednio wysmażone, a sosy podkreślają charakter dania. Czuję, jak kropla tłuszczu wymyka się z ust i spływa po brodzie w stronę kołnierza czarnego golfa, który mam na sobie. Pospiesznie ocieram twarz chusteczką, a później biorę kolejny gryz i następny. Mniej więcej w połowie jestem nasycony. Duszką wypijam colę, po czym zerkam w stronę szklanki z alkoholem, który przyciąga spojrzenie jak magnes.

Nawet o tym nie myśl, napominam się.

Strzelający w kominku ogień i muzyka rozbrzmiewająca w lobby mnie odprężają, a świadomość, że Nina spokojnie śpi w apartamencie, koi. By wykorzystać ten dobry nastrój, sięgam po komputer, ale wtedy znów przypominam sobie o kopercie w kieszeni spodni. Tym razem chcę to mieć już za sobą.

Wyszarpuję ze środka kartkę złożoną na czworo, rozkładam ją, czytam i zamieram. Papier wyslizguje się z zastygłej dłoni i upada na podłogę.

Jestem pewien, że cała krew odpłynęła mi z twarzy. Mam wrażenie, że przestałem oddychać, choć to przecież niemożliwe. Poza przenikliwym zimnem nie czuję absolutnie niczego, jakbym spadł w otchłań albo umarł. Nagła cisza mnie ogłusza. Świat zdaje się wyhamowywać. Ludzie wokół niczym w trybie slow motion coraz bardziej ospale poruszają ustami. Ich twarze stają się rozmyte, a jedynym, co ma kontury i kształt, jest kryształowa szklanka z alkoholem. Rzucam się na nią, jakby była ostatnią deską ratunku. Opróżniam szkło jednym haustem, po czym biorę głęboki, desperacki wdech – jak topielec, który został cudem przywrócony do życia.

– Wszystko w porządku?! – Przerażony barman stoi nade mną, miętosząc w dłoniach ścierkę, a na jego czole błyszczą krople potu.

– Tak, chyba tak – odpowiadam słabym głosem, nadal zdezorientowany.

– Przez chwilę byłem pewien, że ma pan zapaść. Moją matkę spotkało to w zeszłym roku. Jezu, ale mnie pan przestraszył. – Kładzie rękę na sercu i wzdycha, a potem zerka na pustą szklankę po whiskey. – To co, jeszcze jednego na wzmocnienie?

– Tak, chyba tak, poproszę.

Nie rozumiem, dlaczego z moich ust wyskakują te idiotyczne słowa. Zupełnie jakby przemawiał przeze mnie ktoś inny. Nawet barwa głosu zdaje się obca, choć nie ma to żadnego sensu. Przyciskam dłonie do zimnych skroni, by powstrzymać ćmiący na nowo ból, i wtedy kątem oka spostrzegam mężczyznę za szybą. Stoi tam i patrzy wprost na mnie, jestem tego pewien. Twarz nieznanego skrywa ciemność, przez co nie widzę wyraźnie jej rysów, ale czuję na sobie jego przeszywający wzrok. Wokół ust mężczyzny tańczą wstążki papierosowego dymu, w palcach zaś mieni się czerwony, rozżarzony punkcik.

– Proszę pana, coś panu upadło. – Barman wyrывa mnie z zamyślenia.

Jego ton jest zniecierpliwiony, jakby mówił do mnie już od dłuższego czasu, ignorowany. W ręce trzyma białą kartkę z wynikami badań, wcześniej wyciągniętą przeze mnie z koperty. Chwytam ją więc i kładę na kanapie obok siebie, nieskładnie dziękując.

Kiedy pracownik odchodzi, usiłuję odszukać za oknem sylwetkę nieznanego w ciemnej kurtce, ale na zewnątrz nie ma już po nim ani śladu, jakby rozpląnął się w powietrzu niczym mgła.

Saksofonista przestał grać, a lobby wypełnia teraz głównie szum rozmów, przerywanych raz na jakiś czas wybuchami niekontrolowanego śmiechu. Nadmiar alkoholu sprawia, że goście mówią głośniej, niż to konieczne, a ich języki plączą się niczym długie nitki. W kakofonii dźwięków ledwie słyszę swoje myśli. Czuję, że powinienem się położyć. Zmęczenie przypomina o sobie pieczeniem oczu i ciężkimi powiekami. Ziewam przeciągle, lecz zanim wstanę, biorę do ręki szklankę z whiskey. Jej miedzianozłota barwa błyszczy w świetle. Trunek pachnie miodem oraz świeżymi owocami. Przykładam kryształ do ust, odchylam głowę, po czym wlewam w siebie zimny alkohol. Whiskey łaskocze gardło, a ja przymykam oczy i mruczę z zadowoleniem. Wiem, że właśnie przekroczyłem granicę, ale jest już za późno. Moje zmysły wyostają się i wreszcie nabieram jasności co do tego, jak powinienem postąpić z Niną.

Kiedy otwieram drzwi do apartamentu, wita mnie nieprzenikniona ciemność. Wnętrze pachnie Niną, słodką, przyjemną wonią. Zaciągam się tym aromatem, po czym niechcący zahaczam udem o stolik, z którego na podłogę spada książka. *Kwiaty na poddaszu* Virginii Andrews, odczytuję w świetle latarki, którą włączyłem w telefonie, by uniknąć kolejnego bolesnego zderzenia z meblami. Wystarczy mi już jedna przykra kolizja, ta z prawdą o mojej żonie. Z ciszy wyłapuję szmer jej oddechu, a po chwili dostrzegam na łóżku zwinięty w embrion kształt otulony kołdrą, która unosi się i opada, gdy Nina wypuszcza powietrze z płuc.

Materac ugina się lekko, gdy siadam obok niej. Nina, najwyraźniej wyczuwając moją obecność, mamrocze przez sen i zmienia pozycję. Teraz leży na prawym boku, z łokciem pod głową, a twarzą zwróconą do mnie. Opuszką palca dotykam jej rozchylnych warg. Wygląda tak niewinnie i krucho. Patrzę na drobny, lekko zadarty nos i burzę loków rozrzuconych na poduszce, a potem zaczynam płakać. Nad nią, nad sobą, nad nami. Z jednej strony żal przynosi ulgę, z drugiej wprawia mnie w zakłopotanie, bo na litość boską, kto to widział, by dojrzały facet tak się rozklejał.

Któraś z łez najpewniej upada na twarz Niny, ponieważ niespodziewanie moja żona otwiera oczy, po czym podnosi się na przedramieniu i przeciera ciężkie powieki.

– Tomek? Wszystko w porządku? Czy ty płaczesz?

– Nie – zapewniam, choć oboje wiemy, że jest inaczej.

Nina spleta palce jednej dłoni z moimi, a drugą kładzie na moim policzku.

– Powiesz mi, co się stało?

– Ja wiem, Nina.

– Co wiesz?

– Znalazłem tę kopertę z przychodni w twojej walizce.

Ręka mojej żony opada bezwładnie na prześcieradło. Nina odwraca głowę, nieruchomieje, jakby zamieniła się w kamień.

– Dlaczego grzebałeś w moich rzeczach? – wyrzuca w końcu przez zaciśnięte zęby.

– To nie tak. Chciałem cię rozpakować i wtedy się na nią natknąłem.

Nina przymyka powieki, a gdy znów spogląda na mnie, w jej oczach dostrzegam łzy.

– Zamierzałam ci o tym powiedzieć, gdy przyjdzie właściwy moment.

– Tak? To znaczy kiedy?

– Jutro na spacerze. Taki miałam plan, choć teraz to już nie ma znaczenia.

Cisza, która zapada między nami, jest jak przepaść. Nikt nie chce w nią spoglądać. Mam wrażenie, jakbyśmy stali na przeciwległych krańcach tej czeluści. Tak daleko, że nawet gdybyśmy oboje wyciągnęli do siebie ręce, nie bylibyśmy w stanie się chwycić.

– Jak do tego doszło? – pytam.

– Po prostu się stało, a później uznałam, że to coś, czego potrzebujemy, choć wydawało nam się, że wcale tego nie chcemy.

– Bo nie chcemy! – wybucham. – Jak mogłaś tak po prostu zdecydować za mnie? Przed ślubem rozmawialiśmy o tym setki razy, byłaś pewna, że wystarczymy sobie we dwoje. Ustaliliśmy to.

– Ludzie się zmieniają, Tomek.

– Bzdura. Ludzie czasem jedynie ukrywają to, kim są naprawdę. To żadna zmiana, tylko gra pozorów. Tandetna maskarada.

Nina delikatnie kładzie dłonie na moich ramionach, ale odtrącam jej ręce. Ich dotyk mnie drażni. Zrywam się z łóżka, przykładam palce do nasady nosa i z zamkniętymi oczami ciężko oddycham.

– Wszystko będzie dobrze. Poradzimy z tym sobie. – Staje za mną, oplatając cienkimi ramionami moje ciało. Czuję na karku jej ciepły oddech i choć tak bardzo chciałbym wierzyć w to, co mówi, nie mogę znieść jej bliskości.

– Zostaw mnie – warczę, odpychając kobietę, która przecież jest dla mnie wszystkim.

Przepełniony pogardą przeganiam ją jak upartego żebraka, budzącego jedynie niechęć, ale Nina się nie poddaje. Tym razem zachodzi mnie z drugiej strony. Patrzy mi w oczy, wyraźne w wąskiej smudze światła wpadającej przez uchyloną zasłonę. Delikatnie gładzi klatkę piersiową.

– Daj nam szansę. Będę przy tobie, nie powtórzysz błędów ojca, nie jesteś nim.

Na samą myśl o tym człowieku coś we mnie pęka. Mam wrażenie, jakby pokój się kurczył, a ściany na mnie napierały. Duszę się, szarpie kołnierz golfa, aż wreszcie wrzeszczę z nienawiścią:

– Nie!

Popycham Ninę tak mocno, że uderza potylicą o kant ściany przy wnęcie okiennej. Widzę, jak zdezorientowana podnosi dłoń, dotyka nią włosów z tyłu głowy, a potem patrzy na krew pokrywającą palce.

– Co się dzieje, Tomek? – pyta drżącym głosem. Jej wzrok staje się mętny i po chwili żona z łoskotem osuwa się na podłogę.

Klepię ją w policzek, niczym zakłęcie powtarzając: „Nina, Nina, Nina!”, ale nie reaguje na rozpaczliwe wołania. Leży nieruchomo jak jakaś upiorna lalka, z szeroko otwartymi oczyma wpatrującymi się w sufit. Opuszczam powieki i szeptem błagam, by się ocknęła. Wtedy czuję, że ktoś mocno szarpie mnie za ramię.

✱

Otwieram oczy, intensywnie mrugając, lecz zamiast w apartamencie numer trzysta sześćdziesiąt sześć znajduję się nadal w lobby barze, na tej samej kanapie ze skóry, a naprzeciwko mnie stoi jakiś mężczyzna w czarnej koszuli.

– Wszystko w porządku? Krzyczał pan przez sen.

Taksuję spojrzeniem przestrzeń, by nabrać pewności, co dzieje się naprawdę, a co było tylko potwornym koszmarem. Ogień w kominku dogasa, gwar ucichł i słychać jedynie kłótnię dwóch pijanych facetów siedzących przy barze. Pod oknem jakaś para jest tak zajęta sobą, że chyba zapomnieli, iż znajdują się w miejscu publicznym. Ona siedzi mu na kolanach, on natomiast trzyma rękę pod jej sukienką. Aura przypomina tę z obrazów Edwarda Hoppera, nasycona jest sennością i zastojem, które budzą we mnie pełne niepokoju oczekiwanie.

Odwracam głowę i pocieram oczy. Sen był tak realistyczny, że cały czas trudno mi dojść do siebie. Na podłodze, oparta o kanapę, stoi torba od laptopa. Na stoliku zaś zauważam uzupełnioną szklanekę whiskey, telefon komórkowy i kilka serwetek. Wtedy przypominam sobie

o białej kopercie, której nie ma w zasięgu mojego wzroku. Zaczynam nerwowo przeszukiwać torbę, wyrzucam z niej długopisy i notatki, ale nigdzie nie znajduję listu z przychodni. Być może on również tylko mi się przyśnił.

Ta myśl jest niezwykle krzepiąca. Sięgam po alkohol i wypijam go duszkiem, czując, jak strach w trzewiach topnieje. Napięcie uchodzi ze mnie niepohamowanym parsknięciem. Śmieję się, by odreagować stres po upiornym majaku.

– Przepraszam – wyduszam wreszcie z siebie, przecierając dłońmi spoconą z emocji twarz. – Miałem okropny sen.

– Kto ich nie ma. – Elegancki mężczyzna siada na fotelu po drugiej stronie stołu, zakłada nogę na nogę, prezentując wypastowane mokasyny na bosych stopach, a potem prześwietla mnie wzrokiem, który zatrzymuje się na obrączce. – Niech zgadnę, czyżby chodziło o żonę? Pokłóciliście się, a pan wylądował w barze z wyrzutami sumienia oraz szklanką whiskey w ręce. Zgadza się?

– Nie, niezupełnie – odpowiadam, krzywiąc się z zakłopotaniem. – Czy my się skądś znamy?

Mężczyzna uśmiecha się zagadkowo, gdy ja taksuję spojrzeniem ogoloną gładko twarz, próbując przypomnieć sobie, czy mogłem spotkać go już wcześniej.

– My nie, ale powiedzmy, że ja znam się na ludziach – wyjaśnia. – Wiem na przykład, że jeśli żonaty facet spędza noc sam w hotelowym barze, upijając się whiskey, to ma jakiś problem.

Prycham nerwowym śmiechem.

– Ciekawa teoria, ale nie pasuje do mnie. Nie jestem taki.

– Jaki?

– Nie uciekam przed kłopotami w alkohol.

– Ależ oczywiście, że pan ucieka, wszyscy to robią. Zresztą inaczej byłby pan teraz na górze, w sypialni, z żoną. Po co spędzać czas w barze z obcymi ludźmi, gdy można kochać się do nieprzytomności ze swoją kobietą? Czy nie po to ludzie przyjeżdżają do hoteli?

Impertynencja tego mężczyzny sprawia, że czuję nadciągającą falę irytacji. Wydaje się młody, ledwie po trzydziestce. Ma przystojną twarz z dołeczkiem w brodzie, krótko ostrzyżone czarne włosy i stylowe, bez



wątpienia drogie ubrania. Odnoszę wrażenie, że prowokuje mnie dla zabawy.

– Jest pan wyjątkowo pewny siebie. A co, jeśli przyjechałem tu bez żony? – pytam.

– A przyjechał pan? – Lustruje mnie badawczym wzrokiem, od którego aż swędzi skóra, a gdy odwracam głowę, nie mogąc dłużej znieść uczucia dyskomfortu, z satysfakcją kwituje: – Tak też myślałem. O co w takim razie poszło, że postanowił pan topić smutki w alkoholu?

– O nic. Po prostu żona zasnęła, a ja zszedłem na dół, by coś zjeść i popracować chwilę w spokoju.

– W tłumie głośnych, pijanych ludzi?

– Zupełnie mi to nie przeszkadza. Umiem się wyłączyć.

– A jednak nawet nie wyjął pan laptopa z torby. Obserwowałem pana.

Jego bezpośredniość działa mi na nerwy. Siedzi tu z tym swoim szelmowskim uśmieszkiem i kłującym spojrzeniem à la młody Jack Nicholson, w nienagannie odprasowanej koszuli, pod którą zarysowują się wyrzeźbione mięśnie.

– Kim pan w ogóle jest? – rzucam wściekle.

– No tak, powinienem się przedstawić, prawda? Tylko że wtedy nasza rozmowa straci urok anonimowości. Nie będziemy już przypadkowymi nieznajomymi, którzy bez obawy o konsekwencje mogą rozmawiać o wszystkim i powierzać sobie najskrytsze tajemnice, mając pewność, że nigdy więcej się nie spotkają.

– Szczerze mówiąc, nie obchodzą mnie pana tajemnice. Nie zapraszałem pana do mojego stolika, a ta rozmowa staje się męcząca.

Podnoszę się z miejsca, usiłując sprawnie zebrać wszystkie swoje rzeczy i jak najszybciej wrócić do Niny. Barman, który wyciera ścierką sąsiedni stół, obserwuje nas z zaciekawieniem. Kiwam mu na pożegnanie, lecz kiedy ruszam w stronę wyjścia, dobiega mnie głos nieznajomego mężczyzny:

– Szkoda. Dla pisarza, który od dwóch lat nie jest w stanie pokonać blokady twórczej, czyjeś sekrety mogłyby się okazać inspirujące.

Staję jak wryty. Moje palce ciasno obejmują pasek torby od laptopa. Powoli odwracam się w stronę jednego z najbardziej aroganckich ludzi,

jakich spotkałem w życiu. Skąd, do diabła, ma te informacje? Nikt poza moim wydawcą nie wie, że przechodzę kryzys.

Narastająca nieufność sprawia, że cały się spinam. Wracający za ladę barman omiata mnie wzrokiem, po czym znika za ścianą kominka. Nieznajomy tymczasem siedzi rozparty w fotelu, z dłońmi złożonymi w piramidkę, a jego stopa zatacza w powietrzu kręgi.

– Słucham?! O co panu chodzi? – Policzki płoną mi czerwienią.

– Czy nie tak się to odbywa? Pisarze podobno wszędzie szukają natchnienia. Podśłuchują ludzi na ulicach, zagadują w pociągach i takie tam. Kto wie, czy opowieść, którą chcę panu przedstawić, nie okaże się iskrą zapalną dla nowej książki?

– To jakiś żart?

– Absolutnie nie. Co więcej, jestem pewien, że moja historia się panu spodoba.

Spoglądam na mężczyznę z powątpiewaniem. Ten człowiek ma ewidentnie problem z rozbuchanym ego. Korci mnie, by zetrzeć z jego wymuskaney twarzy irytujący, pyszałkowaty wyraz. Nie dość, że uważa się za nie wiadomo kogo, to jeszcze wszystko wskazuje na to, że ma na moim punkcie jakąś niezdrową obsesję. Skąd w przeciwnym razie wiedziałby, kim jestem? To może być jakiś dziennikarz albo wysłannik konkurencyjnego wydawcy, który tylko mnie zwodzi, by dowiedzieć się, nad czym pracuję.

Mrużę nieufnie oczy, gdy przypomina mi się mężczyzna z papierosem widziany za szybą.

– Czy pan mnie śledzi? – dociekam. – Wcześniej, za oknem, to był pan, prawda?

– Pomyślmy... Na zewnątrz byłem dziś właściwie tylko podczas podróży do hotelu, więc nie, to nie byłem ja.

– Dość tych gier. Skąd wie pan o mnie te wszystkie rzeczy?

Wskazuje ruchem głowy na zwiniętą w rulon gazetę leżącą na stoliku, a ja podchodzę bliżej, by rzucić na nią okiem.

– W dziale „Kultura” jest wywiad z pana największym rywalem. Twierdzi, że się pan wypalił i nigdy nie osiągnie już takiego sukcesu jak przy pierwszej książce. Właściwie uważa, że szumnie zapowiadana na jesień nowa powieść i wielki powrót Tomasza Engela na rynek literacki

tylko pana ośmieszają. – Rozkłada przed sobą ręce, jakby mówił „voilà!”, a ja czuję, że wszystko we mnie wrze.

– To jakieś nieporozumienie. Nie mam pojęcia, o czym pan mówi – bronię się.

Mężczyzna otwiera szeleszczącą gazetę, kładzie ją na stoliku i wskazuje palcem niewielkie zdjęcie sprzed lat, zrobione na gali wręczenia Paszportów „Polityki”: Emil Kotlarz odbiera nagrodę, gdy ja zerkam na niego z zazdrością. Nachylam się nieznacznie, czując, jak na widok fotografii robi mi się gorąco.

– I co to ma niby znaczyć?

– Naprawdę zamierza pan grać tę komedię? – pyta, a ja wykrzywiam usta, jakbym dostał pięścią w brzuch. – Do licha, niech pan nie robi takiej miny! To wczorajszy numer, nie ma sensu udawać, że go pan nie czytał.

Wbijam zęby w wewnętrzną część policzka, bo rzeczywiście widziałem te oszczerstwa, ale chciałem wierzyć, że nikt nie zwróci na nie większej uwagi. To raptem kilka zdań upchniętych gdzieś pomiędzy ociekające egotyzmem wypowiedzi Kotlarza, który nie dorasta mi do pięt. Sam już prawie o nich zapomniałem. Szło mi naprawdę świetnie, dopóki nie natknąłem się na tego aroganta, który teraz patrzy na mnie z wyższością.

Orientuję się, że przecież nadal nie wiem, z kim mam do czynienia. Krzyżuję ramiona na piersi, jednocześnie wystawiając buńczucznie jedną nogę do przodu, i pytam:

– Skoro tak bardzo interesuje pana moje życie, to może w końcu wyjawi mi pan swoją godność?

– Czy to aż takie ważne?

Mężczyzna umyka spojrzeniem, rysując coś ołówkiem na jednej z hotelowych serwetek.

– Tak, dla mnie tak – upieram się.

Stoję zwrócony twarzą w jego stronę niczym petent, który domaga się informacji. Wreszcie nieznajomy unosi głowę.

– Dobrze, w takim razie niech będzie Wiktor Abart – mówi.

– Jak to „niech będzie”? Kpi pan sobie?

Coraz bardziej poirytowany przestępuję z nogi na nogę.

– Przecież te wszystkie nazwy to tylko etykiety. Czy gdyby nosił pan inne imię i nazwisko, a miał tę samą historię, byłby pan innym człowiekiem?

– To absurdalne, oczywiście, że nie.

– I właśnie do tego zmierzam: nie ma żadnego znaczenia, jak się nazywam, dużo istotniejsze jest to, co chcę panu opowiedzieć.

– A co, jeśli ja wcale nie chcę słuchać?

– Być może teraz jeszcze nie zdaje pan sobie sprawy, że chce, ale niebawem to się zmieni.

Prycham, z niedowierzaniem kręcąc głową nad zarozumiałością mężczyzny.

– W życiu nie spotkałem kogoś z takim tupetem jak pański.

– Mam na imię Wiktor, to już chyba ustaliliśmy, więc proponuję, żebyśmy darowali sobie te uprzejmości i wreszcie przeszli na ty. – Wyciąga do mnie dłoń, ale spoglądam na nią nieufnie, nie odwzajemniając gestu. Abart bez urazy opuszcza rękę. – Jestem pewien, że twoja książka zyska na mojej opowieści – powtarza z uporem maniaka.

Zaczynam myśleć, że ten człowiek może być pod wpływem narkotyków, to by tłumaczyło jego zuchwałość i całkowity brak zahamowań. Korzystając z doświadczenia z uzależnionymi studentami, uważnie obserwuję jego źrenice, kolor skóry, sprawdzam, czy nie ma przekrwionych spojówek, oraz oglądam okolice nosa, kontrolując, czy na skórze nie dostrzegę oznak zapalenia, ale nie znajduję niczego podejrzanego.

A jeśli to jakiś podstęp? W końcu cały ten Wiktor Abart mógł pojawić się tutaj tylko po to, by mnie zmanipulować. W dobie internetu bardzo łatwo zepsuć czyjąś reputację. Wystarczy jeden ośmieszający filmik, który wypuszczony do sieci roznosi się niczym wirus.

– To oni pana wysłali? Moja konkurencja? A może sam Emil Kotlarz?

– wyrzucam z siebie kanonadę pytań. – Ma mnie pan wyprowadzić z równowagi, a potem ktoś to nagra, umieści w internecie i będę raz na zawsze skompromitowany, tak? O to chodzi?

– Niby po co miałbym to robić? Zresztą nikt nie ośmiesza nas bardziej niż my siebie samych. Czyż nie? Tylko spójrz, godzinami przesiadujesz

w barze, pijesz whiskey, udając, że przyszedłeś tu pracować, gdy tymczasem twoja piękna żona, Nina – wyraźnie podkreśla jej imię – zasypia na górze sama.

Moje dłonie zaciskają się w pięści, a ciało, gotowe do odwrotu, nieruchomieje.

– Co powiedziałeś? – Rozdrażniony odpuszczam sobie kurtuazję. – Skąd wiesz, jak się nazywa moja żona?

– A nie wspominałeś mi o tym?

Czuję, jak na widok bezczelnego grymasu na twarzy mężczyzny wszystko zaczyna we mnie buzować. Nachylam nad nim twarz i wymachując dłonią, najdobitniej, jak potrafię, syczę przez zęby:

– Nie wiem, kim jesteś, ale nawet nie próbuj zbliżyć się do mojej żony. Odczep się od niej raz na zawsze, słyszysz?!

Widzę, jak krople mojej śliny tryskają na jego policzki, a torba z laptopem zsuwa się mi z ramienia i upada na podłogę. Po tym krótkim akcie odwagi kruszeję jednak, kuląc się w sobie ze strachu, że Abart lada chwila zaserwuje mi gorzką ripostę, której nie udźwignę. Nienawidzę konfrontacji i kiedy tylko mogę, unikam ich jak ognia, by nie narażać się na atak, przez co teraz żałuję, że straciłem nad sobą panowanie.

Wiktor jednak nie wydaje się ani przestraszony, ani rozgniewany. Wręcz przeciwnie, na jego twarzy maluje się coś na kształt dumy. Kiwa głową z uznaniem, po czym mówi:

– Brawo. Nie spodziewałem się tego po tobie.

Wypowiada te słowa na tyle donośnie, że dźwięk niesie się echem po pustym barze. Zerkam na miejsce zajmowane jeszcze niedawno przez obściskującą się parę, ale przy ich stole nikogo już nie ma. Tylko barman z niezadowoleniem rysującym się na marsowym czole zbiera pozostawione na blacie naczynia.

– Takiego właśnie pisarza oczekują czytelnicy – ciągnie Abart. – Z ikłą. Impulsywnego i dzikiego.

Spoglądam w stronę pracownika hotelu z zażenowaniem, ale on jedynie potrząsa głową, rzucając jakiś niewyraźny komentarz pod nosem, i odchodzi na zaplecze.

– Jestem już zmęczony tą rozmową – informuję swojego towarzysza. – Wracam do pokoju.

– Nadal mi nie ufasz, co? – Jego pytanie bardziej przypomina stwierdzenie faktu. Nie czeka na odpowiedź i niemal natychmiast dodaje: – Mam dla ciebie propozycję. Zamówisz teraz butelkę najlepszej whiskey, jaką tu mają. Obiecuję, że zanim ją opróżnimy, opowiem ci coś, co zapamiętasz na zawsze i dzięki czemu napiszesz swoją najlepszą powieść.

Zaczynam się śmiać.

– Dawno nie słyszałem czegoś równie absurdalnego. Masz mnie za naiwniaka? Niby dlaczego chcesz to wszystko opowiedzieć właśnie mnie?

– Bo jestem próżny i moje ego chce, żebyś napisał o mnie książkę?

– Dziękuję za propozycję, ale nie jestem zainteresowany.

Podnoszę z podłogi komputer i zawieszam torbę na ramieniu. Nim odejdę, Wiktor Abart rzuca:

– A co, jeśli będziesz tego żałował? Jeśli okaże się, że twój konkurent miał rację i rzeczywiście się wypaliłeś? Pod wywiadem z Kotlarzem w internetowej wersji gazety pojawiły się komentarze, że wydawca już raz przesunął datę premiery twojej książki. Czyżbyś miał problem z jej napisaniem?

Zaciskam zęby i nabieram tchu. Nie miałem pojęcia, że takie informacje pojawiły się w sieci.

– To jakieś brednie – upieram się.

– Ale może warto poświęcić chwilę na rozmowę z nieznajomym i chociaż sprawdzić, jakie tajemnice chce ci zdradzić?

– Innym razem. – Odwracam się do niego plecami i ruszam w stronę wyjścia, gdy słyszę coś, co sprawia, że kamienieję.

– Nawet jeśli ci powiem, jak to jest z bliska patrzeć na czyjąś śmierć i pozwolić mu umrzeć?

Jego słowa zawisają w powietrzu niczym gęste opary. Przez chwilę walczę ze sobą, w zamyśleniu przygryzając wargę. Przyłapuję się na tym, że zaczynam rozważać tę nedorzeczną propozycję. Na szczęście w porę przypominam sobie o Ninie. Moje wnętrze, w jakimś irracjonalnym lęku o żonę, przenika zimno. Zerkam na wiszący w holu

zegar, który wybija północ, i w końcu rozsądek zwycięża. Wychodzę z budynku, mając świadomość, że tej nocy wątpliwości nie pozwolą mi szybko zasnąć, a nawet jeśli, to w snach będą wracały do mnie słowa nieznanego.

Chwiejnym krokiem biegnę do pokoju, w którym Nina, ubrana w halkę, smacznie śpi z głową opartą na poduszce. Widok bezpiecznej żony działa jak porcja kropli walerianowych. Powoli uspokajam oddech, moje tętno zwalnia, a napięcie odchodzi w zapomnienie. Kilkakrotnie sprawdzam, czy drzwi są zamknięte, po czym obmywam twarz lodowatą wodą, unikając swojego odbicia w lustrze, ze strachu, że zamiast rysów, które znam, zobaczę twarz wyczerpanego, pijanego mężczyzny. Wreszcie delikatnie wsuwam się pod kołdrę i mocno przytulam Ninę. Słodki zapach jej skóry koi moje zmysły i gdy tylko zamykam oczy, zasypiam.

✱

Budzi mnie potworny ból głowy. Przez niedokładnie zaciągnięte zasłony do sypialni wdziera się kłujące w oczy światło. Nakrywam więc głowę kołdrą, by wyrwać nocy jeszcze choć odrobinę snu. Obracam się w stronę Niny, po omacku próbując ją objąć, ale gdy moja ręka usiłuje otulić biodro żony, natrafia na pustkę. Po drugiej stronie łóżka nie znajduję niczego więcej poza zimnym prześcieradłem.

Początkowo zakładam, że Nina obudziła się wcześniej i by mi nie przeszkadzać, poszła do salonu poczytać książkę. Pewnie siedzi tam na kanapie, owinięta w koc i zatopiona w lekturze, a herbata, którą sobie przygotowała, jak zwykle jest już zimna, bo moja żona tak się wciągnęła w historię, że zapomniała o całym świecie. Uśmiecham się, ale po chwili dociera do mnie, że poprzedniego wieczoru wróciłem późno, i grymas zadowolenia spełza mi z twarzy. Może Nina wcale nie wymknęła się z łóżka, by czytać, tylko dlatego, że jest na mnie zła. Wyobrażam sobie, jak dąsa się za ścianą, czekając, aż wreszcie wstanę i wytłumaczę, co robiłem w barze przez całą noc.

Nie wiem, czy to z powodu wyrzutów sumienia, czy małej ilości powietrza pod grubą pierzyną, ale nagle robi mi się potwornie duszno.

Odrzucam kołdrę i osłaniając twarz przed wiązką bezlitosnego światła, ociężale dźwigam ciało do pionu. Coś strzyka mi w szyi, gardło boli, jakbym próbował przełknąć nie ślinę, ale papier ścierny, a do tego pod powiekami wyczuwam drażniące ziarenka piasku. Na podłodze w nieładzie leżą moje pomięte ubrania, w powietrzu unosi się kwaśny odór przetrawionego alkoholu.

Niedobrze, myślę, nie chciałem, by Nina dowiedziała się, że wróciłem do picia. Bo tak zapewne uzna. Nie przyjmie do wiadomości, że to było tylko kilka drinków.

Wzdycham jak człowiek potwornie zmęczony życiem i wtedy mój wzrok pada na stojący na nocnej szafce radiobudzik. Zszokowany odkrywam, że jest już południe. Klnę po cichu, starając się wymyślić jakieś wiarygodne usprawiedliwienie, które zaoferuję Ninie, choć dobrze wiem, że zadowoli ją tylko prawda. W pośpiechu narzucam na plecy szlafrok i z miną winowajcy idę do salonu. Jednak gdy otwieram drzwi, nie zastaję tam nikogo. Zarówno pokój, jak i kanapa są puste, a brak kubka po herbacie oraz nietknięty koc na oparciu fotela uświadamiają mi, że Nina musiała wyjść już jakiś czas temu. Karta i książka, które odłożyła wczoraj na stolik, też gdzieś zniknęły, przez co zakładam, że pewnie zabrała je ze sobą do lobby.

Łapię za komórkę, w myślach układając słowa przeprosin, po czym wybieram numer Niny i jednocześnie ignoruję nieodebrane połączenie od wydawcy. Słuchawka przyciska ucho tak mocno, że aż odczuwam ból. W oczekiwaniu na dźwięk głosu żony zaczynam przygryzać paznokiec kciuka, lecz gdy odzywa się poczta głosowa, opuszczam rękę i z konsternacją przesuwam wzrokiem po pustym salonie. W głowie cały czas pobrzmiwa mi dźwięczne powitanie: „Tu Nina Engel, chwilowo nie mogę odebrać telefonu. Nagraj się po sygnale lub zadzwoń ponownie”. Rozłączam się, ale nie zostawiam żadnej wiadomości, ponieważ przypominam sobie, że poprzedniego dnia żona nie mogła znaleźć komórki.

W zamyśleniu stukam smartfonem w otwartą dłoń, a wreszcie dochodzę do wniosku, że Nina na pewno musiała zejść na dół, by coś zjeść.



Gnam pod prysznic, nie zważając na bałagan wokół. Muszę jak najszybciej dołączyć do Niny. W pośpiechu potykam się o buty rzucone w przedpokoju, szczęśliwie jednak w ostatniej chwili udaje mi się uniknąć upadku. Najczęściej kąpię się niemal we wrzątku, ale dziś woda z deszczownicy jest zimna, bo tylko taka temperatura ma szansę postawić mnie na nogi. Zwykle działa też mocna czarna kawa, której z każdą chwilą coraz bardziej potrzebuję. Lodowate strugi chłoszczą skórę, a ta pod wpływem chłodu nabiera różowej barwy. Parskam i szoruję mocno ciało.

Kiedy jestem już gotowy, spryskuję skórę perfumami Hugo Boss, a na biały podkoszulek wkładam sweter w niebieskim kolorze, w którym Nina mnie uwielbia. Przed wyjściem zerkam jeszcze kontrolnie w lustro i stękam z zawodem, bo przez zarwaną noc wyglądam jak dużo starszy facet, niżby wskazywała na to data urodzenia w moim dowodzie, a przy tym taki, który stanowczo przesadził z imprezowaniem.

Oczy poprzecinane siatką czerwonych żyłek, ziemista cera i opuchnięta twarz świadczą przeciwko mnie. Nieważne, jakie alibi wymyślę, nie wymigam się od poważnej rozmowy z żoną. Trzeba było nie ulegać prowokacjom tego szaleńca, wytykam sobie.

Wspomnienie Wiktora Abarta, nieznajomego z baru, budzi we mnie niesmak pomieszany z irytacją. Schylam się energicznie, by zasznurować buty, ale robię to za szybko i nagły ból przeszywa moją czaszkę niczym szpikulec do lodu. W takich momentach boję się nawet drgnąć, dlatego z dłońmi wspartymi na kolanach powoli wypuszczam powietrze z płuc, skupiając wzrok na plamie światła pełzającej po ścianie. Po serii wdechów i wydechów mroczki tańczące przed oczyma znikają.

Za drzwiami zauważam tę samą pokojówkę, którą spotkałem na korytarzu tuż po przyjeździe. Uśmiecha się uprzejmie, jednym z tych chłodnych, profesjonalnych grymasów, pchając przed sobą wielki, skrzypiący wózek wypełniony środkami chemicznymi i papierem toaletowym. Odwzajemniam powitanie i gdy zamierzam odejść, uznaję, że naszemu apartamentowi dobrze zrobiłoby odświeżenie.

– Przepraszam – zwracam się do dziewczyny, która unosi twarz i zerka na mnie nieco przestraszona. W jej rysach oraz płochliwości jest coś, co

każe sądzić, że to jedna z tych kobiet, które żyją tak, by nikomu nie sprawiać kłopotu. – Czy mogłaby pani posprzątać apartament trzysta sześćdziesiąt sześć? Przydałaby się wymiana pościeli i ręczników.

– Dobrze, zajmę się tym za chwilę.

Dziękuję jej, zadowolony, że kiedy wrócimy z Niną na górę, nasza sypialnia znów będzie wyglądać i pachnieć tak, jak w dniu przyjazdu.

Pamiętając o awersji mojej żony do tutejszej windy, decyduję się zejść schodami. Dzięki temu, gdyby akurat wracała do pokoju, będziemy mieli szansę wpaść na siebie po drodze. Szczerze mówiąc, liczę na to, bo chciałbym jak najszybciej z nią porozmawiać i zdjąć z barków to ciężkie poczucie winy. Jednak los nie daje mi takiej szansy – po drodze mijam tylko mężczyznę, który pociąga nosem, jakby walczył z katarem. Ten charakterystyczny odgłos sprawia, że przenika mnie zimny dreszcz. Podobnie siąkał mój ojciec, kiedy wpadał w gniew. Wzdrygam się, czując obejmującą przedramiona gęsią skórę, choć doskonale zdaję sobie sprawę, że dzielą nas setki kilometrów.

Wkrótce docieram podziemnym łącznikiem do budynku głównego. Przy recepcji kręci się kilkoro gości z walizkami, w oczekiwaniu na zameldowanie w pokojach. Bez trudu zgaduję, że dopiero przyjechali, łatwo rozpoznać to po wymienianych głośno, pełnych zachwyty uwagach na temat widoku za oknem. Są nim oczarowani podobnie jak ja, gdy ujrzałem zalew po raz pierwszy, choć muszę przyznać, że dzisiaj nie ma on nawet połowy wczorajszego uroku. Nad zbiornikiem wiszą sinoołowiane obłoki, a wzmagający się wiatr marszczy taflę wody. To, jak pod wpływem podmuchów uginają się korony drzew, sugeruje, że pogoda jest daleka od zachęcającej do spacerów, a oberwanie chmury stanowi kwestię czasu.

W restauracji trwają przygotowania do obiadu. Słychać szcęk metalu i szuranie przestawianych krzeseł. Kelnerzy kładą na stołach świeże białe obrusy, kompletują sztucce i oglądają pod światło każdy kieliszek do wina, by mieć pewność, że goście nie znajdą na nim zacieków. Przy jednym ze stolików siedzi Abart. Zza kolumny, obok której stoję, widzę jego surowy profil, wysoko uniesiony podbródek oraz naznaczone niezadowoleniem czoło. Kiedy młody kelner o wyglądzie licealisty i plecach zgiętych, jakby dźwigał na nich wielki ciężar, układa na

obrusie sztucce, Wiktor krzywi się i zaczyna strofować chłopaka, który zdenerwowany upuszcza na podłogę nóż. Sztuciec z brzękiem uderza o posadzkę, przyciągając uwagę pozostałych kelnerów. Ich twarze obracają się na moment w stronę stolika kolegi, ktoś kręci głową, inny wzdycha, ale po chwili wszyscy wracają do swoich obowiązków.

– Tępak – syczy Abart, na tyle głośno, że nawet ja go słyszę.

Chłopak kuli się w sobie, jakby chciał zniknąć. Czerwienieje na twarzy i trzęsąc się jak w gorączce, ze spojrzeniem wbitym w nakrycie oraz zaciśniętymi ustami, usiłuje prawidłowo ułożyć sztucce, ale wyraźnie sprawia mu to problem. Najpierw umieszcza je obok talerza, pociera niespokojnie czoło, po czym zamienia miejscami łyżkę z widelcem.

– Czy mogę w czymś pomóc? – Niespodziewanie zaczepia mnie kobieta w białej koszuli i czarnej spódnicy.

Zaskoczony odrywam wzrok od sceny, która budzi we mnie współczucie.

– Chyba spóźniłem się na śniadanie – usiłuję zażartować.

– Niestety tak, ale za chwilę otwieramy restaurację à la carte. Serdecznie zapraszam, na pewno znajdzie pan coś dla siebie. Zarezerwować stolik?

– Nie, na razie nie, muszę jeszcze znaleźć żonę – tłumaczę. – Właściwie może mogłaby pani sprawdzić na liście śniadaniowej, czy Nina Engel już jadła? Pokój trzysta sześćdziesiąt sześć.

Kobieta odchodzi na moment, po czym wraca z plikiem białych kartek przypiętych klipssem do plastikowej podkładki. Przerzuca kolejne strony, śledząc nazwiska na liście, aż wreszcie stuka końcówką długopisu w jedno miejsce.

– Nie. Nikt z państwa pokoju nie stawił się dzisiaj na śniadaniu – oznajmia.

Dziwne. Nina należy do osób, które natychmiast po otwarciu oczu myślą o jedzeniu. Głód powoduje, że staje się marudna i nieswoja, a do tego miewa zawroty głowy. Trudno mi uwierzyć, by opuściła śniadanie.

– Jest pani pewna? Może po prostu ktoś jej nie odznaczył.

– Raczej nie ma takiej możliwości. Nasi pracownicy skrupulatnie tego pilnują – wyjaśnia. – Dopytam jeszcze, państwo zajmujecie ten sam

pokój?

Unoszę brwi ze zdziwieniem, patrząc w okrągłą, budzącą sympatię twarz kobiety.

– Oczywiście, że tak, jesteśmy małżeństwem. Skąd w ogóle pomysł, że mogłoby być inaczej?

– To nic wielkiego, ktoś pewnie się pomylił, przygotowując listę gości, bo przy pokoju trzysta sześćdziesiąt sześć mam zaznaczoną tylko jedną osobę. Już poprawiam. – Kreśli długopisem tłustą dwójkę w tabeli, a potem zawołana przez któregoś z pracowników przeprasza i znika na zapleczu restauracji, zostawiając mnie z poczuciem zagubienia.

✱

Zaniepokojony przechodzę do lobby baru z nadzieją, że odnajdę Ninę przy kominku. Ze wszystkich miejsc w hotelu nastrojowy kącik z widokiem na góry, przy ciepłe płomieni i dźwiękach trzaskających w ogniu polan zdaje się wręcz wymarzoną oazą dla książkoholika. Jednak i tym razem spotyka mnie gorzkie rozczarowanie, gdyż skórzaną kanapę zajmuje jakaś starsza kobieta o cienkich siwych włosach spiętych w kok, popijająca espresso z maleńkiej filiżanki.

Skanuję wzrokiem twarze gości relaksujących się na fotelach, ale żadna z nich nie należy do mojej żony. W tej części hotelu panuje na razie senny nastrój, daleki od gwaru minionego wieczoru. Pojedyncze osoby przeglądają gazety, pociągając raz na jakiś czas łyk kawy lub herbaty nalewanej z porcelanowego czajniczka. Za oknami huczy wiatr. Dwóch mężczyzn w koszulach rozpiętych pod szyją rozmawia o interesach nad stosem dokumentów rozłożonych na stole, nieopodal rodzina z dwójką dzieci je lody ze szklanych pucharków, a w tle cicho pobrzmiwa relaksująca muzyka jazzowa.

Omiotam spojrzeniem stolik, przy którym siedziałem wczoraj z Wiktorem Abartem, i natychmiast cierpnie mi skóra. Ten nieznajomy mężczyzna zagnieździł się w moim umyśle niczym pasożyt. Skąd wiedział, że utknąłem z powieścią? Czy desperacja jest wypisana na mojej twarzy? Z każdym dniem czuję coraz większą presję ze strony

dzwoniącego wydawcy. Książka, na którą czeka, jeszcze nie istnieje, a mnie paraliżuje myśl, że już na zawsze pozostanę autorem tylko jednej docenionej przez krytyków powieści. Jakbym wyczerpał swój limit i zawarł w tamtej historii wszystko, co w sobie mieściłem. Kiedy pisanie grzęźnie, a godziny upływają na wgapieniu się w pusty ekran, zawsze myślę o Ninie. Czy zechce zostać z kimś, kto okaże się porażką? Z człowiekiem, który być może nigdy nie był utalentowanym autorem, lecz jedynie szarlatanem, oszukującym wszystkich? Nie jestem pewien, ale wiem, że zrobię wiele, by nie musieć odpowiadać sobie na te pytania.

Kątem oka dostrzegam dwóch barmanów polerujących kieliszki i z ulgą stwierdzam, że żaden z nich nie jest tym, który obsługiwał mnie wczoraj wieczorem. Nadal odczuwam lekkie skrępowanie zachowaniem Abarta i faktem, iż ktoś mógłby go wziąć za mojego przyjaciela. Gdy zmierzam w kierunku mężczyzn za barem, przez moment ulegam złudzeniu, że popatrują na mnie ukradkiem, szepcząc między sobą i wymieniając ironiczne uśmieszki, szybko jednak wycofuję się z paranoicznej wizji, jakobym to ja był tematem ich plotek. Z pewnością rozmawiają o czymś zupełnie innym.

– Dzień dobry – mówię. – Nie mogę znaleźć swojej żony, nie było jej może tutaj? Szczupła, po trzydziestce, średniego wzrostu, z burzą złotych loków do ramion. – Wyszukuję zdjęcie w telefonie i pokazuję je mężczyznom. – To ona.

– Zauważyłeś kogoś takiego? – Wysoki barman z włosami związanymi w kitkę zwraca się do kolegi z wytatuowanym przedramieniem. Tamten nachyla się, ogląda fotografię, po czym wydyma usta i przecząco kręci głową. – Może sprawdzi pan w spa i na basenie? – podpowiada. – Tutaj raczej jej nie było. Zapamiętałibyśmy taką kobietę.

Wiem, że ma na myśli urodę Niny. Delikatną, a zarazem olśniewającą. Z brązowymi piegami rozsianymi na policzkach i ramionach, jak gwiazdy na niebie. Mojej żony nie sposób przegapić. Za każdym razem, gdy tańczy na deskach teatru muzycznego w Warszawie, przyciąga spojrzenia niczym magnes. Niegdyś chadzałem na wszystkie jej przedstawienia, oklaskiwałem ją głośno, z entuzjazmem i podekscytowaniem, które zawstydzają pozostałych widzów.

Pokazywałem ją palcem, z dumą wykrzykując do siedzących obok ludzi – „to moja żona!”. Teraz pojawia się na widowni głównie podczas premier, nie zmienia to jednak faktu, że nadal wiwatuję na cześć Niny tak żywiołowo, jakby każda z wizyt w teatrze była zarazem pierwszą i ostatnią. Uśmiecham się na samo wspomnienie tych chwil, a w moim wnętrzu odzywa się tęsknota tak silna, że aż mnie mdli.

Zaczynam myśleć, że Nina, chcąc wyrzucić z siebie wściekłość na mnie, rzeczywiście mogła udać się na basen albo masaż. Niemal widzę, jak ramionami tnie powierzchnię wody, a z jej ust dobywają się bąble powietrza. W przerwach patrzy na Karkonosze, stopniowo rozpuszczając skumulowany w mięśniach gniew. Ta wizja mnie pokrzepia. Pewien, że lada chwila zobaczę żonę, przyspieszam kroku. Winda szumi, a gdy jej drzwi otwierają się na piętrze z częścią rekreacyjną, dopadam recepcji.

– Dzień dobry – rzucam, lekko zdyszany biegiem.

Czarnowłosa kobieta o wschodnich rysach kiwa głową i od razu kładzie przede mną ręcznik oraz szlafrok.

– Jeśli wybiera się pan na basen, poproszę o włożenie kąpielówek – informuje, zaciągając śpiwnie. – Chyba że zamierza pan korzystać tylko z sauny albo z centrum masażu, wtedy wystarczy owinąć ciało ręcznikiem. W naszym spa nosimy klapki, ale widzę, że nie jest pan przygotowany, więc dam takie jednorazowe kapcie. – Zaczyna przeszukiwać szafkę z przyborami. – Przynajmniej nie wywinie pan orła na śliskiej podłodze.

Wręcza mi szeleszczący pakunek, a następnie sięga po długopis, by dopisać moje nazwisko do listy gości korzystających ze strefy wellness.

– Właściwie to chciałem się tylko rozejrzeć – wtrącam nieśmiało. – Szukam żony, wysokiej blondynki z kręconymi włosami. Nigdzie nie mogę jej znaleźć.

Kobieta zastyga z pisakiem w dłoni. Przez jej twarz przemyka grymas rozczarowania, który po chwili zastępuje wyraz satysfakcji.

– A, no jasne. Trzeba było tak od razu mówić. Żona jest w jacuzzi, siedzi tam już prawie godzinę – mówi, patrząc na podgląd z kamer. – Niech pan wejdzie i ją stamtąd wyciągnie, bo inaczej się nam kobieta rozpuści – dodaje żartobliwie, chwytając się pod boki.

– Jasne, już biegnę.

Łapię za klamkę, gdy recepcjonistka zastępuje mi drogę.

– Ale te buty to i tak trzeba zdjąć w szatni – napomina. – Inaczej ratownik pana zatrzyma i będą kłopoty.

W przebieralni posłusznie rozsznurowuję skórzane półbuty, ściągam skarpetki i wsuwam na nogi białe kapcie. Nie patrzę już nawet, gdzie zostawiam swoje rzeczy, tylko szybkim krokiem zmierzam w stronę Niny. Siedzi tyłem do mnie, wpatrzona w pejzaż za oknem. Włosy ma ściągnięte gumką na czubku głowy, a jej ramiona wystają ponad powierzchnię wody.

– Nina! – wołam, nie zważając na pozostałych gości, ale mój głos niknie w szumie i bulgocie.

Dno prostokątnego basenu ma niebieski odcień, przez co na suficie tańczą błękitne refleksy. Dolatuje mnie radosny dziecięcy chichot i plusk, gdy kilkuletni chłopiec z żółtym kołem ratunkowym na biodrach wskakuje do wody, która rozbryzguje się na wszystkie strony. Chlupot sprawia, iż na moment przystaję, czując, że zaczyna brakować mi powietrza. Moje plecy oblewa zimny pot, jakbym znów był małym dzieckiem, które obawia się, że zostanie ukarane za rozlewanie wody w łazience. We wspomnieniach wraca obraz wychudzonego chłopca o sinej skórze, trzęsącego się z zimna w pustej żeliwnej wannie. Szybko jednak odzyskuję kontrolę. Uświadamiam sobie, że to tylko przebłysk z przeszłości, i podnosząc w górę kciuk, uśmiecham się do malca, który właśnie bierze rozbieg, by powtórzyć swój widowiskowy skok.

Po chwili docieram do Niny. Przykucam za nią i kładę dłoń na jej mokrej łopacie.

– Wszędzie cię szukam – mówię, ale wtedy ona odwraca się gwałtownie i zamiast twarzy mojej żony dostrzegam naznaczone zmarszczkami oblicze starszej od Niny kobiety, która gromi mnie wzrokiem.

– Co pan wyprawia? – pyta z wyrzutem, odsuwając się z odrazą.

– Przepraszam – bąkam, czując wpełzające na policzki rumieńce. – Pomyliłem panią z kimś innym.

Uciekam stamtąd jak najprędzej, po drodze zahaczając jeszcze o sauny, siłownię i spa, jednak nigdzie nie znajduję Niny. Żaden

z pracowników jej nie widział, a wszystkie rejestry gości, którzy korzystali tego dnia z centrum wellness, zaprzeczają temu, by moja żona tu była. I choć na dobrą sprawę nie ma w tym nic nadzwyczajnego, to po raz pierwszy czuję irracjonalne ukłucie niepokoju.



Z nadmiaru wrażeń kręci mi się w głowie. Gdzie ona może być? Jej zniknięcie jednocześnie mnie martwi i irytuje. Nie powinna wychodzić na tak długo bez uprzedzenia, szczególnie wiedząc, że nie mam jak się z nią skontaktować. A może zostawiła dla mnie wiadomość w pokoju, tylko przeoczyłem ją w pośpiechu? Pocieszam się, że gdy wędrowałem po hotelu, Nina z pewnością zdążyła już wrócić i teraz zniecierpliwiona czeka na mnie w apartamencie.

Oddycham głęboko i próbuję uspokoić galopujące myśli. Za oknem wiatr targa korony drzew oraz trzciny i tatarak rosnące nad zalewem, które bujają się w nieokiełznanym tańcu.

Spacer, uprzytamniam sobie nagle. Zmęczona czekaniem na mnie Nina mogła wybrać się na przechadzkę. Wprawdzie pogoda nie zachęca do wędrowek, ale znając determinację mojej żony, dopuszczam taką ewentualność i postanawiam poszukać jej również na zewnątrz.

Wcześniej jednak kieruję się do naszego apartamentu po płaszczy, a także by upewnić się, czy Nina nie wróciła. Drzwi do pokoju są otwarte, w progu dostrzegam wózek sprzątaczek, a moich uszu dobiega szum odkurzacza. Nie chcąc niepokoić tej lękliwej dziewczyny, która zapewne podskoczyłaby z krzykiem, gdybym teraz stanął obok niej, wsuwam do środka jedynie głowę.

– Czy widziała pani może moją żonę? – wołam, zwracając na siebie uwagę pracownicy hotelu, która zgodnie z przypuszczeniem wzdryga się z przestraszeniem.

Dziewczyna wyłącza odkurzaczy, przeciera zaróżowioną twarz i patrzy na mnie pytająco.



– Pan coś mówił? – upewnia się, ostrożnie stąpając po niedawno umytej, jeszcze mokrej podłodze przy drzwiach.

– Tak, chciałem wiedzieć, czy kiedy byłem na dole, moja żona wracała do apartamentu.

Pokojówka kręci głową.

– Nikogo nie było.

– A nie natknęła się pani na jakąś wiadomość dla mnie? Żona wyszła rano bez uprzedzenia i pomyślałem, że może zostawiła kartkę z informacją, dokąd się wybiera.

– Pan poczeka, sprawdzę – mówi i na chwilę znika z pola widzenia.

Słyszę, jak się krząta, gdzieś skrzypią drzwi, coś upada na podłogę. Mój wzrok od niechcienia zaczyna błądzić po małych buteleczkach z szamponami do włosów i żelami pod prysznic, ustawionymi w równych rzędkach na górnej półce wózka serwisowego, na którym z jednej strony wisi płócienny worek na pranie, z drugiej zaś foliowy na śmieci. W tym ostatnim miga mi czerwona kokarda, która zdobiła prezent Niny. Gdy o nim myślę, pokojówka o zmęczonej twarzy wraca.

– Nie znalazłam żadnej wiadomości – informuje.

– A mogłaby pani tylko sprawdzić, czy za drzwiami wisi damska czarna kurtka puchowa?

Dziewczyna posłusznie odsuwa wózek, a następnie odchyła skrzydło drzwi, by poinformować mnie, że poza męskim wełnianym płaszczem na wieszaku nie znalazła nic innego. Dziękuję jej i proszę o okrycie, a kiedy mi je podaje, zbiegam na dół pewien, że znajdę żonę na jednej ze ścieżek spacerowych wokół hotelu.

Na zewnątrz wicher szarpie poły płaszcza. Z chmur spadają drobne, pojedyncze krople deszczu, jakby niebo jeszcze karmiło gości Wichrowych Wzgórz złudzeniami co do swoich planów. Gdy idę dróżką wzdłuż zalewu, zaczynam żałować, że nie zabrałem ze sobą czapki. Zimne podmuchy uderzają w skronie i owiewają zapewne czerwone już od chłodu uszy. Prę przed siebie pod wiatr z dłońmi głęboko wbitymi w kieszenie i zmrużonymi powiekami, nie spotykając po drodze ani jednej osoby. Chłód wpęła mi za dekolt niczym śliski wąż. Mam wrażenie, jakby odsłonięta skóra na karku pokrywała się cienką

warstwą szronu, który, gdy moje ciało się porusza, pęka z trzaskiem, przyprawiając o dreszcze.

Z podrażnionych oczu płyną łzy, nogi chwieją się przy każdym kroku i choć jestem pewien, że Nina, która uwielbia ciepło i przytulność, nigdy nie wyszłaby sama w taką pogodę, to konsekwentnie obchodzę cały hotel. Mijając parking, dostrzegam nasz samochód, nad którym unosi się smagana porywami wiatru foliowa torebka, niczym w filmie *American beauty*. Wpatruję się w nią przez chwilę, myśląc, że człowiek bywa targany przez los jak ona przez te podmuchy.

Wreszcie, wyczerpany i zmarznięty, docieram do punktu, z którego wystartowałem. Chuchając w dłonie, rozglądam się jeszcze raz kontrolnie. Szukam postaci w czarnej kurtce, a gdy nikogo nie zauważam, zakładam, że musieliśmy się minąć, i wracam.

Po drodze zaglądam do recepcji, gdzie również pytam o Ninę, jednak kobieta, której pokazuję jej zdjęcie, mówi, że nikt taki nie rzucił się jej w oczy.

– Ale wie pan, od rana mamy tu straszny młyn i mogłam zwyczajnie nie zauważyć – dodaje tonem usprawiedliwienia, wyciągając plik kartek z drukarki. – Zresztą sam pan widzi, co się dzieje. – Wskazuje głową na długą kolejkę nowo przybyłych gości.

Recepcjonistka zaprasza kolejną osobę do lady i traci mną zainteresowanie, ale nie pozwalam się jej tak łatwo zbyć. Wciskam się przed parę młodych ludzi, posyłając im przeproszające spojrzenie.

– A mogłaby pani sprawdzić tylko, czy żona nie zostawiła dla mnie wiadomości? To ważne. Nazywam się Tomasz Engel, apartament trzysta sześćdziesiąt sześć.

Kobieta wzdycha. Maską profesjonalizmu na ułamek sekundy opada, odsłaniając jej niechęć do natrętnych gości, ale szybko wraca na swoje miejsce i znów mam do czynienia z oddaną klientowi pracownicą hotelu, która wertuje karteczki poprzyklejane do kontuaru. Wspinam się na palce, zaglądam jej przez ramię, jakby to miało pomóc.

– Niestety nie, nikt nie zostawił dla pana wiadomości – stwierdza.

Opadam na stopy z rezygnacją, czując gniotące w żołądku niezadowolenie, ciężkie jak garść kamieni. Mój wzrok potyka się o wyeksponowane na stojaku ulotki wycieczek w góry

z licencjonowanymi przewodnikami, organizowanych przez hotel. Chwytam ulotkę i bezceremonialnie przerywam recepcjonistce, która prowadzi już rozmowę z innymi gośćmi.

– Jeszcze jedno. Czy ma pani listę osób, które wybrały się dzisiaj na zwiedzanie Karkonoszy z przewodnikiem? Chciałbym sprawdzić, czy jest wśród nich moja żona.

Kobieta zaprzecza.

– Żadna grupa nie wyszła dzisiaj w góry. GOPR-owcy od rana ostrzegają przed silnym wiatrem i odradzają wycieczki. Musieliśmy anulować wszystkie wyprawy, ale gdyby był pan zainteresowany, zapraszam jutro, pogoda ma być o wiele lepsza.

Bąkam niewyraźne „dziękuję”, a później szybkim krokiem przemierzam łącznik i docieram do budynku B. Zakładam, że tym razem na pewno znajdę Ninę w apartamencie. W końcu jak długo można włożyć się po hotelu? Trzymam się tej myśli jak tonący kawałek dryfującego drewna, lecz tuż po przekroczeniu progu pokoju z zawodem odkrywam, że nadal stoi on pusty.

– Nina!?! – wołam.

Cisza, która mi odpowiada, jest niemal dławiąca. Gdzie ty się podziewasz, do licha? We frustracji trzaskam drzwiami tak mocno, że aż sam podryguję ze strachu. Przyjemny zapach kwiatowego płynu do podłóg unosi się w powietrzu, a świeża pościel na łóżku wygląda na idealnie odprasowaną. Żadnych zagnieceń, tylko czysta, intensywna biel. Na dywanie wystającym spod kanapy rysują się wyraźne ślady po odkurzaczu, zestaw hotelowy został uzupełniony o nowe saszetki z herbatą, moje ubrania leżą zaś na fotelu poskładane w idealną kostkę.

Przytłoczony pustką odwieszam płaszcz na haczyk przy drzwiach i odnotowuję, że obok nadal nie ma puchowej kurtki Niny. Zaczynam myśleć, że mogła spotkać jakiegoś znajomego, zagadała się z kimś albo zaszyła w jednym z hotelowych zakamarków.

Decyduję się zaczekać w apartamencie – w końcu kiedyś musi wrócić, a jeśli zostanę w jednym miejscu, unikniemy niekończących się wzajemnych poszukiwań. Dla zabicia czasu sięgam po komputer. Najpierw usiłuję pisać, a gdy nic z tego nie wychodzi, zaczynam

przeglądać wiadomości w skrzynce mailowej. Jedną z nich otwieram ze szczególną niechęcią, wiedząc, że wydawca z pewnością pyta o to, kiedy nadeślę tekst nowej powieści. Nie myślę się. Wprawdzie robi to dyplomatycznie, ale mimo wszystko zalewa mnie fala mdłości, po czym kulę się w fotelu, jakbym chciał zniknąć. Świadomość, że niebawem będę musiał przyznać się przed nim, a co gorsza, przed samym sobą, iż nie jestem w stanie napisać drugiej tak dobrej książki jak debiutanckie *Rysy*, przyprawia mnie o duszności.

Kilkanaście lat temu, gdy zmarła moja pierwsza żona, uporałem się z żałobą, przelewając myśli i emocje na papier. Z tych zapisków powstała powieść, która niespodziewanie podbiła serca czytelników, odniosła niebywały sukces, a wkrótce została również zekranizowana i przetłumaczona na inne języki. Każdy autor na moim miejscu szalałby z radości, ale ja nie czułem niczego. Pograżony w smutku, miałem wrażenie, że to wszystko dzieje się za grubą, pancerną szybą i przydarza się komuś innemu, nie mnie.

Jakiś czas później wydałem kolejną książkę, ale tym razem nie zachwyciłem czytelników. Krytycy twierdzili, że zgubiłem swoją wrażliwość i popadłem w banał. Odłożyłem pisanie na długie lata. Skupiony na pracy akademickiej, publikowałem jedynie omówienia najważniejszych dzieł sztuki filmowej. Książki równie dobrze wyglądające na półkach, co nudne. Dopiero gdy trzy lata temu poznałem Ninę, wena wróciła. Zaczęła nieśmiało do mnie zaglądać, sprawiając, że puste notatniki, dotychczas leżące w szufladach, powoli wypełniały się zdaniami. Wkrótce odezwał się również duży wydawca, który oczarowany moim debiutem, zaoferował niezwykle korzystną umowę i wsparcie przy powrocie na rynek. Nie wahałem się ani chwili, los dał mi szansę, a ja postanowiłem ją wykorzystać. Jednak teraz przepełniała mnie pewność, że tę okazję zmarnowałem.

Niespodziewanie zza drzwi dobiega mnie znajomy kobiecy śmiech. Zrywam się z fotela, niemal zrzucając laptopa na podłogę, lecz kiedy wyskakuję na korytarz, natrafiam jedynie na dwie młode kobiety trzymające się pod ramię. Chichot przyjaciółek milknie na mój widok. Zmieszany, kłaniam się im niezgrabnie, po czym uciekam do apartamentu.

Radiobudzik na szafce nocnej wskazuje już piętnastą, co uświadamia mi, że odkąd wróciłem do pokoju, minęła prawie godzina. Mój żołądek ściska niepokój. Przejęty wybieram numer teściowej, nerwowo kreśląc ósemki w hotelowym notesie. Długo wzbraniałem się przed tym telefonem, ponieważ nie mamy z Heleną najlepszych relacji. Matka Niny od początku uważała, że jestem za stary dla jej córki, a piętnaście lat różnicy między nami postrzegała jak przepaść, która z czasem będzie się tylko pogłębiała. W jej oczach byłem podstarzałym wdowcem z kryzysem wieku średniego, żerującym na uczuciu młodej kobiety, która szukała w mężczyźnie substytutu ojca. Teściowa nie dała mi nawet szansy, bym zmienił jej postrzeganie. Uważa, iż zna się na ludziach, a wokół mnie wyczuwa złą energię. Obawiałem się, że jeśli powiem jej o zniknięciu Niny, ona zacznie mi wyrzucać, że niewystarczająco dobrze opiekowałem się żoną.

I tym razem miałaby rację, stwierdzam, przełykając gorycz.

Stękam z niechęcią, myśląc o czekającej mnie rozmowie, gdy nagle w słuchawce rozbrzmiewa piskliwy głos Heleny:

– Tomasz? Masz tam może gdzieś obok Ninę? Od wczoraj nie mogę się do niej dodzwonić.

– To dlatego, że zostawiła komórkę u ciebie – tłumaczę cały spięty, a długopis, którym kreślę ósemki, przebija kartkę notesu.

– U mnie? Nic mi o tym nie wiadomo.

– Sprawdź w jej sypialni. Mówiła, że mogła zapomnieć odpiąć ją od ładowarki. Choć według mnie telefon spadł za łóżko albo leży gdzieś zagrzebany w pościeli, bo kiedy dzwoniłem na jej numer, od razu włączała się poczta głosowa.

Matka Niny chrząka.

– Nie sądzę. Po jej wyjeździe sprzątałam w pokoju i żadnej komórki tam nie znalazłam. Na pewno wszystko jest w porządku? Możesz ją poprosić do telefonu? – W głosie teściowej pobrzmiwa zaniepokojenie.

Głośno przełykam ślinę, a mój umysł analizuje konsekwencje różnych odpowiedzi.

– Tak, w jak najlepszym. – Siłę się na radosny ton. – Nina przed chwilą poszła do spa na masaż. Jak tylko wróci, poproszę, by się do ciebie odezwała – obiecuję, czując wzbierającą wilgoć pod pachami.

– No dobrze – wzdycha. – A w jakiej sprawie dzwoniłeś?

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że dojechaliśmy bez problemów i świetnie się tu bawimy. Hotel jest naprawdę piękny, a widoki zapierają dech w piersi.

Helena milczy, najwyraźniej zaskoczona moim wyjaśnieniem. Przez dłuższy czas w słuchawce pobrzmiwa tylko jej świszczący oddech. Pewien, że zaraz nakryje mnie na kłamstwie, zaczynam gryźć skuwkę długopisu, a wtedy ona się odzywa:

– Pamiętaj, by przekazać Ninie, że czekam na jej telefon – przypomina sucho, po czym rozłącza się bez słowa, jak to ma w zwyczaju.

Czuję się jak ostatni tchórz, jednak z drugiej strony co właściwie miałbym jej powiedzieć? „Od kilku godzin nie mogę znaleźć Niny, ale bądź spokojna, bo na pewno zaraz się znajdzie”? Nie ma sensu straszyć schorowanej kobiety tylko dlatego, że jej córka poszła na zbyt długi spacer, mając w nosie wszystkich, którzy będą się o nią martwić.

Opadam plecami na łóżko, w zamyśleniu rozdrapując ranę na czole, z której natychmiast zaczyna kapać krew. Bordowa ciecz plami moje palce oraz kołdrę, przez co zrywam się na nogi i biegnę do łazienki po kawałek papieru toaletowego. Muszę zatamować krwawienie. Zwilżam go pod wodą, a następnie przykładam do czoła. Gdzieś z podświadomości wyłania się wspomnienie tego potwornego snu, w którym popycham Ninę na ścianę. Słuchając szumu wody leżącej z kranu, myślę o dziecku w brzuchu mojej żony i nagle z całą pewnością stwierdzam, że nie mogę czekać już ani chwili dłużej. Lęk, który dotychczas tłumiłem, spychając go w głąb umysłu, wbija we mnie pazury, krzycząc do ucha, że coś jest zdecydowanie nie w porządku.

\*

Kolejka przy hotelowej recepcji stopniała. Dyżur pełni teraz postawna kobieta o figurze sportsmenki, z tlenionymi włosami obciętymi na chłopaka. Inna niż ta, z którą rozmawiałem godzinę wcześniej. Gdy docieram do lobby, muszę wyglądać alarmująco, gdyż recepcjonistka na

mój widok niemal od razu urywa rozmowę telefoniczną i odkłada słuchawkę na widełki, a jej twarz blednie.

– Czy coś się stało? Ma pan krew na czole – zauważa z troską.

– To nic poważnego, tylko rozdrapałem starą ranę. – Macham lekceważąco ręką. – Problem w tym, że nie mogę znaleźć żony. Wyszła rano z apartamentu i nie mam pojęcia, dokąd mogła się udać. Pytałem w restauracji, barze i spa, ale nikt jej nie widział. Może pani będzie mi w stanie pomóc? – Sięgam po telefon, by pokazać zdjęcie Niny.

Kobieta wpatruje się w nie, mrużąc oczy, po czym potrząsa przecząco głową.

– Przykro mi, ale jej nie widziałam.

– Proszę posłuchać. – Biorę głęboki wdech, by opanować narastające rozdrażnienie. – Moja żona jest w ciąży, martwię się o nią, bo nie wiem, czy może gdzieś nie zasłała albo nie poczuła się gorzej. Takie zachowanie jest zupełnie do niej niepodobne, Nina nigdy nie zniknęła bez słowa, a do tego nie na tak długo.

– Usiłował pan zadzwonić do żony?

– Tak, ale włącza się poczta głosowa, poza tym z tego, co mówiła, wynika, że nie zabrała ze sobą telefonu. – Rejestruję, że dłonie mi drżą, dlatego chowam je do kieszeni. – Niny nie ma już od co najmniej trzech godzin. Z apartamentu zniknęły też jej kurtka i buty, co mogłoby sugerować, że poszła na spacer, ale kiedy zrobiłem rundę wokół hotelu, nie spotkałem tam żywej duszy.

– Nic dziwnego, pogoda dzisiaj zdecydowanie nie nastraja do wychodzenia na zewnątrz. – Wzdryga się, jakby sama myśl o lodowatych podmuchach wywoływała u niej dreszcze. – Ale może pańska żona wybrała się gdzieś dalej samochodem? Pojechała zobaczyć coś w okolicy? Wielu z naszych gości odwiedza Jelenią Górę.

– Z pewnością nie. Nasz samochód stoi na parkingu, a żona i tak nie ma prawa jazdy. Poza tym znam ją, to straszny zmarzluch, w taką pogodę najchętniej siedzi na kanapie owinięta kocem i czyta książki. Wiem, że nie wyruszyłaby nigdzie sama.

Recepcjonistka przygryza kącik ust i pomrukuje z zastanowieniem.

– Czy może mi pan podać numer swojego pokoju?

– Oczywiście, trzysta sześćdziesiąt sześć. Mieszkamy w budynku B.

Kobieta klika w komputerze, zerkając na mnie z rezerwą. Nerwowo odwracam się w stronę głównych drzwi, ilekroć ktoś wchodzi do lobby. Jednak żadna z tych osób, ku mojemu rozczarowaniu, nie jest Niną.

– Proszę przypomnieć swoje nazwisko.

– Engel. Tomasz Engel.

Znów to nieznośne „klik, klik”, które zdaje się trwać wieczność. Zniecierpliwiony przestępuję z nogi na nogę i wzdycham.

– Przepraszam, a w którym pokoju zatrzymała się pańska żona?

– Jak to w którym? W tym samym, co ja. – W moim głosie można wyczuć irytację.

– Z informacji, które mam w systemie, wynika, że w apartamencie trzysta sześćdziesiąt sześć została zameldowana tylko jedna osoba. Pan.

– To niemożliwe, musiała zajść jakaś pomyłka.

– Nie sędzę – stwierdza. – Mam tu też adnotację, że dwa dni przed przyjazdem zadzwonił pan poinformować o zmianie rezerwacji z dwóch osób na jedną i prosił o kontakt, jeśli zwolnią się mniejsze pokoje niż apartament master suite – wyjaśnia. – Co więcej, doskonale pamiętam tę rozmowę, bo tak się składa, że to akurat ja odebrałam wtedy pana telefon i tłumaczyłam, że na ten weekend mamy pełne obłożenie.

Przeklinam w myślach, czując, jak powoli rośnie mi ciśnienie. Rzeczywiście niewiele brakowało, bym czas w Karkonoszach spędził jedynie z komputerem. Po tym, jak dokonaliśmy rezerwacji, okazało się, że teściowej wyznaczono na ten weekend długo odkładany zabieg korekcji kręgosłupa. Początkowo chcieliśmy przesunąć pobyt w Wichrowych Wzgórzach na inny termin, ale żaden z dostępnych nie odpowiadał nam obojgu. Ostatecznie Nina zdecydowała się zostać i wspierać mamę w dochodzeniu do siebie po operacji, a ja miałem wyjechać sam, by pisać w otoczeniu gór. Szczęśliwie jednak, ze względu na pilny przypadek w szpitalu, zabieg Heleny znów przesunięto, a my mogliśmy wyjechać razem.

– To prawda, dzwoniłem do państwa, ale później sytuacja się zmieniła i żona przyjechała ze mną – cedzę każde słowo, by zachować spokój. – Proszę zapytać pana Mariusza. Tak miał na imię recepcjonista, który nas wczoraj meldował. Wysoki, dobrze zbudowany, blondwłosy – nadmieniam, gestykulując rękoma, które wyrwały się z kieszeni. –



Rozmawiałem z nim o Ninie i poinformowałem go, że dołączy do mnie w hotelu.

Dostrzegam nerwowy skurcz, który na ułamek sekundy zmienia rysy kobiety. Recepcjonistka wyrównuje plik kartek leżący na ladzie, po czym spokojnym głosem tłumaczy:

– Zapewne ma pan na myśli Mariusza Duńca, rzeczywiście był wczoraj na wieczornej zmianie, ale dzisiaj ma wolne.

Wokół recepcji zaczynają gromadzić się nowi goście, przez co czuję na sobie ciężkie od pretensji spojrzenie kobiety, jednak nie zamierzam mu ulec. Kładę łokcie na kontuarze, chcąc zająć jak najwięcej przestrzeni i nie dopuścić nikogo do lady. Muszę się dowiedzieć, gdzie jest Nina, tylko to się teraz liczy.

– Kiedy w takim razie pan Duniec wraca do pracy? – pytam.

Recepcjonistka usztywnia mięśnie, skóra na jej policzkach napina się i mógłbym pójść o zakład, że słyszę, jak zgrzyta zębami. Bez komentarza wyjmuje gruby segregator z etykietą „grafiki”. Kiedy go wertuje, czuję bijący od niej chłód.

– Pan Mariusz pojawi się w pracy w niedzielę, wtedy będzie pan mógł zapytać go o wszystko, o co ma pan ochotę – oświadcza i siląc się na łagodny ton, dodaje: – Proponuję, by na razie wrócił pan do apartamentu i spokojnie zaczekał tam na żonę.

Za moimi plecami ustawiła się już spora kolejka gości. Dobiega mnie czyjeś chrząknięcie i rzucone znudzonym głosem „jak długo to jeszcze potrwa?”. Kiedy nieśmiało odwracam głowę, wśród zebranych zauważam Wiktora Abarta, na którego widok przechodzą mnie ciarki. Stoi nieopodal, oparty ramieniem o ścianę, ubrany w bordową koszulę, z kciukami nonszalancko zaczepionymi o kieszenie spodni. Gdy nasze spojrzenia się spotykają, kręci głową, jakby chciał mi powiedzieć „nie rezygnuj”. Nabieram w płuca powietrza, zaciskając dłonie w pięści.

– Szczerze mówiąc, od południa nie zajmuję się niczym innym jak tylko czekaniem, i mam już tego serdecznie dość. – Zdenerwowany, niechcący podnoszę głos.

– To nie uprawnia pana do tego, by na mnie krzyżeć. – Recepcjonistka piorunuje mnie wzrokiem, a ja unoszę ręce

w przeproszającym geście. – Na razie i tak nie możemy nic zrobić, trzeba czekać.

– Ale na co? Pani żartuje? Jak to nie możemy nic zrobić? W hotelu ginie kobieta, a pani każe mi siedzieć z założonymi rękami? – W emocjach znów zaczynam mówić głośniej.

– Niech się pan uspokoi – żąda, co sprawia, że jeszcze bardziej się wściekam. – Po pierwsze nikt nie zaginął, a po drugie nie mamy pewności, czy rzeczywiście przyjechał pan z żoną. Rejestr wyraźnie wskazuje...

Prycham, nie słuchając tego, co ta kobieta ma do powiedzenia.

– To jakiś absurd, proszę zadzwonić do pana Duńca – domagam się. – Z pewnością potwierdzi, że meldując się, wspominałem o przyjeździe żony.

– Pan Duniec kilka godzin temu zszedł z wieczornej zmiany i z dużym prawdopodobieństwem teraz odpoczywa, jeśli tak bardzo zależy panu na tym, by się z nim skontaktować, proszę przyjść później. Wtedy wszystko wyjaśnimy.

Kręcę głową z niedowierzaniem.

– Chyba nie dasz się jej tak spławić? – dobiega mnie niespodziewany szept Abarta, który teraz stoi tuż za mną.

Dźwięk jego głosu sprawia, że czuję mrowienie na karku. Na moment przymykam powieki i powoli wypuszczam powietrze z płuc.

– A czy mogłaby pani chociaż przekazać ochronie zdjęcie mojej żony? – próbuję raz jeszcze, tym razem bardziej polubownie, stukając palcem w ekran komórki, na którym widnieje uśmiechnięta twarz Niny. – Wiem, że macie tu wszędzie kamery. Może ktoś ją zauważył. Widział, jak wychodzi... – Urywam, ponieważ zaczyna mi się łamać głos.

– Dobrze – odpowiada kobieta z niechęcią, nerwowo popatrując na rosnący ogonek gości w lobby. – Proszę wysłać mi tę fotografię na adres [repcja@wichrowewzgorza.pl](mailto:repcja@wichrowewzgorza.pl), zobaczę, co da się zrobić.

– Dziękuję.

Drżącymi palcami wystukuję w telefonie wspomniany adres i załączam do wiadomości zdjęcie Niny, gdy tymczasem zza pleców dolatuje mnie cichy komentarz:

– Ja tam bym jej dopilnował.

Rozpoznaję głos autora tych słów, ale zażenowany jego zachowaniem udaję, że ich nie słyszałem. Posyłam kobiecie za kontuarem przepraszający uśmiech, a później z zawstydzeniem pocieram czoło, ignorując obecność Wiktora. Mam ochotę mu powiedzieć, by przestał się wtrącać w nie swoje sprawy i zostawił mnie w spokoju, ale teraz dużo ważniejsze jest odnalezienie Niny.

– Jeśli czegokolwiek się pani dowie, proszę do mnie zadzwonić. Mój numer to...

– Mam pana telefon w systemie rezerwacyjnym – wchodzi mi w słowo recepcjonistka.

Odpowiadam jej skinieniem, po czym odchodzę w stronę restauracji, starając się umknąć przed Abartem odprowadzającym mnie przenikliwym wzrokiem. Z kuchni docierają przyprawiające o burczenie brzucha aromaty. Początkowo planuję coś zjeść, ale widok szczebioczących gości sprawia, że tracę apetyt. Nie mógłbym tak po prostu siedzieć przy stole, nie mając pojęcia, co stało się z moją żoną.

Przeczesuję palcami ciemne włosy, czując, jak kręci mi się w głowie. Muszę się skupić na działaniu, bo inaczej oszaleję, a każda minuta oczekiwania na wiadomość od recepcjonistki będzie zdawała się trwać godzinę. Raz jeszcze zerkam na kobietę za kontuarem, zajętą rozmowami z gośćmi, i dogania mnie gryząca jak wełniany sweter myśl, że obiecała mi pomóc tylko po to, by się mnie pozbyć. Zawiedziony opuszczam ramiona.

Postanawiam wziąć sprawy we własne ręce. Dyskretnie oglądając się za siebie, sprawdzam, czy nie jestem obserwowany, a później wspinam się schodami na piętro z zamiarem przeszukania każdego najmniejszego zakamarka tego miejsca.



W korytarzu na pierwszym piętrze miga uszkodzona żarówka, przez co mimowolnie napinam mięśnie. Moją wyobraźnię szturmują kadry z ekranizacji Kingowskiego *Lśnienia* w reżyserii Stanleya Kubricka. Odganiem te upiorne obrazy, czując strużkę potu spływającą w dół pleców. Stopy zapadają się w miękki dywan, pod którym skrzypi drewniana podłoga. Nie mogę pozbyć się wrażenia, jakby ściany hotelu oddychały. Niemal słyszę cichy szmer wydechów, a mój kark owiewa chłodne powietrze, przyprawiające o dreszcz.

Rozglądam się z niepokojem, czując na sobie czyjś lepki wzrok, choć przecież jestem tu zupełnie sam. Zza drzwi mijanych apartamentów dochodzą strzępki rozmów, piski dzieci i głośnie dźwięki telewizora. Przemierzam długi korytarz z nadzieją, że znajdę Ninę drzemiącą na jednej z kanap w kąciach rekreacyjnych, urządzonych we wnękach oddzielających od siebie apartamenty. Wsłuchując się w gwizdzący za oknami wiatr, sprawdzam dwie ogólnodostępne łazienki na piętrze, na wypadek gdyby moja żona zasłała w którejś z nich, ale w żadnym z tych miejsc jej nie znajduję. Panująca wokół pustka mnie zastanawia. Czy recepcjonistka nie wspominała o pełnym obłożeniu? A jeśli tak, to czy korytarze nie powinny tętnić życiem, zamiast przytłaczać ponurym nastrojem?

Kiedy skręcam w prawo, dolatuje mnie delikatny dziecięcy głos, śpiewający smutną piosenkę. Przystaję w ukryciu, by posłuchać, a od przejmującej melodii włoski na karku stają mi dęba. „Już ci nigdy nie uwierzę, iskiereczko mała. Chwilę błyszczysz, potem gaśniesz. Ot i bajka cała”. Na dźwięk tych słów coś chwyta mnie za gardło i nie potrafię opanować wzruszenia. Ostatnie wersy nucę już razem z dzieckiem. „Była sobie raz królewna, pokochała grajka. Król wyprawił im wesele i skończona bajka”. Zastygam z nieobecnym wzrokiem, a wspomnienia przenoszą mnie do wieczorów, gdy matka śpiewała mi tę kołysankę na dobranoc. Za każdym razem, gdy nachylała się nad moim uchem, muskając je ciepłym oddechem i długimi, gęstymi włosami,

a z jej ust płynęły kolejne zwrotki *Z popielnika na Wojtusia*, płakała. Nigdy nie spytałem, dlaczego ta piosenka tak ją przygnębiała. Choć może wcale nie musiałem. Nasze życie z ojcem, odkąd pamiętam, przypominało właśnie taką skończoną bajkę.

Nabieram tchu, gdy z wnęki nieśmiało wychyla się dziewczynka ubrana w kraciastą sukienkę, z włosami zaplecionymi w dwa grube warkocze przetykane błękitną wstążką. Na mój widok chichocze i ukrywa się z powrotem, jakby zapraszała mnie do zabawy, na którą nie mam ochoty.

– Dlaczego jesteś taki smutny? – pyta, wyłaniając się ponownie.

W dłoniach ściska plastikową lalkę, na jej policzkach czerwoną szminką ktoś narysował rumieńce. Przez chwilę zastanawiam się, co odpowiedzieć dziewczynce. Odchrząkuję i niespokojnie pocieram nos, czując na sobie wyczekujące spojrzenie kilkulatki.

– Nie mogę znaleźć swojej żony.

– Może bawi się z tobą w chowanego?

Uśmiecham się kwaśno, a ona nawija na palec złote włosy lalki i wydyma drobne usta w malinowym kolorze.

– Może – odpowiadam, siląc się na radosny ton.

Z apartamentu obok wnęki wychodzi krótkowłosa drobna kobieta w zielonym golfie, która wygląda, jakby żywiła się tylko powietrzem. Omiata mnie wzrokiem, usztywniając mięśnie, a później zwraca się do dziewczynki:

– Aniela, gdzie ty się podziewasz? Wracaj szybko do pokoju!

Mała na moment nieruchomieje, ale po chwili zaczyna posłusznie zbierać rozsypane na podłodze lalki i biegnie do matki, machając mi na pożegnanie. Kobieta stara się nie patrzeć w moją stronę, chwyta dziecko za ramię i pospiesznie wciąga je do pokoju. Drzwi zatraskują się za nimi z hukiem, po czym z wnętrza dobiegają odgłosy reprimendy udzielanej kilkulatce:

– Ile razy ci mówiłam, żebyś nie rozmawiała z nieznajomymi?

– Ale ten pan był miły – odpowiada cicho dziewczynka.

– Im bardziej miły się ktoś wydaje, tym bardziej trzymaj się od niego z daleka, rozumiesz? Tacy ludzie rzadko miewają dobre intencje.

Przewracam oczami i potrząsam głową z niedowierzaniem, po czym ruszam przed siebie.

Na końcu korytarza odnajduję pomieszczenie bez numeru. Zakładam, że to magazynek, w którym pokojówki trzymają środki chemiczne, dodatkowe ręczniki i zapasową pościel. Zaintrygowany naciskam klamkę, ale składzik okazuje się zamknięty. Próbuję jeszcze otworzyć go swoją kartą, jednak to również nie pomaga.

Nieżłomnie eksploruję dwa pozostałe piętra i gdy wydaje się, że nie pchnęło mnie to naprzód nawet o milimetr, w powietrzu wyczuwam znajomy zapach kardamonu i wanilii, woń perfum mojej żony. Podążam za nim, docierając do drzwi schowka, które podobnie jak te na dole są zamknięte. Usiłuję je sforsować, gdy nagle słyszę za sobą:

– Potrzebuje pan czegoś?

– Nie... Ja tylko... – dukam, pąsowiejąc, przyłapany na gorącym uczynku.

Atrakcyjna kobieta w wysokich szpilkach i mocnym makijażu, z ramionami skrzyżowanymi na piersi oraz zagadkowym uśmiechem na twarzy nie spuszcza mnie z oczu.

– Łucja Serafin, menadżerka hotelu. – Wyciąga dłoń, a gdy podaję jej swoją, chwyta ją silnym, nieco męskim uściskiem.

Ma na sobie spódnicę do kolan z długim rozparkiem na prawym udzie, obcisłą bluzkę ze stanowczo zbyt głębokim dekoltem, który zdobi szklany naszyjnik z zamkniętym w środku złotym koralikiem, i marynarkę w kolorze butelkowej zieleni. Rude, falujące włosy Łucji Serafin kontrastują z odcieniem jej ubrań, sprawiając, że wygląda jak egzotyczny ptak.

– Jeśli skończyły się panu ręczniki, wystarczy wezwać room service – informuje. – Ale skoro już się spotkaliśmy, to może ja pomogę?

Sięga po kartę wiszącą przy pasku, jednak powstrzymuję ją gwałtownym ruchem dłoni.

– Nie, nie, mam w apartamencie wszystko, co niezbędne – tłumaczę.

– Czego w takim razie szukał pan w magazynku?

Biorę głęboki wdech i z zakłopotaniem przygryzam wargę, zastanawiając się, jakich użyć słów, by mi uwierzyła.

– Chodzi o to, że moja żona, Nina Engel, zniknęła kilka godzin temu. Wyszła z apartamentu i słuch po niej zaginął. Szukałem jej wszędzie, rozmawiałem z pracownikami, obszedłem cały teren hotelu, ale nigdzie jej nie ma. Obawiam się, że coś mogło się jej stać.

Kobieta pytająco unosi brwi, a jej oczy z zaskoczenia rozszerzają się do rozmiaru pięciozłotówek.

– Tu, w naszym hotelu? – pyta z powątpiewaniem. – A usiłował się pan z nią skontaktować?

– Tak, ale nie zabrała ze sobą telefonu. Ona jest w ciąży i po prostu trudno mi uwierzyć, by zniknęła ot tak, nie zostawiając żadnej wiadomości. Moja żona nie zachowuje się w ten sposób.

Menadżerka hotelu marszczy czoło.

– Sprawdzał pan w recepcji? Czasami goście proszą naszych pracowników o przekazanie wiadomości.

Przytakuję.

– Kobieta, z którą rozmawiałem, niczego nie znalazła, co więcej, usiłowała mi wmówić, że w apartamencie, który wynajęliśmy, mieszka tylko jedna osoba.

Wzdycham, a coraz bardziej zaniepokojona Łucja Serafin skubie palcami wargi tak mocno, że jej opuszki brudzą się bordową pomadką.

– Nic już z tego nie rozumiem – mówi, kręcąc głową. – Wie pan co? Przejdźmy do mojego gabinetu, tam będzie mi pan mógł opowiedzieć o wszystkim od początku. Dobrze?

Zgadzam się, lecz zanim schodzimy na dół, spoglądam z niepokojem w stronę magazynku.

– Wiem, że to nie ma sensu, ale czy mogłaby mi pani jednak pokazać, co tam jest? Wcześniej wyczułem tu perfumy mojej żony, choć teraz sam już nie wiem... – Zmieszany uciekam wzrokiem.

Kobieta przez chwilę rozważa moją prośbę, a później uśmiecha się i kartą otwiera drzwi. Wstrzymuję powietrze w płucach, lecz kiedy światło zalewa niewielki składzik, nie znajduję w nim niczego więcej poza pościelą, ręcznikami i moją zawiedzioną nadzieją.

Menadżerka hotelu gestem wskazuje mi drogę. Milcząc, skręcamy w długi korytarz za recepcją, odprowadzani jedynie przez miarowy stukot obcasów kobiety. Ukradkiem ocieram spocone z nerwów wnętrza dłoni o nogawki spodni, a potem biorę głęboki wdech. Kobieta przystaje wreszcie i przykłada kartę do czytnika.

– Zapraszam, to tutaj – informuje, otwierając drzwi do niewielkiego gabinetu.

Zauważam, że nim się domkną, na chwilę wkłada dłoń między nie a futrynę, jakby chciała je w ostatniej chwili złapać, choć zupełnie nie rozumiem dlaczego. W pomieszczeniu panuje idealny porządek, a wystrój jest raczej minimalistyczny. Żadnych ozdób, kwiatów czy zdjęć rodzinnych, co może nasuwać przypuszczenie, że Łucja Serafin żyje tylko pracą. Przedmioty na biurku wydają się poukładane niemal od linijki. Ciężki, szklany przycisk do papieru w kształcie kuli z zatopionym wewnątrz zegarem stoi idealnie na środku pliku dokumentów, a powierzchnia blatu lśni czystością, w której można się przejrzeć.

– Zamieniam się w słuch – mówi kobieta, siadając za biurkiem i jednocześnie zapraszając, bym zajął fotel naprzeciwko.

Kreślę jej całą sytuację od mojego powrotu do apartamentu w nocy po spotkaniu z Wiktorem Abartem aż do opisu desperackich poszukiwań dzisiejszego dnia. Starannie dobieram słowa, jakbym ustawiał obok siebie klocki domina i bał się, że niewłaściwy ruch przewróci je wszystkie. Serafin opiera brodę na dłoni, a palcami drugiej ręki skubie płatek ucha. Po raz pierwszy mam poczucie, że jestem naprawdę słuchany. Menadżerka utrzymuje ze mną kontakt wzrokowy, kiwa głową i okazuje zainteresowanie moją historią. Nie przerywa, nie udziela rad, a przy tym powstrzymuje się od własnych osądów. Troska w spojrzeniu kobiety sprawia, że zaczynam jej ufać. Gdzieś w głębi mnie rodzi się nadzieja na sojusznika w poszukiwaniach Niny.

– Podsumowując, kiedy wrócił pan o północy do pokoju, żona spała. Położył się pan obok niej, ale już w południe następnego dnia nie było jej ani w łóżku, ani w apartamencie, ani nigdzie indziej w hotelu.

– Zgadza się.



Menadżerka w zamyśleniu bawi się wisiorciem na łańcuszku.

– Czy próbował pan rozmawiać z jej bliskimi? Może ktoś z rodziny coś wie?

– Nina ma tylko mamę, ale ona jest przekonana, że jej córka świetnie się bawi podczas pobytu w hotelu. Nie rozmawiały ze sobą od naszego wyjazdu.

Serafin ściska w palcach metalowy długopis, błędząc spojrzeniem po pokoju.

– Proszę wybaczyć, że zadam to pytanie, ale czy zdarzyło się coś, co mogło spowodować, że pana żona z własnej woli opuściła Wichrowe Wzgórze?

– Nie, absolutnie. – Czuję, jak zalewa mnie fala gorąca. – Nina była zachwycona tym miejscem, od dawna marzyła tylko o tym, by wyrwać się z Warszawy, odpocząć od pracy i codziennych obowiązków. Wczoraj wieczorem stwierdziła nawet, że mogłaby tu zamieszkać. – Uśmiecham się na wspomnienie jej otwartych ust oraz intensywnego mrugania, gdy ujrzała widok z okien apartamentu.

Menadżerka również rozciąga usta w uśmiechu, lecz ten grymas szybko spływa z jej twarzy, ustępując miejsca napięciu.

– W takim razie chyba nie mamy wyjścia i musimy zadzwonić do recepcjonisty, który państwa wczoraj meldował – proponuje. – Pan Duniec pełnił wieczorną zmianę i z tego, co wiem, został również na nocnym dyżurze. Jeśli ktoś miał coś zauważyć, to najpewniej on – stwierdza, sięgając po telefon.

W ciszy obserwuję, jak przykładła słuchawkę do ucha, a potem nasłuchuję sygnału oczekiwania na połączenie. Moje nogi niespokojnie podskakują pod blatem biurka i tylko siłą woli powstrzymuję się, by nie zacząć obgryzać paznokci.

– Cześć, Mariusz, z tej strony Łucja Serafin – informuje, gdy mężczyzna odbiera. – Brzmisz jakoś niewyraźnie, obudziłam cię? Wybacz, ale jeden z naszych gości twierdzi, że jego żona zaginęła w hotelu. Nazywa się Tomasz Engel, przyjechał wczoraj po południu, o ile mi wiadomo, ty go meldowałeś, pamiętasz? – Przez chwilę tylko słucha i przytakuje. – Jasne, rozumiem. Może jednak coś ci się kojarzy?

Elegancki, wysoki mężczyzna koło pięćdziesiątki, ma krótkie ciemne włosy i ranę na czole.

A więc tak postrzegają mnie inni. Ze wszystkiego, co w życiu osiągnąłem i kim usiłowałem się stać, został tylko elegancki pięćdziesięciolatek. Niewiele. Może właśnie tym pozostajemy, gdy odejmie się od nas wszystkie tytuły, sukcesy i zasługi – sobą.

Spojrzałem na niewyraźne odbicie mojej twarzy w ekranie smartfona. Sprawiała wrażenie smutnej. Czoło zdobiły poziome zmarszczki, pogłębiające się od zniknięcia Niny, a pod oczami rysowały się głębokie, sine półksiężycy. Na dźwięk odkładanej słuchawki drgnąłem. Wystarczył rzut okiem na Serafin, bym zyskał pewność, że nie ma dla mnie dobrych wiadomości. Ludzie prawie zawsze potrafią to dostrzec od razu, a jednak często kurczowo trzymają się nadziei.

– Niestety pan Mariusz Duniec nie kojarzy pana ani pańskiej żony. – Menadżerka bez skrępowań przekłupa balonik moich złudzeń. – W piątkowe wieczory zwykle przyjeżdża do nas mnóstwo gości i naprawdę trudno wszystkich zapamiętać.

– Ale przecież on nie może pamiętać Niny, bo meldowałem się sam, tłumaczyłem to pani – wyrzucam poirytowany. – Proszę go zapytać, czy zauważył, by kobieta o kręconych blond włosach schodziła wczesnym rankiem do recepcji albo opuszczała hotel.

Serafin z westchnieniem pociera skroń. Odwraca wzrok i wpatrzona w odległy punkt na ścianie, stuka końcówką długopisu w notes. Mój puls naśladuje miarowe tempo uderzeń metalowej obudowy, przez co odnoszę irracjonalne wrażenie, że jeśli menadżerka przestanie wybijać rytm, moje serce również się zatrzyma.

– Tu chodzi o kobietę, która jest w ciąży – podkreślam błagalnie. – Mogła poczuć się gorzej albo zasłabnąć. Proszę chociaż wysłać mi zdjęcie Niny. – Otwieram w telefonie fotografię, którą nawet obudzony w środku nocy potrafiłbym odtworzyć w najdrobniejszych szczegółach, i podsuwam menadżerce pod nos.

Kobieta kiwa wreszcie głową na znak zgody. Dyktuje mi numer, a ja przesyłam jej zdjęcie. Z nerwów zaczynam gryźć wnętrze policzka. Szczupłe palce Łucji Serafin wystukują wiadomość, a później odkładają telefon, w który wbijam niecierpliwe spojrzenie. Po chwili komórka

wibruje. Napinam mięśnie, słuchając, jak menadżerka streszcza recepcjoniście moje słowa. Prostuję się na fotelu i wstrzymuję oddech w napięciu.

– Zaczekaj chwilę – rzuca do słuchawki, a następnie odsuwa ją od ust i mówi do mnie: – Pan Mariusz nie ma pewności, czy ktoś wychodził z hotelu wczesnym rankiem ani nawet w nocy. W trakcie dyżuru, wzywany przez gości, kilkakrotnie opuszczał recepcję i mógł czegoś nie zauważyć.

– A Nina? Rozpoznał ją?

Serafin zaprzecza.

– Twierdzi, że nie widział kobiety ze zdjęcia. Wydaje mu się jednak, że rzeczywiście mógł pana meldować, skojarzył po tej ranie – wskazuje palcem moją twarz – bo przypomniał sobie gościa z opatrunkiem na czole. Tyle że według niego wynajął pan apartament tylko dla siebie.

– To nieprawda, rozmawialiśmy o Ninie. Dał mi nawet drugą kartę do pokoju dla niej – emocjonuję się, nerwowo wymachując rękami, a mój głos przechodzi w pisk. – Czy nie mogłaby go pani tutaj ściągnąć? Myślę, że osobiście dużo szybciej wyjaśnimy tę sprawę. Jestem pewien, że gdy pan Mariusz mnie zobaczy, przypomni sobie naszą rozmowę. A tak bawimy się w jakiś głuchy telefon.

Serafin nabiera powietrza w płuca, po czym przymyka na moment powieki, wyraźnie walcząc z myślami. Kiedy otwiera oczy, spogląda na mnie z wyrzutem, a następnie przykłada słuchawkę do ucha i pyta swojego pracownika, czy mógłby przyjechać do Wichrowych Wzgórz. Wbijam paznokcie w blat, nachylając się do przodu z oczekiwaniem. Gdy kobieta się rozłącza, sprawia wrażenie zniecierpliwionej. Odkłada telefon, a jej życzliwy dotychczas wyraz twarzy przeobraża się w lodowate oblicze.

– Pan Duniec pojawi się tu za jakieś dwie godziny – informuje sucho.

Nie potrafię powstrzymać uśmiechu, który wykwita na mojej twarzy.

– Bardzo dziękuję – odpowiadam z ulgą. – Zastanawiam się też, czy ochrona mogłaby przeszukać teren wokół hotelu. Wprawdzie sprawdzałem go już wcześniej, ale myślę, że wasi pracownicy znają to miejsce dużo lepiej i mogą zwrócić uwagę na coś, co ja przeoczyłem.

– Dobrze, poproszę ochronę, by się rozejrzała, zawiadomię też pozostałych pracowników, że szukamy kobiety po trzydziestce, a pan tymczasem niech uzbroi się w cierpliwość i spróbuje zadbać o swój spokój.

– To nie takie proste, jak się wydaje. Zna pani choć jednego człowieka, który na słowa „uspokój się” zareagował tak, jak powinien?

Menadżerka z rozbawieniem kręci głową.

– Ja też nie.

Na moment atmosfera w gabinecie staje się nieco mniej napięta. Orientuję się, że ekran komórki, którą cały czas ściskam w dłoniach, jest już mokry od mojego dotyku. Dyskretnie wycieram go rękawem swetra i chowam telefon do tylnej kieszeni spodni. Serafin zawzięcie stuka w klawiaturę komputera, a po chwili przenosi spojrzenie na mnie, informując:

– Przekazałam zdjęcie pana żony do strefy wellness, lobby baru oraz do recepcji. Za chwilę porozmawiam też z kierowniczką pokojowych, by zapytała swoje pracownice, czy któraś z nich nie natknęła się na pana żonę.

– Dziękuję. – W moim wnętrzu zaczyna kiełkować nadzieja na odnalezienie Niny. – Myśli pani, że powinniśmy zawiadomić policję?

Twarz Serafin na ułamek sekundy kamienieje.

– Według mnie na tym etapie nie jest to konieczne – odpowiada z rezerwą. – Na razie nie mamy pewności, czy pańska żona zaginęła, czy po prostu wybrała się na bardzo długi spacer. Wstrzymajmy się z tym jeszcze chwilę – dodaje już łagodniej. – Uważam natomiast, że możemy prześledzić zapisy monitoringu. Na każdym piętrze mamy rozmieszczone kamery. Dzięki nim będziemy mogli zobaczyć, w którą stronę poszła pana żona, gdy opuściła pokój. O ile ludzkim oczom coś może umknąć, to przed tymi elektronicznymi nie sposób się schować.

Kiwam na znak zgody.

– To brzmi rozsądnie – uznaję.

Menadżerka notuje na kartce numer apartamentu oraz przedział czasowy, który powinniśmy sprawdzić. Dla pewności proszę ją, byśmy obejrżeli materiał od momentu mojego powrotu z baru, kiedy zasnąłem u boku Niny, aż do chwili, gdy obudziłem się w południe, nie zastając

jej w pokoju. Serafin sięga po telefon komórkowy i wybiera numer, a potem, kreśląc prostokątną ramkę wokół zapisanych na papierze informacji, przykłada słuchawkę do ucha.

– Dzień dobry, panie Filipie – rzuca. – Proszę przygotować mi archiwalne nagrania z trójki w budynku B, od północy w piątek do dwunastej dzisiaj. Będę u pana z jednym z naszych gości za kilka minut. Poradzi pan sobie? – Ze ściągniętymi brwiami słucha odpowiedzi. – Chciałabym też, by pan Mieczysław udał się na obchód po naszym terenie. Istnieje podejrzenie, jeszcze niepotwierdzone, że w hotelu zaginęła kobieta. Trzydziestolatka o kręconych blond włosach, jej zdjęcie znajdziecie na mailu. Musimy to jak najszybciej wyjaśnić. – Milknie na moment, by posłuchać osoby po drugiej stronie, a następnie dziękuje mężczyźnie i spogląda na mnie. – Chodźmy. Ochroniarz już na nas czeka.

W drodze myślę o tym, jak niewiele dzieli mnie od ustalenia, dokąd udała się moja żona. W napięciu szarpię nitkę wystającą ze swetra i przetykam nadmiar śliny. Przy kontuarze recepcji zauważam Wiktora Abarta. Z nabiegłą czerwienią twarzy nachyla się nad recepcjonistką, która kuli się pod naporem jego słów. Jej atletyczna sylwetka, na którą wcześniej zwróciłem uwagę, teraz sprawia wrażenie wątlej. Przechodząc obok, nadstawiam ucha, by wyłapać choć strzępek rozmowy.

– To tylko drobna pomyłka – szepcze kobieta, wbijając spojrzenie w wydruk trzymany w trzęsącej się ręce.

– To raczej pani jest pomyłką – rzuca wściekle Abart. – Jedną wielką porażką – dodaje, tłukąc pięścią w ladę.

Wargi recepcjonistki zaczynają drżeć.

– Ja naprawdę nie chciałam – mówi płacząco, po czym wybiega na zaplecze, skąd dochodzi jej szloch. Wiktor strzepuje niewidzialne pyłki z koszuli. Klnie pod nosem i wyzywa kobietę od żałosnych amateerek.

Zszokowany zerkam na Łucję Serafin, ale zajęta rozmową telefoniczną zupełnie nie zwróciła uwagi na to, co działo się przy recepcji. Odwracam raz jeszcze głowę w stronę kontuaru, a moje spojrzenie krzyżuje się z zimnym, przeszywającym wzrokiem Abarta, który uśmiecha się szyderczo, unosząc kącik ust. W jego twarzy jest coś diabolicznego. Coś, co jednocześnie przeraża i magnetyzuje.

Moim ciałem wstrząsa zimny dreszcz, bo przez chwilę odnoszę wrażenie, że patrzę w oczy samego Lucyfera.

✱

Kiedy docieramy do małego, ciemnego pokoju ochrony, zdenerwowanie sprawia, że nie jestem w stanie wydobyć z siebie więcej niż rzucone pod nosem oschłe „dzień dobry”, po którym krzyżuję przedramiona na klatce piersiowej, upodabniając się w ten sposób do wyniosłego gbura. Nie jestem taki, to tylko zbroja; pomaga przetrwać koszmarne chwile. Trzyma mnie w całości w momentach, w których większość ludzi rozsypałaby się w proch. Nie zawsze mi służy, ale nie potrafię funkcjonować bez niej. Może czasami w życiu nakładamy pancerze, by się chronić, a kończymy jako ich zakładnicy.

Pomieszczenie pełne jest ekranów rzucających błękitną poświatę na wnętrze. Przypomina oceanarium, w którym w ciszy za szkłem przepływają obserwowane ludzkie okazy. Wśród kadrów rozpoznaję ujęcie z recepcji, fragment parkingu przed budynkiem oraz obraz z lobby baru. Mężczyzna za konsolą, siedzący na skrzypiącym biurowym krześle, przekręca się na moment w stronę Łucji Serafin, by skinąć jej głową, po czym wraca do przycisków na klawiaturze. Menadżerka przedstawia mi go jako Filipa Hańczę, ale ja odnotowuję jedynie, że jak na tę fuchę jest wyjątkowo młody. Przypomina raczej komputerowego geeka, który zdecydowanie lepiej czuje się przed ekranem niż wśród ludzi. Spod czapeczki z daszkiem wystają półdługie włosy. Sięgają niemal do kołnierzyka czarnej koszuli z pagonami, wpuszczonej w ciemne wojskowe spodnie. Wokół jego bioder zauważam pas z pękiem kluczy, kajdankami i pałką. Na żylastej ręce ochroniarza obok tatuaży tłoczą się bransoletki z rzemyka, a na twarzy widnieje cienki, mysi wąsik.

– Może chcieliby państwo usiąść? – pyta, przenosząc zamazany kadr na duży ekran po prawej stronie.

– Nie – odpowiadamy chórem, zbyt ciekawi tego, co za chwilę zobaczymy.

– Proszę uruchomić – poleca kobieta.

Gdy ujęcie ożywa i staje się wyraźne, wstrzymuję oddech. Na monitorze widać fragment korytarza oraz drzwi do kilku apartamentów, w tym naszego, z numerem trzysta sześćdziesiąt sześć. Światło jest przytłumione, ale nawet w nim jednoznacznie mogę stwierdzić, że postać, która nagle pojawia się w kadrze, jest mi dobrze znana. Idzie chwiejnym krokiem, porusza ustami, jakby mamrotała, niespodziewanie przystaje w połowie drogi, zatacza się, po czym uderza płaską dłonią w ścianę. Ten ktoś to ja. Nie mam co do tego wątpliwości.

W tym momencie doceniam to, że pokój ochrony pogrążony jest w półmroku, inaczej moje czerwone policzki zostałyby już zauważone przez każdego. Zażenowany wydaję z siebie tłumione stęknienie, zwieszam głowę i ściskam nos u nasady, by wymazać ze świadomości ten uwłaczający widok. Na nagraniu wyglądam, jakbym nie wypił trzech porcji whiskey, ale co najmniej pół butelki. Mówię do siebie, potykam się o własne nogi, a do tego dwukrotnie upuszczam kartę do pokoju. Dlaczego nie tak to zapamiętałem? Może widzimy w sobie tylko to, co chcemy. To, co pasuje nam do obrazu osoby, którą pragniemy być w oczach innych i swoich własnych.

Postać w kadrze znika za drzwiami pokoju, a później następuje długotrwały bezruch. Ochroniarz puszcza zapis z kamer w przyspieszonym trybie. Około pierwszej korytarzem przemyka znajomy recepcjonista z zapasem ręczników, puka do apartamentu trzysta sześćdziesiąt osiem i nie czekając, aż ktoś otworzy, kładzie naręcze na podłodze, po czym odchodzi. Noc jest spokojna, właściwie nikt więcej nie kręci się obok naszego pokoju. Jedynie lokator mieszkający po sąsiedzku uchyla na ułamek sekundy drzwi i zręcznym ruchem zabiera ręczniki do środka. Robi to tak sprawnie, że nie byłbym w stanie nawet stwierdzić, czy jest mężczyzną, czy kobietą.

Ożywienie następuje po siódmej rano. Jakieś małżeństwo usiłuje dogonić kilkulatka, który biegnie w stronę windy, a później mężczyzna z aktówką i walizką podąża w ich ślady. Jednak drzwi naszego pokoju nadal pozostają zamknięte. Dochodzi już jedenasta, widać, jak pokojówki zatrzymują się przy kolejnych apartamentach, uzupełniają minibarki oraz kosmetyki w łazienkach. Zanoszą gościom ręczniki,

taszcząc za sobą duży, ciężki odkurzacz. Wreszcie zauważam znów siebie i otwieram usta ze zdziwienia.

Stojąca obok mnie menadżerka wystukuje pospiesznie wiadomość na komórce, gdy ja mrugam intensywnie, bo to, co obserwuję na monitorze, nie ma absolutnie żadnego sensu. Kadr, który oglądam, przedstawia mnie wychodzącego na poszukiwanie Niny. Jest po dwunastej, mam rozbiegane spojrzenie, a na sobie niebieski sweter, ten sam, w który ubrany jestem teraz.

– Chwila, coś chyba nam umknęło – przerywam. – Na tym nagraniu nie widać Niny wychodzącej z pokoju, a przecież powinna tam być. Czy możemy to puścić od początku?

Ochroniarz zerka na menadżerkę, która wyraża zgodę skinieniem, po czym przeprosza nas na moment, wskazując na dzwoniący w jej dłoni telefon.

Tym razem śledzę uważnie absolutnie każde ujęcie. Nie spuszczam wzroku z monitora, a jednocześnie mam na oku zegar odtwarzający czas. Tuż przed końcem do pomieszczenia wraca Łucja Serafin. Jej twarz jest napięta i blada, zapewne podobnie jak moja, gdy orientuję się, że według zapisu z kamer moja żona nigdy nie wyszła z pokoju. Kręcę głową z niedowierzaniem.

– To niemożliwe – mówię coraz bardziej spanikowany. – Ona nie mogła tak po prostu zniknąć. Była tam, gdy wróciłem, przysięgam. Doskonale pamiętam, jak objąłem ją w łóżku. Nie wymyśliłem sobie tego.

Patrzę na Serafin, szukając u niej ratunku, ale napotykam jedynie współczucie.

– Panie Tomaszu, pił pan tamtego wieczoru – zaczyna delikatnie. – Rozmawiałam z barmanem, który pana obsługiwał.

– Tak, ale tylko kilka drinków.

– Z tego, co mi wiadomo, trzy podwójne whiskey. Wystarczająco dużo, by wyobrazić sobie, że żona czekała na pana w sypialni.

Porażony jej słowami, cofam się o krok w głąb pokoju. Mam wrażenie, jakby kobieta, którą jeszcze niedawno miałem za sprzymierzeńca, przeszła jakąś potworną przemianę. Teraz jest zimna i pełna dystansu. Posyłam jej zboląle, pełne wyrzutu spojrzenie.



– To szaleństwo. Niby po co miałbym to robić? Przyjechaliśmy tutaj razem, by spędzić ze sobą romantyczny weekend. Kochaliśmy się w pokoju, a potem zszedłem na dół na kolację.

– Dlaczego nie zabrał pan żony?

– Zasnęła, była zmęczona po podróży.

– I po prostu ją pan tak zostawił?

– Tak, to chyba nie zbrodnia?! – wykrzykuję z irytacją.

– Nie – odpowiada spokojnie Łucja, uważnie się mi przypatrując. – Problem w tym, panie Engel, że w pańskim apartamencie zameldowaliśmy tylko jedną osobę, pana. Do tego na dwa dni przed przyjazdem dzwonił pan do recepcji poinformować, że odwiedzi nas sam, ponieważ żonie wypadło coś pilnego.

Kręcę głową, oddychając panicznie, jakbym zaraz miał stracić przytomność.

– Tak było, ale tłumaczyłem już waszej recepcjonistce, że sytuacja się zmieniła. Powtarzam: przyjechaliśmy tu oboje.

– To dlaczego poza panem nikt jej nie widział?

– Nie wiem – mówię przesiąknięty bezradnością do tego stopnia, że mam wrażenie, iż zaraz nogi ugną się pode mną, jakby były z plasteliny.

– Rozesłałam zdjęcie pańskiej żony do wszystkich pracowników i żaden z nich jej nie rozpoznał. Jak zamierza to pan wyjaśnić?

Czuję, że brakuje mi powietrza. Pokój zaczyna wirować. Dotykam palcami pokrytych zimnym potem skroni, a później chwytam się oparcia krzesła, na którym siedzi ochroniarz.

– Nie mam pojęcia – przyznaję.

– W takim razie ja odpowiem: dlatego, że nigdy jej tutaj nie było.

✱

Z pamiętnika Niny:

*Styczeń 2016 r.*

*Wszystko w życiu zaczyna się od przelotnej myśli. Od drobnej wątpliwości albo nieśmiałej nadziei. Od pragnienia albo obawy.*

A później ta myśl pęcznieje i rośnie, by wreszcie stać się naszą rzeczywistością.

Właśnie tak było ze mną. Obudziłam się w szary styczniowy poranek, nie wiedząc jeszcze, że ten dzień odmieni moje życie. Tylko napięte ramiona, jakby ktoś pospinał je klamerkami do prania, przywoływały nieuzasadniony niczym niepokój. Na zewnątrz miękko sypał śnieg, który przykrywał białą kołdrą wynędzniałe trawniki i brud na chodnikach. Radio ostrzegało przed trudnymi warunkami na drogach ze względu na padający w nocy marznący deszcz, który do rana zdążył zamienić się w lód, podstępnie ukryty pod rozjeżdżonym świeżym śniegiem.

Na samą myśl o wynurzeniu się z domu w taką pogodę przechodziły mnie ciarki. W teatrze przygotowaliśmy właśnie premierę Upiora w operze i nie mogłam pozwolić sobie na kontuzję. Ten spektakl był dla mnie szansą na dołączenie do głównego składu zespołu tanecznego. Długo trenowałam skomplikowaną choreografię, by zachwycić publiczność oraz reżysera, i nie dopuszczałam do siebie myśli, że coś mogłoby stanąć mi na przeszkodzie. Ścisnęłam mocniej kubek gorącej herbaty w dłoniach, odganiając złe myśli, a później obiecałam sobie, że będę ostrożna.

Problem w tym, że obietnice, które składamy sami sobie, to również te, które najczęściej łamiemy. Ja o swojej zapomniałam już na skrzyżowaniu Pileckiego z Puławską, gdy zegarek w telefonie wskazał wpół do dziewiątej. W słuchawkach założonych na gęste, kręcone włosy Carlos Santana wygrywał akordy do piosenki Smooth. Moje ciało zaczęło bujać się do rytmu, a długie, silne nogi w czarnych, zapinanych na suwak kozakach na obcasie niosły mnie w kierunku przejścia dla pieszych. Po drugiej stronie ulicy zamajaczył żółto-czerwony autobus. No dalej, tupiąc nerwowo, poganiałam w myślach sygnalizator, by światło wreszcie zmieniło się na zielone i pozwoliło mi dogonić pięćsetczwórkę, a tym samym zdążyć na próbę w teatrze.

Autobus skręcił w prawo, po czym z piskiem zatrzymał się na przystanku. Z otwartych drzwi wysypali się pasażerowie o posępnych twarzach, z trudem przeciskający się przez stłoczonych na chodniku

ludzi oraz grupę przedszkolaków pod opieką nauczycielek. Kiedy dostrzegłam lukę w rzece pędzących samochodów, nie kalkulując przesadnie, rzuciłam się przed siebie. Po chwili, lekko zdyszana, znajdowałam się już na wysepce pod wiaduktem, a od przystanku dzieliła mnie tylko jedna przecznica. Wełniany szalik gryzł szyję, ciało oblała fala gorąca. Przepuściłam niebieski samochód dostawczy i głośną hondę z podrasowanym silnikiem, a później ruszyłam w stronę pięćsetczwórki, która połykała właśnie ostatnich pasażerów.

O tym, że popełniłam błąd, przekonałam się kilka sekund później, gdy nagle po prawej zauważyłam zbliżającą się w szybkim tempie czarną plamę. Ogluszający ryk klaksonu sprawił, że napięłam mięśnie i wstrzymałam oddech. Sekunda nieuwagi wystarczyła, by obcas poślizgnął się na lodzie. Panicznie wymachując ramionami, niczym w dziwnym, opętańczym tańcu, upadłam na jezdnię, wprost pod sunący na mnie samochód.

Niezdolna do wykonania jakiegokolwiek ruchu, zamarłam. Wydawało mi się, że wokół zapadła obezwładniająca cisza, a miękkie, białe płatki spadały z nieba w zwolnionym tempie, nie tracąc nic ze swojej łagodności i piękna. Światła reflektorów czarnej bestii już niemal zaglądały mi w oczy, kiedy samochód gwałtownie odbił w prawo, mijając mnie zaledwie o kilka centymetrów. Podmuchi powietrza zakotłosał moimi włosami, a po policzkach spłynęło pośniegowe błoto, rozbryzgane przez koła uciekającego pojazdu.

Pierwszym, co usłyszałam, był głuchy łoskot, do którego dołączyły dźwięk zgniatanej blachy i odgłos tłuczonego szkła, a później jeszcze krzyk starszej kobiety, wzywającej imienia Boga. Siedziałam nieruchomo, z nogą wykręconą w bok, bojąc się nawet drgnąć, i z dłońmi zaciśniętymi na włóczkowym szaliku od babci. Ktoś chwycił mnie pod ramię, pomógł podnieść się z ulicy i zaprowadził na chodnik, gdzie dostrzegłam czarną mazdę, której boczne drzwi zostały wgniecione do środka przez zderzenie z uliczną latarnią.

Wokół zaczęło tworzyć się zbiegowisko ciekawskich przechodniów, wyciągających szyje niczym surykutki. Na miękkich nogach, stąpając po

chrupiących pod stopami odłamkach szkła, podeszłam do okna kierowcy. Ciemnowłosy mężczyzna patrzył przed siebie niczym w letargu, ciężko przy tym oddychając. Krew odpłynęła z jego twarzy, a szeroko otwarte oczy sprawiały wrażenie martwych. Nieznajomy niespodziewanie poruszył się i zerknął na mnie pełnym lęku spojrzeniem. Powoli otworzył skrzypiące drzwi mazdy, po czym wytoczył się na zewnątrz.

– Co pani przyszło do głowy? Tam były dzieci! Przez panią prawie zginęliśmy! – wykrzykiwał zdenerwowany.

Miał na sobie elegancki płaszcz i szalik niedbale owinięty wokół szyi. Ze złości kopnął zgarnięty na kupkę śnieg, a dłonie ukrył głęboko w kieszeniach okrycia.

– Ja naprawdę nie chciałam... Po prostu wydawało mi się... – zaczęłam.

– Nie obchodzi mnie, co się pani wydawało – wtrącił. – Zdaje sobie pani sprawę, że o mały włos nie doszło do tragedii?

– Wiem, to moja wina, bardzo pana przepraszam. – Zawstydzona pochyliłam głowę. – Byłam pewna, że zdążę przebiec. Nie mam pojęcia, jak to się stało, ale w ogóle pana nie zauważyłam. Dopiero w ostatniej chwili... – Urwałam, przetykając łzy, które zaczęły napływać mi do oczu.

Mężczyzna powiódł wzrokiem do białego w latarnię samochodu, zaklął pod nosem i trwał przez jakiś czas w milczeniu, po czym spojrzał na mnie powtórnie z litością, z jaką patrzy się na zbitego psa.

– Nic się pani nie stało? – zapytał nieco bardziej życzliwym tonem.

Tym razem jego głos brzmiał miękko, jak ciepły koc, którym okrywałam się w chłodne wieczory. W niebieskich oczach nieznanego poza gniewem tliła się także troska.

– Nie, chyba nie – wyszeptałam, stopniowo otrząsając się z szoku. – A panu?

Mężczyzna dotknął dłonią karku.

– Na szczęście też nie, choć muszę przyznać, że niewiele brakowało... – Pokręcił głową z westchnieniem ulgi. – Wprawdzie samochód nadaje się

już raczej tylko do wymiany, ale nawet nie chcę myśleć, co mogłoby się stać, gdybym nie zatrzymał się na tej cholernej latarni.

– Postaram się zwrócić panu wszystkie koszty – obiecałam łamiącym się głosem.

Moje usta i nogi drżały. Objęłam ramionami szczupłe ciało, jakbym chciała je ochronić przed upadkiem, a może przed rozpadnięciem się na kawałki.

– Cała pani dygocze. Może usiądziemy? – zaproponował, wskazując wnętrze mazdy, ale odmówiłam.

– To z nerwów, przepraszam.

– Szkoda, przez chwilę miałem nadzieję, że to ja robię na pani takie wrażenie.

Wykrzywiłam usta w trudnym do odczytania grymasie, a on uciekł wzrokiem i onieśmielony zaczął wiercić czubkiem buta dziurę w śniegu.

– Teraz to ja przepraszam – dodał usprawiedliwiająco, drapiąc przy tym z zakłopotaniem kilkudniowy zarost. – Kiedy jestem zestresowany, zupełnie nie panuję nad tym, co mówię.

– Nic się nie stało. – Wzruszyłam ramionami. – W sumie to lepsze od awantury. Szczerze mówiąc, spodziewałam się, że będzie pan na mnie wściekły.

– Byłem, ale mi przeszło – odparł. – Zdradzić pani mój sekret? – Zaczekał na potwierdzenie, a gdy kiwnęłam głową z zainteresowaniem, wyciągnął z kieszeni płaszcza niebieską piłeczkę antystresową do ugniatania. – Zanim wysiadłem z samochodu, ściskałem ją przez dobre kilka minut – wyjaśnił ze śmiechem.

Tym razem ja również roześmiałam się w głos, ale radość zniknęła z mojej twarzy, gdy tylko na chodniku nieopodal zaparkował radiowóz, zaalarmowany najpewniej przez któregoś ze świadków. Na widok dwóch funkcjonariuszy część gapiów czmychnęła z przestraszonymi. Ktoś pośpiesznie wyjął telefon komórkowy i skierował go na policjantów, by zarejestrować zajście.

– Namawiałbym panią na ucieczkę, ale chyba już za późno – stwierdził mężczyzna, zapewne dostrzegając napięcie w moich rysach. – W ramach

*wsparcia mogą zaoferować tylko to. – Wręczył mi gumową piłkę do ściskania.*

*Spojrzałam na niebieską kulkę, po czym oddałam ją nieznanemu. Mężczyzna pytająco uniósł brwi.*

*– Najpierw musi pan zapisać na niej swój numer telefonu. Inaczej nie będę wiedziała, komu ją zwrócić.*

*Tym razem to on się rozpromienił, a jego policzki oblał młodzieńczy rumieniec.*

*– Nazywam się Tomasz Engel – przedstawił się, podając mi dłoń.*

\*

Po słowach Łucji Serafin czuję, jakbym wpadł do studni bez dna. Bezwładnie spadam w nieprzeniknioną ciemność i choć wymachuję ramionami, nie jestem w stanie się uratować. Moje uszy przeszywa obezwładniający pisk. Zaciskam mocno powieki, błagając w duchu, by to się skończyło. Przygryzam wargę do krwi i dopiero ostre ukłucie bólu sprawia, że się otrząsam. Nadal przebywam w pomieszczeniu ochrony. Stoję z dłońmi wspartymi na udach, oddycham spazmatycznie jak ktoś, kto potrzebuje respiratora, i myślę tylko o tym wierutnym kłamstwie, które usłyszałem.

*– Myli się pani i za chwilę to udowodnię – oznajmiam, odzyskując panowanie nad sobą.*

*– Naprawdę nie musi pan tego robić.*

*Czy ona się nade mną lituje? Traktuje mnie jak człowieka, który przesadził z alkoholem, stracił rozeznanie, co jest prawdą, a co fikcją, przez co teraz trzeba mu oszczędzić wstydu? Nie pozwolę zrobić z siebie wariata. Prostuję plecy i tonem nieznoszącym sprzeciwu żądam:*

*– Chcę, żeby pokazała mi pani nagrania z parkingu. Przyjechaliśmy wczoraj po szesnastej.*

*Żyłła na szyi Łucji Serafin nabrzmiewa. Kobieta na moment odwraca wzrok, po czym niechętnie kiwa na ochroniarza.*

*– Jakiego samochodu szukamy? – dopytuje.*

*– Czarnego opla insignii.*

Podaję numer rejestracyjny i przywieram spojrzeniem do ekranu. Ochroniarz przewija materiał do momentu, w którym przez bramę wtacza się najpierw czerwona mazda, a tuż za nią wjeżdżam ja. Nie musimy powiększać obrazu, ponieważ i bez tego widzę, że miejsce pasażera w moim aucie pozostaje puste.

– Chwila – mówię, uświadamiając sobie, że Nina wysiadła przecież wcześniej. – Wysadziłem żonę pod lasem, tuż przed zaporą na zalewie, chciała się przejść i zrobić kilka zdjęć. To dlatego nie ma jej w samochodzie. Jeśli przesunie pan jakieś pół godziny do przodu, będzie widać, jak Nina wchodzi przez bramę naprzeciwko głównego wejścia, tam ją spotkałem.

Menadżerka hotelu znacząco unosi brwi, ale ostatecznie daje pracownikowi znać, by odszukał konkretny fragment. Z emocji wbijam zęby w dłoń zwiniętą w pięść, a gdy w prawym dolnym rogu ekranu zaczyna majaczyć niewyraźna postać w czarnej puchowej kurtce, niemal wychodzę z siebie.

– To ona, to Nina! – rzucam podniesionym z ekscytacji głosem.

Podchodzę bliżej i wysuwam palce w stronę monitora, jakbym zamierzał ją pochwycić, ale wtedy obraz przesłania biały van parkujący pod wejściem. W myślach miotam przekleństwa, błagając, by kierowca odjechał, lecz kiedy wreszcie to robi, ani mnie, ani mojej żony nie ma już w kadrze.

– Cholera jasna. – Uderzam pięścią o blat biurka tak mocno, że stojący nieopodal kubek po kawie podskakuje.

– Spokojnie, proszę pana. – Ochroniarz wyciąga ręce w pacyfikującym geście. – Może będzie ją widać na ujęciach z recepcji?

Kręcę przecząco głową, zastanawiając się, za jakie grzechy spotkał mnie ten szczerbaty uśmiech losu. Czy to nie ironia, że w wyniku splotu okoliczności mojej żony próżno szukać na nagraniach monitoringu?

– Nie wchodziła ze mną do budynku głównego – tłumaczę zrezygnowany. – Ale może...

– Myślę, że już dość widzieliśmy. Powinien pan odpocząć, panie Engel – miękko sugeruje Serafin, wchodząc mi w słowo.

– Chyba nie mówi pani poważnie? Nie wyjdę stąd, dopóki tego nie wyjaśnimy.

– Co w takim razie pan proponuje? – Menadżerka krzyżuje ramiona na piersi.

Patrzę w dal niewidzącym wzrokiem, odtwarzając w pamięci sekwencję zdarzeń. W zadumie przykładam palce prawej dłoni do ust.

– Są jeszcze tylko dwa miejsca, gdzie mogły zarejestrować ją kamery. – Głośno myślę. – Przy drzwiach budynku B, w którym mieszkamy, i na trzecim piętrze, kiedy wchodziliśmy do apartamentu.

– Tam na jedyńce był wczoraj po południu konserwator – wtrąca chłopak, oglądając się na Łucję. – Po tych skokach napięcia coś siadło i trzeba było wymienić kamerę. Nie mamy jakichś dwóch godzin, ale...

– Zaraz – przerywam mu podekscytowany. – Można się z nim skontaktować? Z tym monterem? Pracował akurat, kiedy wchodziliśmy do budynku. Na pewno widział moją żonę.

Serafin i ochroniarz spoglądają po sobie z rezerwą.

– Mogę się odezwać do Alkatechu, jeśli panu zależy – proponuje Filip Hańcza, wzruszając ramionami, jakby było mu wszystko jedno. – Prześlę im zdjęcie pana żony i zobaczymy.

Dziękuję mu skinieniem.

– Ale sprawdźmy jeszcze tę trójkę na państwa piętrze – ciągnie. – Nie da się wejść do pokoju i przejść obok tej kamery niezauważonym.

Jego długie, poplamione tuszem z długopisu palce tańczą na klawiaturze. Wpisuje szesnastą trzydzieści, a następnie przyspiesza odtwarzanie, aż do momentu, gdy uśmiechnięty z dwiema walizkami sunę korytarzem.

– Nina przyjdzie za jakiś kwadrans – wyjaśniam uspokajająco. – Zeszła do samochodu po swój telefon.

Po drugiej stronie kadru pojawia się pokojówka, podnosi tacę z wózka i choć wiem, co zaraz nastąpi, wstrzymuję oddech jak w trakcie oglądania thrillerów, gdy siedząc na kanapie, krzyczę do bohaterów „nie idź tam!”. Te zaklęcia nigdy nie działają, tym razem także. Dziewczyna odwraca się gwałtownie, a ja wpadam na nią, doprowadzając do tego, że taca w jej dłoniach podskakuje i na dywan wylewa się czarna jak noc kawa.



We troje obserwujemy, jak pokojówka zwitkiem ręczników papierowych próbuje wysuszyć gruby chodnik, a ja niezgrabnie usiłuję ją w tym wyreć. Ostatecznie zaszywam się w pokoju, zamykając za sobą drzwi. Mija pięć minut, dziesięć, piętnaście, Nina jednak nie wraca. Zegar na nagraniu wskazuje już siedemnastą trzydzieści i zaczynam myśleć, że coś jest bardzo nie w porządku, bo do tej pory powinna dotrzeć na górę. Zaciskam dłonie tak mocno, że aż chrzęszczą kości. Atmosfera w pokoju ochrony się zagęszcza. Serafin otwiera usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale powstrzymuję ją:

– Jeszcze nie.

Słyszę, jak wzdycha z niechęcią, lecz nie zamierzam się tym przejmować. Śledzimy materiał aż do ujęcia, w którym z torbą na laptopa przewieszoną przez ramię wychodzę na kolację. Zastygam, niezdolny do jakiegokolwiek reakcji, bo to wszystko wydaje mi się jedną wielką sztuczką iluzjonisty.

– To taki żart, tak? O to chodzi? Spóźniony prima aprilis? Bo jeśli tak, to w ogóle nie jest śmieszny. – Wściekle wymachuję rękoma, powoli tracąc nad sobą panowanie.

Wargi Łucji przybierają kształt wąskiej kreski, kobieta patrzy na mnie ze współczuciem i przecząco potrząsa głową.

– Nie, panie Engel. To dowód na to, że przyjechał pan do hotelu zupełnie sam.

– Myli się pani – protestuję, czując, jak krew huczy mi w skroniach. – Gdybym pojawił się tu bez Niny i tylko ją sobie wyobraził, skąd w naszym apartamencie wzięłyby się wszystkie jej rzeczy? Ubrania w szafach, kosmetyki w łazience? Chyba nie powie mi pani, że sam je przywozłem i porozstawiałem? Nalegam, by poszli państwo ze mną do apartamentu trzysta sześćdziesiąt sześć, tam udowodnię, że mówię prawdę.

Po tej tyradzie trzęsę się jak w gorączce, mam wrażenie, że serce lada chwila wyskoczy mi z piersi. Łucja Serafin przewraca oczami, po czym dotyka dłonią ramienia ochroniarza w koszuli z pagonami.

– Panie Filipie, dołączy pan do mnie? – pyta, a młody mężczyzna odpowiada jej twierdzącym skinieniem. – Pan Mieczysław lada chwila powinien wrócić z obchodu i przejmie dyżurkę. Kazałam mu zakończyć

poszukiwania żony naszego gościa. – Zerka znacząco w moją stronę. – Nie mają sensu, skoro kobiety nigdy u nas nie było.

✱

W drodze do budynku B spotykamy otyłego, zdyszanego mężczyznę, który wygląda, jakby połknął piłkę lekarską. Ubrany jest w uniform ochroniarski podobny do noszonego przez Filipa Hańczę, a jego rzadkie włosy przyklejają się do mokrego czoła. Pan Mieczysław, bo w ten sposób zwraca się do niego Łucja Serafin, sapiąc, zdaje relację z obchodu terenu i zapewnia, że zajrzał w absolutnie wszystkie zakamarki posesji Wichrowych Wzgórz i nigdzie nie znalazł mojej żony.

– Świetnie się pan spisał – chwali go szefowa.

– A co z zalewem? – wtrącam.

– Nie ma szansy, żeby ktoś tam wszedł. Teren Modrzewiówki jest ściśle chroniony – wyjaśnia mężczyzna, z rękami wspartymi na szerokich biodrach. – Wokół ciągnie się wysoki płot z siatki, a furtki są zamykane na klucz. Do tego wszędzie porozwieszali kamery i kilka razy w ciągu doby patrolują okolicę. Panie, tam się nawet mysz nie prześliznie, toż to zbiornik wody pitnej dla całej okolicy. Wie pan, co by się stało, gdyby go źle pilnowali? – Macha ręką, jakby nawet nie chciał sobie tego wyobrazić. – Katastrofa straszna, dlatego nikogo nie wpuszczają.

Menadżerka pośpiesznie dziękuje pracownikowi, po czym odsyła go do dyżurki, by śledził zapisy z kamer monitoringu i informował, gdyby zauważył cokolwiek niepokojącego.

Gdy docieramy do apartamentu trzysta sześćdziesiąt sześć, wstrzymuję oddech. Kładąc dłoń na klamce, czuję w palcach ekscytujące mrowienie, ponieważ wiem, że lada chwila dowiodę obecności mojej żony w pokoju. Twarze Serafin i Hańczy sprawiają wrażenie napiętych. Żadne z nich nic nie mówi, a kiedy zamek w drzwiach wydaje z siebie zapraszające piknięcie, z sercem w gardle wchodzę do środka.

Ze smutkiem odnotowuję, że znajdujący się przy wejściu haczyk, na którym wcześniej wisiała puchowa kurtka Niny, nadal jest pusty. Drzwi szafy złowrogo skrzypią, kiedy je otwieram, a po chwili z prędkością rozpedzonego pendolino uderza mnie obraz nagich, opróżnionych półek, na których do niedawna leżały ubrania mojej żony.

– Co jest? – rzucam pod nosem, gorączkowo przemierzając dłońmi półki, jakbym liczył na to, że jeśli będę wystarczająco długo szukał, rzeczy Niny zmaterializują się na swoim miejscu.

Łyse, metalowe wieszaki dzwonią o siebie, gdy je przesuwam. Wszystkie sukienki zniknęły, nie ma szpilek, które planowała włożyć na kolację, ani kostiumu kąpielowego, zamawianego na Zalando niedługo przed wyjazdem.

Nerwowo otwieram kolejne skrzydła ogromnej szafy oraz szuflady, gdzie po przyjeździe schowaliśmy różne drobiazgi, ale zewsząd zieje ta sama pustka, która zdaje się ze mnie szydzić.

– To niemożliwe – szepczę. – Wszystko zniknęło. Zostały tylko moje ubrania.

Łucja Serafin i młody ochroniarz w bejsbolówce śledzą moje chaotyczne poszukiwania z zakłopotaniem. Chłopak zdejmuje czapkę z daszkiem, a następnie zmieszany miętosi ją w palcach, podążając za mną wzrokiem.

– Panie Tomaszu... – próbuje menadżerka, ale nie pozwalam sobie przeszkodzić.

Zaglądam we wszystkie zaułki, w amoku przetrząsając również swoje rzeczy. Gdzie, do cholery, jest ten aparat, którym robiła zdjęcia, denerwuję się.

– Pewnie go przełożyła – mówię ni to do menadżerki, ni to do siebie.

Kobieta wzdycha, a ja, nie zważając na jej grymasy, otwieram stojącą obok szafy walizkę Niny, w której, zgodnie z moim przypuszczeniem, nic nie ma. Walcząc z zawrotami głowy, rzucam się na nocną szafkę żony jak wygłodniały człowiek na jedzenie, ale i tam czeka na mnie jedynie pustka.

Kiedy się schylam, mój wzrok napotyka torbę z aparatem, zostawioną pod stolikiem. Stękając, wyciągam ją stamtąd, po czym dobywam

lustrzanki i w podnieceniach zaczynam przeglądać zapisane na karcie pamięci zdjęcia.

– Panie Engel, co pan robi? – pyta zdezorientowana Serafin.

– Chwileczkę, chcę coś państwu pokazać – tłumaczę, ale z każdym kolejnym kliknięciem moja mina rzednie.

W pamięci Nikona nie ma żadnych fotografii wykonanych przez Ninę w Karkonoszach. Na ekranie przewijają się jedynie zdjęcia z naszego zeszłorocznego wypadu nad jezioro. Przedzieram się przez nie dwukrotnie, lecz nic to nie zmienia. Ręce, w których trzymam aparat, opadają bezwładnie, a lustrzanka wysuwa się z palców i ląduje na łóżku.

Sypialnia zaczyna rozmazywać mi się przed oczyma jak świeżo namalowany obraz, który ktoś zalał wodą. Kolory mieszają się i spływają w dół, zniekształcając malunek. Przykładam dłoń do czoła, zaciskam mocno powieki, a kiedy je unoszę, wszystko znów jest normalnie. Na miękkich nogach biegnę do łazienki, gdzie na półce stoją teraz tylko moje kosmetyki. Wszystkie rzeczy Niny zniknęły.

– One naprawdę tu były – upieram się, patrząc zdezorientowany na menadżerkę, która stoi nieopodal i przytyka rękę do ust.

Z lustro spogląda na mnie przerażona twarz mężczyzny zupełnie do mnie niepodobnego. Jego oczy wypłowiały jak ubrania zbyt długo suszące się na słońcu, na mięsistym nosie widnieją ślady zaschniętej krwi, a wargi drżą.

– Została tylko jej walizka. – Bezradnie wskazuję zieloną kabinówkę.

– To pan z nią przyjechał – wyjaśnia Serafin. – Na nagraniach z monitoringu widzieliśmy pana z dwiema walizkami – dodaje, a później pogrąża się w milczeniu.

Kręcę przecząco głową, czując, jak wszystko we mnie kruszeje, pęka i zamienia się w pył, niczym konstrukcja starego budynku. Milczenie kobiety jest jeszcze bardziej dojmujące, niż gdyby próbowała mnie przekonywać, że się mylę. Z milczeniem nie można dyskutować.

Usiłuję przypomnieć sobie, czy widziałem przedmioty należące do mojej żony po tym, jak się obudziłem, ale mimo starań nie potrafię tego stwierdzić. Za bardzo się spieszyłem, do tego bolała mnie głowa i zupełnie nie zwróciłem uwagi ani na jej ubrania, ani kosmetyki.

Jestem jednak pewien, że wczoraj wieczorem zabrała kosmetyczkę do łazienki i tam również się rozbierała. Nagle przypominam sobie, że wychodząc z apartamentu, zleciłem jego sprzątanie. Pokojówka z pewnością będzie wiedziała, co znajdowało się w środku wcześniej. Musiała zauważyć kosmetyki Niny w łazience czy szpilki, które poprzedniego dnia sam ustawiłem obok szafy.

– Trzeba porozmawiać z tą pokojówką – mówię. – Z dziewczyną, która dzisiaj sprzątała nasz apartament.

– Nie musimy tego robić – odpowiada Serafin ugłaskującym tonem, jakby chciała mnie uchronić przed prawdą, którą odrzucam.

– Może pani nie musi, ale ja tak. Proszę, by ją pani tutaj sprowadziła.

Menadżerka wzdycha, posyłając Filipowi Hańczy zmęczone spojrzenie, ale ostatecznie sięga po telefon.

– Aniu, sprawdź, proszę, kto sprzątał dzisiaj trzy-sześć-sześć w budynku B. – Kobieta przez moment nasłuchuje. – Świetnie, wyślesz ją do nas? Będziemy czekać we wspomnianym apartamencie.

Kiedy się rozłącza, wbijam w nią pytający wzrok.

– Pokojówki właśnie skończyły posiłek. Pani Kalina Baleja, która sprzątała tu dziś w południe, dołączy do nas w ciągu kilku minut, ale naprawdę nie sądzę...

– Niech pani przestanie – ucinam. – Wiem, że przyjechałem do hotelu z żoną, była w tym apartamencie tak samo jak ja i pani.

Łucja Serafin unosi dłonie w geście poddania, a towarzyszący jej ochroniarz zaczyna skubać cienki wąsik pod swoim nosem. W oczekiwaniu na pracownicę raz jeszcze skrupulatnie zaglądam do każdej szafki, a także przeczesuję swoje rzeczy w nadziei, że może jednak coś mi umknęło i wreszcie natrafie choćby na jakiś drobiazg należący do Niny. W desperacji zaglądam nawet do koszy na śmieci, ale po wizycie sprzątaczkii cała ich zawartość zniknęła. Z odmętów pamięci wraca do mnie obraz czerwonej kokardy w worku z nieczystościami.

– Dokąd trafiają śmieci z apartamentów? – pytam rozgorączkowany.

– Do naszych śmietników hotelowych, skąd są wywożone dwa razy w tygodniu. – Kobieta zerka na ekran komórki. – Dzisiejsza partia powinna już pojechać. Panowie odbierający odpady zwykle zjawiają się po południu.

Przeklinam w myślach, gdy dobiega nas ciche, nieśmiałe pukanie. Kiedy Filip Hańcza otwiera drzwi, po drugiej stronie stoi złęczniona dziewczyna obgryzająca skórki u paznokci, z kucykiem przypominającym mysi ogonek.

– Szukała mnie pani – odzywa się, rzucając w moją stronę pełne obaw spojrzenie, a jej dłonie tarmoszą rąbek wyciągniętego swetra, narzuconego na fartuch.

– Czy to ty sprzątałaś dzisiaj ten pokój? – upewnia się Serafin, zapraszając pracownicę do środka.

– Tak. Coś się stało?

Twarz dziewczyny blednie jeszcze bardziej, a na jej skroniach i czole rysują się pulsujące nitki żył.

– Pan twierdzi, że z apartamentu zniknęły wszystkie rzeczy jego żony. Wyłącznie żony, ponieważ przedmioty należące do pana Engela leżą na swoich miejscach. Wiesz coś na ten temat?

– Nie. – Z przestachem patrzy na mnie. – Zrobiłam tylko to, o co pan poprosił, i wyszłam – odpowiada, wyłamując palce.

Zdenerwowanie sprawia, że robi mi się gorąco.

– Czy kiedy była tu pani wcześniej, natknęła się pani na jakieś damskie ubrania albo kosmetyki w łazience? – wtrącam. – Proszę się skupić, to ważne.

Pokojówka wzdycha, a następnie wzrusza ramionami.

– Trudno powiedzieć, ale wydaje mi się, że nie. Przepraszam, chodzi o to, że te wszystkie apartamenty wyglądają tak samo. Sprzątnęłam dziś dwadzieścia pokoi i naprawdę nie jestem już pewna, co gdzie widziałam.

Wygląda na skruszoną, a to, co mówi, brzmi wiarygodnie, ale nie potrafię uciszyć wątpliwości. Sam układałem rzeczy Niny na półkach, nie mogły wyparować jak kamfora.

– A czy jest możliwe, by któraś z pani koleżanek... – zawieszam głos, szukając jak najlepszego określenia – ...pożyczyła sobie na jakiś czas kilka przedmiotów z naszego apartamentu?

– Wykluczone – wtrąca oburzona menadżerka. – Nasz personel bardzo poważnie podchodzi do zasad etyki. Pracownice wiedzą, że wszędzie mamy kamery, a jakakolwiek próba kradzieży zostanie ukarana

natychmiastowym zwolnieniem z pracy i naganą wpisaną w dokumenty. Zapewniam pana, że ktoś taki długo nie znajdzie zatrudnienia w okolicy, bo tutejsze hotele sprawnie przekazują sobie informacje o pracownikach, zwłaszcza o tych ze złą sławą.

Przełykam ślinę i najbardziej dyplomatycznie, jak potrafię, próbuję raz jeszcze:

– Mimo wszystko państwa pracownice są tylko ludźmi i czasem mogą ulec pokusie.

– To mało prawdopodobne, lecz gdyby nawet któraś z dziewczyn miała zabrać coś, co nie należy do niej, nie zdołałaby tego ukryć – tłumaczy Serafin. – Przy wyjściu ochrona wyrywkowo przeszukuje torby pracowników, a gdy pojawia się choćby najmniejsza wątpliwość co do czyjejs uczciwości, kierowniczką służby piętér ma prawo skontrolować szafkę podejrzanego osoby.

– Ale...

– Panie Tomaszu, proszę przestać – stanowczo zatrzymuje mnie kobieta. – Jesteśmy renomowanym hotelem, nie możemy pozwolić sobie na niedociągnięcia. Nie mówiąc już o tym, że to absurdalne, by ktoś ukradł absolutnie wszystkie rzeczy pana żony, łącznie ze skarpetkami i szczoteczką do zębów, a pańskie pozostawił nietknięte.

Jej odpowiedź sprawia, że zaczyna brakować mi powietrza. Otwieram usta i za chwilę na powrót je zamykam, bo zamiast słów w głowie mam tylko szum. Zastanawiam się, czy Nina mogła sama spakować swoje rzeczy i opuścić hotel, kiedy spałem, ale gdyby to zrobiła, z pewnością zabrałaby również walizkę, a kamery monitoringu nagrałyby ją na korytarzu trzeciego piętra. To wszystko nie ma sensu. Przeczesałem palcami włosy, czując napływającą migrenę. Słyszę, jak menadżerka żegna się z pokojówką, która z wyraźnym uczuciem ulgi opuszcza apartament.

– Niech się pan prześpi – proponuje ochroniarz, z miną wyrażającą politowanie. – Czasem ze zmęczenia mogą się nam wydawać różne rzeczy.

– Nic mi się nie wydaje. Moja żona spała minionej nocy w tym pokoju, jestem tego pewien – warczę.

Nie wierzę w ani jedno słowo, które od nich usłyszałem. Mam wrażenie, jakbym śnił. Jakby to wszystko było tylko kolejnym koszmarem, z którego zaraz się obudzę, ale gdy kontrolnie uderzam pięścią w ścianę, ból jest realny. Promieniuje aż do łokcia, powodując, że z sykiem wciągam ustami powietrze.

Rozmasowując dłoń, miotam się po pokoju niczym zwierzę w potrzasku. Myśl, myśl, do cholery, ponaglam się, świadom, że jeśli nie udowodnię obecności Niny w Wichrowych Wzgórzach, ci ludzie zrobią ze mnie wariata. Łucja Serafin wymienia porozumiewawcze spojrzenie z ochroniarzem. Wiem, że śledzą każdy mój ruch, oczekując, aż zrobię coś, co potwierdzi moje szaleństwo. Muszę się więc opanować, żadnych krzyków, agresywnych zachowań, jedynie rzeczowa wymiana zdań. Oddycham głęboko i podejmuję kolejną próbę.

– To, co państwo mówicie, nie ma sensu. Jestem pewien, że przyjechałem tu z żoną piątego kwietnia, w piątek po południu. Nie wiem, co się stało z jej rzeczami, i nie rozumiem, dlaczego usiłujecie mi wmówić coś innego, ale dowiodę, że jesteście w błędzie. – Wymachuję palcem.

– Domyślam się, że to trudne, jednak nagrania wyraźnie wskazują... – zaczyna Serafin, ale jej przerywam, bo uspokajający, terapeutyczny ton działa na mnie jak płachta na byka.

– Mogą być zmanipulowane.

Menadżerka wzdycha przeciągle.

– Panie Tomaszu, naprawdę staram się pomóc, ale to niedorzeczne. Proszę się zastanowić. Po co mielibyśmy urządzać całe to przedstawienie?

– Nie wiem, może zdarzył się nieszczęśliwy wypadek, a wy próbujecie go zatuszować. Śmierć w hotelu nie przyciąga turystów, prawda? Myśli pani, że ludzie chcą jeździć do tego kurortu w Portugalii, w którym zaginęła mała Madeleine McCann? Podpowiem: nie, bo wszyscy się boją, że im także przydarzy się coś złego. Tak to działa. – Rozemocjonowany gestykuluję, jakbym dyrygował orkiestrą. – Według mnie robicie wszystko, by uniknąć medialnego skandalu. Dlatego nie chciała pani, bym zawiadomił policję.



Rzucam jej oskarżycielskie spojrzenie, buntowniczo wysuwając podbródek do przodu, ale Łucja Serafin tylko potrząsa głową.

– Oboje wiemy, że to wierutna bzdura – mówi. – Gdyby było inaczej, ktoś zauważyłby pana żonę, ale nie mógł, bo... podkreślam... nigdy jej tutaj nie było.

– Gdzie w takim razie jest według pani Nina?

– Skąd mam to wiedzieć? Najrozsądniej byłoby zapytać o to ostatnią osobę, która ją widziała.

– To byłem ja – rzucam wzburzony, czując, że moja twarz płonie, a wtedy menadżerka z ochroniarzem zerkają na siebie znacząco.

\*

Kiedy Serafin z Hańczą wychodzą po tym, jak kolejny raz sugerują mi odpoczynek, mam ochotę otworzyć okno, a potem krzyżeć z bezsilności tak głośno i długo, aż usłyszą mnie mieszkańcy okolicznych wiosek i miast. Przez chwilę obracam w palcach skręconego papierosa. Pragnienie całkowitego odprężenia walczy we mnie z lękiem o to, że stracę nad sobą kontrolę i przestanę jasno myśleć. Ostatecznie jednak wciskam go z powrotem do kieszeni.

Stojąc przy szybie, wpatrzony w marszczoną przez wiatr granatową tafłę zalewu, odtwarzam w pamięci każdą minutę od chwili, gdy odebrałem Ninę od matki, u której spędzała noc. Bez trudu potrafię przywrócić we wspomnieniach naszą podróż, sarnę na drodze i przestrah w oczach mojej żony. Tembr jej głosu, zapach skóry, miękkość warg i bladość policzków. Nina była tu ze mną, wiem to na pewno, choć ci ludzie próbują wmówić mi, że to nieprawda.

Zdeterminowany sięgam po telefon, a później wybieram numer policji. Palce kurczowo zaciskają się na słuchawce. Słyszę dudniące uderzenia mojego serca, a pierś porusza się szybko, w rytm niespokojnego oddechu.

– Komenda Miejska Policji w Jeleniej Górze, dyżurny Błaszczak, słucham.

Nabieram tchu jak ktoś, kto szykuje się do skoku na głęboką wodę, i zawieszam wzrok na zegarze wskazującym wpół do szóstej.

– Dzień dobry, nazywam się Tomasz Engel, dzwonię z hotelu Wichrowe Wzgórza przy zalewie Modrzewiówka. Chciałbym zgłosić zaginięcie żony. – Przy ostatnich słowach mój głos drży i cichnie, jakbym obawiał się wypowiadać je głośno.

– Powinien pan udać się osobiście na komisariat najbliższy miejscu zaginięcia. Gdzie ostatnio widział pan żonę?

– Tutaj, w hotelu.

– W takim razie w pana przypadku będzie to komisariat w Karpaczu przy ulicy Obrońców Pokoju.

– A nie mogę zrobić tego telefonicznie?

– Nie – odpowiada mężczyzna rzeczowo i chłodno. – Na komisariacie policjant przyjmujący zgłoszenie zarejestruje dane zaginionej w ogólnokrajowej policyjnej bazie danych, poprosi też pana o aktualne zdjęcie tej osoby i zada kilka istotnych pytań.

Moja lewa dłoń w zamyśleniu ugniata frankę.

– Dobrze, dziękuję – wykrztuszam z siebie.

Świadomość, że to dzieje się naprawdę, spada na mnie niczym kilkutonowy głaz. Opieram plecy o ścianę, czując, że coraz bardziej brakuje mi powietrza, po czym osuwam się na podłogę, a komórka wymyka się mi z palców. Wicher na zewnątrz zawodzi, jakby było mu mnie żal. Powinienem zadzwonić do matki Niny i poinformować ją o wszystkim, zanim skontaktuje się z nią policja. Stękam, pocierając skronie. Cholera jasna, tak bardzo nie chcę tego robić. Uderzam potylicą o ścianę i choć przeszywa mnie ból biegnący w dół kręgosłupa, to mam poczucie, że jest on niczym w porównaniu z udrękami, które przeżywam.

Zaciskam zęby tak mocno, aż trzeszczą, zanim jednak odezwę się do Heleny, obdzwaniam okoliczne szpitale, gdzie niestety nikt nie słyszał o mojej żonie. Odsuwając w czasie rozmowę z teściową, wybieram jeszcze numer jedynej koleżanki Niny, który mam zapisany w telefonie.

– Tomasz? Co tam, aż tak nudzi się wam w tych Karkonoszach? – pyta, przybierając uwodzicielski ton.

Cała Patrycja. Niegdyś usiłowała flirtować ze mną, ilekroć pojawiałem się na próbach w teatrze. Dopiero gdy dałem jej wyraźnie znać, że nie jestem zainteresowany i że liczy się dla mnie tylko Nina, odpuściła.

– Słuchaj, czy rozmawiałaś ostatnio z moją żoną?

– Nie – odpowiada zdziwiona. – Wprawdzie widziałam ją niedawno na mieście, ale wydawała się jakaś zdenerwowana i nawet nie zwróciła na mnie uwagi. A wy nie mieliście wyjechać razem?

– Tak i wyjechaliśmy, tylko Nina wyszła gdzieś rano i nie mam pojęcia, dokąd mogła się udać. Nie wspominała przed wyjazdem o jakichś swoich planach? Może chciała zobaczyć coś w okolicy?

Patrycja mruczy, jakby się zastanawiała.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Odkąd odeszła z teatru, prawie nie mamy ze sobą kontaktu. Nie licząc krótkich wiadomości wymienianych przez Facebooka.

– Jak to odeszła z teatru? – Ściągam brwi.

– No z powodu dziecka. Przedpremierowy pokaz *Aidy* dla mediów był przecież jej pożegnalnym spektaklem. Zaraz, nie wiedziałeś o tym?

Wciągam gwałtownie powietrze. Po tamtym przedstawieniu Nina codziennie wychodziła do pracy, nie dając mi w żaden sposób poznać, że coś w jej życiu zawodowym się zmieniło. Mrugam oczami z niedowierzaniem. Być może chciała powiedzieć mi o wszystkim, gdy już wyjawi, że jest w ciąży, nie zmienia to jednak faktu, iż okłamywała mnie przez ostatnie dwa tygodnie.

– Halo? Tomasz, jesteś tam? – dopytuje Patrycja.

– Tak, przepraszam, zamyśliłem się. A gdzie dokładnie ją spotkałeś na tym mieście?

– W centrum. Wypadła jak burza z takiej modnej knajpy niedaleko placu Bankowego. Senses czy coś w tym stylu.

W zamyśleniu zaczynam obrywać kulki ze swetra.

– Dawno temu?

– Dwa, trzy tygodnie. Nie jestem pewna.

– Jasne. – Zwilżam językiem wysuszone usta. – A masz może pomysł, z kim jeszcze mogła być w bliskiej relacji? Może umawiała się z kimś z teatru?

– Raczej nie, bo zwykle po pracy biegła do domu. Szczerze mówiąc, zawsze myślałam, że to ty jesteś jej najlepszym przyjacielem – stwierdza z przekąsem. – Tak przynajmniej mówiła.

Uśmiecham się cierpko, dotykając obrączki na palcu.

– Bo tak jest – mówię lekko drżącym głosem, po czym dodaję: – Słuchaj, muszę już lecieć. Daj znać, gdyby Nina się do ciebie odezwała – proszę, a później zrywam połączenie.

Trzewia wypełnia mi złość. Poruszam niespokojnie stopą, nie mogąc pogodzić się z tym, że inni wiedzieli o dziecku wcześniej niż ja. Przez jakiś czas gapię się tępo w ścianę, usiłując to wszystko poskładać, a w końcu zdenerwowany odnajduję numer Heleny.

– Nina? – Teściowa odbiera z nadzieją.

– Nie, to ja.

– A, Tomasz. – W jej głosie można wyczuć rozczarowanie. – Dasz mi do telefonu moją córkę?

Odsuwam słuchawkę od ust i uderzam pięścią o podłogę, a moje usta szepczą bezgłośnie „kurwa, kurwa, kurwa”.

– Obawiam się, że to niemożliwe. – Odchrząkuję, czując, jakby mój przełyk zwęzł się z każdym kolejnym słowem. – Nie wiem, gdzie jest Nina. Od kilku godzin nie mogę jej znaleźć.

– Jak to? Przecież mówiłeś, że poszła na masaż.

Kątem oka zerkam na leżący na biurku hotelowy telefon, który niespodziewanie zaczyna wrzeszczeć. Ignoruję go jednak, świadom, że Helena czeka na moją odpowiedź.

– Kłamałem, nie chciałem cię martwić – wyznaję. – Kiedy się obudziłem, nie było jej w pokoju. Przeszukałem cały hotel i okolicę, ale nigdzie jej nie ma. Zamierzam jechać do Karpacza, żeby złożyć zawiadomienie o zaginięciu.

Helena milczy. Słyszę tylko jej przyspieszony oddech. W końcu przełyka ślinę i pyta zmienionym, ociekającym pretensją głosem:

– Pokłóciliście się?

– Nie.

– Jak to nie?! Gdyby wszystko było między wami dobrze, nie wyszłaby na tak długo. Powiedz mi, co się stało.

Przymykam powieki, choć nie powinienem się dziwić jej reakcji – wiedziałem, że mnie obwini.

– Nic się nie wydarzyło – zapewniam, wbijając paznokcie we wnętrze dłoni. – Zasnęliśmy razem w łóżku, a rano ona po prostu zniknęła.

– To ją znajdź! Rozumiesz? Idź jej szukać, rób coś, do diabła! – Przełyka łzy. – Zaangażuj policję, hotel. Ktoś przecież musiał ją widzieć.

– Właśnie w tym tkwi problem – mówię, czując, że nie dam rady dłużej dźwigać tego sam. – Wszyscy tutaj twierdzą, że przyjechałem do hotelu bez żony. Wmawiają mi, że Niny nigdy tu nie było.

Siąkanie nosem po drugiej stronie ustaje.

– Jak to? Nie rozumiem. – Zapada milczenie, po którym z ust Heleny wydobywa się ciężkie jak garść ołowiu pytanie: – Czy ty jej coś zrobiłeś, Tomasz?

– Nigdy nie skrzywdziłbym Niny, przecież wiesz.

– Czyżby?

Zaciskam zęby na wewnętrznej stronie policzka, czując w żołądku płonący ogień. W pokoju rozlega się niecierpliwe pukanie do drzwi. Napinam wszystkie mięśnie i wstrzymuję oddech.

– Zaczekaj chwilę – rzucam do słuchawki, po czym zrywam się z nadzieją, że lada chwila ujrzę Ninę. – Albo wiesz co, oddzwonię, gdy tylko się czegoś dowiem – obiecuję, ignorując prośby teściowej, bym pozostał na linii.

Rozłączam się, a następnie kładę dłoń na klamce, czując pulsowanie krwi w opuszkach palców.

Jednak kiedy otwieram, na progu zamiast mojej żony stoi Łucja Serafin z czerwonymi policzkami i miną wyrażającą zaniepokojenie.

– Dlaczego pan nie odbiera? Nie można się do pana dodzwonić – irytuje się menadżerka.

– Znaleźliście ją?

Kobieta wzdycha.

– Nie. Recepcjonista, z którym chciał pan rozmawiać, czeka w holu.

Jestem tak podekscytowany, że najchętniej pobiegłbym do lobby i zasypałbym tego mężczyznę gradem pytań, ale staram się nie wyglądać na desperata, którym w istocie przecież jestem. Idziemy szybko, lawirując między mijającymi nas gośćmi, jakbyśmy brali udział w jakichś dziwnych zawodach. Przez ten wyścig spódnica Serafin unosi się lekko i nieelegancko zwija na wysokości ud, a ja czuję, że zaczynam się pocić pod niebieskim pulowerem, co właściwie jest normalne, bo kto przy zdrowych zmysłach biega w swetrze. Żadne z nas nic nie mówi, jakby niewłaściwe korzystanie z zasobów tlenu mogło sprawić, że dotrzemy na miejsce o kilka sekund później.

Gdy wreszcie przybywamy do holu, jestem tak zdyszany, że trudno mi wydobyć jakiegokolwiek słowa. Na domiar złego dopada mnie kłująca kolka, przez co muszę zgiąć lekko tułów i ucisnąć palcami brzuch. Siedzący w fotelu Mariusz Duniec wygląda dziś zdecydowanie mniej formalnie. Ubrany w dżinsy, biały T-shirt i skórzaną kurtkę, zerka pytająco to na mnie, to na swoją szefową.

– Drobną skurcz – tłumaczę, krzywiąc się. – Zaraz przejdzie.

– To jest właśnie nasz gość, pan Tomasz Engel, o którym wspominałam. – Serafin przychodzi mi z pomocą. – Rozpoznajesz?

Mężczyzna kiwa głową na boki, wydymając wargi i mrużąc oczy jak ktoś, kto niezbyt wyraźnie widzi. No dalej, człowieku, rozmawialiśmy zaledwie wczoraj, musisz mnie pamiętać, dopinguję go w myślach. Szczególnie że teraz jeszcze bardziej niż dotychczas pragnę udowodnić, że rejestracja tylko jednej osoby w naszym apartamencie była zwyczajnym niedopatrzaniem.

– Kiedy się meldowałem, stracił pan wazon, a chwilę wcześniej do lobby weszło małżeństwo z wyżłem – podpowiadam. – Ich pies przestraszył się hałasu i zaczął potwornie ujadać.

Recepcjonista prostuje się, a w jego oczach błyska zrozumienie.

– No tak. Pamiętam. Rzeczywiście stłukłem ten gliniany flakon z kwiatami. – Zerka przeprasza ją na Serafin.

– Proszę w takim razie wyjaśnić pani Łucji, że zanim to się stało, rozmawialiśmy o mojej żonie.

Duniec znów przybiera minę zagubionego chłopca, z zakłopotaniem drapiąc blond czuprynę. W jednym z foteli pod oknem majaczy mi

sylwetka Wiktora Abarta. Z dłońmi zaplecionymi za głową, ostro zarysowanym podbródkiem i nogą założoną na kształt amerykańskiej czwórki przypomina podręcznikowe uosobienie pewności siebie. Bezgłośnie porusza ustami, kierując do mnie pytanie, które z łatwością odczytuję jako „Mam podejść?”. Natychmiast stanowczo odmawiam, pewien, że obecność tego mężczyzny i jego arogancja przysporzyłyby mi więcej kłopotów niż pożytku.

Wracam do wpatrującego się we mnie z oczekiwaniem Duńca i przypominam, co zaszło:

– Wspomniałem, że żona jednak będzie mogła dołączyć do mnie podczas pobytu w hotelu, a pan dał mi drugą kartę do apartamentu.

– Nie wydaje mi się – mówi po namyśle.

– Ależ tak! Chwilę przed tym, zanim odszedłem, przesunął ją pan po blacie i powiedział coś w stylu: „byłbym zapomniał”.

– Wydałem panu dwie karty? Musiałem być nieźle zakręcony, przepraszam. Pewnie nie zarejestrowałem, że wziął pan już jedną. Chyba zestresowałem się tym wazonem i psem. Nie mam najlepszych doświadczeń ze zwierzętami.

Po twarzy recepcjonisty przemyka grymas konsternacji, a ja czuję, jakby rozstępowała się pode mną ziemia. Wyciszam natrętny telefon, odzywający się z kieszeni. Raz po raz dzwoni na niego moja teściowa.

– Przykro mi – dopowiada mężczyzna.

Wiktor Abart wydaje z siebie dźwięk podobny do tych, które pojawiają się w teleturniejach, gdy gracz podejmie złą decyzję. Przeciągłe, niskie „buuu” niesie się przez lobby, ale szczęśliwie niknie w popołudniowym gwarze i tylko ja zwracam na nie uwagę. Napinam mięśnie, by wściekłość, która buzuje we mnie teraz niczym lawa, nie wylała się na zewnątrz. Jeszcze trzy głębokie wdechy i będzie dobrze, uspokajam się, ale gdy dostrzegam dyskretny uśmiech, który recepcjonista przesyła Łucji Serafin, dłużej nie potrafię wytrzymać i tama pęka.

– Wcale nie jest wam przykro! – wybucham. – Myślicie, że jesteście sprytni, ale ja was przejrzałem. Wiem, że kłamiecie. Wszyscy.

– Panie Tomaszu... – zaczyna Serafin, unosząc dłoń, ale nie pozwalam jej dojść do głosu.

– Niech pani nawet nie próbuje. Nie dam sobą dłużej manipulować – obwieszczam. – Tą sprawą już dawno powinna się zająć policja. Żałuję, że dałem się nabrać pani zapewnieniom i czekałem z tym tak długo.

– I co pan zamierza?

– Złożę zawiadomienie o zaginięciu – informuję, a potem uważnie śledzę reakcję menadżerki.

Wtedy po raz pierwszy dostrzegam tłąć się w jej oczach strach.

✱

Ruszam do apartamentu po kluczyki od insignii, ale zawroty głowy sprawiają, że po drodze zatrzymuję się na moment w toalecie dla gości, by ochlapać twarz zimną wodą z kranu. Kiedy stoję nad pisuarem, dociera do mnie, jak bardzo jestem wyczerpany i głodny. Jezu, przecież nie jadłem nic od wczorajszego wieczoru. Ssanie w żołądku jest tak obezładniające, że niemal podcina nogi. Przytrzymuję się więc ściany, byle nie upaść. Jednak ostatecznie postanawiam zignorować mój stan i co najwyżej złapać w locie jakąś kanapkę, ponieważ chcę jak najszybciej dotrzeć na komisariat.

Z lewą dłonią opartą na chłodnych płytkach myślę o tym, że bez Niny czuję się zagubiony jak człowiek w gęstej mgłę. Nie wiem, co robić ani dokąd pójść, jakby ktoś zabrał mnie w nieznane miejsce, a później wyrwał mi z rąk mapę, dzięki której mogłem zorientować się w terenie. Po wielokroć powtarzam te same zdania, ale nikt nie jest w stanie mnie zrozumieć, jakbym mówił w obcym języku.

W kieszeni wibruje wyciszona komórka, na którą nieustannie wydzwania matka mojej żony. Po raz kolejny odrzucam połączenie, po czym przesyłam jej tę samą co wcześniej wiadomość: „Odezwę się, gdy tylko coś ustalę”, a ona odpowiada, że organizuje sobie transport na południe, by móc razem ze mną szukać Niny. W myślach ciskam przekleństwami. Przytłoczony bezradnością zamykam oczy, gdy nagle słyszę czyjeś kroki. Do toalety wchodzi starszy mężczyzna ubrany w szary garnitur pachnący naftaliną, bez słowa zajmuje miejsce dwa pisuary dalej, po mojej prawej stronie, i rozpina spodnie. W tej samej



chwili, trzaskając pchniętymi z impetem drzwiami, do środka wpada Wiktor Abart. Na mój widok jego twarz przecina złowieszczy grymas.

– Pozwolisz się tak wodzić za nos? – wyrzuca, patrząc na mnie wyzywająco. – Ci ludzie chcą zrobić z ciebie wariata, nie widzisz tego?

– Przestań – syczę i posyłam mężczyźnie po prawej błady, uspokajający uśmiech.

– Co: przestań? Przed chwilą podsłuchałem rozmowę menadżerki hotelu z recepcjonistą. Twierdzą, że wizyta na policji i tak nic ci nie da, bo nie jesteś w stanie udowodnić, że przyjechałeś do hotelu z żoną.

– Nie tutaj. – Gromię go wzrokiem, czując na sobie spojrzenie sąsiada. Mężczyzna po prawej odchrząkuje.

– Potrzebuje pan pomocy? – pyta nieśmiało.

– A ty szukasz guza, dziadku? Lepiej zajmij się swoimi sprawami – atakuje go Wiktor.

– Nie, nie, wszystko w porządku – wtrącam szybko, by załagodzić sytuację. – Bardzo przepraszam.

Emeryt sprawia wrażenie zmieszanego, krzywi się z niesmakiem, a gdy myjemy dłonie, ukradkiem obserwuje mnie w lustrze. W odbiciu dostrzegam również Abarta opierającego się plecami o drzwi jednej z kabin.

– I co się tak lampisz? – warczy do mężczyzny.

– Na litość boską, opamiętaj się! – reaguję natychmiast.

– Słucham? – Nieznajomy omiata spojrzeniem wyraźną w tafli lustra sylwetkę Wiktora, ale ten w odpowiedzi jedynie zaplata ramiona na piersi, odwraca wzrok i oglądając swoje paznokcie, lekceważy pytanie.

W popłochu zerkam na sąsiada, który nerwowo wyciąga z podajnika papierowe ręczniki.

– Co za bezczelność – rzuca pod nosem, a ja kręcę głowę z dezaprobatą dla zachowania Abarta.

– Serdecznie pana przepraszam – dodaję, ale mężczyzna patrzy na mnie z oburzeniem, po czym ostentacyjnie fuka i wychodzi z toalety.

Kiedy drzwi się za nim zamykają, stękam z poczuciem zażenowania. Rana na czole jest nadal wyraźna, ale przynajmniej krwawienie ustało. Palce ugniatają wilgotny papier, jakby skupienie uwagi na tej prozaicznej czynności miało przywrócić mi spokój.

– No wreszcie. Teraz możemy spokojnie porozmawiać – komentuje Wiktor.

– Wystarczająco dużo już powiedziałeś.

– Chodzi ci o tego staruszka? Daj spokój, tylko nam przeszkadzał.

Zaciskam dłonie tak mocno, że aż drżą.

– Jedyłą przeszkodą jesteś ty – syczę przez zęby. – Przestań mnie nachodzić i wtrącać się w moje życie.

– I co, mam po prostu beczynnie patrzeć, jak z tobą pogrywają? Pozwalać, by robili cię w balona?

– To nie twoja sprawa.

Ze złością wyrzucam do kosza zmięte ręczniki papierowe.

– No niezupełnie. Jesteśmy już przecież kumplami. Mamy wspólne plany...

– Coś ci się przyśniło – ucinam. – Poza tym nie prosiłem o pomoc.

– Daj spokój, na kilometr widać, że jej potrzebujesz.

W odbiciu zauważam niewielką plamę z krwi na rękawie swetra i sięgam po dodatkowy kawałek papieru, by ją zetrzeć.

– Na pewno nie od obcego faceta z baru – odpowiadam. – Nie znasz ani mnie, ani mojej żony. Nie masz mi nic do zaoferowania.

– Mylisz się. Jestem tu jedyną osobą, która ci wierzy.

Po jego słowach na moment zapada między nami cisza. Zastygam z ręcznikiem w palcach, intensywnie wpatrując się w twarz Wiktora, jakby zaraz miał powiedzieć coś, co wydobędzie mnie z tego bagna.

– Tak? A to niby dlaczego? – pytam.

– Bo twoja bezradność jest prawdziwa. Widzę, jak się miotasz, i za grosz nie ufam tym ludziom.

Rozczarowany prychem. Przez chwilę żywiłem złudną nadzieję, że może Abart widział Ninę w hotelu i będzie mógł to poświadczyć, a teraz w ustach znów czuję gorzki smak zawodu.

– Masz chociaż jakieś podstawy, by im nie wierzyć? Usłyszałeś coś albo zobaczyłeś?

Przecząco kręci głową.

– Nie, ale trzeba być ślepym, by nie zauważyć, że patrzą na ciebie z wyższością. Jakby już mieli cię w garści.

Jego głęboki, lekko zachrypnięty głos mnie irytuje, przyprawia o uporczywe swędzenie, niemożliwe do zatrzymania. Zaczynam mocno drapać przedramiona, chcąc się pozbyć tego budzącego obrzydzenie uczucia, jakby obłaziło mnie stado robaków.

– Dość – mówię w końcu, ciskając wilgotną kulkę do pojemnika na śmieci. – Nie wiem, dlaczego to robisz, ale musisz przestać.

– Ani mi się śni. Jesteś tu moją najlepszą rozrywką.

Parskam, gdy tymczasem Abart wydaje się rozbawiony.

– W tym hotelu mają też siłownię, basen i saunę – sugeruję.

– Jesteś o wiele ciekawszy. W końcu nie co dzień spotyka się ulubionego autora, który w dodatku szuka inspiracji do nowej książki. Liczę na to, że w końcu wysłuchasz mojej historii, a potem napiszesz swoją najlepszą powieść.

Słowa Wiktora uderzają mnie jak sążnisty policzek. Przejęty zniknięciem Niny całkowicie odsunąłem od siebie widmo rozmowy z wydawcą, a teraz ono znów powróciło, ciężko lądując na ramionach i piersi.

– Dlaczego tak ci na tym zależy, co? – Rzucam się na niego poirytowany.

– Bo egoistycznie chcę, by coś po mnie pozostało. Poza tym widzę w tobie potencjał na kogoś takiego jak ja.

– Zarozumiałego egocentryka? Nie wydaje mi się.

– Och, nie bądź dla siebie taki surowy. Nie doceniasz swoich możliwości. Zapewniam cię, że tam w środku – klepie mnie w pierś – pragniesz być tak samo bezczelnym arogantem jak ja. Problem w tym, że sobie na to nie pozwalasz. Jeszcze.

Jego pyszałkowatość oraz drażniący, cyniczny uśmiech doprowadzają mnie do wrzenia. Nie mogąc się opanować, chwytam poły koszuli Abarta i gwałtownie przyciskam go do ściany. Dyszę ciężko, a moje kłykcie wbijają się w jego klatkę piersiową.

– Odpierdol się ode mnie. Słyszysz? – warczę.

Wiktor, zamiast się bronić, obserwuje moją reakcję z nieukrywanym zachwytem.

– Właśnie o to mi chodziło. Przyjemne uczucie, prawda?

Puszczam go przerażony nie tyle swoim zachowaniem, ile faktem, że Abart ma rację. Podobało mi się to, co zrobiłem. Przez chwilę czułem się niepokonany. To ja miałem kontrolę i władzę. A jednak teraz zagniecenia i ciemne plamy mojego potu na jego koszuli straszą niczym wyrzut sumienia. Przełykam wstyd, a później uciekam. Wmawiam sobie, że usiłuję umknąć przed Wiktorem, choć być może tak naprawdę próbuję zbiec przed tą częścią mnie, o której istnienie sam siebie nie podejrzewałem.

✱

Z pamiętnika Niny:

*Kwiecień 2016 r.*

*To, co czyni ludzi wyjątkowymi, to małe dziwactwa, z których są utkani, a Tomasz Engel, przystojny wykładowca ze szkoły filmowej i pisarz o wielkim talencie, miał ich sporo.*

*W kawiarni zajmował tylko te miejsca, które pozwalały mu obserwować wejście, inaczej nie potrafił poczuć się komfortowo. Wymował rodzinę z sernika. Przyjemność sprawiało mu przesiadywanie w plamie słońca. Mrużył wtedy oczy i przeciągał się jak kot. Niekiedy przenosił ślimaki z chodnika na trawę, w obawie, że ktoś je nadeptnie. Uwielbiał oglądać filmy w ciszy, by móc w pełni je przeżywać. Zanim wyszedł z domu lub położył się spać, kilka razy sprawdzał, czy drzwi wejściowe są na pewno zamknięte. A gdy jadł delikcje, to najpierw zawsze obgryzał je dookoła i dopiero na końcu zjadał galaretkę.*

*Zakochałam się w nim pomimo tego wszystkiego. Może dlatego, że wierzę, iż dziwactwa, nawyki i drobne przyzwyczajenia łączą nas jako ludzi. Wszyscy jakieś mamy i to one ostatecznie czynią nas tym, kim jesteśmy. Są jak przyprawa, która odróżnia od siebie setki podobnych dań i pozwala na długo zapamiętać ten jeden wyjątkowy smak. A Tomasz Engel był bez wątpienia niepowtarzalny. Swoją dojrzałością*

wprowadził w moje rozedrgane życie porządek i spokój. Różnił się od mężczyzn, z którymi związki zostawiły mnie poranioną. Przy nim czułam, że nie muszę nikogo udawać. Potrafił słuchać i opowiadać jak nikt. Nigdy nie wstydził się uczuć ani łez, gdy wspominał o zmarłej żonie, a przy tym zawsze potrafił mnie rozbawić. I w którymś momencie to wszystko stało się przerażająco nieprawdopodobne.

Bo kiedy ludzie dostają od losu tyle dobra, pewnego dnia zaczynają je kwestionować. Jakby nie mogli tak zwyczajnie pozwolić sobie na szczęście, tylko musieli szukać w nim podstęp. Ja również dałam się porwać podejrzeniom, bo dni z Tomaszem sprawiały wrażenie zbyt pięknych, by mogły być prawdziwe. Z jednej strony wiedziałam o nim wszystko, a jednocześnie czasem czułam, jakbym nie znała go wcale. Może chodziło o białe plamy na jego życiorysie, pod które nie chciał zaglądać, może o nieobecny wzrok i chwile zawieszenia. Szukałam czegoś, co pozwoliłoby mi zrozumieć, dlaczego przez lata nie związał się z żadną kobietą. Jakichś tajemnic czy niewygodnych prawd. I wreszcie znalazłam.

Tamtej nocy, gdy spał, wymknęłam się z łóżka. Na palcach przekradłam się do gabinetu, a później najciszej, jak potrafiłam, przejrzałam zawartość regałów, w końcu także biurka, przy którym pracował. W tyle najniższej szuflady natknęłam się na gruby plik listów przewiązanych różową wstążką. Żaden z nich nigdy nie został wysłany, a adresatką wszystkich była Ewa, nieżyjąca żona Tomasza. Marznąc, skulona na krześle biurowym, otwierałam jeden po drugim. Najstarsze pochodziły sprzed lat, ostatnie sprzed kilku dni. Na białych kartkach pochyłym pismem mężczyzna, który jeszcze przed chwilą obejmował moje ciało silnymi ramionami, opowiadał tamtej kobiecie swoje dni. Pisał, jak bardzo za nią tęskni, wspominał ich wspólne przeżycia, lecz nigdzie nawet nie napomykał o mnie.

Odłożyłam listy z twarzą mokrą od łez i świadomością, że zawsze będę tylko cieniem tamtej kobiety. Bo choć ona umarła, to miłość, którą do niej żywił, nadal płonęła jasnym ogniem. Dotarło do mnie, że nigdy jej nie zastąpię i nie zdołam stworzyć z Tomaszem naszego świata,

ponieważ on nadal żył w przeszłości. Dlatego spakowałam swoje rzeczy i wyszłam w gęstą noc, zakładając, iż więcej się nie zobaczymy. Nie odbierałam telefonów, kasowałam wiadomości, unikałam naszych miejsc, a smutek uciszałam, topiąc go w czerwonym winie. Powoli wymazywałam z pamięci wspomnienie o Tomaszu, jak niezbyt udany szkic z notatnika, i gdy wydawało mi się, że przebolełam stratę, on wrócił.

Tamtego wieczoru razem z innymi tancerzami przebierałam się w garderobie po spektaklu. Ktoś zapukał do drzwi. Najpierw cicho, z pewną nieśmiałością, a później mocno, tak by nie można go było zignorować.

– Ktoś do ciebie, Nina! – zawołała Patrycja, znacząco przewracając oczami.

Zaintrygowana podeszłam do drzwi, a kiedy zobaczyłam w progu Tomasza z pękiem listów w dłoni, przestraszyłam się.

– Odejdź – poprosiłam.

– Wiem, dlaczego uciekłaś, i chciałbym to naprawić.

– Nie mamy czego naprawiać. Wyjdź stąd, proszę – nalegałam.

– Dobrze, ale obiecaj mi, że je przeczytasz.

Wyciągnął dłoń z listami. Przyjęłam je niechętnie, omiatając spojrzeniem wierzchnią kopertę, gdy okazało się, że widnieje na niej moje imię i nazwisko. Palce niespokojnie zaczęły przerzucać listy. Wszystkie zaadresowane były do mnie.

– Co to jest?

– Napisałem po jednym na pamiątkę każdego z naszych spotkań. W sumie dwadzieścia. Byłoby miło, gdybyś je w końcu wzięła, bo pisałem całą noc i cholernie boli mnie ręka. – Zaśmiał się, a ja razem z nim.

Kiedy zniknął za drzwiami, usiadłam na podłodze pod ścianą i rozerwałam pierwszą kopertę, następnie zachłannie przebiegłam wzrokiem po drobnych, koślawych literach. Znow mogłam spojrzeć na świat jego oczami, ale teraz to ja stałam w centrum. To mnie opowiadał, co myśli i czuje. Zdradzał swoje fantazje, opisywał sny i marzenia.

*Dziękował i przeproszał. Nigdy dotąd nie czułam się przez nikogo tak dostrzeżona. Ze wszystkimi wadami i zaletami. Po prostu taka, jaką byłam i jakiej mnie pragnął.*

*Zapłakana zerwałam się z podłogi, a gdy wybiegłam na korytarz, on nadal tam stał. Niepewny, z opuszczonymi ramionami i ze spojrzeniem przepętnionym nadzieją.*

*– A co, jeśli zażyczę sobie, byś pisał takie listy codziennie, do końca naszych dni?*

*– Czy ten temat podlega negocjacom? Mógłbym zaproponować inną formę wyrażania uczuć, którą z przyjemnością będę praktykował każdego dnia.*

*Uśmiechnął się łobuzersko, a ja podeszłam bliżej, na tyle, że czułam zapach jego skóry.*

*– Jaką? – zapytałam.*

*– Na przykład taką – oznajmił, chwycił mnie w ramiona i zaczął całować.*

✱

Jest już po szóstej, nadchodzi czas kolacji, i w holu zaczyna się wzmożony ruch. Przebijam się przez buzujący ludzki gąszcz, po czym łącznikiem docieram do budynku B, w którym mieści się nasz apartament. Moje ręce nadal drżą po spotkaniu z Abartem, ale staram się o nim zapomnieć. W przejściu na trzecim piętrze panuje półmrok. Wpadam do pokoju, gorączkowo szukając kluczyków do samochodu, a gdy je znajduję, w szufladzie nocnej szafki, chwytam jeszcze płaszcz oraz dokumenty i ruszam do wyjścia. Zatrzymuje mnie dopiero pobieżne spojrzenie w lustro.

Stoję naprzeciwko potarganego mężczyzny ze świecą od potu twarzą i brzydką plamą z krwi na ubraniu, która przez moje niefortunne zabiegi teraz jest większa i bardziej wyraźna niż wcześniej. Nie mogę się tak pokazać na komisariacie, dlatego naprędce myję zęby, zdejmuję nieświeży sweter i zastępuję go białym T-shirtem oraz czarną sportową

marynarką. Ubraniami, które, mam nadzieję, wzbudzą zaufanie w funkcjonariuszach.

Kiedy sięgam po butelkę wody mineralnej i tabliczkę czekolady z minibaru, w sypialni rozbrzmiewa ostry dzwonek hotelowego telefonu. Jestem pewien, że to Helena, matka Niny, usiłuje dorwać mnie w ten sposób, i by mieć ją już z głowy, niechętnie podnoszę słuchawkę.

– Halo? – rzucam.

Ku swojemu zdziwieniu nie słyszę głosu teściowej, tylko niepokojący szmer. Osoba po drugiej stronie milczy. Jedynym odgłosem, który mogę wychwycić, jest wibrujący oddech. Przypomina dyszenie, jakby ten ktoś bardzo się bał i z trudem nabierał tchu. W ułamku sekundy nieruchomieję, a w mojej głowie, niczym fajerwerki w sylwestrową noc, zaczynają wybuchać myśli przyprawiające o dygot.

– Nina, to ty? – pytam, ale nikt mi nie odpowiada. – Kochanie, to ty? Błagam, powiedz coś. Gdzie jesteś? – powtarzam desperacko, lecz i tym razem nie doczekuję się odpowiedzi.

Na wyświetlaczu telefonu miga numer trzysta sześćdziesiąt trzy.

– Idę po ciebie! – krzyczę, po czym rzucam słuchawkę i wybiegam z pokoju.

Numer, którego szukam, znajduje się nieco w lewo, po drugiej stronie korytarza. Pukam energicznie, a później ciągnę za klamkę.

– Nina, jesteś tam? – Uderzam coraz mocniej. – Kochanie, otwórz mi! – wołam, nikt jednak nie reaguje.

Zaczynam myśleć, że może być związana, a nawet zakneblowana, co zdecydowanie uniemożliwiłoby jej podejście do drzwi czy rozmowę ze mną. To tłumaczyłoby również, dlaczego gdy odebrałem połączenie, nie wydusiła z siebie ani słowa. Jak w takim razie wybrałaby numer? Może zdołała przewrócić telefon i jakimś cudem wcisnąć trzy cyfry. Wyobrażam ją sobie leżącą na podłodze, przerażoną i bezradną.

– Zaraz cię uwolnię – obiecuję, po czym z całej siły nacieram ramieniem na drzwi, ale te wydają się jak ze stali.

Przez chwilę rozważam zejście do recepcji i poproszenie ich o to, by wpuścili mnie do środka, jednak intuicja podpowiada, że nie byłby to najlepszy pomysł, a raczej jeden z gatunku tych bardzo złych. Jeśli moja żona została uwięziona w apartamencie tuż pod okiem kamer



monitoringu, na nagraniach powinien zostać jakiś ślad. Jego brak świadczyłby o tym, że zarówno ochrona, jak i pracownicy na czele z Serafin byłiby w to wmieszani. A zatem jeżeli kogoś nie powinienem prosić o pomoc, to właśnie ich.

Wspomnienie o kamerach uświadamia mi, że cały czas jestem obserwowany. Dyskretnie zerkam przez ramię i omiatam wzrokiem niewielką czarną kulę u sufitu, czując, jak moje plecy pokrywają się potem. Przełykam ślinę. W panice raz jeszcze uderzam w drzwi biodrem i szarpnięciem klamkę, ale to na nic.

Z pokoju na końcu korytarza wynurza się chłopak przepasany ręcznikiem.

– Hej! – woła. – Stary, musisz tak walić w te drzwi?

– Przepraszam – bąkam niewyraźnie.

– Ja myślę – burczy i wraca do pokoju.

Kiedy znika, robię długi wydech. Żelazna obręcz zaciska się na moich skroniach, a zmęczenie staje się tak dotkliwe, że muszę przymknąć oczy, by spokojnie pomyśleć. Z wnętrza apartamentu dobiega ledwie zauważalne skrzypnięcie, przez co natychmiast wyostrzam zmysły i zaczynam nerwowo rozglądać się wokół w poszukiwaniu czegoś, czym mógłbym rozmontować zamek.

Moją uwagę zwraca pozostawiony pod ścianą składany stolik na kółkach. Obsługa hotelowa używa ich do serwowania posiłków w pokojach. Na upstrzonym solą obrusie piętrzą się pobrudzone ketchupem talerze, gdzieś leżą pojedyncze wysuszone frytki i pół bułki, która kiedyś najpewniej stanowiła część burgera. Najważniejszy dla mnie jest jednak nóż. Ostry, z ząbkami i kłującym czubkiem.

Zabieram go i upewniając się, czy nie jestem obserwowany, zaczynam gmerać przy zamku. Usiłuję podważyć obudowę, pod którą kryje się mechanizm odczytujący karty magnetyczne. Ząbkowate ostrze chrobocze, szorując o plastik. Wnętrza moich dłoni wilgotnieją, a ręce zaczynają się trząść i nóż upada na podłogę. Coraz bardziej zdenerwowany ścieram pot zbierający się pod nosem, a potem sięgam po nóż, gdy nagle wychwytyuję dźwięk czyichś kroków oraz pełne oburzenia pytanie:

– Co pan wyprawia pod moimi drzwiami?!

Wzdrygam się, pospiesznie ukrywając nóż w rękawie marynarki. Korytarzem sunie elegancka kobieta w średnim wieku. Przypomina dawną dyrektorkę mojego liceum. Ma na sobie czarną garsonkę, jej nasróżone brwi zbiegły się ze sobą, jakby stanowiły jedną kreskę, a z uszu zwisają ciężkie, połyskujące kolczyki, rozciągające płatek i tak sporego już ucha.

– To pani pokój? – pytam naiwnie, by zyskać na czasie.

– Mój i męża. Proszę stąd odejść, zanim wezwę ochronę.

Jej zaciśnięte szczęki, wysunięty podbródek i chłodne spojrzenie sugerują, że jeśli będzie musiała, nie zawaha się wezwać pracowników hotelu. Unoszę więc ręce w geście pojednania. Chcę, by ta kobieta wiedziała, że mam dobre zamiary. Musi mi uwierzyć, bo w przeciwnym razie nigdy nie dowiem się, czy Nina jest w środku.

– Proszę mnie wysłuchać – zaczynam przyjaznym głosem. – Przed chwilą ktoś z tego pokoju zadzwonił do mojego apartamentu.

– To niemożliwe, nikogo tam nie ma.

– Jestem pewien, że widziałem numer pani pokoju na wyświetlaczu telefonu, dlatego tu przyszedłem.

Spoglądam na nią, w myślach błagając, by mi zaufała, ale kobieta krzyżuje ramiona na piersi i odsuwa się ze sceptycyzmem.

– Musiał się pan pomylić.

– Nie sądzę. Uważam, że to mogła być moja żona. Nina zaginęła dziś w nocy.

Palce przytrzymujące drewnianą rękojeść noża drętwieją i zaczynam się obawiać, że lada chwila ukrywany przedmiot wysunie się z rękawa.

– Jak to zaginęła? Tutaj, w hotelu? – Patrzy na mnie jak na człowieka, który wypił o jednego drinka za dużo. – Nie mówi pan poważnie. Poza tym co pana żona miałaby robić w naszym apartamencie?

– Nie wiem, ale muszę sprawdzić, czy tam jest. Proszę mnie wpuścić do środka tylko na chwilę, rozejrzę się, a później sobie pójdę. Obiecuję.

Jeśli będzie trzeba, jestem gotów zebrać o otwarcie drzwi.

– Chyba pan zwariował! Miałabym pozwolić, by obcy mężczyzna pałętał się po moim pokoju? Nie mam nawet pojęcia, kim pan jest. – Prycha. – Proszę stąd natychmiast odejść.

Dłoń kobiety zaciska się na karcie magnetycznej do apartamentu, nie może jej jednak użyć, ponieważ ciałem odgradzam ją od zamka. Jej wzrok ucieka w stronę kamery monitoringu, jakby wzywała pomocy. Biorę głęboki wdech i najspokojniej, jak potrafię, próbuję raz jeszcze.

– Proszę mnie posłuchać, nazywam się Tomasz Engel, jestem pisarzem, prowadzę też zajęcia z analizy filmu w Warszawskiej Szkole Filmowej. To wszystko może pani sprawdzić w internecie. Żaden ze mnie bandyta, chcę się tylko upewnić, czy za drzwiami nie ma mojej żony, nic więcej. To zajmie kilka minut, przysięgam.

– Bardzo mi przykro, ale nigdy o panu nie słyszałam. Cała ta historia z żoną jest co najmniej naciągana. Jeśli naprawdę zaginęła, powinien pan to zgłosić na policję. A teraz niech mi pan zejdzie z drogi.

Jej groźne spojrzenie sprawia, że ustępuję o krok. Kobieta wymija mnie, przykłada kartę do czytnika, a później pospiesznie wskakuje do apartamentu, lecz gdy stara się zatrzaskać drzwi, zauważa, że zdążyłem zablokować je butem. Mocujemy się jeszcze przez chwilę, ale jestem od niej silniejszy. Popycham drzwi, sprawiając, że kobieta po drugiej stronie upada, z hukiem uderzając ciałem o komodę. W normalnej sytuacji pomógłbym jej wstać, jednak teraz nie mam na to czasu. Wdzieram się do środka przy szumie krwi pompowanej dziko przez moje serce, a zarazem słysząc niewyraźne krzyki i pogróżki lokatorki, które zupełnie ignoruję. Działam niczym w transie. Wyrrywam jej z dłoni kartę, wkładam ją do czytnika, a po chwili wnętrze oblewa żółte światło.

– Nina! – wołam. – Kochanie, gdzie jesteś?

Wystrój bliźniaczo przypomina ten w naszym apartamencie. Zrywam z kanapy koc, który wygląda tak, jakby leżało pod nim zwinięte w embrion ludzkie ciało, ale szybko okazuje się, że to było jedynie złudzenie. Moja dłoń gładzi zimną powierzchnię mebla w nadziei, że zdołam wyczuć obecność żony. Na próżno.

Kobieta, którą przewróciłem, podnosi się z podłogi i trzymając za obolałe ramię, wybiera numer recepcji. Słyszę jej gorączkowo wyrzucane słowa, lecz traktuję je jak nieistotny szmer w tle. Przemierzam apartament, dysząc i rozglądając się niczym w amoku. W czasie gdy prawa ręka zajęta jest pilnowaniem noża, by pozostał

w ukryciu, to lewą zapalam światła, otwieram szafy i odchylam kapę na łóżku oraz zasłony, z każdą chwilą coraz bardziej rozczarowany nieobecnością Niny.

– Nikogo pan tu nie znajdzie – mówi kobieta.

Nie słucham jej, szybkim krokiem przechodzę do łazienki, lecz kiedy kładę dłoń na klamce, dolatują mnie dudniące kroki, jakby korytarzem przebiegała trasa maratonu. Zastygam w oczekiwaniu, gdy nagle otwierają się drzwi do apartamentu, a mnie dogania ostry głos Łucji Serafin:

– Dość! – woła. – Niech pan się opamięta!

Moja ręka zamiera, a ciało pokrywa gęsia skórka. Odwracam się powoli, prosząco patrząc w oczy menadżerki.

– Została mi tylko łazienka. Sprawdzę ją, a później stąd wyjdę.

Serafin w odpowiedzi kręci głową. Jej usta bezgłośnie szepczą „nie radzę”, a spojrzenie biegnie do ochroniarza, który trzyma w dłoni gotową do użycia pałkę.

– Panie Engel, wystarczy – mówi pojednawczo Łucja. – Może się pan jeszcze z tego wycofać i spokojnie wrócić do swojego apartamentu. W przeciwnym razie będziemy zmuszeni wezwać policję i poinformować ich o napaści. To poważna sprawa.

Spuszczam głowę, rozważając, jakie mam szanse się z tego wyplątać. Moje ramiona opadają, jakbym skapitulował, ale to tylko gra pozwalająca mi zyskać na czasie. W wypastowanych na błysk szpilkach menadżerki odbijają się światło żarówki i niewyraźne zarysy sylwetek osób przebywających w pokoju. W ustach czuję gorycz, a w czaszce wiruje tornado myśli.

– Dobrze – odpowiadam, choć cały czas nie daje mi spokoju to, dlaczego Serafin ze mną negocjuje, jakby zależało jej na tym, bym nie wszedł do tej łazienki.

Po moich słowach napięcie w pomieszczeniu nieco opada.

– Chodźmy – proponuje Łucja, zapraszającym gestem wskazując w stronę korytarza.

Robię kilka kroków naprzód i gdy wszyscy są pewni, że zmierzam do wyjścia, niespodziewanie odwracam się, by dopaść łazienki. Robię to

jednak zbyt szybko i kiedy instynktownie wyciągam prawą dłoń, nóż wysuwa się z rękawa i z brzdękiem upada na podłogę.

– On ma broń! – wrzeszczy lokatorka apartamentu.

Spanikowany zerkam w nabiegłe wściekłością twarze Serafin i Hańczy, a potem, nie zastanawiając się ani chwili dłużej, szarpnięciem za klamkę i wbiegam do łazienki. Wewnątrz nikogo nie ma. Omiatom wzrokiem puste pomieszczenie, natrafiając na mleczną szybę kabiny prysznicowej. Rzucam się w jej stronę, lecz gdy zamierzam otworzyć szklane drzwi, czuję na ramieniu czyjąś dłoń i palce wbijające się aż pod obojczyk niczym stalowe druty.

– Nawet nie próbuj – warczy ochroniarz.

Moje plecy przeszywa obezwładniający ból. Zaciskam szczęki i wierzgam ciałem, byle tylko zbliżyć się do kabiny. A później wszystko dzieje się tak szybko, jak na amerykańskich teledyskach. Moje palce na uchwycie. Uderzenie w głowę czymś twardym, jakby spadł na nią regał albo nawet cały świat. Pusta kabina. Zimna podłoga i trzy wysokie postacie wiszące nade mną niczym sędziowie. Sufit wiruje, Filip Hańcza krzyczy, a ja widzę tylko jego poruszające się wargi i pianę w kącikach ust. Za plecami ochroniarza w niedomkniętych drzwiach balkonowych tańczy firanka. A potem świat zasnuwa czarny dym.

✱

– Słyszysz mnie pan?

Niewyraźny głos dociera do mnie z oddali. Jest przytłumiony, jakby ktoś wołał przez warstwę gazy.

Usiłuję podnieść powieki, lecz sprawiają wrażenie przyklejonych, a ja nie mam wystarczająco dużo siły, by z nimi walczyć. Głowa boli tak, jakby ktoś rozrywał ją na części niczym pomarańczę. Na policzku czuję piekące klepnięcie czyjejs dłoni. Stękam, wykrzywiając usta, i wreszcie z trudem otwieram oczy.

Leżę na kanapie w salonie jakiegoś apartamentu, z poduszką wetkniętą pod głowę. Nade mną wisi wyraźnie przestraszona twarz Łucji

Serafin. Jej dotychczas starannie uczesane rude włosy teraz są całkowicie rozczochrane, policzki ma blade, a oczy szeroko otwarte.

– Jak się pan czuje? – pyta.

– Chyba dobrze. – Dotykam dłonią pulsującego bólem miejsca na głowie, a moje palce odnajdują guza wielkości piłeczki pingpongowej. – Gdzie jestem?

Rozglądam się niepewnie, próbując odnaleźć przedmioty, które mógłbym rozpoznać, lecz szybko zdaję sobie sprawę, że to bezcelowe, bo przecież wszystkie apartamenty wyglądają tak samo. Ostrożnie unoszę tułów, mój wzrok natrafia na ochroniarza siedzącego w fotelu pod ścianą. Mężczyzna bawi się brelokiem w kształcie serca zawieszonym na palcu. Pochylony do przodu, przeżuwa gumę i łypie na mnie wrogo, co sprawia, że instynktownie napinam mięśnie w obawie, iż znów zostanę zaatakowany.

– Przenieśliśmy pana do pańskiego apartamentu – wyjaśnia menadżerka. – Mieszkająca w tamtym pokoju kobieta była roztrzęsiona, a jej mąż zażądał, by natychmiast pana stamtąd zabrać. Przez pana jego żona najpewniej zwichnęła obojczyk. Nie zdziwię się, jeśli mężczyzna wniesie oskarżenie o pobicie. – Kręci głową z niedowierzaniem, a ja czuję wstyd palący jak ogień. – Co panu strzeliło do głowy, żeby włamywać się do cudzego apartamentu?

– Nina zadzwoniła do mnie stamtąd.

Łucja Serafin nieruchomieje, a ochroniarz na fotelu upuszcza brelok.

– Co takiego? – dopytuje menadżerka.

Opowiadam jej, jak zmieniając ubranie, usłyszałem dźwięk telefonu, a krótko potem szmer oddechu mojej żony w słuchawce. Kobieta słucha ze ściągniętymi brwiami. Jej górna warga lekko drży, dłonie zaś ciasno obejmują telefon komórkowy, który trzyma w palcach. Wspominam o swoich domysłach dotyczących powodów, dla których Nina nie mogła ze mną porozmawiać. Kiedy kończę, Łucja sprawia wrażenie dziwnie spokojnej.

– Jednego nie rozumiem. Skoro ten ktoś się nie odezwał, to jak rozpoznał pan żonę?

– Po prostu wiem, że to musiała być ona.

– I zadzwoniła do pana z pustego apartamentu?

– Powtarzam, według mnie była tam więziona.

– A później ot tak uciekła przez balkon? – pyta sceptycznie. – Nie sądzi pan, że gdyby dała radę to zrobić, wcześniej zwyczajnie wyszłaby drzwiami?

– Nie wiem. Ja... – Urywam, bo sens słów menadżerki hotelu trafia mnie niczym strzała wypuszczona z łuku i boleśnie wbija się pod żebro.

– Kto w takim razie dzwonił, skoro nikogo tam nie było? To się nie klei.

Serafin wzdycha, pocierając czoło. Unika mojego spojrzenia, jakby wahała się, czy udźwignę odpowiedź, którą ma na końcu języka.

– Może nikt, a może ktoś z innego apartamentu, kto połączył się z panem przez pomyłkę – rzuca na odczepnego.

– Widziałem wyraźnie numer trzysta sześćdziesiąt trzy.

– Na pewno? A może tylko tak się panu wydawało?

– Co to w ogóle za pytanie? – Oburzenie buzuje we mnie jak bąbelki szampana.

Łucja sięga do kieszeni zakietu i wyjmuje z niej skręconego papierosa w białej bibułce, po czym przysuwa go do mnie, bym dokładnie mógł się mu przyjrzeć.

– To skręt. Wypadł panu na podłodze w łazience tamtych państwa. Podobno niektórzy ludzie miewają halucynacje po marihuanie. A pan?

Zabieram papierosa i nerwowo wciskam go do kieszeni spodni, jakby fakt, że zniknie nam z oczu, miał unicestwić niewygodny dla mnie temat. Po twarzy Serafin przemyka uśmiech satysfakcji.

– Ja nie – odpowiadam naburmuszony. – Poza tym to marihuana medyczna, przepisał mi ją lekarz. Palę rzadko, tylko gdy nie mogę wytrzymać potwornego bólu głowy.

– Z pewnością.

Serafin uśmiecha się z satysfakcją. Za plecami słyszę rechot Hańczy i czuję, że zostałem złapany we własne sidła. Przygryzam wargę, odtwarzając we wspomnieniach widok numeru pokoju na wyświetlaczu aparatu telefonicznego. Wiem, że sobie go nie ubzdurałem.

– Numery dzwoniących na pewno zapisują się w pamięci telefonu – rzucam, gdy tylko ta myśl eksploduje w mojej głowie.

Podnoszę się z kanapy i z trudem utrzymując równowagę, powoli kroczę do sypialni. Łucja i jej pracownik podążają za mną. Intuicyjnie

poszukuję w aparacie rejestru połączeń. Naciskam poszczególne guziki, a gdy w końcu natrafiam na to, o co mi chodziło, z przykrością stwierdzam, że nikt poza recepcją nie wybierał numeru naszego apartamentu. Otwieram usta, ale nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa, na powrót je zamykam. Jakby moje ciało wypełniała wata, przez którą na zewnątrz nie mogą przebić się żadne dźwięki.

– Wykasowaliście ten numer, tak? – wykrztuszam w końcu z trudem, spoglądając to na nią, to na niego.

Menadżerka przybiera udręczoną minę.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi – odpowiada.

Ochroniarz w czapce z daszkiem wyszczerza żółte, krzywe zęby. Znów bawi się metalowym wisiorkiem do kluczy, zawieszonym na srebrnym kółku, co w połączeniu z jego cwaniackim wyrazem twarzy zaczyna działać mi na nerwy. Pod cienkim wąsikiem Filipa Hańczy kryje się skóra naznaczona bliznami po trądziku, na szyi zaś widnieje fragment tatuażu wystający spod koszuli. Tylko jego oczy mają w sobie coś smutnego i zupełnie nie pasują do reszty twarzy. Sprawiają wrażenie znajomych, jakbym kiedyś już w nie patrzył, ale nie potrafię schwytać ulotnego wspomnienia, które pojawia się tylko na moment, skryte za mgłą, po czym równie szybko znika.

– A pan na co się tak gapi? – rzucam oskarżycielsko w jego stronę. – Mógł mnie pan zabić tym uderzeniem.

– Ale nie zabiłem – odpowiada, po czym bezczelnie wydmuchuje powietrze i robi z gumy balona, który pęka z głośnym *trach*, dokładnie w tej samej chwili, w której rozlega się pukanie do drzwi.

Moje myśli instynktownie biegną do Niny, a serce zaczyna podskakiwać w piersi jak szczeniak na widok swojego pana, który wraca do domu po całym dniu nieobecności.

– Ja otworzę – wołam, ale Serafin powstrzymuje mnie gestem dłoni i nim zdążę zaprotestować, menadżerka jest już przy drzwiach.

– Przyjechali? Świetnie. Zejdę do nich, żebyśmy mogli spokojnie porozmawiać, niech zaczekają – mówi do kogoś na korytarzu, po czym rzuca krótkie: – Zaraz wracam. – I wychodzi z apartamentu.

Jej zachowanie budzi we mnie niepokój, ale staram się nie ulegać panice. Ochroniarz niecierpliwie porusza nogą i podobnie jak ja zerka



w stronę drzwi. W pełnej napięcia ciszy niemal słyszę tykanie sekundowej wskazówki zegarka na moim nadgarstku, wiercę się na kanapie, ale w końcu nie wytrzymuję i zaczynam chodzić po pokoju, przyzwyczajając się do uporczywego dżgania w czaszce.

Kiedy zbliżam się do okna, przez firankę dostrzegam stojący na parkingu radiowóz, a obok niego Łucję Serafin, która żywo gestykułując, rozmawia z funkcjonariuszami. Wstrzymuję oddech, a moje palce bezwiednie zaczynają gnieść firankę. Jeden z policjantów omiata wzrokiem okna hotelu, w końcu jego badawcze spojrzenie zatrzymuje się na mnie.

Przestraszony cofam się w głąb pokoju. W ustach czuję piach, a żołądek kurczy się do rozmiaru suszonej śliwki. Oni przyjechali tu po mnie, myślę, nerwowo obgryzając skórki wokół paznokci. Menadżerka musiała na mnie donieść i teraz przedstawia im swoją wersję wydarzeń. Jezu, oskarżą mnie o włamanie i napaść.

Zaczynam panikować. Komu uwierzy policja? Mężczyźnie, który upiera się, iż przyjechał do hotelu z żoną, czy nagraniem z kamer i zeznaniem kilkorga osób, które twierdzą, że było inaczej?

– Co pan tam robi? – pyta zaciekawiony ochroniarz, a gdy podchodzi do okna i na ułamek sekundy spuszcza mnie z oka, rzucam się do ucieczki.

✱

Gnam korytarzem świadom, że Filip Hańcza biegnie za mną. Słyszę za sobą jego kroki, ale nie zamierzam się zatrzymywać. Moja głowa pulsuje, jakby miała ze chwilę pęknąć niczym zbyt mocno nadmuchany balon. Lawiruję między małżeństwem z wózkiem dziecięcym a psem i wreszcie wypadam na klatkę schodową. Płonąc z gorąca i jednocześnie oddychając spazmatycznie, przeskakuję po kilka stopni w dół, wreszcie szarpię za klamkę drzwi na zewnątrz i dokładnie w chwili, gdy owiewa mnie wieczorne kwietniowe powietrze, dłoń ochroniarza łąduje na moim ramieniu.

– Zatrzymaj się!

Na szczęście jest już za późno. Głowy Łucji Serafin oraz stojących obok niej policjantów w granatowych mundurach odwracają się z zaciekawieniem w naszą stronę. Dysząc, usiłuję uspokoić oddech, gdy tymczasem Filip Hańcza powoli zdejmuje dłoń z mojego ramienia.

– Nie próbuj żadnych numerów – szepcze, ale nie zamierzam go słuchać.

Jeden z funkcjonariuszy, ten wysoki o figurze koszykarza oraz nieproporcjonalnie długich rękach, sprawia wrażenie życzliwego. Drugi jest niższy i nie wygląda już tak przyjaźnie. Na jego brodzie lśni rudy, starannie przycięty zarost, nad którym górują orli nos i drobne, świdrujące oczka. Czuję na sobie ich taksujące spojrzenia, przez co upewniam się w tym, że Łucja Serafin zdążyła już przedstawić policjantom swoją wersję wydarzeń. Jedyne, co mogę zrobić w takiej sytuacji, to nie poddać się bez walki.

– Nie wiem, co wam powiedziała, ale to wszystko kłamstwa – wyrzucam z siebie niczym karabin maszynowy, w obawie, że ktoś mógłby zamknąć mi usta. – Błagam, pomóżcie. Oni zrobili coś mojej żonie, a teraz przekonują mnie, że nigdy jej tu nie było.

Miotam się, a mój głos przechodzi w rozpaczliwy pisk.

– Proszę się uspokoić – mówi rudowłosy policjant. Prawą dłoń kładzie odruchowo na kaburze z bronią, lewą zaś wyciąga przed siebie, chcąc mnie przywołać do porządku.

– Wykasowali wszystkie nagrania, na których było ją widać, a później zabrali jej rzeczy, by jeszcze bardziej namieszać mi w głowie.

Podchodzę do nich z desperacją wypisaną na twarzy, wymachując rękami, jakby dzięki temu moje słowa mogły lepiej trafić do odbiorców.

– Proszę się odsunąć! – powtarza funkcjonariusz, tym razem bardziej stanowczo, najwyraźniej obawiając się, że zamierzam go zaatakować.

Unoszę obie dłonie.

– Nie jestem szaleńcem – tłumaczę. – Musicie zrozumieć, to oni są źli, nie ja. Wszyscy tutaj są w zмовie. Pokojówka, ochroniarz...

– Panie Engel... – przerywa mi Serafin, ale nie pozwalam jej dokończyć.

– Nie dam się uciszyć! Mam tego dość, chcę odzyskać swoją żonę i wrócić do domu.

Rosły policjant mruży oczy.

– O czym on, do cholery, mówi? – zwraca się do Łucji, jednak zanim menadżerka zdąży odpowiedzieć, wchodzi jej w słowo:

– To wszystko ich sprawka! – Wskazuję ją palcem. – Chcą odwrócić kota ogonem i ukryć to, co się tu naprawdę wydarzyło. Nie możecie im wierzyć.

– Wystarczy! – Serafin podnosi głos tak, że natychmiast cichnę, po czym dodaje spokojniej: – Panowie przyjechali tu w sprawie kradzieży samochodu z ubiegłego tygodnia. Nie wiedzą nic na temat pańskiej żony.

Zdezorientowany przesuwam wzrokiem po równie zdziwionych twarzach funkcjonariuszy. Wstyd pali mnie za mostkiem jak najgorsza zgaga. Moja dotychczas wojowniczo wypięta pierś opada, a ja czuję, że zrobiłem z siebie idiotę.

– Powie nam pan, o co tutaj chodzi? – dopytuje niższy policjant.

Kiwam twierdząco głową.

– Przyjechałem do hotelu z żoną wczoraj po południu. Kiedy obudziłem się dzisiaj, Niny już nie było. Zniknęły też wszystkie jej rzeczy.

– Może po prostu wyjechała? – sugeruje funkcjonariusz.

– Nie zrobiłaby tego. To miał być nasz romantyczny wypad, pierwszy od dawna. Sama go zaplanowała. Za nic w świecie nie zrezygnowałaby z czegoś, na co tak bardzo się cieszyła. – Słyszę, jak łamie mi się głos.

Spoglądam na Łucję, której zaciśnięte usta zdradzają niezadowolenie.

– Czy przed zniknięciem żony doszło między wami do jakiejś sprzeczki? – pyta postawny policjant.

– Nie. Spędziliśmy ze sobą naprawdę miły wieczór.

– Próbował pan się z nią kontaktować?

– Nina nie zabrała ze sobą telefonu.

Mężczyźni wymieniają spojrzenia, a ja usiłuję odgadnąć, co to oznacza.

– A co z jej przyjaciółmi, rodziną? Ktoś może wiedzieć, dokąd mogła pojechać?

– Mówię panom, że ona nigdzie nie wyjechała.

Nerwowo ściskam płatek ucha. Ból głowy, jakby dziobały ją wrony, przyprawia o mdłości. Policjant o rudej brodzie drapie zarost, lustrując przeszywającym spojrzeniem Serafin i Hańczę, po czym zwraca się do mnie:

– Gdzie po raz ostatni widział pan żonę?

– W naszym apartamencie. Tutaj. – Wskazuję budynek za moimi plecami.

– To niemożliwe – wtrąca Łucja – ponieważ tej kobiety nigdy nie było w naszym hotelu.

– Jak pani śmie? – Patrzę na nią z wyrzutem, ale ona tylko kręci głową i odwraca wzrok.

Policjanci sprawiają wrażenie zagubionych.

– Chwila. – Funkcjonariusz z brodą unosi rękę, by nas zatrzymać. – Co się tu, do licha, wyprawia? To w końcu ta kobieta przyjechała z panem czy nie?

– Tak! – upieram się, gdy w tej samej chwili Serafin wyrzuca z siebie ostre „nie”, które ignoruję i oznajmiam z największym przekonaniem, na jakie w tej chwili mnie stać: – Moja żona była tu ze mną, ale hotel tak bardzo dba o swoją reputację, że tuszuje fakty. Nina jest w ciąży i tylko to się liczy. Chcę złożyć zawiadomienie o jej zaginięciu.

\*

Wsiadając do samochodu, niedbale rzucam płaszcz na siedzenie pasażera, a następnie mocno trzaskam drzwiami i natychmiast tego żałuję, bo uderzenie wywołuje w mojej głowie lawinę bólu. Uspokajam oddech, a gdy dżganie w potylicy słabnie, wpisuję adres komisariatu do nawigacji. Myśl o tym, że zniknięciem Niny zajmie się policja, mnie uspokaja, wreszcie nie czuję się w tej walce sam. Funkcjonariusze sprawiali wrażenie dociekliwych, na pewno sprawdzą wszystkie tropy i zweryfikują wiarygodność nagrań monitoringu, pocieszam się.

Po ciemnym niebie nad hotelem pędzą gnane wiatrem sine obłoki. Jakaś rodzina z dwójką dzieci wysiada właśnie z volkswagena. Dwóch chłopców, nie zważając na wołanie rodziców, radośnie biegnie w stronę

wejścia do Wichrowych Wzgórz. Malcy popychają się, lawirując między samochodami, i tylko ich białe czupryny wystają niekiedy zza karoserii mijanych aut. Pewien, że już mnie minęli, ostrożnie zaczynam wycofywać, ale dokładnie w chwili, gdy wytaczam się na ulicę, jedno z dzieci przebiega tuż za moim tylnym zderzakiem.

– Cholera jasna! – Wciskam gwałtownie hamulec, cudem unikając zderzenia.

Dzieciak jednak nawet nie zauważa tego, co się stało. Beztrosko biegnie dalej, przeskakując z nogi na nogę, jakby tańczył w balecie, i po chwili dołącza do brata, który otwiera już drzwi do hotelu. Ojciec chłopców, przechodzący akurat obok mojej insignii, przystaje i puka w okno. Opuszczam szybę, wnioskuje z jego marsowej miny, że raczej nie zamierza życzyć mi szerokiej drogi. Nabieram tchu, a później, siląc się na uprzejmy ton, mówię:

– Dobry wieczór.

– Kto panu dał prawo jazdy?! Prawie mi pan przejechał dziecko! – Rusza do ataku bez uprzedzenia.

– Nie miałem szansy zobaczyć go wcześniej. Wyskoczył zza samochodu w ostatniej chwili.

– To może trzeba jeździć wolniej, to parking, a nie tor wyścigowy. Jak coś się komuś stanie, to będzie pana wina – mówi, wygrażając palcem.

Mam ochotę się wytłumaczyć, podkreślić, że przecież uważałem, ale słowa o winie, które padły z jego ust, odtwarzają się w mojej głowie niczym zdarta płyta. Nie myślę jednak o synach tego mężczyzny, ale o mojej żonie i o tym, że jeśli spotka ją cokolwiek złego, do końca swoich dni będę się czuł za to odpowiedzialny. Ojciec chłopców, najwyraźniej zniechęcony oczekiwaniem na odpowiedź, bąka coś pod nosem i poirytowany odchodzi.

Ja tymczasem schylam się po uchwyt na telefon, który odkleił się od deski rozdzielczej na skutek gwałtownego hamowania i razem z komórką wturlał pod fotel pasażera. Moje palce usiłują namacać znajomy kształt, gdy natrafiają na coś twardego i gładkiego. Zaintrygowany marszczę brwi, po czym zniżam się jeszcze bardziej, by sięgnąć po wymykający się przedmiot, i w końcu wyłuskuję go spod fotela.

Trzymam w dłoni bladnoróżowy dziennik Niny, w którym wieczorami przed zaśnięciem, opatulona w kołdrę, robiła sekretne notatki. Serce zaczyna mi szybciej bić, a ciało oblewa fala gorąca, ponieważ ten notes to dowód na to, że Nina przyjechała razem ze mną do hotelu. Musiał wypaść, kiedy zahamowałem gwałtownie, a torebka żony spadła na podłogę. Wprawdzie pozbierała wtedy rozsypane przedmioty, ale tę jedną rzecz przeoczyła. Dzięki temu, że notatnik leżał wciśnięty głęboko pod fotel, ktoś, kto zacierał ślady obecności Niny w Wichrowych Wzgórzach, nie miał szansy go znaleźć. Pytanie tylko, dlaczego ona sama, poszukując telefonu, nie natknęła się na notes?

W zamyśleniu odchyłam okładkę. Na widok pisma żony uśmiecham się, jakbym wygrał los na loterii, a później przerzucam kartki do najświeższego wpisu. Pochodzi z dnia, w którym wyjechaliśmy z Warszawy do hotelu. Nina najpewniej przygotowała go rano, jeszcze w domu swojej matki, bo nie widziałem, by później miała w dłoniach dziennik. Litery są równe, okrągłe i drobne. Dokładnie takie, jakie znam z liścików, które zostawiała mi na lodówce. Tyle że zapiski, które znajdują się w notatniku o bladnoróżowej okładce, mają dużo bardziej prywatny charakter i zanim zacznę je czytać, po raz kolejny zadaję sobie pytanie, czy mam prawo to robić.

Czuję, jakbym naruszał jakieś niepisane zasady, bez zapowiedzi wdzierał się do intymnego świata jej myśli. I choć doskonale znam swoją żonę, to gdzieś we mnie odzywa się cichy głos pytający „a co, jeśli okaże się, że nie?”. Przecież już raz ukryła przede mną informację – o ciąży i o zakończeniu współpracy z teatrem. Kto wie, czy nie ma więcej tajemnic, myślę.

Niewiedza zawsze zostawia człowiekowi nadzieję. Pozwala się oszukiwać, a prawda odbiera te złudzenia. Z napięcia drapie mnie w gardle. Zapalam lampkę przy lusterku i nabrawszy tchu, zaczynam czytać.

*Niektórzy wierzą, że należy wyrzec się tego, co kochamy najbardziej, bo właśnie to nas zniszczy. Czy ze mną też tak będzie? Muszę powiedzieć Tomaszowi o dziecku, zwlekałam z tym już zbyt długo. Myślałam, że*

*z czasem będzie łatwiej, a strach stopnieje, ale im dłużej czekam, tym trudniej znaleźć mi odpowiednie słowa, by wyjaśnić, dlaczego ukrywałam to przez cały ten czas. Jakbym z każdym dniem coraz głębiej zapadała się w grząskie mokradło, z którego za chwilę nie zdołam już wyjść. Tak bardzo się boję złości i rozczarowania Tomasza. Tego, że mnie odepchnie, a po tej rozmowie nas już nie będzie.*

*Czasami w nocy słyszę, jak mój mąż mówi przez sen. Powtarza wtedy słowa własnego ojca, pełne nienawiści i gniewu, jakby na nowo przeżywał swoje koszmarne dzieciństwo. Podniesiony głos, codzienne poniżanie i tak wygórowane oczekiwania, że nikt nie byłby im w stanie sprostać, a już na pewno nie dziecko. Tomasz nigdy nie chciał o tym rozmawiać. Zamykał problem w sobie jak w sejfie, ale on wyciekał przez najdrobniejsze szczeliny i znajdował ujście w snach. Nie wspominałam mu o tym, by go nie denerwować. Wiem, że musi się teraz skupić na książce.*

*Mój mąż wierzy, że dziecko odstania to, kim ludzie są naprawdę. Kończy się uciekanie przed sobą samym i demonami, które przez lata udawało się jakoś trzymać zamknięte w piwnicy. Trzeba się wreszcie zmierzyć z tym, co trudne, a Tomasz zrobi wszystko, by nie musieć wracać do wspomnień, od których od tak dawna ucieka. Nie cofnie się przed niczym, byle tylko nie poznać odpowiedzi na pytanie, czy mieszka w nim ten sam potwór, który żył w jego ojcu.*

*I choć do niedawna wierzyłam, że tak nie jest, to ostatnio sama zaczynam się nad tym zastanawiać, bo człowiek, który nocami przemawia przez jego usta, coraz bardziej mnie przeraża.*

Ręce z notatnikiem opadają mi na kolana. Przedmiot, który miał być dowodem obecności Niny w hotelu, stał się świadectwem moich niewyleczonych traum. Patrzę przed siebie jak człowiek pogrążony w apatii, nie zważając na ryk klaksonu dobiegający z samochodu za mną. Włączony silnik insignii przyjemnie pomrukuje, ale teraz ten odgłos drażni jak uporczywe tykanie zegara.

Nie miałem pojęcia, że mówię przez sen. Na myśl o lęku, który musiała przeżywać Nina, moim ciałem wstrząsa dreszcz. Desperacko

przerzucam kolejne strony dziennika, by dowiedzieć się, co dokładnie wymykało się ze mnie nocami, ale nie znajduję zbyt wiele informacji na ten temat. Czytam za to o tym, jak się poznaliśmy, o listach, które jej podarowałem, o naszych zaręczynach, a także o wspierającej ją przyjaciółce, o której istnieniu nie miałem pojęcia. Zachowuję się jak podglądacz, bez zgody wdzierający się w najskrytsze myśli żony. Kiedy odkrywam, że Nina była świadoma moich problemów z pisaniem, zaciskam palce na okładce dziennika. Tuż przed ostatnim wpisem brakuje trzech kartek. Zostały po nich tylko poszarpane skrawki papieru, jakby ktoś wyrywał je niestarannie i w pośpiechu. Ze smutkiem stwierdzam, jak wielu rzeczy nie wiedziałem o żonie, a w moich ustach rozlewa się cierpki smak wyrzutów sumienia.

Dociera do mnie, że można patrzeć na kogoś codziennie i wcale go nie widzieć.





Poczekalnia na komisariacie ma w sobie ponurą aurę, podobną do tej, która zwykle panuje w starych przychodniach szpitalnych z wytartą od setek stóp posadzką, farbą odłóżącą ze ścian i drewnianymi ławami, trzeszczącymi, ilekroć ktoś na nich siada. Tu również wszyscy mówią przyciszonym głosem, na szarych, zmęczonych twarzach widać napięcie, a nerwowe oczekiwanie sprawia, że gdy tylko trzaskają jakieś drzwi albo odzywa się dzwonek telefonu, ludzie podrywają się z miejsca. Jest duszno, w powietrzu dominuje ciężki zapach potu wymieszany z wonią taniej wody kolońskiej.

Wysłuchany w odgłos policyjnych butów uderzających o podłogę, kręcę obrączką na palcu. Pośladki cierpną mi od przedłużającego się siedzenia na drewnianej ławie, gdy czekam, aż funkcjonariusze zweryfikują informacje, które im podałem. W ciągu ostatniej godziny dwukrotnie opisałem nasz wyjazd do hotelu. To, co robiliśmy z żoną, w co była ubrana, gdy zasypiałem obok niej, i jaki miała nastrój. Starłem się nie uronić żadnego szczegółu, w nadziei, że to pomoże szybciej odnaleźć Ninę. Nie pominąłem nawet rozmowy z Wiktorem Abartem, choć mocno okroiłem jego wątek, by nie odwracać uwagi od tego, co najważniejsze. Aspiranci Kania i Miłoszewski, przybierając poważne miny, robili notatki, a przy tym zadawali dociekliwe pytania, ale i tak wyczuwałem ich sceptycyzm. W zderzeniu z nagraniami, które dostali od Łucji Serafin, wychodziłem na człowieka pielęgnującego swoje urojenia. Ona miała niepodważalne dowody, ja tylko garść wspomnień blaknących jak oczy starych ludzi i notatnik, o którego istnieniu wolałem nie wspominać.

Muszę się opanować, powtarzam sobie, gdy w poczekalni przerażenie dławi mnie w gardle.

Jest już po ósmej, kiedy rudowłosy aspirant Miłoszewski zaprasza mnie ponownie do ciasnego boksu odgradzonego od biurek pozostałych policjantów cienką pleksi o mlecznym kolorze, oklejoną żółtymi karteczkami i ozdobioną dwoma rodzinnymi zdjęciami.

– Proszę usiąść – mówi, gdy tymczasem jego wysoki kolega wyjmując kilka białych kartek z drukarki.

Posłusznie zajmuję miejsce, w napięciu przełykając ślinę. Twarze funkcjonariuszy mają zagadkowy wyraz, jakby ktoś starł z nich gumką wszystkie ludzkie emocje i zostawił tylko obojętne rysy, które przypominają puste oblicza sklepowych manekinów. Denerwuję się, przez co zaczynam coraz płycej oddychać oraz intensywniej mrugać.

– Czy coś udało się ustalić? – wykrztuszam z trudem.

Aspirant Kania, przerzucając kartki, wydyma usta i powoli kiwa głową niczym jeden z tych samochodowych piesków, które w latach osiemdziesiątych były kultowymi gadżetami kierowców.

– Tak – oznajmia, po czym przesuwając wydruk w moją stronę, bym mógł się z nim zapoznać.

Przebiegam wzrokiem po kolejnych liniach tekstu, pewien, że błędę.

– W dwa tysiące trzecim zatrzymano pana prawo jazdy za kierowanie samochodem w stanie nietrzeźwości. Miał pan prawie promil alkoholu we krwi i stwarzał zagrożenie dla innych kierujących oraz pieszych.

– To było szesnaście lat temu, tuż po śmierci mojej pierwszej żony. Od tamtej pory właściwie nie piję. Byłem wtedy rozbity, nie radziłem sobie z żałobą – tłumaczę, dostrzegając wyraźne zaciekawienie Miłoszewskiego, który sięga po notes i zapisuje w nim kilka słów, a następnie dyskretnie pokazuje notatkę koledze. – Tamta sytuacja nie ma nic wspólnego z zaginięciem Niny.

– Poza jednym drobnym faktem: zarówno wtedy, jak i minionej nocy pił pan alkohol – podkreśla Kania i kładzie na biurku wydrukowany kadr z hotelowego monitoringu, na którym wlewam w siebie whiskey. – Pracownik, który pana obsługiwał, twierdzi, że ledwie trafił pan w drzwi windy, a nagrania z kamer tylko potwierdzają pańskie problemy z, nazwijmy to, utrzymaniem równowagi. – Palcami rysuje w powietrzu znak cudzysłowu.

– To nie tak, po prostu dawno nie piłem, a mój organizm słabo toleruje alkohol. Szczególnie gdy jestem zmęczony, wtedy wystarczy lampka wina, bym czuł się i wyglądał jak pijany.

– Aż strach pomyśleć, co się stanie, jeśli po alkoholu zapali pan trawkę, bo z tego, co ustaliliśmy, lubi pan takie połączenia, prawda?

Zaciskam dłonie w pięści.

– Nie – panicznie zaprzeczam. – Zabrałem ze sobą tylko jednego skręta, to marihuana lecznicza, przepisana mi przez neurologa na dokuczliwe bóle głowy. Wziąłem ją, na wypadek gdybym nie mógł wytrzymać kolejnego ataku migreny.

Kania stuka palcem w kartkę i podaje mi długopis.

– Niech pan zapisze dane tego neurologa i nazwę szpitala, w którym przyjmuje.

Wzdycham, ale robię wszystko, o co prosi.

– Nie rozumiem, do czego panowie zmierzają – mówię, za wszelką cenę starając się ukryć narastającą we mnie irytację, co wychodzi mi raczej kiepsko. – Po co te wszystkie dziwne pytania?

Aspirant Miłoszewski, który dotychczas opierał się plecami o parapet, podchodzi bliżej, gładzi swoją rudą brodę, a później kładzie dłonie na biurku, przyszpila mnie wzrokiem i wreszcie mówi:

– Matka pana żony poświadcza, że w piątek rano jej córka wsiadła do pańskiego samochodu. Wie, że mieliście jechać do hotelu, gdzie żona planowała powiedzieć panu o ciąży, czego, jak twierdzi kobieta, jej córka poważnie się obawiała. Wyjaśni nam pan dlaczego?

Ton policjanta mnie drażni. Wiercę się niespokojnie na krześle, szczególnie że nad biurkiem dostrzegam zdjęcie Kani z żoną i trójką dzieci.

– Nie planowaliśmy potomstwa. Może myślała, że nie będę zadowolony.

– A był pan?

– Nie. To znaczy... – płaczę się w odpowiedzi. – Nina nie zdążyła mi powiedzieć o ciąży. Znalazłem wydruk USG ze szpitala w jej rzeczach, a następnego dnia, gdy chciałem z nią o tym porozmawiać, zniknęła.

Z ust aspiranta Miłoszewskiego wydobywa się znaczące mruknięcie. Patrzy na mnie jak na coś obrzydliwego, co przykleiło się mu do buta, a ja mam wrażenie, że pot spływa z moich pleców i tworzy pod krzesłem coraz większą kałużę.

– Jest jeszcze jedna rzecz – kontynuuje funkcjonariusz. – Dość dziwna i zastanawiająca. Pańska teściowa nie może znaleźć w domu telefonu córki. Sprawdziliśmy u operatora, że ostatnio logował się do stacji bazowej w tamtej okolicy, ale wkrótce po tym, jak odebrał pan żonę od matki, jej komórka została wyłączona.

Patrzę na niego oszołomiony, mrużąc oczy, jakbym starał się nadażyć za tokiem rozumowania policjanta.

– Nie jestem pewien, do czego to wszystko zmierza i w jaki sposób ma pomóc odnaleźć Ninę.

Aspirant Kania odchrząkuje.

– Widzi pan, według nas Nina Engel nigdy nie weszła do Wichrowych Wzgórz. Oczywiście przesłaliśmy kolegom z GOPR-u jej zdjęcie z prośbą o wsparcie, ale uważamy, że coś musiało się wydarzyć wcześniej. Między momentem, gdy odebrał pan żonę, a pańskim przyjazdem do hotelu. – Zawiesza głos, szukając w mojej twarzy reakcji na swoje słowa, ale gdy tkwię w miejscu nieruchomo niczym rzeźba, kontynuuje: – Być może w samochodzie doszło między wami do kłótni, powiedział pan o słowo za dużo i żona wysiadła. Chciała być sama, wyłączyła telefon, a potem zapadła się pod ziemię, by mieć święty spokój i móc sobie to wszystko poukładać. Tyle że pana to zadręczało i po nocy picia, nie mogąc się pogodzić z tym, jak postąpiła, wymyślił pan tę całą bajeczkę o zaginięciu, bo sam nie potrafił jej pan odnaleźć.

– To nieprawda – bronię się. – Nina była ze mną w hotelu, przysięgam.

– Nikt jej nie widział. Szefostwo hotelu rozmawiało z każdym, kto pracował tamtego dnia.

– Kłamią.

Nerwowo uderzam pięściami o blat biurka.

– Wszyscy? Chce nam pan wmówić, że kilkanaście osób zawiązało przeciwko panu spisek? W jakim celu mieliby to robić?

– Żeby ukryć to, co się naprawdę stało z Niną.

– Czyli co?

Nie odpowiadam na to pytanie. Nie dlatego, że trudno mi wymyślić możliwy przebieg zdarzeń, ale ponieważ orientuję się, iż biorę udział w z góry ustawionej grze, w której to ja mam przegrać. Opieram czoło na dłoniach i mamroczę pod nosem ledwie słyszalne „to bez sensu”.

Przytłaczająca bezradność oraz świadomość, że zostałem z tym sam i nie mogę na nikogo liczyć, gryzą mnie niczym piranie. Garbię się, jakbym gwał plecy pod ogromnym ciężarem, który ktoś nieproszenie zarzucił mi na plecy.

– Bierzemy pod uwagę także inny scenariusz – kontynuuje Kania, rozbudzając nadzieję, którą równie szybko gasi. – Ale obawiam się, że ten jeszcze mniej się panu spodoba.

Mężczyźni zerkają po sobie i gdy aspirant Miłoszewski skinieniem daje znać koledze, by mówił, a tamten rozchyła usta, do boksu niespodziewanie podbiega policjantka, którą widziałem wcześniej w dyżurce. Na jej twarzy maluje się popłoch, a dłonie mną cienki notes w czarnych okładkach.

– Dzwonili z tego hotelu nad Modrzewiówką – informuje. – Podobno ochroniarz, który robił wieczorną rundkę wokół zbiornika, zauważył, że jedna z furtek w siatce otaczającej zalew ma uszkodzony zamek, a nie powinno tak być, bo tam wstęp mają tylko osoby upoważnione.

– To niech go sobie naprawią – odburkuje Kania.

– Nie w tym rzecz. Po drugiej stronie w zaroślach znaleźli jakieś ubranie zaczepione o gałęzie. Twierdzą, że to dziwne i może oznaczać, że jednak ktoś niepowołany tam wchodził. Kobieta, która dzwoniła, upierała się, by jak najszybciej wam to przekazać.

– Czy wspomniała może, jakiego koloru było to ubranie? – wtrącam rozgorączkowany, przywołując w wyobraźni halkę, w której Nina zasypiała tamtego wieczoru.

To jeden z tych momentów, gdy chcę usłyszeć konkretną odpowiedź, a jednocześnie bardzo się jej boję, bo gdy padnie, będę musiał udźwignąć konsekwencje, które ze sobą niesie. Moje serce uderza coraz szybciej, a jego rytm przypomina szalone werble.

– Chyba żółty, a może czerwony, nie jestem pewna, przez ten wiatr trochę przerywało. – Funkcjonariuszka ściąga brwi w zamyśleniu. – Raczej czerwony.

W tej krótkiej chwili niepewności, nim ruszymy nad zalew, dociera do mnie, że wolałbym jednak, by to Łucja Serafin miała rację, a wszystko, co pamiętam, okazało się złudzeniem, majakiem faceta z zaburzeniami świadomości.

Tylko czy nie jest już za późno, by zawrócić bieg zdarzeń? W życiu zawsze jest na coś za późno albo za wcześnie, tak niewiele rzeczy wydarza się dokładnie wtedy, gdy trzeba. Moje myśli biegną do minionej nocy, kiedy wróciłem do łóżka i objąłem Ninę. Pachniała słodko, a jej ciało otulała halka z jedwabiu, którą dostała ode mnie w prezencie. Pamiętam, że początkowo chciałem wybrać czarną, ale ekspedientka zapewniała, iż czerwona dużo bardziej spodoba się Ninie.

Żałuję, że dałem się jej namówić.



Z pamiętnika Niny:

*Sierpień 2016 r.*

*W drodze do mojej matki oboje byliśmy spięci. Tomasz nerwowo odchrząkiwał, ja skubałam nitkę wystającą ze spódnicy. Podróż mijała nam w ciszy, a kiedy wreszcie wysiedliśmy pod domem, w którym się wychowałam, poczułam, że z niepokoju drżą mi dłonie. To dobra kobieta, kocha mnie najbardziej na świecie, powtarzałam sobie, ale jednocześnie miałam świadomość, iż z jakiegoś powodu mama od początku była uprzedzona do Tomasza. Według niej zainteresowałam się nim tylko dlatego, że w moim życiu brakowało ojca i z powodu niezaleczonych jeszcze ran po poprzednim związku.*

*– Może powiesz jej, że się rozchorowałem? – spytał Tomek, gdy stanęliśmy pod drzwiami.*

*– Za późno – rzuciłam dokładnie w chwili, gdy klamka drgnęła i matka zaprosiła nas do środka.*

*Przy obiedzie poruszaliśmy bezpieczne tematy, nie chcąc, by ktoś zakrztusił się zapiekanką przygotowaną przez mamę. Trajkotałam jak najęta, byle tylko wypełnić słowami niezręczną ciszę. Moja dłoń instynktownie sięgała po butelkę czerwonego wina, którym uzupełniałam kieliszek swój i matki. Kiedy dotarliśmy do deseru, zauważyłam, że słowa, które wypowiadam, brzmią stanowczo zbyt*

głośno, a ja śmieję się zdecydowanie za często, nawet gdy nikt nie mówi nic zabawnego.

Tomasz dawał mi dyskretne znaki. Uderzał mnie kolanem pod stołem albo dobitnie pytał, czy to nie pora na herbatę, ale ja byłam tak przejęta tym, co miało nastąpić, że dotyk szkła i smak cabernet sauvignon na języku ratowały mnie przed niechybnym zawałem serca. Wreszcie przy wiśniowej galaretkie z bitą śmietaną i czarnej herbacie nalewanej z imbryka Tomek przelknął głośno ślinę, odłożył łyżeczkę na spodek, po czym rzucił mi znaczące spojrzenie. Zanim zdążyłam oswoić się z myślą, że lada chwila padną słowa, po których atmosfera w pokoju się zmieni, on obwieścił:

– Pani Heleno, przyjechaliśmy tu, by poinformować, że jesteśmy zaręczeni. Wczoraj poprosiłem Ninę o rękę, a ona się zgodziła.

Z dumą zaprezentowałam delikatny pierścionek z niewielkim diamentem, ale moja matka jakby go nie dostrzegła. Cisza, która zapadła w pokoju, sprawiała wrażenie duszącej. Zastygliśmy przy stole niczym woskowe figury i tylko tykanie starego zegara z wahadłem uświadamiało nam, że czas się nie zatrzymał. Przez kilka chwil siedzieliśmy nieruchomo, wpatrzeni w kolekcję porcelany wyeksponowaną na regale. Mama, ściskając w palcach filiżankę, lustrowała spojrzeniem Tomasza, który sprawiał wrażenie, jakby przestał oddychać. W końcu odchrząknęła i zwróciła się do mnie:

– Możemy porozmawiać na osobności?

Wstała od stołu, szurając krzesłem, a ja podążyłam za nią. Kiedy usiadła w sypialni, na łóżku przykrytym kolorową narzutą, wydawała się taka drobna i krucha. Zajęłam miejsce obok niej, czując, jak sprężyny materaca ze skrzypieniem uginają się pod nami. Matka chwyciła w pomarszczone, naznaczone brązowymi plamami dłonie moje ręce i ze smutkiem spojrzała mi w oczy.

– Jesteś tego pewna? – spytała. – Co ty właściwie o nim wiesz? Znaie się ledwie pół roku.

– Wiem, że to dobry człowiek. Troskliwy, mądry, czasem nawet zabawny. Dobrze mi z nim.

– Na litość boską, Nina, on jest starszy od ciebie o piętnaście lat! – Wyrwała dłonie. – Zanim się obejrzysz, staniesz się jego opiekunką. Naprawdę chcesz tak żyć?

Nabrałam tchu, pocierając zmęczone z niewyspania powieki.

– Przerabiałymy to już tysiąc razy. Daj spokój.

Matka odwróciła wzrok w stronę okna, miętosząc w palcach zwisające z szyi korale ze sztucznych pereł.

– Nie ufam mu – rzuciła wreszcie krótko.

– Niby dlaczego?

– Nie umiem tego wyjaśnić, po prostu tak czuję. Widzę, jak dba o ciebie, wiem, że jest miły i pomocny, ale to wszystko jest jakby za bardzo. Jak sztuczny miód, słodki, a jednak nieprawdziwy.

Od jej słów zrobiło mi się gorąco. Zapach perfum matki nagle zaczął gryźć mnie w gardle, a szmer jej oddechu drażnić. Poirytowana wstałam z łóżka.

– Mam nadzieję, że w końcu się do niego przekonasz – powiedziałam, splatając ręce na piersi, po czym ruszyłam do wyjścia, czując znajome szczypanie pod powiekami.

Gdy znalazłam się przy drzwiach, dobiegł mnie głos mamy:

– Jak dużo wiesz o śmierci jego pierwszej żony?

Odwróciłam się gwałtownie.

– Przestań. To był nieszczęśliwy wypadek.

Matka zmrużyła powieki i spojrzała na mnie poważnie.

– Jesteś tego pewna?

Złość, która dotychczas jedynie tliła się gdzieś pod skórą, wybuchła we mnie z mocą wulkanu. Wyszłam z pokoju, trzaskając drzwiami tak mocno, że ramka ze zdjęciem spadła z regału. Za splekanym szkłem mała dziewczynka siedziała na kolanach mamy. Kobiety, która była gotowa zrobić wszystko, by chronić swoją córkę.





Nie jestem specjalnie religijny. Powiedzmy, że po doświadczeniach, jakie zaserwowali mi rodzice, gorliwi katolicy, miałem wszelkie podstawy, by zwątpić w istnienie Boga. Bo który bóg każe przyjść dziecku na świat w rodzinie, w której zamiast miłością obdarza się je nienawiścią? Chyba tylko głuchy i ślepy. Nie chciałem modlić się do kogoś takiego i kiedy rodzice prowadzali mnie do kościoła, uciekałem myślami do lepszych miejsc, udając, że odmawiam pacierze. Najbardziej z tamtych dni zapamiętałem dudnienie, które niosło się po kaplicy, gdy wierni bili pięściami w piersi, chórem krzycząc: „Moja wina, moja bardzo wielka wina”. Teraz, gdy jadę nad zalew, te słowa brzmią echem w mojej głowie.

A może jestem winny? Żołądek pełen ołowiu oraz pęczniejąca gula w gardle uświadamiają mi, że nie ma już ucieczki od odpowiedzialności. Zostawiłem żonę, poszedłem do baru i wypilem wystarczająco dużo, by nie słyszeć, jak wychodziła z pokoju. Gdybym został, gdybym nie sięgnął po whiskey, nie musiałbym się teraz zastanawiać, czy ubranie znalezione przy zbiorniku to halka Niny. Jeśli okaże się, że nią rzeczywiście jest, będę zmuszony odpowiedzieć sobie na pytanie, co tak naprawdę spotkało moją żonę, a tej odpowiedzi boję się najbardziej.

Kiedy dojeżdżam na miejsce, w stronę zalewu zmierzają już aspiranci Kania i Miłoszewski, a wraz z nimi funkcjonariusz o skupionej bladej twarzy, z potężnym owczarkiem niemieckim na smyczy.

– Niech pan tu zostanie – rzuca przewodnik psa, groźnie wymachując palcem.

Przezornie zatrzymuję się przy ogrodzeniu, obserwując dwóch aspirantów z latarkami, funkcjonariusza z psem i towarzyszącego im pracownika ochrony zalewu. Policjanci brodzą wśród wysokich traw i krzewów, a ich dłonie obleczone w lateksowe rękawiczki rozgarniają zarośla. Światła latarek dźgają ciemność. Gdzieś w oddali pohukuje sowa. Starszy mężczyzna w narzuconej na polar wędkarskiej kamizelce wskazuje dłonią kierunek, dokąd udaje się przewodnik z tropicielem o imieniu Dexter. Pies węszy i po chwili zaczyna szczekać.

Nabieram tchu, zaciskając dłonie na siatce ogrodzenia. Tuż obok mnie niespodziewanie wyrasta Łucja Serafin, ubrana jedynie w garsonkę. W milczeniu tupie nogami, jakby chciała się rozgrzać. Jej

szpilki grzęzną w miękkim podłożu, ale zdaje się tego nie zauważać. Obłoczki naszych ciepłych oddechów tańczą na tle czarnego nieba. Zimno przenika do szpiku, a ostry wiatr wkłuwa się w kark tysiącami maleńkich igieł.

Widzę, jak aspirant Miłoszewski dłońmi w rękawiczkach podnosi żółty fragment materiału we wzory, chowa go do foliowego worka, po czym odruchowo spogląda na mnie. Mam wrażenie, że czas staje w miejscu, a świat znika. W takich chwilach niektórzy są gotowi obiecać wiele, byle tylko dostać to, czego pragną. Przymierzają, że zmienią swoje życie i od tej pory staną się lepsi, bardziej kochający, mniej egocentryczni. To jak targi z losem. Ludzie w desperacji, umierający ze strachu o bliskich, proszą fortunę, by to ich ograbiła z przyszłych darów, a w zamian ocaliła ukochanych. Zawsze zastanawiałem się, co sam byłbym gotów oddać w takiej sytuacji. Teraz już wiem, że wszystko.

Zaczynam drżeć, bo choć nie jest to czerwona halka Niny, to nawet z tej odległości rozpoznaję jej żółtą apaszkę. Moje usta rozchylają się, by wypuścić ze środka ciche „nie, proszę, nie”, a Serafin, najpewniej chcąc okazać wsparcie, wykonuje krok w moim kierunku, lecz na widok szklanych oczu przystaje. Policjant podchodzi bliżej, by pokazać mi znalezisko.

– Czy to należało do pana żony? – pyta.

Potwierdzam skinieniem.

– Czy mogę... – Wyciągam dłoń, by choć na chwilę dotknąć materiału, ale funkcjonariusz odsuwa worek i potrząsa głową.

– Przykro mi – mówi. – Kamil, dawaj tu Dextera.

Owczarek niemiecki na dźwięk swojego imienia strzyże uszami, podrywa się i szczeka z podekscytowania.

– Czekaj. – Przewodnik psa rzuca komendę i dopiero gdy zwierzak się uspokaja, podsuwa do jego pyska worek z apaszką, po czym mówi: – Szukaj.

Dexter robi kilka kroków najpierw w prawo, później w lewo, by wreszcie ruszyć w stronę ogrodzenia. Pulsujący ból głowy się nasila. Wiatr niesie echo słów Miłoszewskiego, który dzwoni do straży i pyta, czy na rano przyślą nurków do przeszukania zbiornika. Zwieram mocno szczęki, tak by rozpacz, która wypełnia mnie całego, nie wylała

się na zewnątrz, ponieważ mam wrażenie, że wszyscy byśmy w niej utonęli. Czy to możliwe, by Nina wyszła minionej nocy na samotny spacer wokół Modrzewiówki? A może ktoś ją tam zaprosił lub, co gorsza, uprowadził?

Wpatruję się w czarną toń zalewu, która teraz przypomina otwartą gardziel potwora, gotową wessać każdego, kto się do niej zbliży. Otchłań bez dna także mnie obserwuje, czuję to równie dotkliwie jak smutek i strach. Wyobrażam sobie, jak zimna musi być woda. Niemal widzę ją wdzierającą się brutalnie do ust mojej żony, a obraz ten jest tak realistyczny, że aż wstrząsa mną dreszcz i zaczynam krztusić się własną śliną.

Łucja Serafin omiata mnie chłodnym wzrokiem.

– Co wyście jej zrobili? – warczę oskarżycielsko, ale menadżerka tylko kręci głową z niedowierzaniem i odchodzi.

Razem z policjantami w napięciu podążamy za Dexterem, który doprowadza nas do budynku B. Menadżerka otwiera drzwi, a pies skręca w kierunku schodów przeciwpożarowych i wytrwale wspina się aż na trzecie piętro. Tam szczeknięciem prosi o wpuszczenie go na korytarz, po czym węsząc, zmierza w stronę naszego apartamentu. Krew płynąca w moich żyłach szumi niczym wartki górski strumień. Zakładam, że tropiciel zatrzyma się pod drzwiami pokoju, ale mija je niewzruszony, jakby nie wyczuwał tam obecności Niny. Zagubiony marszczę czoło, gdy tymczasem zwierzak kieruje się do zaułka w końcu korytarza. Policjanci przyspieszają kroku, a Dexter przystaje pod jedynymi na piętrze drzwiami, które nie zostały oznaczone numerem, i zaczyna ujadać.

– Co tam jest? – pyta aspirant Miłoszewski.

– Nic wielkiego, składzik na pościel, ręczniki... Wszystko, co przydaje się pokojówkom do pracy – wyjaśnia Serafin.

Mam wrażenie, że wąską szparą pod drzwiami schowka sączy się światło. Przypuszczam, że któraś z pracownic zapomniała je zgasić, ale gdy moich uszu dobiega delikatny stukot upadającego przedmiotu, jestem prawie pewien, że wewnątrz ktoś się kryje.

– Proszę otworzyć – żąda Kania, posyłając kobiecie ponagląjące spojrzenie.

Łucja drżącą ręką sięga po klucz master, odblokowujący wszystkie zamki w hotelu. Nosi go na żyłce przy pasku i z tego, co zdążyłem zaobserwować, pilnuje jak oka w głowie. Kiedy po chwili zamek wydaje z siebie zgrzytnięcie, kobieta pociąga za klamkę, a Dexter rzuca się do magazynku, dziko szczekając.

Wewnątrz z uniesionymi rękoma i kredowo białymi twarzami stoją: pokojówka, która rano sprzątała nasz apartament, oraz recepcjonista, Mariusz Duniec. Mężczyzna ma mokrą nogawkę spodni, a jego ciało się trzęsie.

– Nie... nie... niech pan za... za... zabierze tego psa – jąka się, błagając.

Klatka piersiowa mężczyzny faluje, dłonie drżą, a na czoło występują krople potu. Dopiero gdy przewodnik psa siłą odciąga Dextera, rysy recepcjonisty, zastygłe w grymasie przerażenia, nieznacznie miękną. Tropiciel jednak nie ustępuje, nadal wyrywa się do przodu, napinając smycz, jakby koniecznie chciał wejść do magazynku.

– Co wy tu robicie? – pyta z oburzeniem Serafin, wbijając spojrzenie w swoich pracowników.

Policzki pokojówki pokrywają się bordowym rumieńcem. Dziewczyna spuszcza głowę, a ja dostrzegam, że guziki jej uniformu są krzywo zapięte, włosy zaś potargane. Zerkam na Duńca, którego skórzana kurtka leży na podłodze. Biały podkoszulek opinający jego klatkę piersiową wydaje się włożony tył na przód.

– My... – zaczyna pokojówka, ale milknie, w zawstydzeniu wyłamując sobie palce.

– Uprawialiśmy seks – oznajmia otwarcie recepcjonista, na co Łucja wydaje z siebie jęk zgorznienia.

– Słucham? – unosi się. – Nie spodziewałam się tego po tobie, Kalina. Zapewniam, że oboje poniesiecie konsekwencje. – Wymownie przesuwając wzrokiem po swoich pracownikach, którzy przywołują na myśl skruszone dzieci, przyłapano na gorącym uczynku.

– Dobra, dość tego pajacowania – wtrąca wyraźnie zniecierpliwiony aspirant Miłoszewski. – Wyjdźcie na korytarz, musimy przeszukać składzik.

Pokojówka i Duniec ostrożnie omijają przewodnika z Dexterem, który reaguje na dziewczynę wzmożonym szczekaniem.

– Chyba mnie nie lubi – przebąkuje Kalina, nerwowo pocierając szyję.

Pies raz jeszcze dostaje do powąchania żółtą apaszkę, po czym wchodzi do schowka. Węszy z nosem przy ziemi, zagląda w zakamarki, na dłuższy czas zatrzymując się przy dużym bawełnianym worku, w jakich zwykle wozi się brudne pranie. I gdy jestem pewien, że lada chwila go przeszukamy, tropiciel traci zainteresowanie, a następnie wychodzi z magazynku i zaczyna warczeć na pokojówkę.

Kalina zastyga w bezruchu, a mięśnie jej twarzy się napinają. Aspirant Miłoszewski przygląda się dziewczynie nieufnym wzrokiem.

– Wie pani coś na temat tej apaszki? – pyta, pokazując worek.

Sparaliżowana strachem Kalina ledwie zauważalnie kiwa głową, gdy jej usta szepczą bezgłośnie „tak”. Opieram dłoń o ścianę, by utrzymać równowagę. Ból z tyłu głowy jest tak silny, że czuję się bliski omdlenia, a moje nogi gną się pod ciałem, jakby były z kartonu.

– My tam poszliśmy tylko na chwilę – rzuca dziewczyna, lękliwie spoglądając na Serafin. – Zamek w furtce był zepsuty i pomyśleliśmy, że byłoby miło przejść się brzegiem Modrzewiówki, choć jeden raz, a nie tylko podziwiać zalew z daleka.

– My, czyli kto? – weryfikuje policjant.

– To ja ją namówiłem – odzywa się Duniec. – Wczoraj w nocy, gdy ochroniarz zalewu wyszedł na obchód. Trasa wokół Modrzewiówki liczy sześć kilometrów, zwykle patrol zajmuje około godziny, więc tyle czasu mieliśmy na nasz spacer. – Przygryza wargę. – Nie robiliśmy tam nic złego, przysięgam, po prostu chcieliśmy potrzymać się za ręce z dala od hotelowych kamer i wścibskich spojrzeń.

Łucja Serafin kręci głową, jakby nadal nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Ściska nasadę nosa, po czym unosi głowę i wypuszcza powietrze w stronę sufitu, jak palacze, gdy wydmuchują dym.

– Trzeba było poobmacywać się w składziku – rzuca kąśliwie. – Na litość boską, nie widzieliście tablic z napisem „osobom nieupoważnionym wstęp wzbroniony”? Co wam strzeliło do głowy?!

– Nie my zepsuliśmy zamek w furtce – broni się recepcjonista.

– To was w żaden sposób nie usprawiedliwia – grzmi menadżerka. – A ta apaszka? Skąd się tam, do licha, wzięła?

– Należy do mnie – wyznaje Kalina. – W ostatniej chwili zauważyliśmy, że ochroniarz wraca z patrolu, i zaczęliśmy uciekać. Zgubiłam ją, kiedy biegnęliśmy, ale już nie było czasu, żeby tam wrócić.

Obserwuję tę scenę, walcząc z zawrotami głowy. Jakbym znajdował się na karuzeli, która ilekroć zwalnia, znów zostaje rozpedzona, a ja nie mam możliwości z niej zejść.

– To nieprawda – odzywam się drżącym głosem. – To apaszka mojej żony, dostała ją ode mnie na urodziny. Mogła ją pani ukraść z naszego pokoju, tak samo jak pozostałe rzeczy Niny – rzucam, czując narastający zamęt w głowie. – Wszyscy kłamiecie.

Policjanci wymieniają spojrzenia, po czym przewodnik psa zwraca się do mnie łagodnym tonem:

– Nie wydaje mi się, proszę pana. Dexter rzadko popełnia błędy, a tym razem ewidentnie wskazał na pokojówkę.

Mężczyzna mówi coś jeszcze, lecz jego słowa rozpadają się i nikną, jakby porywał je wiatr. Zauważam, że prawą dłoń przyciskam do piersi na wysokości serca. Za mostkiem odzywa się dokuczliwe pieczenie, tak silne, aż wydaję z siebie zduszone syknięcie. Głosy dyskusji giną w narastającym w moich uszach szumie. Ktoś mną potrząsa, a twarze Serafin i policjantów tańczą mi przed oczyma jak kolorowe szkiełka w kalejdoskopie. Jestem pewien, że zaraz stracę przytomność, dlatego niezgrabnie odpycham obce dłonie i chwiejnym krokiem idę przed siebie.

Kiedy wpadam do apartamentu, otwieram okno i zachłannie wciągam zimne powietrze. Kontury świata powoli nabierają ostrości, a ja przestaję się czuć jak na rozbujanej łajbie. Zmęczony osuwam się na podłogę i opieram wilgotne czoło na dłoni.

Niespodziewanie kąciki moich ust podnoszą się do wątego uśmiechu, ponieważ dociera do mnie, że jeśli apaszka nie należała do Niny, to istnieje jeszcze szansa na szczęśliwe zakończenie tego horroru, a los pozwolił mi jednak wytargować bezcenny zasób, którego teraz najbardziej potrzebuję.

Czas.



Większość ludzi po tak ciężkim dniu z przyjemnością położyłaby się w wygodnym hotelowym łóżku i natychmiast zasnęła, ale nie ja. Wiem, że będę mógł zapaść w sen, dopiero wtedy, gdy Nina wróci. Opieram policzek o chłodną szybę i spoglądam przez okno w ciemną toń zalewu. Obrazy zdarzeń minionych godzin osiadają w moim wnętrzu jak gęsty muł. Nie potrafię przegonić chmary niespokojnych myśli, które dopadają mnie niczym sfora wygłodniałych psów. Coś mi umyka, czuję to, ale im bardziej się miotam, tym obraz staje się mniej wyraźny.

Jutro z samego rana przyjadą nurkowie ze straży pożarnej, by zagłębić się w odmęty Modrzewiówki i poszukać mojej żony. Po tym, jak jedyny dowód obecności Niny w hotelu upadł, aspirant Miłoszewski chciał odwołać akcję, ale zdołałem go ubłagać, by tego nie robił. Przeważającym argumentem okazał się celowo zepsuty zamek w furtce, który mógł świadczyć o tym, że ktoś bez uprawnień dostał się na chroniony teren zbiornika, a tego nie wolno mu było zbagatelizować.

Kwadrans temu Łucja Serafin delikatnie zapukała do moich drzwi. Gdy je uchylilem, pierwszym, co przyszło mi na myśl, było to, że stres, którego doświadczyła, odcisnął na jej twarzy piętno, upodabniając ją do oblicza kogoś o wiele starszego. Uśmiechnęła się blado i nieprzekonująco. Wszystko w niej sprawiało wrażenie sztucznego. Troska, życzliwość, które prezentowała, były jedynie podróbkami prawdziwych uczuć.

– Jak się pan czuje? – zapytała.

A ja odparłem, że dobrze, choć było to wierutne kłamstwo i ona również zdawała sobie z tego sprawę. Przez chwilę rozmawialiśmy o tym, co zaszło, a gdy zapas grzecznościowych zwrotów się wyczerpał, rozmowa wygasła jak ognisko, do którego nikt nie ma już siły dokładać polan. Zamierzałem się pożegnać, gdy Łucja spojrzała na mnie z udawanym współczuciem.

– Pan naprawdę wierzy w to, że pana żona tu była?

Skinąłem głową, w myślach obiecując sobie, że nigdy więcej nie zaufam tej kobiecie.

– Jeśli jutro nurkowie nie znajdą niczego w zalewie, to co pan zrobi? Gdzie jest granica tego obłądu?

– Podobno szaleństwo nie ma granic – stwierdziłem cicho, rozkładając ręce w geście bezradności.

Ta rozmowa wraca do mnie, gdy z komputerem na ramieniu opuszczam pokój i ruszam korytarzem w stronę restauracji. Omiatam wzrokiem kolejne numery apartamentów, identyczne drzwi, za którymi w jednakowych łóżkach śpią nieświadomi mojego dramatu hotelowi goście. Niejasne zamglone wspomnienie, w jakiś sposób związane z korytarzami Wichrowych Wzgórz, nie daje mi spokoju. Wsłuchuję się w koncert nocnych dźwięków: skrzypnięć, szumu deszczu uderzającego o dach i gwizdu wiatru nad łąkami, przez co popadam w coraz większe przygnębienie.

Na dole, przy jednym z restauracyjnych stolików, na którym stoi pusta butelka po winie, zauważam Abarta. Zajmuje miejsce naprzeciwko kobiety w wieczorowej sukni. Nieznajoma błądzi wzrokiem po podłodze, jakby doszło między nimi do sprzeczki. Na jej policzkach widnieją ślady po łzach, a w dłoni kołysze się kieliszek z białym winem, który kobieta zachłannie opróżnia pomiędzy falami wyrzucanych płaczliwym głosem oskarżeń. Wiktor nie wydaje się tym wzruszony, z miną wyrażającą zdegustowanie, odchylony na krześle lustruje swoją towarzyszkę. Zimny i obojętny jak gład.

– Niczego ci nie obiecywałem – mówi do kobiety, a wtedy ona z rozczarowaniem potrząsa głową.

Nieznajoma wyłuskuje z torebki portfel, wściekle ciska na stół banknot stużłotowy, a pod nosem rzuca pełne pretensji „pierdol się” i wychodzi. To mnie zaciekawia, ale nie mam ochoty na kontakt z Abartem, dlatego pośpiesznie zajmuję miejsce w drugim końcu sali i ukrywam się za filarem.

Wybiła dziesiąta i kuchnia przyjmuje ostatnie zamówienia. Proszę kelnera o ciabattę z kurczakiem, a później zamierzam sięgnąć po laptopa i napisać do programu *Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie*, ale nachodzą mnie wątpliwości. A jeśli znów zostanę potraktowany jak



człowiek niespełna rozumu? Rozważam wszelkie za i przeciw tak długo, aż kelner wraca z moim zamówieniem. Doprawiona czosnkowym sosem kanapka smakuje całkiem nieźle, lecz mimo wszystko nie czuję przyjemności z jedzenia. Każdy kolejny kęs przeżuwać coraz dłużej, a później z trudem przełykam. Jakbym jadł kamienie, które ciężko opadają na dno mojego żołądka. Wreszcie odkładam ciabattę i chowam twarz w dłonie. Poczucie winy drapie mnie w gardle.

Nagle stwierdzam, że zupełnie nie pasuję do tych trajkoczących, roześmianych ludzi wokół. Nie jestem taki jak oni. Słyszę, jak siorbią, przełykają i tłuką sztuczkami o talerze. Od tego zgiełku znów zaczyna boleć mnie głowa. Mam ochotę stanąć na środku i wrzasnąć: „Zamknijcie się!”. Nie mogę znieść myśli, że moja żona zaginęła, a my siedzimy sobie przy stołach, sącząc drinki przy akompaniamencie muzyki na żywo. Jezu, jak ja nienawidzę tych grzecznościowych rozmów bez sensu i cholernych wymuszonych uśmiechów.

Patrzę po twarzach gości, ale nie dostrzegam w nich ludzi, tylko aktorów odgrywających role. Co się z wami dzieje?! – krzyczę w wyobraźni. Mam wrażenie, że zapas tlenu w sali restauracyjnej gwałtownie się kurczy, a mieszanka zapachów wywołuje mdłości. Chwytam w dłonie białą papierową serwetkę i wykręcam ją jak mokre pranie, a kiedy rozrywa się na pół, wiem, że nie wytrzymam ani chwili dłużej. Podnoszę się z miejsca, przewracając krzesło, i gnam na zewnątrz, zaczerpnąć świeżego powietrza.

Biegając, zawadzam o mężczyznę pykającego fajkę przed wejściem do hotelu, ale zanim zdążę go przeprosić, zginam się wpół, a moim ciałem wstrząsają torsje.

– Cholera jasna – rzucam już po wszystkim, trzymając się za bolący brzuch.

Ze wstydem patrzę na plamę wymiocin na kostce brukowej. Czuję, jak na szyję wypełzają czerwone plamy, gdy niespodziewanie ktoś podtyka mi pod nos odprasowaną i złożoną w idealnie równy prostokąt chusteczkę.

– Proszę ją zatrzymać – mówi, ale jego słowa docierają do mnie niczym z odległej piwnicy.

Zerkam na ten skrawek materiału, niezdolny do jakiegokolwiek reakcji. Przed oczyma staje mi scena, w której ośmioletni chłopiec z dumą przejeżdża nagrzanym do czerwoności żelazkiem po chustkach ojca, a potem składa je z matematyczną precyzją i z koniuszkiem języka w skupieniu wysuniętym z ust. Kiedy kończy, woła rodzica, by mu pokazać efekt swojej pracy. Mężczyzna długo przygląda się równym prostokątom, a gdy na jednym z nich zauważa drobne zagniecenie, z furią zrzuca chusteczki na podłogę i wyciera w nie buty. „W ogóle się nie przykładasz” – mówi sucho, po czym znika za drzwiami swojego gabinetu.

– Wszystko w porządku? Dobrze się pan czuje?

Mrugając oczami, jakbym właśnie ocknął się z letargu, spoglądam na mężczyznę z chusteczką w wyciągniętej dłoni. Znam te rogowe oprawki i naftalinową woń garnituru. Rozpoznaję krzaczaste siwe brwi i kwadratową twarz z wystającym podbródkiem. Mam przed sobą starszego faceta, którego spotkałem wcześniej w toalecie dla gości.

– Już lepiej, dziękuję – odpowiadam, sięgając po chusteczkę, którą ocieram usta. – Przepraszam, że musiał pan na to patrzeć.

– Zdarza się.

Mężczyzna odwraca twarz w stronę usianego gwiazdami, granatowego nieba. Wiatr porywa nitki dymu wydobywające się z jego fajki, a deszcz znaczy grubymi kroplami chodniki. Stoimy skuleni pod niewielkim daszkiem osłaniającym wejście do budynku. On w płaszczu, ja jedynie w marynarce. Zmarznięty wciskam dłonie w kieszenie spodni, natrafiając na skręta, którego zabrałem Serafin.

– Nadal nie wygląda pan za dobrze – wyrywa mnie z zadumy nieznajomy. – Może to jakieś zatrucie? Jeśli zaszkodziło panu coś z tutejszej restauracji, proszę powiedzieć, nie będę tego zamawiał. – Ostatnie zdanie wypowiada konspiracyjnym szeptem, nachylając się w moją stronę.

– Nie, po prostu mam koszmary dzień. Najgorszy z możliwych – tłumaczę, przybierając kwaśną minę.

– Może pomogę? Żyję z rozmawiania z ludźmi.

– Jest pan doradcą?

– W pewnym sensie, a dokładnie: psychiatrą. Diagnozuję zaburzenia i dobieram pacjentom leki.

Uśmiecha się i wyciąga do mnie dłoń.

– Leon Górecki.

Ja również się przedstawiam, a ciepło w oczach tego człowieka w połączeniu z przytłaczającą mnie bezradnością sprawia, że zaczynam rozważać, czy mógłbym się przed nim otworzyć. Może osoba z zewnątrz, która nie jest w żaden sposób związana z moją historią, mogłaby zauważyć coś, co przede mną się ukryło. Pocieram ramiona, smagane przez podmuchy wiatru. Przez chwilę obaj patrzymy na rysujący się na horyzoncie księżyc, aż do momentu, gdy coś we mnie pęka, a potrzeba tego, by ktoś wreszcie okazał mi wsparcie, zwycięża.

– A co by pan poradził facetowi, któremu wszyscy wokół wmawiają, że jego żona nie zniknęła, tylko nigdy nie istniała? – pytam nieśmiało, wbijając wzrok w ciemność.

Górecki zastanawia się przez jakiś czas, a potem wypuszcza z ust obłok dymu.

– To zależy, musiałbym wiedzieć, czy ten mężczyzna jest zdrowy psychicznie.

– Całkowicie.

Przesuwam butem kamyk po kostce brukowej, obserwując białą, rozedrganą kreskę, którą zostawia po sobie.

– Przyjmuje jakieś leki, substancje zmieniające świadomość albo środki nasenne?

– Nic z tych rzeczy. Nie pali, a pije tylko sporadycznie.

Psychiatra pomrukuje, gdy tymczasem ja rozglądam się dyskretnie, by sprawdzić, czy nikt nas nie słucha.

– Powiedziałbym, że to ciekawy przypadek – stwierdza z zaintrygowaną miną. – Jeszcze jedno. A czy ten hipotetyczny mężczyzna mógł doznać niedawno jakiegoś urazu głowy?

Moje palce instynktownie unoszą się do rany na czole.

– Załóżmy, że spadł z drabiny i mocno się uderzył.

– Z jakiej wysokości?

– Mniej więcej dwóch i pół metra.

– To musiało być niezłe gruchnięcie – komentuje mężczyzna. – Biedak pewnie doznał wstrząśnienia mózgu.

– Tylko lekkiego. Szybko doszedł do siebie.

Wymachujący fajką Leon Górecki zaczyna przypominać mi Sherlocka Holmesa rozwiązującego skomplikowaną zagadkę. Marszczy tylko te swoje gęste, krzaczaste brwi, raz po raz cmokając.

– A czy po upadku nie męczą go bóle i zawroty głowy?

– Jest w wieku, w którym jeśli człowieka nic nie boli, to znaczy, że nie żyje – żartuję.

Psychiatra śmieje się skrzekliwym rechotem nałogowego palacza. Ja natomiast w myślach wyzywam siebie od cholernych kłamców.

– Jak to pan ujął? Że według niego żona zniknęła, tak? – pyta, a gdy przytakuję, mruży oczy i mówi: – Doradziłbym mu, żeby przypomniatł sobie absolutnie wszystko, co wydarzyło się przed jej zniknięciem.

– Nic nadzwyczajnego. Położył się z żoną do łóżka, zasnęli przytuleni, a rano już jej nie było.

– Wcześniej – wyjaśnia. – Skupiłbym się na tym, co niecodzienne. Może doszło do jakiejś kłótni albo innej stresującej sytuacji?

– Nie. To naprawdę szczęśliwe małżeństwo.

– Z zewnątrz wszystkie się takie wydają – stwierdza cynicznie. – Ale w każdym związku jest ktoś, kto kocha bardziej. Które to było w ich przypadku?

Wzruszam ramionami, choć doskonale znam odpowiedź.

– Chyba on.

Psychiatra kiwa głową.

– Bywał zazdrosny? A może czuł, że na nią nie zasługuje?

– Może czasami. – Zmieszany drapię skórę na karku.

– Do tego stopnia, by wyrzucić jej krzywdę? – pyta tonem, który mi się nie podoba. – Bo widzi pan, z zazdrości ludzie potrafią robić okropne rzeczy.

Lekarz przyspila mnie chłodnym wzrokiem.

Wstrząśnięty tym, co słyszę, robię krok w tył, by odsunąć się od Góreckiego, którego obecność zaczyna mi ciążyć.

Nim zdążę odpowiedzieć, z hotelu wychodzi Łucja Serafin. Obrzuca mnie zaskoczonym spojrzeniem, a później z czułością kładzie dłoń na

plecach mężczyzny.

– Nie stój w tym przeciagu, przeziębisz się – mówi do niego troskliwie.

– Nic mi nie będzie. Miło sobie z panem gawędzimy, prawda?

Nie jestem pewien, co odpowiedzieć. Patrząc zakłopotany to na psychiatrę, to na menadżerkę hotelu i powoli zaczyna docierać do mnie, że ci dwoje doskonale się znają. Moje serce zwalnia, bo uświadamiam sobie, że Wiktor Abart miał rację, zostałem osaczony.

– A jak czuje się twoja żona? – pyta Serafin.

– Fatalnie. Ma zwichnięty staw barkowo-obojęczykowy. Przez trzy tygodnie będzie musiała nosić ortezę. – Wydmuchuje dym, patrząc oskarżycielsko na mnie. – Kiepsko, prawda?

Pisk skrada się do moich uszu, by po chwili uderzyć z intensywnością, od której muszę zaciskać zęby. Gapię się na mężczyznę szeroko otwartymi oczami, a po jego twarzy przemyka makiaweliczny uśmiech. Od początku wiedział, kim jestem, dudni mi w głowie. Mam wrażenie, że chodnik zaczyna falować, a ich głosy brzmią, jakby mówili przez tubę. Łucja, dostrzegając mój mętny wzrok, próbuje pomóc, ale odpycham ją i biegnę przed siebie, nie mogąc uwolnić się od myśli, że to wszystko zostało ukartowane.

✱

Jakimś cudem ląduję przy barze, za którym stoi wysoki chłopak z włosami związanymi w kitkę. Wciskam pod pachy rozedrgane dłonie, a mój wzrok mimowolnie przykleja się do butelek z alkoholem.

– Co podać? – pyta młodzik.

Walczę ze sobą przez moment, ale rozsądek wygrywa.

– Poproszę herbatę. Najlepiej miętę, jeśli macie – mówię.

Barman unosi brwi, ale nie komentuje mojego wyboru. Dopiero kiedy stawia na ladzie dzbanuszek z wrzątkiem, nie wytrzymuje.

– Wie pan, że jest po jedenastej? – pyta, uśmiechając się półgębkiem.

– O tej porze można się już troszkę zrelaksować.

Dzieciak puszcza do mnie oko, jakby lada chwila miał wyciągnąć spod lady dwa jointy, nalać nam po pięćdziesiątce, a z głośników odpalić

jamajskie reggae. Bąkam ledwie słyszalne „dziękuję”, odbieram z restauracji porzuconego w pędzie laptopa, po czym moszczę się w fotelu przy kominku, lękliwie sprawdzając, czy Serafin i Górecki mnie nie śledzą.

W powietrzu czuć sobotni wieczór, który pachnie drogimi perfumami i alkoholem. Grupki znajomych sączą drinki na kanapach i co jakiś czas słychać wybuch perlistego śmiechu jednej z modnie ubranych kobiet. Instynktownie odwracam głowę, w nadziei, że zobaczę Ninę, ale to tylko miraż. Żadna z nich nawet nie przypomina mojej żony.

Nalewam herbaty do filiżanki, obok której ustawiam laptopa. Puste miejsce po drugiej stronie stołu sprawia, że kręcę z niedowierzaniem głową, bo to wszystko nadal wydaje się nierealne. Jeszcze wczoraj jechaliśmy razem samochodem, a gdy Nina spała, patrzyłem na jej miękkie rysy, drobny nos i dołeczki w policzkach. Teraz gubię się w domysłach. Chwilami czuję, jakbym balansował na cienkiej linie zawieszanej nad otchłanią szaleństwa. Zaczynam się bać, że niebawem wystarczy jeden mocny impuls, a stanę się tym, za kogo uważa mnie Łucja Serafin. Człowiekiem nieobliczalnym.

Deszcz uderza o szyby, kiedy wpisuję do wyszukiwarki nazwisko Leona Góreckiego, który okazuje się dyrektorem znanego szpitala psychiatrycznego i człowiekiem o imponującym dorobku naukowym. Zastanawiam się, co może go łączyć z menadżerką hotelu. Spoglądam w kamerę, która wisi w rogu sufitu, nie mogąc pozbyć się uczucia obcego wzroku na skórze. Wiem, że to irracjonalne, zakładać, iż po drugiej stronie ochroniarz o mysim wąsiku śledzi każdy mój ruch, ale z jakiegoś powodu nie potrafię przestać wyobrażać go sobie w pokoju pełnym ekranów. Przezornie obracam monitor do ściany, by nikt nie mógł zajrzeć mi przez ramię, po czym sprawdzam w wyszukiwarce nazwisko Serafin. W skupieniu otwieram kolejne linki, które okazują się ślepymi uliczkami albo nużącymi artykułami o branży hotelarskiej.

Kim naprawdę jesteś, Łucjo? – myślę i wreszcie trafiam na coś interesującego. „Znany biznesmen Maciej Serafin, właściciel firmy Zenco, inwestującej w nieruchomości, przeznaczył dwa miliony złotych na remont domu dziecka, w którym wychowywała się jego żona” – czytamy. Zdjęcie obok artykułu prezentuje nieco młodszą menadżerkę

hotelu obejmującą starszą kobietę w sukience w kwiaty. Wprawdzie fotografia ma kilka lat, ale dałbym głowę, że to żona psychiatry, Leona Góreckiego, ta sama, do której pokoju wtargnąłem.

Przeskakuję zachłannie po linijkach tekstu, kiedy nagle ktoś z głośnym westchnieniem opada na fotel naprzeciwko. W przestraszu zatraskuję klapę laptopa i prawie rozlewam nietkniętą jeszcze herbatę. Metalowa łyżeczka z brzękiem spada na podłogę, gdy Wiktor Abart, ubrany w obcisłą koszulę, gwizdząc pod nosem, sięga po mój długopis i zaczyna rysować na serwetce.

– Tęskniłeś. – Bardziej stwierdza, niż pyta.

– Tylko za czasami, gdy nie miałem pojęcia o twoim istnieniu.

– Widzisz, problem tkwi w tym, że nie doceniasz tego, co możesz dzięki mnie osiągnąć.

Unoszę sceptycznie brwi.

– Niby co? Bo wydaje mi się, że zawdzięczam ci wyłącznie kłopoty.

– O, nie, nie. – Abart wymachuje palcem. – Wszystkie przeszkody, które spotykasz na swojej drodze, wynikają tylko z tego, że nie zachowujesz się jak ktoś, kim tak naprawdę chciałbyś być. Wciąż jesteś taki miły i uprzejmy. Uwolnij to, co tam mieszka. – Wskazuje moją klatkę piersiową. – Twoje prawdziwe ja tylko na to czeka. Przestań je więzić w tej cholерnej klatce.

– Nie znasz mnie, nie masz pojęcia, kim jestem.

– I tu się mylisz. Wiem, jak bardzo chciałbyś się teraz napić, widziałem ten wzrok prześlizgujący się po butelce jacka danielsa, ale przecież nie możesz, bo nie wypada. Urznąć się w trupa, gdy zaginęła ci żona? Kto to słyszał?

Piorunuję go wzrokiem.

– Przestań – warczę.

– Wiem też, że lecisz na tę paniusią, Serafin. Niezła jest, przyznaję. Te rude włosy i zgrabny tyłek. Kręci cię myśl o tym, jak bardzo mógłbyś ją upokorzyć i sponiewierać. Przestałaby wreszcie zadzierać nosa. W końcu to ty byłbyś górą.

– Mam dość. Nie muszę tego słuchać.

Chowam laptopa do torby, którą zakładam na ramię, i z herbatą w ręku przesiadam się do innego stolika. Niestety nie mija nawet kilka

minut, a Wiktor znów do mnie dołącza.

– Bronisz się przed tym, wiem – peroruje. – Jesteś jak ludzie, którzy idą na wystawne przyjęcie i marzą tylko o tym, by napchać się jedzeniem, ale konwenanse powodują, że ostatecznie sięgają jedynie po tycią przystawkę, a później latami po cichu wyrzucają sobie, że nie zrobili tego, czego pragnęli. Stół jest zastawiony, Tomaszu. Żryj! – Wybuchają obrzydliwym, tubalnym śmiechem.

Rozglądam się ukradkiem po sali, pewien, że wszyscy na nas patrzą, ale okazuje się, iż są zbyt zajęci własnymi sprawami. Jedyne barman w kitce macha do mnie, wskazując pytająco na butelkę whiskey, ale gdy stanowczo potrząsam głową, wzrusza ramionami i ponownie puszcza mi oczko.

– Tylko sobie wyobraź, ile rzeczy mógłbyś osiągnąć, gdybyś uwolnił te wszystkie żądze – rozprawia Wiktor. – Gdybyś pozwolił sobie stać się tym, kim w istocie jesteś, rozniósłbyś ten hotel w pył. Sprawdziłbyś każdy pierdolony pokój w Wichrowych Wzgórzach i wreszcie znalazłbyś żonę.

Unoszę dłonie, by go zastopować.

– Wystarczy. To nie jest takie proste, jak ci się wydaje. Miałbym się dobijać do ludzi i straszyć gości?

– Racja, wtedy przestałbyś być taki poprawny i grzeczny – kpi Abart, przewracając oczami. – Nie mogę się doczekać chwili, gdy wreszcie staniesz się taki jak ja.

Prycham z oburzeniem, po czym pytam:

– Czyli jaki? Nieobliczalny?

– Wolny. Wolny, Tomaszu.

Jego słowa, choć w pierwszym odruchu jestem gotów uznać je za brednie, coś we mnie poruszają. Czuję napływający niezrozumiały smutek, który skrada się cicho jak wąż. Podnoszę filiżankę, by upić kilka łyków dziwnie cierpkiej herbaty i ukryć moje zmieszanie.

– Zawsze dostajesz to, czego chcesz, prawda? – zaczynam poirytowany. – Nie myślę się, co? Nikt się nie liczy, ważny jesteś tylko ty.

Wiktor z uśmiechem satysfakcji oblizuje pełne, mięsiste wargi.

– No proszę, czyżbyś wreszcie był gotowy wysłuchać mojej historii?



Wzdycham, ukrywając twarz w dłoniach. Myślę o książce, którą chciałbym napisać, o tym, jak bardzo wierzy we mnie Nina i jak dumna będzie, gdy ukończę powieść. Kto wie, może w życiu nie ma przypadków? Co, jeśli ten arogancki mężczyzna pojawił się na mojej drodze nie bez powodu? Zerkam na swoje stopy, nerwowo podrygujące pod blatem stolika. Palcami obskubuję odstającą skórę przy paznokciu kciuka, a w moich myślach pobrzmiewa zdanie, którego nie zdołałem wymazać: „Powiem ci, jak to jest patrzeć na czyjąś śmierć”.

– Zróbmy to – mówię szybko, zanim zdołam się rozmyślić.

– Doskonała decyzja.

Abart rozsiada się wygodnie, rozciąga kark, kiwając głową na boki, a później zakłada nogę na nogę. Ja tymczasem przysuwam bliżej fotel, by nie uronić ani słowa z jego opowieści i w napięciu oczekuję zdań, które lada chwila wypadną z ust Wiktora.

– Wszystko zaczęło się już wtedy, gdy dziadek tłukł pasem mojego ojca do czasu, aż ten mdał z bólu, choć równie dobrze początkiem mógł być dzień, w którym ojciec spoliczkował mnie, rozbijając na kawałki okulary w plastikowej oprawie i wrzeszcząc, że do końca życia pozostanę nikiem – podejmuje, bawiąc się okruczem leżącym na blacie stołu. – Dla ciebie jednak ciekawsze będzie to, co działo się wiele lat później. Od momentu, gdy do naszego domu przyszły dzieci.

– Przyszły?

Przekrzywiam głowę z zainteresowaniem.

– Moja żona nie mogła zajść w ciążę. Adopcja wydawała się nam rozwiązaniem definitywnym, więc na początek staliśmy się rodziną zastępczą dla dwóch rodzeństw.

To mnie zaciekawia, ponieważ dawno temu, jeszcze zanim moja pierwsza żona odeszła, mieliśmy podobne zamiary, które jednak nie doszły do skutku, bo Ewa zmarła, nim zdążyliśmy przyjąć dzieci. Początkowo chcę się podzielić tym wspomnieniem z Abartem, ale dopóki opowiada o sobie, nie zamierzam mu przerywać. Nachylam się nad stolikiem, dając mu znać, by kontynuował.

– Wiesz, dlaczego ludzie boją się mieć dzieci? – pyta. – Bo umierają ze strachu, że zobaczą w nich odbicie tego, kim są naprawdę. Napawa ich

lękiem to, że będą brzydzić się ich słabościami jak swoimi. Wstydzić się za nie i gardzić nimi.

Marszczę brwi z zastanowieniem.

– Kiedy tamte dzieciaki trafiły do nas, zrozumiałem, że mogę to zmienić – ciągnie Wiktor. – Postanowiłem stworzyć z nich ludzi perfekcyjnych, pozbawionych jakichkolwiek słabości i ograniczeń. Takich, którzy nigdy nie poczują się „nikim”.

– Brzmi jak utopia.

– Nie dla mnie – odpowiada, jednocześnie szkicując na serwetce zarys jakiejś postaci. – Już na początku wprowadziłem niepodlegające dyskusji zasady. Najważniejszą z nich była cisza. Nic nie mogło jej zakłócać, ani rozmowy, ani nieuważne dźwięki jak trzaskanie drzwiami, a już na pewno nie płacz. – Krzywi się z niesmakiem. – Niczego nie wolno było robić bez pozwolenia. Jeśli ktoś chciał jeść, skorzystać z toalety, wstać, usiąść czy się odezwać, musiał otrzymać na to moją zgodę. W ten sposób uczyliśmy ich żelaznej dyscypliny.

– Mówiąc „my”, masz na myśli także żonę? Nie miała obiekcji?

– Skutecznie je tłumilem. Umieć być przekonujący, a ona nigdy nie potrafiła mi się sprzeciwić. – Unosi kąciki ust. – Wmówiłem jej, że to dla ich dobra. Zresztą te dzieci potrzebowały rygoru.

Analizując to, co usłyszałem, gładzę palcami zarost.

– A co z dziecięcą zabawą i wygłupami? – dociekam.

– One tylko psują osobowość.

– I nikt się nie buntował?

– Przestali, gdy zrozumieli, że wszystko ma swoje konsekwencje. Jeśli ktoś jadł bez pytania, odbierałem mu na jakiś czas przywilej jedzenia, jeśli spóźniał się na posiłek, nie dostawał go, jeśli nie szanował wody, tracił możliwość korzystania z ciepłej kąpieli, a kiedy zamiast spać, rozmawiał z rodzeństwem, uczyłem go tego, czym skutkuje brak snu, na kilka nocy pozbawiając go tego luksusu.

Zszokowany odchyłam się na fotelu.

– Ile lat miały te dzieci?

– Wystarczająco dużo, by rozumieć skutki swoich decyzji.

– Ile? – naciskam, podnosząc głos.

– Chłopcy dwanaście i pięć, a dziewczynki trzynaście i trzy.

Kręcę głową z niedowierzaniem.

– Jak mogłeś traktować w ten sposób takie małe dzieci?

Patrzę na niego potępiająco, ale Wiktor jedynie parska, jakbym powiedział coś zabawnego.

– Niczego nie rozumiesz. Ja je ratowałem – oznajmia. – Zostały odebrane rodzinom, w których rządziła przemoc. Nie miały pojęcia, czym jest poczucie bezpieczeństwa, a ich życiem kierowała nieprzewidywalność. Nie przestrzegały żadnych reguł, bo ich nie znały, dopiero ja im je stworzyłem. Nadałem ich życiu ramy, dzięki którym wszystko stało się przejrzyste. W moim domu nikt nigdy nie podniósł na nie ręki ani nie krzyczał.

– I co z tego, skoro żyli tam jak w więzieniu? Twoje metody to psychiczny terror. Podobne tortury stosowali Amerykanie w Guantanamo.

Podnoszę się z fotela, wymachując rękami, gdy Abart omiata mnie krytycznym wzrokiem.

– Przesadzasz, to tylko budowanie charakteru – mówi. – Rozejrzyj się, otaczają nas przeciętniacy, dna i totalne zera, które nic sobą nie reprezentują. Ja kształtowałem ich na ludzi wielkich i nieustraszonych. Odnajdywałem każdą ich słabość, a później wrywałem ją z korzeniami.

– Oczy Wiktora lśnią, jakby przepełniała go duma.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Opadam z powrotem na siedzisko, masując palcami zeszywniały kark.

– Jeden z moich synów panicznie bał się psów. Kazałem mu spojrzeć lękowi w oczy. Poszczułem go takim małym wrednym kundlem i zamknąłem obu w pokoju. „Albo wygra strach, albo ty, synu”, powiedziałem, a później przekręciłem klucz w zamku. Gdy chłopak błagał o pomoc, słuchałem Brahmsa. I wiesz, co się stało? Skopał bydlaka na śmierć. Wygrał. Właśnie tego ich uczyłem.

Na samą myśl o tym biednym dziecku robi mi się niedobrze. Wbijam paznokcie w skórzane podłokietniki fotela i niemal przestaję oddychać. Niewiarygodne, że nawet do najpotworniejszych czynów człowiek potrafi dorobić ideologię, która będzie je usprawiedliwiać. Abart nie zauważa mojego zniesmaczenia, jest niczym w transie. Zadowolony z siebie kołysze stopą i rozciąga usta w triumfującym uśmiechu. Opowiada

o trzylatce, której zatykał usta, gdy płakała. Robił to tak długo, aż nauczyła się łkać bezgłośnie.

– Przestań – mówię, ale on nie słucha.

Mój opór zdaje się go jeszcze bardziej nakręcać. Czuję, jak zjedzony niedawno posiłek podchodzi mi do gardła, i jestem pewien, że lada chwila zwymiotuję. Pisk w czaszce przypomina o sobie, a ja po raz pierwszy witam go z ulgą, bo hałas zagłusza obrzydliwości, których nie jestem w stanie udźwignąć. Do uszu dolatują strzępki historii o lękającym się potworów chłopcu, który zmuszony do spania w całkowitej ciemności na strychu, paznokciami wydrapał dziury w drewnianych drzwiach. Samo wyobrażenie jego hysterii wywołuje ciarki. Zrywam się z miejsca, chwytam obiema rękoma za głowę i krzyczę:

– Dość!

Wiktor milknie, a dłonie, którymi gestykulował, zawisają w powietrzu, jak w zatrzymanym kadrze. Dyszę ciężko, wsparty o oparcie fotela.

– Zabiłeś któreś z nich? Do tego to zmierza? – pytam, zaskakująco nawet dla samego siebie, a moja pierś podnosi się i opada w rytm nierównego oddechu.

– Nikogo nie zabiłem.

– „Powiem ci, jak to jest patrzeć na czyjąś śmierć”. To twoje słowa.

Dźgam powietrze między nami oskarżycielsko wyciągniętym palcem i gromię Abarta spojrzeniem. On jednak nie wydaje się przejęty.

– Ja tylko pozwoliłem komuś umrzeć.

– Co to, do cholery, znaczy? – rzucam rozjuszony, coraz bardziej mając ochotę wbić paznokcie w jego policzki i szarpać je do krwi.

– Przecież wiesz.

Abart wpatruje się we mnie z tajemniczym uśmiechem. Nie mam pojęcia, o czym mówi, ale nagle chłód obejmuje moje ciało. Czarne źrenice mężczyzny lśnią dzikim blaskiem, a jego twarz przepętnia spokój.

– Śmierć jest fascynująca. Piękna jak dzieło sztuki, nieprawdaż?

Odwracam twarz w stronę okna, obserwując krople deszczu spływające po szybie. Śmierć, którą pamiętam, była bolesna, rozrywająca na strzępy, nie miała w sobie nic zjawiskowego.

Wiktor gestem dłoni zachęca, bym się zbliżył, a gdy powodowany ciekawością nachylam twarz, pyta ściszym głosem:

– A ty? Zabiłeś kogoś?

– Nie. – Odskakuję, przerażony tą ohydną myślą.

– A może po prostu nie pamiętasz?

– Nie – powtarzam bardziej stanowczo.

Nie wiem, co się ze mną dzieje, ale zaczynam się trząść. Świat traci kontury, wszystko się rozmazuje, a tubalny śmiech Abarta odbija się od ścian mojego umysłu jak w studni. Muszę to przerwać.

– Wystarczy! – krzyczę, odpychając Wiktora i jednocześnie zawadzając nogą o stolik.

Filizanka z herbatą przewraca się, a hałas przyciąga uwagę gości. Oczy wszystkich zwrócone są na mnie. Pod naporem ich spojrzeń na moich policzkach wykwitają piekące czerwone plamy. Patrzą, jak brązowa ciecz rozlewa się po stole, spływa na podłogę i tworzy coraz większą kałużę. Powietrze nagle wydaje się nieznośnie gęste i przesycone duszącym dymem, a twarze gości wokół wynaturzone. Jakby nie należały do ludzi, lecz napawających niepokojem kreatur rodem z filmów Davida Lyncha. Herbaciany kleks na posadzce rozszerza się i wtedy niespodziewanie to mgliste wspomnienie o korytarzu, dotychczas nieuchwytnie, staje się niezwykle wyraźne.

✱

Gnam łącznikiem w kierunku budynku B. Torba od laptopa zsuwa się z ramienia i co kilka kroków muszę ją poprawiać, ale nie zwalniam tempa. Pot sprawia, że koszulka i marynarka przyklejają mi się do pleców. Złoszczę się na siebie, bo zabrałem na wyjazd parę nowych, nierozchodzonych półbutów ze skóry i teraz czuję, jak do krwi ocierają mi pięty. Zaciskając zęby, w biegu potracam łokciem jakąś podchmieloną kobietę, którą pod ramię prowadzi równie wstawiony jak ona mężczyzna.

– Hej! Uważaj, jak łazisz, baranie! – wygraża mi, rycersko stając w obronie kobiety. – Z szacunkiem do damy.

Przepraszająco unoszę dłoń, ale nie poświęcam im więcej uwagi. Kusi mnie, by powiedzieć temu człowiekowi, że kobieta, z którą za chwilę będzie uprawiał raczej średniej jakości seks, zważywszy na stan upojenia obojga, z damą wiele wspólnego nie ma. Mknę jednak dalej i po chwili nerwowo, raz za razem naciskam przycisk windy, niecierpliwiąc się, że pokonanie trzech pięter zajmuje jej wieczność. Na dźwięk charakterystycznego dzwoneczka obwieszczającego przybycie kabiny niemal podskakuję z radości. Wbiegam do środka i wybieram trójkę. Z lustra spogląda na mnie upiorna, naznaczona zmęczeniem twarz mężczyzny. W moich myślach nadal pobrzmiwa echo słów Wiktora: „pozwoliłem komuś umrzeć”. Ilekroć je odtwarzam, dreszcz niepokoju przebiega mi po plecach. Jakby wypowiadał je nie Abart, lecz sam diabeł.

Wzdrygam się, gdy winda przystaje na trzecim piętrze, a następnie pędzę w stronę naszego apartamentu. Kiedy przyjechaliśmy, pokojówka rozlała pod sąsiednimi drzwiami kawę. Wyraźnie pamiętam sporych rozmiarów czarną kałużę na beżowym dywanie. Dziewczyna usiłowała zebrać ją zwiłkiem ręczników papierowych, ale to sprawiało, że tylko wcierała brud w wykładzinę. Jeśli mam rację, na podłodze powinna zostać plama.

Przystaję pod drzwiami apartamentu trzysta sześćdziesiąt jeden, a moje serce zaczyna coraz szybciej bić. Patrę na brązowego kleksa i wiem już, że zostałem oszukany. Nina tu była, to nagrania zostały podmienione. Ze wzruszenia ściska mnie w gardle. Natychmiast zrywam się i biegnę z powrotem do budynku głównego. Kiedy Łucja Serafin pokazywała mi zapisy z monitoringu, plama była wyraźna na ujęciach, na których widać mnie. Ale nocny kadr z pustym korytarzem pozbawiony był tego istotnego szczegółu, a to oznacza, że pochodził z innego dnia, sprzed naszego przyjazdu, gdy zabrudzenia nie było jeszcze na podłodze.

Zdyszany docieram do drzwi gabinetu menadżerki i pukam w nie głośno. Chcę jeszcze raz obejrzeć nagrania, by zdemaskować tę manipulację. Gorący pot oblewa mi twarz, a palce dłoni drżą. Mieszają się we mnie radość i lęk. Skoro kierujący hotelem posunęli się do oszustwa, pokazując mi niewłaściwe ujęcie, to znaczy, że bardzo

zależało im na tym, bym uwierzył, iż Niny nigdy tu nie było. A jeśli tak jest, moja intuicja się nie myliła, a oni z pewnością zrobili coś potwornego, co teraz usiłują ukryć. Szarpię za klamkę, ale drzwi są zamknięte, dlatego dobijam się jeszcze intensywniej, tym razem uderzając w nie pięścią.

– Chcę tylko porozmawiać – wołam, jednak ze środka odpowiada mi cisza.

– Co pan tu robi? – słyszę za sobą pełne oburzenia pytanie.

Gdy się odwracam, dostrzegam postawną recepcjonistkę z tlenionymi włosami, tę samą, z którą rozmawiałem kilka godzin temu o zaginięciu Niny. Identyfikator przypięty do jej koszuli świadczy o tym, że ma na imię Anna. Patrzy na mnie wrogo, groźnie marszcząc brwi.

– Szukam Łucji Serafin – wyjaśniam.

– O tej godzinie? – Zerka na zegarek na nadgarstku. – Wybiła północ. Szefowa jest w domu i pewnie już śpi. Niech pan przyjdzie jutro.

Kiwam głową z rezygnacją.

– Chyba że ja mogę w czymś pomóc? – dopytuje.

Przechodzi mi przez myśl, by poprosić recepcjonistkę o udostępnienie nagrań, ale gdy uzmysławiam sobie, że z pewnością zasłoni się brakiem takich kompetencji, rezygnuję.

– Nie, dziękuję. Rzeczywiście zrobiło się późno i chyba ja też powinienem się położyć.

Udaję, że zmierzam do łącznika, ale gdy tylko kobieta znika z pola widzenia, natychmiast skręcam do korytarza, w którym mieści się dyżurka ochrony. Tym razem mam szczęście. Wykładzina przy drzwiach się podwinęła, uniemożliwiając ich całkowite domknięcie. Rozglądam się kontrolnie, po czym naciskam klamkę i wchodzę do środka. Chłopak z nogami na stole, rozparty na rozłożonym fotelu, wzdryga się, obudzony moim wtargnięciem.

– Co jest? – pyta zaspany, przecierając oczy. – A, to pan.

Zauważa, że jego czapka z daszkiem upadła na podłogę, schyla się więc, by ją podnieść, po czym wciska bejsbolówkę głęboko na oczy. Na stole z monitorami i klawiaturą panuje bałagan. Piętrzą się papiery, wszędzie widać okruchy po otwartych ciastkach oraz chipsach, a po prawej stronie stoją dwa kubki z niedopitą kawą. Filip Hańcza zaczyna

skrupulatnie uprzątać biurko, jakbym przyszedł na inspekcję. Wyrzuca do kosza puste opakowania, okruchy zaś zgarnia na dłoń i wciska sobie do ust.

– Czegoś pan potrzebuje? – pyta, przeżuwając.

– Chcę jeszcze raz zobaczyć te nagrania – oznajmiam. – Te, które oglądaliśmy wcześniej z panią Łucją Serafin.

– To nie taka prosta sprawa. Musiałbym do niej zadzwonić. Poprosić o pozwolenie, a może nawet ją tu ściągnąć. Lepiej poczekać z tym do jutra. Nie ma co ludziom po nocy zawracać głowy.

Kiwa na mnie poufale, głośno chrupiąc paprykowego chipsa. Podchodzę bliżej, by przełamać dzielący nas dystans. Na plakietce przyczepionej do czarnego służbowego uniformu widnieje jego imię, a spod dekoltu wyłania się wytatuowane ramię ośmiornicy, wychodzące aż na szyję. Przysiadam na blacie, odsunawszy wcześniej kubki z kawą, które są jeszcze ciepłe.

– Panie Filipie – zaczynam, siląc się na zażyły ton. – To był naprawdę długi dzień, sporo przeszedłem. Nie żebym żywił urazę za to uderzenie w głowę – mityguję się. – Ale może mógłby pan wyświadczyć mi drobną przysługę. Widziałem już wcześniej te ujęcia i nie wydaje mi się, by musiał pan prosić kogokolwiek o pozwolenie.

– Takie są procedury.

– To zajmie raptem kilka minut.

Chłopak wzdycha, poruszając wąsikiem, który sprawia wrażenie przyklejonego.

– No dobra – mówi i sięga po telefon. – Zadzwonię do niej.

– Nie, nie, proszę tego... – Powstrzymuję go, wymachując rękoma, ale urywam, bo on już wybiera numer, a potem przykładą słuchawkę do ucha.

– Nie ma sprawy, trzeba pomagać ludziom w potrzebie. Pan by mi pomógł, prawda?

Patrzy na mnie w podobny sposób jak wtedy, gdy leżałem w pokoju Leona Góreckiego. Dotychczas nie mogłem zdecydować, co wyczytuję z jego wzroku, ale teraz jestem pewien: to żal. Głęboka gorycz, która wywołuje we mnie nieuzasadnione poczucie winy. Zakłopotany



wybąkuję zapewnienie, że oczywiście, a później, by ukryć swoje zmieszanie, ustawiam równo kubki.

W ciszy słyszę sygnał oczekiwania na połączenie, dochodzący z komórki ochroniarza. Koncentruję się na nim tak bardzo, że gdy dobiega mnie stukot upadającego przedmiotu w dużej szafie na ubrania, reaguję bojaźliwym wdechem. Przez chwilę obaj zerkamy w stronę źródła dźwięku.

– Ktoś tam jest? – pytam.

– Gdzie? W szafie? – Parska. – Naprawdę ma pan fantazję. Pewnie kurtka zsunęła się z wieszaka.

Jego postawa mnie irytuje.

– Kawę też pan zawsze pija z dwóch kubków jednocześnie?

– Nie, ale robię sobie nową za każdym razem, gdy ta poprzednia wystygnie. Mam uraz z dzieciństwa, poza słodyczami nie jadam ani nie piję zimnych rzeczy.

Zamierzam powiedzieć mu, że oba kubki są ciepłe, ale unosi dłoń i wskazuje palcem na słuchawkę, by dać mi znak, że Serafin właśnie odebrała.

– Dobry wieczór, pani Łucjo. Przepraszam, że budzę o tej godzinie, ale jest u mnie pan Engel. Mówi, że chciałby jeszcze raz prześledzić zapisy z monitoringu. – Pomrukuje w odpowiedzi na to, co słyszy w komórce. – Zgadza się, też mu to przekazałem, ale nalegał, dlatego postanowiłem do pani zadzwonić. W końcu mam mieć oczy i uszy szeroko otwarte, taka praca, co nie? – Kiwa głową, po czym kuli się na krześle, jakby właśnie zbierał burę. – Dobrze, obiecuję. Będziemy na panią czekać.

Kiedy odkłada słuchawkę, unoszę pytająco brwi.

– Przyjedzie – oznajmia. – Akurat wracała z apteki, więc wpadnie tu w drodze do domu.

– Była bardzo zła?

– Nie. No może trochę. Mniej więcej jak ktoś, kogo przed chwilą ochlapał uciekający autobus. – Uśmiecha się. – Kawy albo herbaty?

– Chętnie.

Wskazuje mi niewielki stół pod ścianą, nieopodal szafy. Dostrzegam na nim słoik z kawą, metalową cukiernicę i kilka pudełek herbaty ekspresowej.

– Czym chata bogata – mówi.

Nalewam wodę do czajnika, ale zanim ją włączę, wyteżam słuch, by upewnić się, że w szafie na pewno nikogo nie ma. Po chwili stwierdzam jednak, iż to podejrzenie jest nie tyle absurdalne, ile właściwie śmieszne, i nastawiam czajnik. Wsypuję do kubka łyżeczkę rozpuszczalnej kawy, którą zalewam wodą, a kiedy sięgam po cukiernicę, w oczy rzuca mi się mały srebrny kluczyk ukryty pod nią. To mnie intryguje, bo przecież wszystkie drzwi w hotelu otwierają się za pomocą karty magnetycznej. Oczywiście może to być klucz do którejś z szafek, szuflad, może do metalowej kasetki, a nawet do roweru, ale z jakiegoś powodu nie mogę przestać na niego patrzeć.

– Wścieka się pan jeszcze za to uderzenie? – zaczyna ochroniarz, gdy wracam z lurowatą kawą, posłodzoną dwiema łyżeczkami cukru.

Na jego telefonie wyświetla się powiadomienie o SMS-ie od Łucji Serafin. Chłopak sięga po komórkę, czyta tekst na ekranie, a później sprawnie odpisuje i wkłada smartfona do kieszeni spodni.

– Właściwie to nie – odpowiadam, pomijając milczeniem wymianę wiadomości z szefową. – Choć myślę, że nie musiał pan tego robić. Nie stanowiłem dla nikogo zagrożenia, chciałem tylko obejrzeć łazienkę.

– Żartuje pan? A ten nóż w ręku? Do tego nie reagował pan na żadne prośby.

– Nie miałem wyjścia, w przeciwnym razie zadręczałbym się tym, że Nina mogła być w środku. Musiałem to sprawdzić. Zresztą rzucił się pan na mnie tak, jakby nie chciał pan dopuścić, bym zobaczył, co kryje się za tymi drzwiami. Jakby sam pan podejrzewał, że ktoś może tam być.

– Bzdury.

Chłopak odwraca twarz do monitora i nerwowo wciska guzik myszki, zmieniając kamery, z których obraz wyświetla się na głównym ekranie. Jego reakcja mnie zaciekawia, dlatego postanawiam ciągnąć dalej za żyłkę, na której haczyk, jak mniemam, się złapał.

– Wcale nie. Widziałem to wyraźnie.

– Gównu pan widział – podnosi głos. – Wie pan, dlaczego użyłem pałki? Bo ktoś, kto ma takie urojenia jak pan, może być zdolny do wszystkiego.

To wyznanie upada ciężko między nami. Klatka piersiowa ochroniarza porusza się rytmicznie, a jego wzrok błądzi po podłodze, unikając kontaktu ze mną. Uchylam wargi, by coś powiedzieć, ale dobitna świadomość, że jestem uważany za szaleńca, knebluje mi usta.

Zimną, kamienną ciszę przerywa wejście Łucji Serafin. Zastyga w drzwiach, z dłonią na pasku torebki, którą zapewne planowała zdjąć, i śledzi wzrokiem nasze twarze, jakby od progu wyczuła gęstą atmosferę. Związane w kucyk włosy nadają kobiecie dziewczęcego uroku.

– Co tym razem pan wymyślił? – Kieruje to pytanie do mnie.

– Muszę upewnić się w jednej kwestii.

– To znaczy?

– Chciałbym raz jeszcze zobaczyć kilka ujęć z monitoringu. Od tego, gdy wracam wieczorem do pokoju lekko...

– Pijany? – podpowiada.

Niechętnie kiwam głową.

– Aż do mojego wyjścia z apartamentu dzisiaj w południe.

Serafin niespiesznie odkłada płaszcz na krzesło, jakby specjalnie przedłużała moje oczekiwanie na odpowiedź. Ma na sobie dzinsy i bluzę z kapturem, której rękawy podwija. Bez obcasów jest sporo niższa, przypomina nastolatkę, za którą z pewnością bym ją wziął, gdybyśmy spotkali się poza hotelem.

– Proszę bardzo – mówi w końcu. – Podstawić taboret?

– Nie trzeba, postoję.

Łucja daje znak ochroniarzowi, by odszukał odpowiednie kadry. Z ust chłopaka dobiega mnie znajoma melodia, którą nuci pod nosem, ale jestem zbyt spięty, by odgadywać jej tytuł. Teraz liczy się tylko to, co za chwilę zobaczę na ekranie. Zręczne palce Filipa Hańczy przeskakują między ujęciami i po chwili na stopklatce widzę siebie na korytarzu trzeciego piętra budynku B. Wstrzymuję oddech, zaklinając rzeczywistość, by żadne z nich nie zorientowało się, że mój telefon, schowany w kieszeni na piersi, ma skierowane oko kamery na ekrany i cały czas rejestruje wszystko, co się tu dzieje.

– Puszczaj – zachęca Serafin i ujęcie ożywa.

Znów oglądam siebie zataczającego się na chwiejnych nogach i chociaż już raz widziałem tę scenę, czuję się równie zażenowany jak poprzednio. Na nagraniu docieram właśnie do drzwi naszego apartamentu.

Mrużę oczy, by wysledzić to, co mnie najbardziej interesuje, a gdy dostrzegam plamę po kawie na dywanie, z satysfakcji zaciskam pięści. Chłopak zatrzymuje materiał, najwyraźniej sądząc, że zobaczyłem to, po co przyszedłem.

– Proszę nie wyłączać, chciałbym zobaczyć to długie ujęcie korytarza, gdy spałem – domagam się.

– *Show must go on* – mówi ochroniarz i naciska guzik z napisem „play” na klawiaturze.

Uważnie śledzę ekran, ale ku mojemu zdziwieniu plama nie znika z kadru, jak poprzednio. Co więcej, wszystko zdaje się zgadzać: koło pierwszej korytarzem przemyka recepcjonista, zostawia ręczniki pod sąsiednim pokojem, a później ktoś chowa je do środka.

– Proszę cofnąć. Jeszcze raz, tylko wolniej – żądam.

– To jakieś dziesięć godzin do sceny, w której wychodzi pan z pokoju, nie mamy całej nocy – informuje menadżerka.

– Proszę.

Słyszę poirytowane stęknienie, ale teraz naprawdę mnie to nie obchodzi. Coś się nie zgadza, jestem pewien, że kiedy oglądałem nagranie po raz pierwszy, zabrudzenia na dywanie nie było widać. Chłopak cofa suwak i puszcza wszystko od nowa, ale ono cały czas tam jest i kłuje mnie w oczy. To niemożliwe, nie mogłem się pomylić.

– Cholera jasna! – wyrzucam z siebie.

– Coś nie tak? – pyta Łucja, unosząc brwi.

Doszukuję się w jej spojrzeniu choćby drobnej oznaki fałszu, jakiegoś niespokojnego ruchu, drgnięcia powieki, ale Serafin pozostaje niewzruszona, jakby była perfekcyjną aktorką albo, co najtrudniej mi przyznać, szczerze zdziwioną kobietą.

– Nie, wszystko w porządku – odpowiadam z rezygnacją. – Zobaczyłem już to, co chciałem.

Jestem tak rozgoryczony, że wychodzę pospiesznie, byle tylko opuścić miejsce mojej upokarzającej porażki. Nim drzwi się zamkną, kątem oka

zauważam jeszcze, jak Łucja mierzwi włosy ochroniarzowi. To dziwne, bo odnajduję w tym gościu czułość zarezerwowaną zwykle dla osób w bliskiej relacji. Jednak teraz bardziej niż to, czy menadżerka hotelu ma romans ze swoim pracownikiem, martwi mnie kwestia Niny.

Gdy docieram do schodów w budynku B, nie potrafię dłużej udawać, że nic się nie stało, i piekące łzy złości zaczynają płynąć mi po policzkach. Z głośnym „kurwa” uderzam pięścią w ścianę, aż bolą mnie kostki.

Jedyną pociechą jest to, co mam w kieszeni. Mały srebrny kluczyk, którego dotykam teraz palcami, wyczuwając chłód metalu. Właściwie nie potrafię wyjaśnić, dlaczego go zabrałem, jakby szeptał do mnie, a ja nie potrafiłem się mu oprzeć. Zażenowany sobą łapię się na tym, że rozważam, czy Wiktor Abart byłby ze mnie dumny, gdyby wiedział, co zrobiłem. Po chwili kurczę się ze wstydu, bo dociera do mnie, że choć nie znam odpowiedzi na to pytanie, to bardzo bym tego chciał.

✱

Z pamiętnika Niny:

*Maj 2017 r.*

*Dwa miesiące i trzy tygodnie po ślubie, patrząc na uśmiechnięte lustrzane odbicie mojego męża, czułam pewność, że podjęłam najlepszą decyzję z możliwych.*

*Matka przyszła do kościoła na uroczystość i nie mając wielkiego wyboru, ostatecznie przestała kwestionować fakt, że resztę życia zdecydowałam się spędzić z Tomaszem. Nasze relacje uległy ociepleniu. Regularnie ze sobą rozmawialiśmy, ciesząc się chwilą i nie myśląc zanadto o przyszłości. Zwykle to ona dzwoniła do mnie, a ja odwiedzałam ją, gdy tylko czas mi na to pozwalał. Jedynie niekiedy na niedzielne obiady zabierałam ze sobą Tomasza. Starłam się też nie wspominać o nim podczas naszych indywidualnych spotkań, mając nadzieję, że dzięki temu wszystkim nam będzie żyło się lepiej. Choć może tylko udawaliśmy, że tak było.*

Niedawno, gdy poszła do toalety, zupełnym przypadkiem znalazłam u niej w kredensie książkę mojego męża. Mama pozaznaczała niektóre fragmenty grubym ołówkiem, rysując na marginesach wykrzykniki. To odkrycie mnie zmartwiło, gdyż chciałam wierzyć, że jej obsesja na punkcie mojego męża zelżała. Nie rozumiałam, dlaczego tak bardzo nurtowała ją sprawa śmierci pierwszej żony Tomasza, dawno zamknięta, wyjaśniona przez policję i prokuraturę. Zakładałam, że drażny z matczynej miłości, i dopóki nie usiłowała wracać do śmierci Ewy w naszych rozmowach, pozwalałam jej na to drobne szaleństwo.

Tuż przed ślubem Tomasz poruszył temat dzieci, informując, że nie chciałby ich mieć. Był zestresowany, trzęsły mu się ręce, a głos drżał. Powiedział, że zarówno jego dziadek, jak i ojciec nie sprawdzili się w roli rodziców. Obaj byli tyranami. Krzywdzili i stosowali przemoc. Tomasz nazywał to rodzinnym zepsuciem. Mówił, że ten wirus jest w nim i że nie chce przekazywać zła w genach. Ryzyko odkrycia w sobie cech własnego ojca napawało go paraliżującym lękiem, dlatego błagał, bym zgodziła się dzielić z nim życie tylko we dwoje. A ja to zrobiłam.

Być może nie chciałam, by kiedykolwiek ktoś musiał dźwigać za mnie poczucie odpowiedzialności, gdy będę się starzeć, a mój umysł zacznie spowijać mgła. Wierzyłam, że przychodzimy na ten świat sami i czy tego chcemy, czy nie, pewnego dnia sami z niego odejdziemy. Po co zostawiać po sobie pustkę, stertę przedmiotów do uporządkowania i wieczny smutek? Po co obarczać kogoś własnymi nieprzepracowanymi traumami, kompleksami i niedoskonałościami? Ludzie nazywali takie osoby jak my egoistami, ale nie zgadzałam się z tym. Według mnie wyrazem samolubstwa byłoby powołanie na świat dzieci tylko dlatego, że mieliśmy taki kaprys. Bez refleksji i pod wpływem chwili. Na tej planecie żyje i tak zbyt wielu ludzi, którzy nigdy nie powinni zostać rodzicami. Nie chciałam, byśmy okazali się jednymi z nich.

W tym momencie naszego życia chcieliśmy po prostu spędzać czas we dwoje. Tomasz miał już czterdzieści siedem lat, nie widział siebie w roli podstarzałego tatusia. Nie chciał też przekazywać dziecku cierpienia i bólu, z którym sam nadal musiał się borykać. Ja natomiast spełniałam

się jako tancerka i wierzyłam, że do szczęścia potrzebuję jedynie muzyki i Tomasza. Można powiedzieć, że w pewnym sensie każde z nas spojrzęło w głąb życiowego bagażu, który nieśliśmy na plecach, i stwierdziliśmy, że to, co w nim mamy, nie pozwoli wyposażyć na życie nowego człowieka.

– Opowiesz mi kiedyś o tym, co działo się u ciebie w domu? – zapytałam któregoś wieczoru, gdy leżeliśmy na kanapie, pijąc wino. – Dlaczego nie utrzymujesz kontaktów z rodzicami?

Tomasz westchnął.

– Z powodu mojego ojca, przecież wiesz.

– Tak, ale nie rozumiem, co właściwie on ci zrobił.

Mięśnie mojego męża usztywniły się.

– Od kilkunastu lat podejmuję nadludzki wysiłek, by o tym zapomnieć. Nie każ mi wracać do tamtych dni, dobrze? To przeszłość, jej już nie ma, liczy się tylko tu i teraz. Ty i ja. I jeszcze to, co zaraz cię spotka.

Tomasz zaczął mnie łaskotać i choć oboje śmialiśmy się przy tym, to miałam wrażenie, jakby na twarzy mojego męża zamajaczył niepokojący cień, który już nigdy stamtąd nie zniknął.

✱

Budzę się obolały. Potwornie pieką mnie oczy i łupie w czaszce. Dźwigam ciało, z wysiłkiem siadając na łóżku. W pokoju jest duszno, a szczelnie pozastłaniane okna sprawiają, że wewnątrz spowija ciemność. To była ciężka noc, najpierw długo analizowałem wszystko, co wydarzyło się w biurze ochrony, a gdy nie znalazłem dowodów wskazujących na manipulację, zapadłem w gęsty, obezwładniający sen. Czasami widzimy jedynie to, co chcemy, prawda? Może ubzdurałem sobie, że na ujęciu z korytarzem wcześniej nie było widać plamy. Niekiedy, gdy trudno nam się pogodzić z rzeczywistością, umysł potrafi płatać figle.

Stękając z bólu, masuję skronie. Pod powiekami przesuwają mi się strzępki snów, w których główną rolę odgrywał Abart. W koszmarach zapadałem się w lepkie grzęzawisko. Nie mogłem mówić, bo gdy

poruszałem wargami, nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Moje usta, a później płuca powoli wypełniały się gęstym czarnym błotem. Wiedziałem, że umieram, a Wiktor stał obok i obojętnie patrzył, jak się duszę. Wzrokiem błagałem go o pomoc, ale on nawet nie drgnął. Pozwolił mi umrzeć.

By odepchnąć te budzące grozę majaki, sięgam po komórkę i ze zdziwieniem odkrywam, że jest już południe, a ja mam kilka nieodebranych połączeń od teściowej i dwa z nieznanego numeru.

– Cholera jasna – rzucam pod nosem, miotając się po pokoju w poszukiwaniu spodni, z telefonem, który przyciskam ramieniem do ucha.

– Gdzie się pan podziewa? – W słuchawce odzywa się zniecierpliwiony głos Łucji Serafin. – Nurkowie od kilku godzin przeszukują zbiornik.

– Zaraz tam będę – rzucam, a później odsuwam zasłony i zastygam.

Nad zalewem zauważam małe zbiegowisko. To pewnie goście, zaciekawieni obecnością czerwonego samochodu straży nad brzegiem Modrzewiówki. Z wody wychodzą akurat dwaj nurkowie. W czarnych nieprzemakalnych kombinezonach, z butlami na plecach, a przy tym w goglach i maskach doprowadzających tlen. Rozmawiają z dwójką innych strażaków oraz policjantami, którzy stoją obok pontonu wyciągniętego na piasek.

Mój żołądek zamienia się w kamień. W pośpiechu naciągam na siebie wczorajsze, niezbyt świeże ubranie. Rezygnuję też z prysznicza i ze śniadania, którego teraz i tak bym nie przełknął. Cichutki pisk w uszach zaczyna przypominać o niedawnym urazie głowy, ale udaję, że go nie słyszę. W korytarzu w lustrze miga moja twarz. Zarost zamienił się już w brodę, plaster na czole jest przybrudzony, a oczy są podkrążone jeszcze bardziej niż wczoraj. Zauważam, że powoli z eleganckiego mężczyzny, który do niedawna przyciągał wzrok studentek, przeobrażam się w niechlujnego faceta z obłędem w oczach.

Chwytam płaszcz i przeskakując po kilka stopni, zbiegam na dół.

Po nocnym deszczu nie ma ani śladu. Dzień jest słoneczny i ciepły, choć może to emocje i tempo mojej gonitwy sprawiają, że wyczuwam pod pachami szczypiącą wilgoć potu. Nawet silny wiatr ustał,



zamieniając się w lekki, głaszczący policzki zefirek. Dokładnie taki, jaki lubiła Nina.

Drobne kamienie na zwirowej alejce chrzęszczą pod moimi stopami, gdy mijam zgromadzonych tam obserwatorów. Dobiegają mnie ich szepty i pełne ekscytacji domysły co do przyczyny obecności służb nad zbiornikiem. Cholerne pijawki, szepczę w myślach. Ktoś robi zdjęcia komórką, którą mam ochotę wyrwać mu z ręki i cisnąć do wody. Jedynym, co mnie powstrzymuje, jest świadomość, że jeśli to zrobię, zapewne nie będę mógł przyglądać się poszukiwaniom, a tego bym nie zniósł.

Kiedy docieram do ogrodzenia zalewu, Łucja Serafin macha na mnie. Dziś niczym nie przypomina tamtej dziewczyny, którą spotkałem w nocy, w bluzie z kapturem. Znów jest do szpiku profesjonalna i wymuskana, jakby była aktorką ubraną w kostium i z makijażem scenicznym. Włosy związała w wysoki kok, spod płaszcza wystaje jej wąska, czarna spódnica do kolan, a zamiast szpilek włożyła kozaki na grubym obcasie.

– Mają coś? – pytam, chcąc jednocześnie usłyszeć i „tak”, i „nie”.

Jedna z tych odpowiedzi, choć z pewnością rozbiłaby mnie na kawałki, oznaczałaby koniec wyczerpującej emocjonalnej szarpaniny. Druga zaś przyniosłaby kolejne pytania i niepewność, która w zbyt dużych dawkach potrafi doprowadzić człowieka do szaleństwa. Wychodzi na to, że czasem w życiu nie ma dobrych rozwiązań, niektóre tylko niosą ze sobą mniej cierpienia.

Serafin potrząsa głową, co przynosi mi pewną ulgę.

– Pracują od siódmej i chyba niedługo będą kończyć.

Przygryzam wargę, patrząc w stronę brzegu, skąd rusza właśnie aspirat Miłoszewski. Miedziane włosy mężczyzny lśnią w słońcu, sprawiając wrażenie, jakby płonęły. Po tym, jak gniewnie marszczy czoło, wnioskuję, że nie jest specjalnie uradowany. Nie spuszcza ze mnie wzroku, a jego szczęka pokryta rudym zarostem wydaje się zaciśnięta.

– Zadowolony? – rzuca napastliwym tonem, gdy staje naprzeciwko nas. – Zrobiliśmy to, co pan chciał. W zalewie nie znaleziono żadnego ciała. Sprawdziło to dwóch wykwalifikowanych nurków ze

specjalistycznej sekcji ratownictwa wodno-nurkowego. Przeszkoleni operatorzy przeskanowali również dno sonarami z tutejszej jednostki. W zbiorniku jest czysto.

– Jezu, całe szczęście – stwierdzam z uczuciem spływającego na mnie odprężenia.

Z wdzięcznością omiatam wzrokiem specjalistów pakujących sprzęt do samochodu. Tafla wody skrzy się w słońcu, jakby ktoś na jej powierzchni rozsypał diamenty, a wczorajsza smolista barwa Modrzewiówki za dnia jest bardziej szafirowa. Wszystko zdaje się odzyskiwać nadzieję razem ze mną.

– Naprawdę? To wszystko, co ma mi pan do powiedzenia? Ci ludzie – policjant wskazuje palcem nurków zdejmujących właśnie butle z tlenem – narażali swoje życie tylko dlatego, że miał pan taką fantazję. Zasługują na zdecydowanie więcej. Świat nie kręci się wyłącznie wokół pana, panie Engel.

Unoszę uspokajająco dłonie.

– Wiem o tym. Próbuję odnaleźć żonę, nic więcej.

– Na pewno? A może szuka pan materiału na kolejną książkę?

Na dźwięk jego pytania aż się cofam. Łucja Serafin spogląda na mnie spod ściągniętych brwi.

– Do czego pan zmierza? – pytam, zaniepokojony kierunkiem tej rozmowy.

– Poczytałem trochę o panu – oznajmia z uśmiechem wyższości policjant. – Przez długie lata był pan nikomu nieznanym pracownikiem uczelni. Zwykłym szarym Kowalskim, pracującym na polonistyce Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego. Dopiero szesnaście lat temu, gdy zmarła pana pierwsza żona, nastąpił przełom i napisał pan książkę, która zachwyciła krytyków. Posypały się nagrody, wyróżnienia. Przeprowadził się pan do stolicy, sprzedał prawa do ekranizacji i do zagranicznych tłumaczeń. Życ nie umierać.

– O co panu chodzi? – irytuję się. – Boli pana mój sukces? Jeśli jest pan ciekaw, to wcale go nie chciałem. Jedyńm, o co mi wtedy chodziło, było to, by poradzić sobie z żalobą.

Aspirant Miłoszewski nachyla się i szepcze mi do ucha:

– Jakoś nie było jej widać na zdjęciach z imprez i bankietów.

Czuję, jakby wylał na mnie wiadro pomyj, których wstrętnej woni nie zmyje nawet najdłuższy prysznic. Czas po śmierci Ewy był koszmarem i nikt, kto nie znalazł się na moim miejscu, nie ma prawa tego oceniać. Rzeczywiście chadzałem wtedy na imprezy branżowe, bo tego wymagała promocja książki, ale to nie czyni ze mnie potwora. Szczerze mówiąc, tamten czas pamiętam jak przez mgłę. Chcąc napełnić ciało czymś innym niż smutek, od rana do wieczora wlewałem w nie alkohol. Traciłem przytomność, a gdy budziłem się w obcych mieszkaniach lub na fotelach nocnych autobusów, myślałem tylko o tym, skąd wziąć nową flaszkę.

Opamiętałem się dopiero, gdy prowadząc samochód, z niejasnych nawet dla siebie przyczyn wylądowałem na środku rabatki kwiatowej na jednym ze stołecznych rond. To wtedy odebrano mi prawo jazdy, a gazety bulwarowe rozpisywały się o tym, jak bardzo woda sodowa uderzyła mi do głowy.

– Nie ma pan pojęcia, co wtedy przeżywałem – mówię przez zaciśnięte ze złości zęby.

– To prawda, nie było mnie tam, ale wiem, że sukces uzależnia, a w sytuacji, gdy kariera wisi na włosku, można nie wytrzymać napięcia. Wydawca czeka na pana nową książkę, największy konkurent szydzi z pana w ogólnopolskiej prasie... – Znacząco zawiesza głos. – To musi wywoływać ogromną presję.

Śmieję się nerwowo. Jego sugestia jest tak absurdalna, że mnie obraża.

– Chyba pan żartuje?

Wzrok aspiranta Miłoszewskiego skanuje mnie niczym rentgen. Wyraz twarzy mężczyzny jest nieprzenikniony i nie potrafię go odczytać, a jednak czuję, jakbym stał przed nim nagi, odarty z ostatnich resztek godności.

– Porozmawiamy o tym na komisariacie – stwierdza po chwili. – Wypląnęły nowe informacje, które mogą się wiązać z zaginięciem pana żony. Proszę stawić się u mnie za godzinę.

Pytania eksplodują w mojej głowie jak kapiszony na osiedlowych podwórkach, jednak zanim zdążę je zadać, policjant odchodzi

w kierunku nurków. Stoję jeszcze przez chwilę z głupio otwartymi ustami i nadzieją, która zaczyna tlić się gdzieś w moich trzewiach.

✱

Przed podróżą na komisariat zamawiam dużą czarną kawę na wynos. Muszę się ocknąć, bo czuję, jakby ktoś wyssał ze mnie całą energię. Rozsądek podpowiada, że powinienem również coś zjeść, ale nie odczuwam głodu, a wszystko, co wkładam do ust, ma smak rozmięklej tektury. W barze panuje swobodna atmosfera lunchu, pełna żartów i prosecco buzującego w wysokich kieliszkach. To wszystko wydaje mi się tak bardzo nie na miejscu, że odwracam wzrok w stronę ekspresu ciśnieniowego, który syczy, wypływając smolistą kawę do papierowego kubka.

Kilka stolików dalej, tuż obok filaru, siedzi Leon Górecki z żoną, której ręka wisi na temblaku. Oboje wpatrują się we mnie z niesmakiem, szeptem wymieniając uwagi. Na widok mężczyzny metalowa łyżeczka wypada mi z dłoni i z brzękiem uderza o podłogę, przyciągając spojrzenia kilku gości. Zawstydzony podnoszę ją naprędce, a policzki pieką mnie, jakby płonęły. Po chwili gapie wracają do swoich zajęć, ale ja jestem już cały rozedrgany. Ukradkiem dotykam czoła, które pokryło się kroplami potu. Oni wszyscy wiedzą, myślę, zdając sobie sprawę, że zaczynam przypominać paranoika.

Odchodzę od baru, w pośpiechu zamykając kubek plastikową pokrywką. Gorący napój parzy dłoń. W lobby lawiruję między gośćmi wracającymi ze spacerów, odbijając się od ich ciał niczym kulka od band we flipperze. Ucisk w klatce piersiowej narasta, dźwięki atakują mnie jak rozwrzeszczane mewy, a serce dziko kołacze się pod żebrami. Z ulgą witam chłód i spokój łącznika między budynkami. Przystaję na moment, by wziąć kilka głębokich wdechów, dzięki czemu karuzela w mojej głowie zwalnia. Już dobrze, powtarzam sobie, to tylko stres. Ale gdy dobiega mnie odgłos przyspieszonych kroków, jakby ktoś mnie ścigał, truchtem ruszam przed siebie.

– Panie Engel! – nawołuje męski głos, który bez trudu rozpoznaję, lecz nie mam zamiaru na niego reagować.

Muszę się od tego odciąć, nabrać dystansu. Szczególnie że być może chodzi mu o srebrny klucz, który wczoraj ukryłem w swojej kieszeni.

– Panie Engel! – powtarza, a w końcu dogania mnie i zachodzi mi drogę.

Przed oczyma mam ochroniarza w czapce z daszkiem i z zarumienionymi policzkami. Chłopak trzyma rękę na swoim boku, jego klatka rytmicznie unosi się i opada, a on ciężko dyszy, wyciągając przed siebie czarną torbę na ramię.

– Komputer – rzuca pomiędzy kolejnymi falami urywanego oddechu. – Zostawił go pan wczoraj u mnie.

Odbieram laptopa bez słowa.

– Zauważyłem pana na monitoringu i postanowiłem oddać sprzęt, ale zanim dotarłem do baru, już pan wyszedł. Gnał pan, jakby się paliło – stwierdza z uśmiechem. – Wszystko w porządku?

– A jak pan myśli? Moja żona zaginęła, a wszyscy wokół wmawiają mi, że nigdy nie odwiedziła tego hotelu. Czy to brzmi jak „w porządku”? – pytam z irytacją.

Ochroniarz drapie z zakłopotaniem wąsik pod nosem.

– No racja, niezupełnie.

Kiwam głową, przygryzając wargę.

– Mam też niezbyt dobre wieści z Alkatechu – dodaje. – Rozmawiałem z tym serwisantem od kamer, ale facet twierdzi, że nie widział pana żony.

– No tak, jakżeby inaczej – burczę pod nosem.

– Słucham?

– Nie, nie, nic takiego. – Macham ręką, uznając, że wszczynanie kolejnej dyskusji i tak nic mi nie da.

Chłopak wciska dłonie w kieszenie spodni, żegna się, po czym odchodzi, pobrzękując kluczami przy pasku. Gdzieś w moim wnętrzu z bezradności powoli rodzi się wściekłość. Ci ludzie kpią ze mnie i wierzą, że są sprytniejsi. Dlatego muszę ich zaskoczyć, uderzyć wtedy, gdy się najmniej tego spodziewają, bo tylko w ten sposób mam szansę zyskać przewagę.

– Jak pan to zrobił? – wołam.

Ochroniarz przystaje, odwracając się. Na jego twarzy widnieje zdziwienie.

– Co takiego?

– Jak pan podmienił to nagranie z korytarzem? Jestem pewien, że wcześniej na dywanie nie było widać plamy.

Brwi chłopaka zbiegają się ze sobą, a spojrzenie pytająco błądzi po mojej twarzy.

– Coś się panu pomyliło, niczego nie podmieniałem.

Szukam w rysach Hańczy fałszu, jakiegoś zdradzającego kłamstwo drgnięcia mięśni, lecz go nie odnajduję.

– Zrobił to pan wtedy, gdy poszedłem przygotować sobie herbatę, prawda? – Nie poddaję się. – To był jedyny moment, gdy nie śledziłem tego, co działo się na monitorach.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

Podchodzę bliżej, na tyle, że wyczuwam cierpką woń tytoniu zmieszaną z zapachem wody po goleniu, i zaglądam mu w oczy, jakbym chciał go przejrzeć na wylot.

– Skąd w panu ta niechęć do mnie? Czym sobie na to zasłużyłem?

Mięśnie chłopaka sztywnieją. Jego wargi ledwie dostrzegalnie drgają, a wzrok ciemnieje. Zauważam, że od strony hotelu, pogwizdując, nadchodzi jakiś człowiek, obok którego przebiega tutejszy szary kot. Obaj instynktownie spoglądamy w stronę mężczyzny, a ja ze zgrozą odkrywam, że to Abart. Wiktor taksuje wzrokiem ochroniarza, po czym uśmiecha się pod nosem, jakby sobie z niego kpił, i przystaje pod ścianą, tuż za plecami Hańczy. Dyskretnie kręcę głową, dając mu znak, by pod żadnym pozorem nie próbował wtrącać się w naszą rozmowę. Abart odpowiada skinieniem, po czym schyla się, by pogłaskać puchatego persa, który miaucząc, usiłuje wcisnąć pyszczek w szczelinę przy ścianie.

– Naprawdę pan o to pyta? – odzywa się w końcu ochroniarz.

– Tak.

– Chyba słyszałeś – wtrąca Wiktor.

Chłopak marszczy brwi z niesmakiem, a później wraca do naszej rozmowy.

– Bo wygląda mi pan na człowieka, który jest zdolny do potwornych rzeczy.

– Co za bezczel – komentuje Wiktor.

– Możesz przestać?! – napomina go ochroniarz.

Abart uśmiecha się lekceważąco, po czym znów zaczyna bawić się z kotem, który nie przestaje pomiaukiwać, uderzając łapką w listwę przy ścianie.

– Dlaczego pan tak uważa? – dopytuję.

Filip Hańcza prychnie i kręci głową.

– Barman, który pracował w noc zaginięcia pańskiej żony, twierdzi, że zanim wrócił pan do apartamentu, mówił pan dziwne rzeczy.

– To znaczy?

Na samo wspomnienie zawstydzającego nagrania z kamer monitoringu, na którym widać, jak chwieję się na nogach i mamrocę pod nosem, oblewa mnie fala gorąca.

– Powtarzał pan w kółko: „jak to jest patrzeć na śmierć” i „pozwolić komuś umrzeć”.

Dotykam dłonią klatki piersiowej, czując, jakbym właśnie odebrał cios w splot słoneczny, od którego robi mi się ciemno przed oczami.

– Byłem pijany, bełkotałem bez sensu – protestuję.

– A może wręcz przeciwnie? Po alkoholu często wychodzi z ludzi to, co na trzeźwo ukrywają.

Przekonany, że chłopak zauważa mój rozbiegany wzrok i drżące ręce, odchrząkuję, by nie brzmieć jak nastolatek przed mutacją głosu.

– To nie tak, ja tylko powtarzałem zasłyszane słowa – tłumaczę, omiatając wzrokiem Abarta. – To nie ma nic wspólnego ze mną.

Ochroniarz patrzy na mnie jak na kogoś, kto ucieka się do kiepskiej wymówki.

– Może pan oszukać wszystkich, nawet siebie, ale ja nie dam się nabrać.

– Przysięgam, że mówię prawdę.

Mój głos przepętnia bezsilność. Zaciskam palce na kubku kawy, czując pieczenie w opuszkach.

– To już oceni policja – odpowiada chłodno Hańcza.

– Jak to? Zamierza ich pan o tym informować?

– Już to zrobiłem. W końcu zaginęła kobieta w ciąży, niczego nie można ignorować.

Nim się odwróci, dostrzegam grymas satysfakcji przecinający jego oblicze.

– Pozwolisz mi tak odejść? – pyta Wiktor, rozkładając ramiona.

– Zamknij się – syczę.

Patrzę na oddalające się plecy chłopaka. Jego chód przypomina ten, który prezentują nastolatki z naszej ulicy, skryci pod obszernymi kapturami bluz i ze spodniami z krokiem w kolanach. Filip Hańcza buja ciałem na boki jak dzieciaki, które nocą malują graffiti na murach, a swoim niespiesznym, nonszalanckim krokiem chcą przekazać tylko jedno.

„Nic nie możesz mi zrobić”.





Kiedy docieram na trzecie piętro budynku B, dobiega mnie cichy pisk kółek wózka sprzątaczek. Wyrzucam pusty kubek po wypitej w drodze kawie i nasłuchuję. Dźwięk początkowo narasta, a po chwili urywa się, jakby ktoś przystanął. Ostrożnie wychylam się z za załomu ściany korytarza i dostrzegam znajomą pokojówkę, Kalinę. Stoi pod drzwiami naszego apartamentu z jedną dłonią głęboko wciśniętą w kieszeń uniformu, drugą zaś uniesioną do góry i zwiniętą w pięść, jakby zamierzała zapukać, ale jeszcze nie potrafiła się zdecydować, czy na pewno chce to zrobić.

Dziewczyna wygląda na zmęczoną, ma ziemistą cerę i przygarbione plecy. Pojedyncze pasma jej włosów wymknęły się z cienkiego kucyka i tańczą wokół błyszczącej od potu twarzy. Kalina przestępuje z nogi na nogę, płochliwie zerka na boki, po czym wyjmuję z kieszeni coś drobnego, co ukrywa w dłoni, a później kręci głową i na powrót to chowa.

Co ona wyprawia? – myślę, starając się zachowywać jak najciszej. Pokojówka wreszcie poddaje się, wzdycha ciężko i zrezygnowana wraca do wypełnionego po brzegi wózka. Sprawia wrażenie, jakby pchała na nim nie tylko ręczniki i pościelenie, ale też jakiś znacznie większy ciężar. Powoli wychodzę na korytarz, a następnie zmierzam w jej stronę. Kiedy jestem już blisko, odchrząkuję delikatnie, by jej nie przestraszyć, ale jednocześnie dać znać o swojej obecności. Tak jak przewidywałem, Kalina przystaje, a następnie odwraca się i mruga oczami jak ktoś, kto właśnie obudził się z głębokiego snu i usiłuje oprzytomnieć.

– Dzień dobry – mówi nieco przestraszona.

Odpowiadam jej skinieniem, dostrzegając, jak kurczowo obejmuje palcami poręcz wózka. Jej oczy poprzecinane są siatką czerwonych żyłek, a paznokcie obgryzione aż do krwi.

– Widziałem panią pod moimi drzwiami.

Dziewczyna wzdryga się lekko.

– Ach tak, ja... zamierzałam zostawić panu ręczniki, ale nikt nie otwierał i uznałam, że przyjdę później. Nie chciałam przeszkadzać.

– Tak? To dziwne, bo wydawało mi się, że nawet pani nie zapukała.

Pokojówka z zakłopotaniem pociera czoło, rozgląda się dyskretnie, jakby sprawdzała, czy nikt nie nadchodzi.

– To może zostawię je teraz – proponuje i odwraca się w stronę wózka, by ukryć czerwone plamy, które wystąpiły na jej szyję. – Cały komplet, prawda?

Obserwuję, jak rozdygotanymi dłońmi układa na stosie jeden duży ręcznik, dwa małe i dywanik prysznicowy.

– Proszę bardzo. – Podaje mi świeży zestaw, siląc się przy tym na radosny ton, ale oboje słyszymy, że jej głos drży. – Czy potrzeba coś z kosmetyków? Może dam panu na zapas dwa szampony i żele pod prysznic.

Znów ucieka do wózka, ale tym razem, gdy przerzuca buteleczki z płynami, szukając właściwych, kładę ręce na jej dłoniach. Dziewczyna zastyga, jakby mój dotyk przemienił ją w kamień.

– Pani Kalino, niczego mi nie brakuje – mówię uspokajająco. – Chciałbym tylko wiedzieć, co robiła pani pod moim pokojem.

– Wymieniałam ręczniki, przecież pan wie.

Chce zabrać ręce, ale orientuje się, że nadal ją trzymam.

– Pani chciała mi coś powiedzieć, prawda?

Zaprzecza, potrząsając głową. W jej ruchach i rozbieganym spojrzeniu omiatającym kamerę u sufitu odczytuję popłoch.

– Niech mnie pan puści. – Szarpie się, ja jednak nie ustępuję.

– Widziałem, jak wyjęła coś pani z kieszeni, a później po chwili wahania z powrotem to schowała. Co to było?

– Nic, wydawało się panu. Proszę mnie zostawić w spokoju.

Nie zwalniam uchwytu i z desperacją w głosie ciągnę:

– Najpierw muszę się dowiedzieć, co pani przede mną ukrywa. Czy to coś związanego z Niną? Znalazła coś pani? Jej kolczyk, obrączkę?

– Nie, przysięgam.

Znów usiłuje się wyswobodzić, ale ja jej nie puszczam.

– Więc co? – Mocniej ściskam jej ręce, nieświadom, że zadaję dziewczynie dotkliwy ból. – Proszę mi to pokazać.

Kalina odmownie potrząsa głową, przez co czuję się zmuszony, by sam sięgnąć po przedmiot. Moje dłonie są duże, więc bez trudu jedną z nich ściskam nadgarstki dziewczyny, a drugą wkładam do kieszeni jej fartucha.

– Przestań! – krzyczy, i wreszcie wyrywa ręce z uścisku, zawadzając jedną z nich o śrubę wystającą z wózka. Na jej skórze, od łokcia aż do nadgarstka, natychmiast pojawia się długie, nabiegające krwią zadrapanie.

Patrzemy na ranę oboje, ciężko oddychając, gdy nagle dociera do mnie, że zachowałem się jak szaleniec. Robi mi się jednocześnie gorąco i zimno.

– O Boże, przepraszam – tłumaczę się. – Nie wiem, co mnie opętało, od kiedy Nina zniknęła, jestem strzępkiem nerwów. Pomogę to pani opatrzeć.

Pokojówka robi krok w tył.

– Niech się pan do mnie nawet nie zbliża – rzuca z pogardą, przyciągając rękę do siebie.

Spoglądam na krew znaczącą dywan.

– Nie miałem zamiaru zrobić pani nic złego, chciałem tylko... – Urywam, ponieważ na piętrze pojawia się Łucja Serafin.

Sunie w naszą stronę niczym sztorm. Przemierza korytarz szybkim krokiem, a jej nachmurzone czoło, zwarte w wąską kreskę usta i gniewne spojrzenie świadczą o tym, że musiała obserwować całe zajście przez kamery.

– To, że znoszę pańską obecność w hotelu, nie znaczy, że będę akceptować nagabywanie moich pracowników i gości! – oznajmia podniesionym głosem, z wściekłością wymachując palcem. – Dzisiaj ma pan u nas ostatni nocleg, a jutro chcę, by pan stąd zniknął. Rozumiemy się?

– Nie wyjadę, dopóki...

– Nie będę tego słuchać – przerywa mi. – Wyjedzie pan wtedy, kiedy ja tak zadecyduję. Jutro wygasa pana rezerwacja, a to, co pan wyprawia, szkodzi wizerunkowi hotelu. To się musi skończyć.

Pochyliam głowę, pozwalając jej wierzyć, że wygrała, choć tak naprawdę nie zamierzam odpuścić do czasu, gdy nie znajdę żony.

– Jak się czujesz? – Serafin z troską ogląda rękę Kaliny. – Nie wygląda to najlepiej. Chodź ze mną na dół, założę ci opatrunek. Mam nadzieję, że nie będzie potrzebne szycie – dodaje, po czym rzuca do mnie wzgardliwe: – Powinien się pan wstydzić.

Kiedy odchodzą, pokojówka odwraca się i zerka na mnie przez ramię. Jej palce zanurzają się w kieszeni fartucha, a wtedy wyraz twarzy w ułamku sekundy przemienia się w obraz jednej z tragicznych masek greckiego teatru, przepełnionych niepokojem i przerażeniem. Patrząc w rozszerzone oczy dziewczyny oraz na jej blade usta, a później obie kobiety znikają połknięte przez kabinę windy.

Z ulgą zamykam się w pokoju. Moja dłoń wyłuskuje z tylnej kieszeni spodni niewielką karteczkę złożoną na czworo. Opieram plecy o drzwi i zsuwam się ostrożnie na podłogę, obracając w palcach to, co wcześniej Kalina ukrywała w uniformie. Rozkładam ją bez namysłu, a mój wzrok zachłannie przebiega po każdej literze tej krótkiej wiadomości.

„Niech pan nie przestaje szukać”.

✱

W drodze do komisariatu nie mogę przestać myśleć o wiadomości od pokojówki. Pytania w mojej głowie kłębią się jak stado śliskich żmij. Dlaczego chciała mi ją zostawić? Czy to znaczy, że jestem bliski odnalezienia Niny? I z jakiego powodu ostatecznie nie zdecydowała się położyć kartki pod drzwiami? Nic z tego nie rozumiem. Przed wyjściem usiłowałem odnaleźć Kalinę, ale recepcjonistka przekazała mi, że dziewczyna musiała wziąć kilka dni wolnego. Gdy to usłyszałem, żelazna dłoń wyrzutów sumienia ścisnęła mój żołądek.

Nawet teraz czuję, jakbym miał w tym miejscu grudę wysuszonej gliny, której nie potrafię rozpuścić. Kim, do cholery, byłem, gdy nie zważając na protesty pokojówki, wbijałem paznokcie w jej nadgarstki? Gdy z całej siły ścisnąłem te drobne, kruche dłonie? Nie wiem, bo nigdy wcześniej siebie takim nie widziałem. Wszystko we mnie nadal się trzęsie. A co, jeśli Kalina wcale nie poszła na urlop? – roztrząsam coraz

bardziej spięty. Jeżeli uciszyli ją za to, że próbowała się do mnie zbliżyć i coś mi powiedzieć?

Dźwięk kierunkowskazu rytmicznie pulsuje w mojej głowie, kiedy przystaję przed skrzyżowaniem. Delikatny wiatr trąca liście drzew, słońce odbija się w asfalcie, rażąc oczy.

Mojej żony nie ma już ponad dobę. Spędziłem dziesiątki godzin na wyobrażaniu sobie tego, co mogło się z nią stać, ale żaden z tych scenariuszy nie daje odpowiedzi na to, gdzie jest teraz. Wiem, że ludzie z hotelu znają prawdę. Kryją ją przede mną, stosując swoje sztuczki. Dobrowolnie nigdy nie przyznają, co się tam wydarzyło, to nie jest w ich interesie, dlatego muszę sprawić, by policja mi uwierzyła i zechciała przeszukać Wichrowe Wzgórze.

Z tym postanowieniem parkuję pod komisariatem.

Tym razem nie będziemy rozmawiać w ciasnym boksie przy zagrożonym biurku. Rudowłosy aspirant Miłoszewski zaprasza mnie do oddzielnego pokoju o zimnych bladozielonych ścianach, gdzie na kilku metrach znajdują się tylko stolik i dwa krzesła. We wnętrzu pachnie pleśnią. U sufitu wisi starodawny, rzeźący wiatrak, który kołysze się na wszystkie strony, jakby miał lada chwila spaść nam na głowy razem z tynkiem. Ciszę dodatkowo zakłóca bzyczenie mrugającej jarzeniówki, rzucającej na nas upiorną fioletową poświatę, przez co wyglądamy jak martwe ciała w prosektorium. Policjant unika patrzenia mi w oczy. Obsesowo wypluwa z siebie pełne niechęci „proszę usiąść”, po czym kładzie na biurku dwie teczki i moją książkę z wystającymi z niej zakładkami.

– Czytał pan *Rysy*? – Nie kryję zaskoczenia.

Miłoszewski odburkuje coś, co interpretuję jako „tak”. Szpera w swoich dokumentach, szeleszcząc, przerzuca papiery, aż wreszcie natrafia na stronę z odręcznymi notatkami. Pismo jest tak drobne, że choć próbuję, nie jestem w stanie odczytać ani słowa.

– Zanim zaczniemy, muszę jeszcze raz zapytać: gdzie ostatni raz widział pan swoją żonę?

– W hotelu Wichrowe Wzgórze. W piątek w nocy zasnąłem obok niej w łóżku.

– Jest pan tego absolutnie pewien?

– Na sto procent.

Aspirant dopisuje coś na marginesie kartki pokrytej maczkiem, a ja pocieram wilgotny kark.

– Ratownicy z karkonoskiej grupy GOPR na ten moment nie potwierdzili, by ktokolwiek widział pana żonę w rejonie którejs z tutejszych atrakcji turystycznych, ale mają jej zdjęcie i będą czujni.

– Według mnie to strata czasu, powinniśmy szukać Niny w hotelu.

Miłoszewski uśmiecha się łagodnie, po czym wraca do swojego raportu:

– Stacja benzynowa pod Wrocławiem, gdzie tankował pan po drodze, udostępniła nam nagrania z monitoringu zarejestrowane w piątek po południu. Na filmie widać, jak podejżdża pan do dystrybutora, uzupełnia paliwo, a później płaci przy kasie. Pana twarz bez trudu można rozpoznać. Problem w tym, że nie ma tam pana żony.

– Mówiłem poprzednio, Nina spała na siedzeniu pasażera, nakryta kurtką. Nie wychodziła z samochodu.

Ostatnie słowa podkreślam, uderzając dłonią o blat.

– Szkoda. Lepiej byłoby, gdyby jednak wychodziła. Na nagraniu samochód widać od tyłu, więc w żaden sposób nie można stwierdzić, czy ona tam rzeczywiście była.

– Przecież ja to potwierdzam.

Mężczyzna śmieje się sucho, jakbym właśnie opowiedział jakiś czerstwy dowcip. Zgarbiony, z przedramionami na stole przesuwam po funkcjonariuszu nierozumiejącym spojrzeniem.

– O co chodzi? To nie wystarczy?

– Obawiam się, że nie. – Kręci głową z niedowierzaniem. – Szczególnie zważywszy na to, czego dowiedziałem się od doktora Basińskiego.

– Od kogo?

– To neurolog, który badał pana w Warszawie po upadku z drabiny. Nie pamięta pan? Sam zapisywał mi pan jego dane i nazwę szpitala – przypomina. – Według niego mogło u pana dojść do... – Urywa, by sięgnąć po notatnik, po czym dopowiada: – Do zespołu powstrząśnieniowego. Objawia się bólem i zawrotami głowy, a także problemami z koncentracją i pamięcią.

Splatam ze sobą palce, by ukryć ich nerwowe drżenie.

– Moja pamięć działa bez zarzutu.

– Czyżby? – pyta prowokacyjnie funkcjonariusz, a potem wyprowadza cios, którego się nie spodziewałem: – W takim razie chciałbym porozmawiać o śmierci pana pierwszej żony.

Wydaję z siebie udręczone jęknienie.

– Jezu, naprawdę musimy to wywlekać? To było szesnaście lat temu, poza tym wszystko opisałem w książce, którą ma pan przed sobą.

– A jednak wolałbym to usłyszeć od pana. Dlaczego kobieta, która nie umiała pływać i nie przepadała za wodą, poszła sama na pomost?

Wzdycham, po czym krzyżuję ramiona na piersi. Wszyscy mamy wspomnienia, do których nie lubimy wracać. Są jak niebezpieczne, dzikie zwierzęta, dlatego spychamy je do głębokiej i ciemnej piwnicy, byle tylko nie rzuciły się nam do gardeł. Problem z nimi jest jednak taki, że nawet jeśli uda nam się je wyprzeć i ukryć w prywatnej czarnej skrzynce, do której celowo zgubimy klucz, one nadal tam będą. I pewnego dnia wrócą, by o sobie przypomnieć.

– Chodziła tam, żeby pomyśleć o różnych sprawach, nabrać dystansu. Patrzenie na jezioro ją uspokajało – wyjaśniam.

– Chce pan powiedzieć, że w tamtym czasie tego potrzebowała? Była zdenerwowana albo zaniepokojona?

– Nie wiem, może – mówię z pretensją. – Ja wtedy sporo pracowałem, a Ewa godzinami siedziała w domu. Nie miała zbyt wielu przyjaciół i po prostu była ze wszystkim sama. Wie pan, jak to jest, gdy ktoś dużo czasu spędza bez innych ludzi. Człowiek wtedy dziwacznie, traci dystans do rzeczywistości, a z kątów wyłażą wszystkie demony, które dotychczas siedziały w ukryciu.

Aspirant Miłoszewski obraca w palcach długopis, przyglądając mi się wnikliwie. Jego drobne, okrągłe oczka zdają się przeszywać moje ciało niczym wiązka lasera.

– Gdzie pan był, gdy zginęła? – pyta.

– W pracy. Od rana prowadziłem zajęcia ze studentami na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim. Tego dnia uczelnia organizowała konferencję o języku w literaturze i filmie, gdzie także miałem wystąpienie. – Spoglądam w dal niewidzącym wzrokiem, a przed

oczywiście rysują mi się sceny z przeszłości. – Zabawne, że po latach pamięta się takie rzeczy, prawda?

Policjant potakuje, w zamyśleniu stukając o kartkę końcówką długopisu.

– Dlaczego tak naprawdę napisał pan tę książkę? – Dotyka palcem egzemplarza. – Chciał się pan wybielić?

Prycham, dotknięty absurdalnością jego pytania.

– Dobrze pan wie, że policja badała okoliczności sprawy i uznała ją za nieszczęśliwy wypadek. Nad jeziorem unosiła się wtedy gęsta mgła, deski pomostu były śliskie i Ewa straciła równowagę – informuję. – Nie musiałem się w żaden sposób tłumaczyć. Napisałem *Rysy* tylko po to, by poradzić sobie z bólem po śmierci żony.

– I nieźle pan na tym wyszedł. Dzięki tej książce stał się pan rozpoznawalny, żeby nie powiedzieć: znany.

– To przesada.

– Czy ja wiem? W końcu obronił pan doktorat, przeniósł się do stolicy, udzielał wywiadów, a trzy lata później pana cikliwa historyjka doczekała się ekranizacji. To sporo jak na faceta, który chwilę wcześniej żył w cieniu i nikt go nie kojarzył. Niektórzy powiedzieliby, że wykorzystał pan tę tragedię, by wreszcie zabłysnąć. A ostatnio pana gwiazda przygasa...

Policjant mlaska znacząco. Dłonie, które dotychczas trzymałem przy ciele, teraz kurczowo zaciskają się na krawędzi blatu.

– Co pan sugeruje?

– Robi pan wokół siebie strasznie dużo szumu z tym zaginięciem żony w hotelu. Kobiety nie ma na żadnym z nagrań, nikt jej nie widział, a jedyne, co nie ulega wątpliwości, to fakt, że w piątek rano wsiadła do pańskiego samochodu. – Wymownie spogląda na mnie. – Wnioski nasuwają się same. Jest pan ostatnią osobą, która widziała Ninę Engel, i jednocześnie tą, która najbardziej skorzysta na jej zniknięciu. W końcu ile wydawca może czekać na nową książkę? A taki temat sprzedaje się jak gorące bułeczki.

Jego słowa brzęczą w moich uszach niczym rój rozsierzdzonych pszczoł. Z rozchylonymi wargami gapię się na policjanta, jakby przed chwilą mnie uderzył. Wiem, że to prowokacja, a jednak nie potrafię jej



zignorować. Czuję suchość w ustach, a serce zaczyna bić coraz wolniej, chcąc opóźnić dalszy ciąg tej rozmowy.

– Jeden ze świadków twierdzi, że tamtego wieczoru bełkotał pan o tym, jak by to było kogoś zabić... – Zawiesza głos, czekając na moją reakcję.

– Co za wierutna bzdura! – Uderzam pięścią w stół, a z oburzenia robi mi się gorąco. – Powtarzałem tylko słowa faceta poznanego w barze. Uparł się, że opowie mi, jak to jest patrzeć na czyjąś śmierć, a ja opiszę jego historię w nowej powieści. Nazywa się Wiktor Abart.

Funkcjonariusz notuje nazwisko na kartce.

– Nie sądzi pan, że już czas powiedzieć prawdę?

Przez chwilę zapowietrzam się i jestem w stanie tylko mrugać.

– Pan nie mówi poważnie. – Zacinam się z nerwów. – Przecież to oczywiste, że za zniknięcie Niny odpowiadają Łucja Serafin i jej pracownicy. Tam musiał się zdarzyć jakiś wypadek, a teraz oni chcą go ukryć. Wszyscy są w zмовie.

– Słyszysz pan siebie, prawda? Pana słowo przeciwko słowu kilkunastu, a może nawet kilkudziesięciu osób.

– Wiem, że podmienili nagrania z korytarza na trzecim piętrze. Usunęli wszystkie momenty, w których widać Ninę.

– Ma pan na to jakieś dowody?

Z bezsilności na moment przymykam powieki, kręcąc głową.

– No to nie mamy o czym rozmawiać – kwituje policjant.

Opuszczam ramiona, lecz po chwili przypominam sobie o żółtym skrawku papieru. Sięgam dłonią do kieszeni i podaję aspirantowi karteczkę, którą wyrwałem pokojówce.

– A jak wytłumaczy pan to? – pytam. – Jedna z pracownic chciała ją zostawić dzisiaj pod moimi drzwiami.

Miłoszewski przygląda się wiadomości, po czym zgniata papierek w kulkę i rzuca go w moją stronę.

– Naprawdę tylko na tyle pana stać? Przecież to o niczym nie świadczy. Równie dobrze sam mógł pan nabazgrać ten napis.

– Ale tego nie zrobiłem, ja...

– Coś panu przeczytam – przerywa mi, otwierając *Rysy* na jednej z zaznaczonych stron. – „Czasami czuję, jakby mieszkały we mnie dwie

osoby. Ten dobry i ten, który z wściekłości chciałby podpalić cały świat”.

– To opis rozpaczy po śmierci żony – bronię się, ale policjant nie słucha i już otwiera książkę na kolejnej stronie.

– „Nie wiedziałem, że jestem zdolny do tak potwornych myśli. Chwilami sam jestem sobą przerażony”. – Rzuca mi aluzyjne spojrzenie i wertuje dalej książkę. – Albo jeszcze to: „Ludzie mówią, że z dwóch żyjących w nas wilków wygra ten, którego karmimy. Mój biały wilk umiera z głodu. Jest tak słaby, że boję się, iż niebawem pożre go jego czarny brat, a wtedy w mojej duszy zapanuje mrok”.

Zaciskam palce w pięści. Bezzadność, którą odczuwam każdą komórką ciała, sprawia, że niemal się duszę. Mam wrażenie, jakbym krzychał gdzieś z głębi, spod powierzchni wody, ale z moich ust wydobywają się jedynie bąble powietrza i nikt, absolutnie nikt mnie nie słyszy.

– Chryste, niech pan w końcu posłucha – unoszę się. – To tylko obraz cierpienia męża po stracie żony. Nie ma w tych cytatach drugiego dna. Ile razy mam to powtarzać? Dlaczego nie przeczytał pan optymistycznych fragmentów z końca książki, tylko te, które pisałem, gdy byłem pogrążony w największej rozpaczy?

Aspirant Miłoszewski z głośnym klaśnięciem odkłada książkę na stolik. Niespiesznie, zapewne po to, by dłużej mnie dręczyć, zakłada skuwkę na długopis i milcząc, wyrównuje kartki z notatkami, które chowa do papierowej teczki na gumkę.

– Chciałbym rzucić okiem na pana samochód – oznajmia. – Jeśli nie ma pan nic do ukrycia, nie widzę powodu do obaw.

Zdenerwowany potrząsam głową, a później z rezygnacją oddaję mu kluczyki. Nie muszę tego robić, bo oficjalnie nie jestem podejrzanym. Wiem też, że nasza rozmowa nie była przesłuchaniem, ponieważ funkcjonariusz nie sporządził z niej protokołu, przynajmniej tyle nauczyłem się z kryminalnych seriali oglądanych niekiedy z Niną, a jednak zgadzam się na przeszukanie opla, tylko po to, by pokazać, że nie mam przed nim żadnych tajemnic.

Zanim się rozstaniemy, czuję, że muszę coś z siebie wyrzucić. Ręce mi drżą, podobnie jak głos, gdy mówię:

– Kiedy to wszystko się skończy, zrozumie pan, że od początku miałem rację. Uwziął się pan na niewłaściwego człowieka.

Trzaskając drzwiami, wychodzę na zewnątrz. Oparty o murek mężczyzna w stroju motocyklisty i z kaskiem przy boku właśnie wyciąga z paczki papierosa i choć nigdy wcześniej nie paliłem, nagle czuję dziką potrzebę, by napełnić płuca dymem.

– Mogę? – pytam, wskazując na kartonowe pudełeczko z wizerunkiem kilkulatka, który trzyma papierosa w dłoni, i podpisem: „Dzieci palaczy częściej zostają palaczami”.

Facet bez słowa wręcza mi lucky strike’a, a później nachyla się z zapalniczką. Przez chwilę łączy nas milczące porozumienie. Stoimy obok siebie i choć niczego o sobie nie wiemy, dzielimy ten moment stopa przy stopie na spękanych płytach chodnika, w słońcu, które świeci tak intensywnie, że muszę mrużyć oczy. Wkładam papierosa do ust i zaciągam się mocno, jakbym chciał wyssać całą nikotynę na raz. Dym gryzie płuca i szarpie od środka. Zaczynam spazmatycznie kaszleć, a z oczu płyną mi łzy.

– Pierwszy raz, co? – stwierdza z nieukrywaniem rozbawieniem mężczyzna.

Przytakuję, nadal się krztusząc. W pewnej chwili zauważam, że choć rwanie w klatce piersiowej ustało, ja nadal płaczę. I rzeczywiście jest to pierwszy raz, ale nie tylko z papierosem, lecz także gdy boję się, że nigdy nie poznam prawdy o tym, co się stało z Niną.

✱

Z pamiętnika Niny:

Wrzesień 2017 r.

*Jedną z największych przyjemności, jakie dzielę z mężem, są te momenty, gdy czyta mi fragmenty tekstów, nad którymi pracuje. Uwielbiam obserwować, jak w skupieniu i ze zmarszczonym czołem pochyla się nad klawiaturą komputera, a jego palce przeskakują po kolejnych klawiszach niczym stepujący tancerze. Przygryza wtedy*

ołówek, którym robi chaotyczne notatki na małych żółtych karteczkach i który później zakłada za ucho niczym artysta. W pisarskim amoku nie słyszy tego, co się do niego mówi, mamrocze coś pod nosem, a niekiedy po prostu patrzy w przestrzeń, jakby szukał w niej podpowiedzi.

Właśnie tak wyglądała nasza codzienność od kilku miesięcy. Tomasz zamykał się popołudniami w swoim gabinecie, by pisać. Zza drzwi dochodziło wtedy miarowe stukanie i dźwięk jego westchnień. Często przesiadywał tam aż do północy, kiedy to wracał do sypialni z potarganą fryzurą, rozpalonym wzrokiem i wypiekami na twarzy. Wszystko przez to, że jeden z największych wydawców w kraju całkowicie przepadł w jego debiucie, a później zaoferował mu kontrakt, który odrzucić mógłby tylko głupiec. Żadne z nas nie powiedziało tego głośno, ale oboje czuliśmy, że to jego szansa na powrót. Jedna z tych wyjątkowych, które w życiu nigdy się nie powtarzają. Porażki minionych lat mocno nadwyreżyły wiarę Tomasza w siebie. Zaczynał cytować słowa krytyków, twierdząc, że się wypalił i zaprzepaścił swój dar, ale niespodziewanie listy, które napisał wtedy do mnie, odblokowały kreatywność i uruchomiły w nim nadzieję, a ja obiecałam zrobić wszystko, co będzie konieczne, by ją podtrzymywać.

– Przeczytasz mi kawałek?

– Nie.

– No proszę, nie bądź taki. – Usiadłam mu na kolanach, wplatając palce w jego włosy.

– Twoja strategia negocjacyjna bardzo mi się podoba, ale prędzej zaprowadzi nas do łóżka niż do rozmowy o książce.

Wydałam z siebie jęk zawodu.

– Uparciuch. To powiedz chociaż, o czym jest.

– Nie mogę, to przynosi pecha.

– Panie Engel, chyba nie chce mnie pan rozzłościć? – Spojrzałam na niego wzrokiem surowej nauczycielki.

– Wręcz przeciwnie, nie marzę o niczym innym.

Tomasz chwycił mnie za biodra i całując, położył na stole obok dwóch pustych już kubków po kawie, a później kochaliśmy się jak w tych

powieściach, które czyta moja matka, ukrywając różowe okładki pod obwolutą z gazety. Głośno i bezwstydnie.

Kiedy zrelaksowani trafiliśmy wreszcie do łóżka, Tomasz przytulił się do moich pleców i wkrótce zasnął. Wsłuchana w jego miarowy oddech, myślałam o tym, jak bezpiecznie się przy nim czułam. Z oddali dobiegały mnie dziwne trzaski, a przy tym nieprzyjemne uczucie owiewającego chłodu. Niechętnie naciągnęłam na siebie szlafrok i wyszłam z sypialni sprawdzić, czy na pewno zamknęliśmy drzwi na balkon.

Winnym przeciągu okazało się otwarte na oścież okno w gabinecie Tomasza. Drewniana rama uderzała o futrynę, skrzypiąc przy tym tak, że aż dreszcz przeszedł mnie po plecach. Zamknęłam pośpiesznie okno i zamierzałam wrócić do łóżka, gdy zauważyłam, że komputer mojego męża nadal jest włączony. Wystarczyła sekunda zawahania, bym usłyszała podszept pokusy, a chwilę później wysuwałam już krzesło spod biurka i racjonalizowałam w myślach swoją decyzję. Tylko zerknę, wmawiałam sobie, gdy słyszałam wyrzuty sumienia skradające się niczym gryzonie.

Tomasz zabezpieczył dostęp do komputera hasłem, ale od dawna wiedziałam, że używa w tym celu mojego imienia. Opuszki palców wystukały odpowiednie litery, a ja z niepokojem spojrzałam na drzwi, zza których dobiegało chrapanie mojego męża. On się nawet nie dowie, popychałam siebie na skraj przepaści, nie mając jeszcze o tym pojęcia. Ekran rozbłysnął, na pulpicie wyświetliło się nasze zdjęcie i moja dłoń na ułamek sekundy zawisła w powietrzu. No dalej, przecież to nie zbrodnia, tłumaczyłam sobie, po czym odnalazłam ostatnio otwierany plik o tytule Nowa książka i otworzyłam go najszybciej, jak potrafiłam, byle się nie rozmyślić.

Ku mojemu zdziwieniu plik był całkowicie pusty. Zmarszczyłam brwi, a później zajrzałam do dokumentu zatytułowanego Notatki. Tutaj dla odmiany znalazłam kilka dobrych, ale zupełnie niełączących się ze sobą zdań, chaotycznie zapisanych w odrębnych liniijkach, rozsypanych jak monety, które wypadły z portfela. Wreszcie natrafiłam na plik podpisany

*słowem Powieść i odetchnęłam z ulgą, zakładając, że to on okaże się tym właściwym.*

*Jednak tym razem również się myliłam. Na kilku kartkach wprawdzie widniał tekst, ale nie był niczym innym, jak tylko strumieniem świadomości mojego męża, zaczynającym się od słów: „A co, jeśli okaże się, że nie jestem wielkim autorem, którego widzi we mnie Nina, lecz jedynie oszustem, który okłamał wszystkich?”.*



Wręczając mi kluczyki, aspirant Miłoszewski, choć bardzo się starał, nie zdołał ukryć rozczarowania brakiem jakichkolwiek obciążających materiałów w opłu. Warczał na wszystkich wokół, a gdy wyszliśmy na zewnątrz, bez powodu naskoczył na jednego z interesantów, który na moment zablokował wjazd na parking pod komisariatem. Na odchodnym ostrzegł, że cały czas ma mnie na oku i niebawem na pewno znów się spotkamy. Przejąłem się tym równie mocno, co wczorajszym deszczem.

Wspominam jego minę, zbliżając się do hotelu, a gdy na horyzoncie majaczy bryła Wichrowych Wzgórz, instynktownie zwieram szczęki. Promienie słońca miękko padają na ściany budynku, w tle rozciąga się górską panoramą, a wiatr łagodnie głaszcze taflę zalewu. Piękne miejsce, myślę. Tak perfekcyjne, że aż nieprawdopodobne. Sprawiające wrażenie idealnego, a w rzeczywistości zatrute.

Parkuję obok srebrnej skody z naklejką Ubera na drzwiach. Jej właściciel najwyraźniej zapomniał wyłączyć światła, bo żarzą się żółtym blaskiem. Gdy wysiadam, dostrzegam też niedomkniętą szybę po stronie pasażera, jakby ktoś zostawiał samochód w pośpiechu. Z ciekawości zaglądam do wnętrza auta. Na lusterku wiszą choinka zapachowa i dwie pluszowe kostki. Być może to jakiś nowy krzyk taksówkarskiej mody, bo widziałem takie niedawno u faceta, który wiozł mnie do szpitala, gdy spadłem z drabiny. W środku jest też identyfikator kierowcy. Omiotam go wzrokiem i zamierzam już odejść, ale moje spojrzenie pada na tablicę rejestracyjną, a wtedy zastygam,

marszcząc czoło. Samochód ma warszawskie numery. Nie byłoby w tym może nic niezwykłego, w końcu każdy może przyjechać do hotelu w Karkonoszach, ale problem w tym, że te numery wydają mi się dziwnie znajome, bo w rejestracji występują obok siebie trzy ósemki.

Nerwowo wyszarpuję z kieszeni telefon, a następnie otwieram aplikację Ubera. W zakładce „przejazdu” można prześledzić wszystkie poprzednie kursy. Mój palec niecierpliwie przesuwa informacje na ekranie, aż docieram do daty, która mnie interesuje. Wprawdzie nie potrafię znaleźć numerów rejestracyjnych, ale marka samochodu się zgadza. To trasa z naszego domu do szpitala, dokładnie wtedy, gdy doznałem urazu głowy.

Z galopującym sercem przyglądam się miniaturowemu zdjęciu kierowcy w aplikacji. Mężczyzna ma na imię Paweł. Jego ciemne oczy spoglądają radośnie spod szerokich brwi, a szczękę zdobią gęsta broda i wąsy. To byłby zbyt duży zbieg okoliczności...

Mrużę oczy, wpatrzony w fotografię. Jestem pewien, że to wszystko okaże się tylko moim wymysłem, jednak dla pewności podchodzę do skody, by porównać zdjęcie z aplikacji z tym w identyfikatorze kierowcy taksówki.

Z plakietki przyklejonej do deski rozdzielczej patrzy na mnie brodaty Paweł Kwiatkowski. Mój wzrok przeskakuje od jednego mężczyzny do drugiego niczym piłeczka pingpongowa pomiędzy graczami. Kiedy pozbywam się ostatnich wątpliwości co do tego, że to ten sam człowiek, który niedawno wiozł mnie w Warszawie do szpitala, robi mi się słabo. Rozglądam się niespokojnie wokół, jakby facet miał się lada chwila zmaterializować, ale oczywiście nic takiego nie następuje. Moje myśli szaleją niczym stado małych skaczących po drzewach. Czy ten mężczyzna mnie śledził? Może Nina wpadła mu w oko podczas tamtego kursu i przyjechał tu za nią w jakimś chorym odruchu? Płaczę się w domysłach, a z nerwów zaczynam obgryzać skórki wokół kciuka aż do momentu, gdy w ustach pojawia się znajomy, metaliczny smak krwi.

Intuicja nakazuje mi przejrzeć pozostałe kursy w aplikacji. Z jakiegoś powodu przeczuwam, że gdyby ten człowiek miał popaść w obsesję na punkcie mojej żony, musiałby wieść ją więcej niż raz. Spotkać się z nią sam na sam, bez zbędnych dodatkowych pasażerów. Obserwować

ukradkiem w lusterku wstecznym, jak poprawia zadartą sukienkę i maluje szminką usta. Podśłuchiwać jej rozmowy telefoniczne, a czasem wciągać ją w niezobowiązującą pogawędkę, dzięki której mógłby się o niej wiele dowiedzieć.

Wzdrygam się na samą myśl o takim scenariuszu, ale moja wyobraźnia nie poprzestaje na tym szaleństwie. Zaczynam się zastanawiać, czy mógł ją nagrywać telefonem, a później odtwarzać ten filmik po wielokroć, gdy dysząc, leżał na łóżku w jakimś zatęchłym pokoju, z ręką w majtkach.

Muszę się opamiętać, powtarzam sobie. Potrząsam głową, by wyrzucić z niej te brudne i lepkie obrazy. Zamiast tego skupiam się na historii poprzednich kursów w aplikacji. Jako że współdzielimy z Niną konto na Uberze, mam dostęp również do listy jej przejazdów. Przesuwam palcem kolejne informacje na ekranie komórki, aż do chwili, gdy moja dłoń zastyga, a z ust wypada przekleństwo. Czarno na białym widzę, że dwa z niedawnych kursów prowadził Paweł, kierujący skodą.

– Kim ty jesteś, bydlaku? – szepczę.

Z aplikacji wynika, że dwa i pół miesiąca temu mężczyzna zawiózł moją żonę na ulicę Żelazną, a później odebrał ją stamtąd i przywiózł z powrotem do domu. To oznacza, że musiał czekać w pobliżu i w międzyczasie nie wziął innych kursów, bo raczej mało prawdopodobne jest, by zdążył wrócić, gdyby trafiła mu się jazda z innym klientem. Nie mam też pojęcia, co Nina mogła robić na Żelaznej w jedno ze styczniowych popołudni, gdy ja prowadziłem zajęcia na uczelni. Wpisuję adres w wyszukiwarce, a ta prowadzi mnie do Galerii Wypieków Lubaszka. Dziwne, stwierdzam. Dlaczego jechała na drugi koniec miasta do piekarni, którą mamy również na Ochocie?

Pocieram rozgrzane z emocji czoło, wnikliwie przyglądając się mapie. Mój wzrok zatrzymuje się na Centrum Medycznym Żelazna i wtedy w ułamku sekundy wszystko nabiera sensu, a przed oczyma staje biała koperta. Wynik badania USG, który znalazłem w walizce Niny, również pochodził ze Szpitala św. Zofii, należącego do CM Żelazna. Żona w obawie o to, że sprawdzę, dokąd jedzie, wpisała inny adres w okolicy, by nie wzbudzać niepotrzebnych podejrzeń.



Według moich obliczeń dwa i pół miesiąca temu Nina była na początku ciąży. Być może tamtego dnia wybrała się po raz pierwszy do lekarza, by potwierdzić, że niebawem zostanie mamą. Czy mogła podzielić się radosną nowiną z taksówkarzem? Nie jestem tego pewien, ale na samą myśl o tym, że obcy, przypadkowy człowiek miałby dowiedzieć się przede mną, skacze mi ciśnienie. Ze złości kopię oponę skody, a później uderzam pięścią w maskę, by dać upust furii. Nagle w samochodzie uruchamia się alarm, ciszę kwietniowego popołudnia przerywa rytmiczne, irytujące buczenie.

– Zamknij się – syczę.

Rozglądam się na wszystkie strony jak winowajca, którym w istocie jestem, po czym uciekam i tchórzliwie kucam za parkującym kawałek dalej czarnym vanem. Moje włosy są mokre od potu, czuję to, gdy dotykam ich palcami, a oddech przypomina ten, który mają ludzie po dogonieniu uciekającego autobusu. Samochód nie przestaje wyć, mnie zaś od tego uporczywego dźwięku wwiercającego się w mózg zaczyna boleć głowa. Ukrywam się jednak nadal, bo mam nadzieję zobaczyć właściciela taksówki. Zakładam, że hałas wywabi go z budynku, a wtedy będę mógł się z nim zmierzyć. Cokolwiek miałoby to oznaczać.

Minuty ciągną się w nieskończoność i wreszcie z hotelu wybiega mężczyzna, który z oddali pilotem wyłącza alarm. Z mojej kryjówki nie widzę wyraźnie jego rysów, ale jestem pewien, że zgolił wąsy i brodę, które widziałem na zdjęciu. Przyciął też włosy, przez co właściwie można by go nie skojarzyć z osobą z fotografii w identyfikatorze.

Taksówkarz idzie w stronę samochodu. Być może zauważył zapalone światła, bo kręci głową z niezadowoleniem. Ma na sobie dzinsy i skórzaną kurtkę opinającą silne ramiona. Jego chód jest twardy, w jakiś sposób stanowczy, przez co wygląda na faceta, którego raczej nie chciałbym spotkać po zmroku w ciemnej uliczce. Kiedy jest już blisko, wstrzymuję oddech, a wtedy on odwraca głowę, jakby czuł na sobie moje spojrzenie, i przez moment patrzę prosto w twarz Mariusza Duńca, recepcjonisty z hotelu.

Zataczam się do tyłu, cudem unikając upadku. Mam nadzieję, że mężczyzna nie zdążył mnie zauważyć. Moje ręce drżą, a w okolicy serca czuję piekące rwanie. Oparty plecami o drzwi vana usiłuję odtworzyć

w pamięci zdjęcie taksówkarza i wyobrazić sobie, jak wyglądałby bez brody, ale mój umysł uparcie broni się przed tym, by Paweł Kwiatkowski był jednocześnie Mariuszem Duńcem. To przecież niemożliwe.

Ta myśl mnie uspokaja, dlatego ostrożnie wysuwam głowę i obserwuję. Mężczyzna tymczasem wsiada do samochodu, gasi światła, a następnie domyka szybę, by po chwili znów zniknąć w gmachu Wichrowych Wzgórz.

W obawie, czy nie wróci, czekam jeszcze jakiś czas w ukryciu, po czym zakradam się do taksówki i uparcie wbijam wzrok w zdjęcie kierowcy. Teraz już nie mam wątpliwości, że Kwiatkowski i Duniec to jedna i ta sama osoba. Obaj mają roześmiane brązowe oczy oraz niewielką bliznę na prawym policzku, której wcześniej, patrząc na identyfikator, nie zauważyłem, bo jej znaczną część zakrywała broda.

Z wrażenia kładę dłoń na otwartych ustach, skubiąc nerwowo wargi i próbując zrozumieć, jakim cudem pracownik Ubera z Warszawy z dnia na dzień został recepcjonistą w hotelu w górach. Nie ma możliwości, by był to przypadek. Fakt, że mężczyzna, który woził moją żonę i mnie taksówką, pracuje teraz w miejscu zaginięcia Niny, wywołuje we mnie nawet już nie podejrzenia, tylko poważny alarm.

Z odmętów pamięci wynurza się ociekające uprzejmością zdanie, wypowiedziane przez recepcjonistę tuż po naszym przyjeździe – „Jestem przekonany, że pobyt u nas na zawsze zapisze się w pana wspomnieniach”. Brzmi teraz echem w mojej głowie, a ja całym sobą wiem już, że to on.

✱

Rozpędzony wbiegam do lobby, mając nadzieję dogonić Mariusza Duńca, ale nigdzie go nie dostrzegam. W moich uszach znów odzywa się nieprzyjemny pisk, potęgowany wrzaskiem dzieci, które przepychają się w kolejce do człowieka w stroju kota, mającym zapewne symbolizować hotelową maskotkę, szarego persa uwielbianego przez gości. Wszyscy rozmawiają podniesionymi z ekscytacji głosami, robią

sobie pamiątkowe zdjęcia, a wyraźnie zmęczona hostessa rozdaje zebranym kolorowe baloniki.

Głowa puchnie mi od hałasu, dlatego uciekam do apartamentu. Chcę pozbierać myśli i informacje, zanim przystąpię do ataku, zarzucając Serafin niewygodnymi pytaniami. Nasz pokój wita mnie ciszą oraz przytłaczającą pustką. Zasiadam w fotelu z komputerem na kolanach, po czym wpisuję do wyszukiwarki nazwisko taksówkarza, a później również recepcjonisty Duńca.

Z moich poszukiwań wynika, że żaden z nich raczej nie ma konta na Facebooku. Wprawdzie na portalu społecznościowym odnajduję kilkudziesięciu mężczyzn o takich samych personaliach, ale ich zdjęcia nie przypominają człowieka, którego spotkałem. Sprawdzam też profile bez fotografii i kilka prywatnych, ale nie dowiaduję się niczego nowego. Wyszukiwarka Google'a prowadzi mnie do wielu Pawłów Kwiatkowskich, w tym: adwokata z warszawskiej kancelarii, cenionego malarza, rehabilitanta oraz fryzjera, jednak wszystko to ślepe uliczki.

Zaciekawia mnie tylko jeden artykuł sprzed ośmiu lat, opowiadający o Dariuszu Kwiatkowskim i jego synu Pawle, którzy ugasili płonący samochód na siedemdziesiątce dziewiątce pod Piasecznem. W skupieniu czytam:

*Przejeżdżając w okolicy, zauważyli kłęby dymu wydobywające się z bagażnika renault zaparkowanego na poboczu oraz mężczyznę bezskutecznie walczącego z płomieniami. Kwiatkowscy zabezpieczyli teren i wezwali straż pożarną, po czym wyjęli z bagażnika gaśnicę i ruszyli na pomoc.*

*Niestety ich gaśnica szybko się wyczerpała, a w płonącym aucie od żaru eksplodowały opony. Samozwańczy ratownicy, z których starszy okazał się druhem lokalnej ochotniczej straży pożarnej, zatrzymywali inne samochody i prosili kierowców o gaśnice, ponieważ płomienie z bagażnika renault wystrzeliły już na wysokość metra. Żywioł udało się opanować dopiero dzięki silnej gaśnicy z zatrzymanego pojazdu pogotowia energetycznego. Łącznie mężczyźni zużyli siedemnaście gaśnic i zdążyli opanować pożar przed przyjazdem strażaków, a Dariusz*

*Kwiatkowski i jego syn zostali wyróżnieni za tę akcję medalami od wójta gminy.*

Na zdjęciach ilustrujących artykuł widać spalony samochód oraz ojca mierzwiącego włosy synowi. Obaj mają osmalone twarze i ręce. Fotografia w niezwykle sposób zdołała ująć dumę, ulgę i radość mężczyzn, które są tak realne, że sam zaczynam je odczuwać. W uchwyconej scenie chłopak nie patrzy w obiektyw aparatu, przez co trudno przyjrzeć się jego twarzy, ale wydaje mi się, że na policzku młodego Pawła Kwiatkowskiego dostrzegam bliznę podobną do tej, którą ma Duniec.

Odnalezienie starszego z ratowników okazuje się dziecinnie proste. Dariusz Kwiatkowski nadal jest druhem OSP Piaseczno, a jego wąsata twarz uśmiecha się ze zdjęcia na stronie internetowej. Dzwonię tam i zostawiam dla mężczyzny wiadomość z prośbą o pilny kontakt, w trzewiach czując przyjemne łaskotanie.

Po odstawieniu komputera przez dłuższy czas siedzę nieruchomo na łóżku, z mętным wzrokiem zawieszonym w przestrzeni, niemal jak osoba w stanie katatonii. Zmęczenie kładzie się ciężko na barkach, przez co czuję, jakby moje ciało było już tylko opakowaniem po człowieku, który wyparował. Pustą skorupą pragnącą uciec w długi sen bez snów, a później obudzić się w u boku mojej żony, jak gdyby to wszystko nigdy się nie wydarzyło.

Przecieram szczypiące oczy i ziewam przeciągle. Głowa sprawia wrażenie obrzękniętej, a ręce i nogi mają ciężar ołowiu. Od niechcienia zaczynam przeglądać zdjęcia Niny udostępnione w internecie. Uśmiecham się do nich prawie tak serdecznie, jak do żony. Opuszką palca dotykam cyfrowej twarzy na zimnym ekranie, a gardło ściska mi strach o to, że kiedyś jej obraz zatrze się w mojej pamięci, jak rysunek na piasku zmyty przez fale. Na stronie teatru śledzę fotografie z prób oraz spektakli, jakbym chciał się nimi nasycić do granic. Szukam znajomych rysów, zatrzymanych w kadrze gestów i prawdziwej Niny, której tam nie ma.

W pewnym momencie moja dłoń zastyga. Mrugam z niedowierzania, a następnie zapisuję jedno ze zdjęć na komputerze i je powiększam. Kadr przedstawia artystów widzianych od tyłu, jakby z głębi sceny, przed nimi stoi rozentuzjasmowana publiczność, unosząca dłonie do braw. Na twarzach maluje się zachwyty, ktoś rzuca w górę pęk róż, niektórzy wchodzą na siedzenia i gwizdzą, wkładając dwa palce do ust. Doskonale pamiętam tę chwilę, to przedpremierowy pokaz *Aidy* dla mediów, patronów medialnych i najbliższych, który odbył się dwa tygodnie temu. Nawet teraz czuję te rozwibrowane emocje i widzę na policzkach artystów ocierane ukradkiem łzy wzruszenia. Od owacji na stojąco bolały mnie ręce, a okrzyki podekscytowanej publiczności rozbrzmiewały mi w uszach aż do następnego dnia. Właściwie, gdy przymykam powieki, nadal jestem w stanie je odtworzyć. Tyle że teraz rwą się i cichną, ponieważ w trzecim rzędzie po prawej stronie na fotografii zauważam Łucję Serafin.

Najpierw moją uwagę zwracają znajome marynarka i bluzka z nad wyraz głębokim dekoltem, a po chwili, gdy przenoszę spojrzenie na uśmiechniętą, promienną twarz kobiety, zyskuję pewność, że jest nią menadżerka hotelu. Rude włosy spięta w wysoki kok, jej usta płoną czerwienią, w palcach ściska zaś niebieski bukiet, łudząco przypominający wiązankę, którą po przedstawieniu Nina postawiła na szafce nocnej w sypialni.

Zachodzę w głowę, co Serafin robiła na zamkniętym wydarzeniu, na które wstęp miały tylko osoby z zaproszeniami. Czy to możliwe, by przyszła do teatru z powodu mojej żony? I dlaczego dotychczas nawet nie wspomniała, że zna Ninę? Pulsujący ból w czaszce znów daje o sobie znać. Przemierzam pokój w tę i we w tę, usiłując nadać sens moim odkryciom, lecz wszystko zamazuje mi się przed oczami. Wreszcie, po chwili walki ze sobą, kopiuję zdjęcie na telefon i zbiegam na dół, by zadać Łucji pytania, które już dawno powinna usłyszeć.

✱

Za kontuarem recepcji zauważam Mariusza Duńca z telefonem przy uchu. Z uważną miną notuje coś na kartkach leżących na ladzie, a potem odwraca twarz do komputera i wpatruje się w ekran. Jego widok sprawia, że zaczynam szybciej oddychać, a moje dłonie bezwiednie zaciskają się w pięści. Ruszam w stronę mężczyzny zdecydowanym krokiem, a gdy odkłada słuchawkę, atakuję bez uprzedzenia:

– Dzień dobry, panie Mariuszu... choć może powinienem powiedzieć: Pawle, bo przecież tak się pan naprawdę nazywa?

Powitalny uśmiech zastyga na twarzy recepcjonisty, powoli ustępując miejsca grymasowi zdumienia, a długopis w jego palcach zatrzymuje się na kartce w połowie zapisywanego słowa.

– Słucham?

– Paweł Kwiatkowski to pan.

Recepcjonista mruga niespokojnie, po czym rozgląda się na boki, jakby szukał wsparcia, wreszcie oblizuje wargi i nachyla się nad kontuarem.

– Na pewno dobrze się pan czuje? – pyta ściszym głosem, udając troskę.

Uśmiecham się z wyższością, świadom, że gra jeszcze się nie skończyła, a asy nadal pozostają w moim rękawie.

– Przed budynkiem znalazłem pana samochód. – Wyrzucam na stół jednego z nich i czekam.

Znów napotykam zmarszczone brwi i uchylone w zdziwieniu usta.

– Nie bardzo wiem, o czym pan mówi. Nie mam samochodu, przyjeżdżam do pracy motocyklem. – Schyla się, a po chwili wyciąga spod lady czarny, odbijający światło kask, który mi pokazuje i odkłada na półkę za sobą.

– Czyżby? Co w takim razie na parkingu robi pańska taksówka?

– Moja? Ktoś pewnie zwyczajnie czeka na klienta.

– Nie wydaje mi się. Samochód ma warszawską rejestrację, a jego kierowca to ta sama osoba, która kilkakrotnie woziła moją żonę w stolicy, sprawdziłem to w aplikacji. Wie pan, jak się nazywa ten taksówkarz?

Duniec rozkłada ręce z zakłopotaniem, patrząc na mnie jak na człowieka, który do reszty oszalał.

– Paweł Kwiatkowski – odpowiadam. – Ale to przecież pan wie, bo jakąś godzinę temu zszedł pan na dół wyłączyć alarm w swoim samochodzie.

Przyglądam się mu wnikliwie, po raz pierwszy czując, że mam nad nim przewagę.

W oczach recepcjonisty początkowo pojawia się konsternacja, męczyzna kładzie dłonie na kontuarze i nabiera tchu, jakby planował przekonywać mnie, że jestem w błędzie, ale niespodziewanie jego twarz jaśnieje.

– A! Chodzi panu o tego niebieskiego ubera należącego do naszych gości!

– Do gości? Niby do kogo?

– Do takiego małżeństwa z trójką dzieci. Chwileczkę. – Jego palce przeskakują po klawiaturze, a następnie zerka w ekran komputera. – Rzeczywiście wymeldowali się jakiś czas temu. Może i dobrze, bo to, co te łobuzy robiły w lobby, to było istne szaleństwo. Jeden zabierał młodszemu dziecku baloniki i ojciec zgarnął go na poważną rozmowę, drugi biegał po korytarzu, kopiąc, co tylko się da, a w tym czasie ich matka trzymała na rękach płaczące niemowlę. Obłęd – mówi, kręcąc głową. – Więc jak się rozwył jeszcze ten alarm, to pomogłem kobiecie. I tak już wyglądała, jakby miała zaraz wyjść z siebie.

– Jakie to szlachetne – komentuję, nie wierząc w ani jedno słowo Duńca. – Mógłbym zobaczyć ich rezerwację?

Męczyzna zaprzecza ruchem głowy.

– Przykro mi, obowiązuje nas ochrona danych osobowych.

Opieram dłonie na kontuarze, uderzając palcami o blat. Czy mogłem pomylić się w kwestii podobieństwa Kwiatkowskiego do Duńca? To wszystko bzdury, szepcze głos w mojej głowie. Wbijam zimne spojrzenie w męczyznę.

– Naprawdę myśli pan, że jestem tak głupi, by uwierzyć w te zbiegi okoliczności? – syczę. – W to, że zupełnym przypadkiem warszawski taksówkarz, który odbywał z nami kursy, przyjechał na weekend do tego samego hotelu i akurat w tym samym czasie, co my?

– Dlaczego nie? Świat jest mały, czy nie tak się mówi? Poza tym nasz hotel reklamował się na ekranach w Uberze i Bolcie, może temu mężczyźnie spodobały się Wichrowe Wzgórza i postanowił nas odwiedzić?

– Z pewnością – stwierdzam sarkastycznie, kręcąc głową, po czym odchodzę.

Kiedy uderzam w drzwi gabinetu Serafin, czuję, jakby w moich trzewiach płonął dziki ogień. Złość porusza niespokojnie nozdrzami i pali od środka. Jest mi potwornie gorąco, a podkoszulek przykleja się do mokrych pleców. Ocieram dłonią wilgoć, która zebrała się we wgłębieniu pod nosem, i z gardłem ściśniętym boleśnie, jakby ktoś napchał w nie starych gazet, nasłuchuję odpowiedzi.

Zza drzwi dobiega mnie burzliwa rozmowa oraz rzucone uprzejmie „chwileczkę”. Jakaś kobieta płaczkliwie wyjaśnia, że omyłkowo przekazała zamówienia do niewłaściwych apartamentów, a menadżerka podniesionym głosem wspomina coś o szpitalu, uczuleniu jednego z gości i poważnych konsekwencjach. Z zaciekawieniem przysuwam bliżej ucho, gdy nagle rozbrzmiewa zgrzyt naciskanej klamki. Odskakuję przestraszony, drzwi się otwierają, a ze środka wypada recepcjonistka o czerwonej od płaczu twarzy, ta sama, na którą wcześniej krzyczał Abart.

Na mój widok rysy Serafin tężeją. Kobieta marszczy brwi, a jej usta wykrzywiają się z niechęcią, jakby patrzyła na cuchnącego żebraka.

– Musimy porozmawiać – informuję bez zbędnych wstępów.

Menadżerka wzdycha, zakładając za ucho pasmo włosów.

– Proszę – odpowiada z rezygnacją i gestem dłoni zaprasza mnie do gabinetu.

Krzesło przy biurku jest odsunięte, jakby czekało, aż ktoś zajmie na nim miejsce, ale decyduję się przeprowadzić tę rozmowę na stojąco. Splatam ramiona na piersi i z wściekłością wypalam:

– Wiem, że śledziła pani moją żonę.

Łucja zatrzymuje się w pół kroku, pytająco unosząc brwi.

– Co takiego?

– Dwa tygodnie temu była pani w teatrze na przedpremierowym pokazie musicalu *Aida*.



Odwracam ku niej ekran telefonu ze zdjęciem, na którym widać ją wśród publiczności, po czym szukam w jej twarzy niepokoju, ale ta pozostaje zadziwiająco gładka i spokojna.

– Ach tak, rzeczywiście. Jak pan na to wpadł? – Rozpromienia się, siadając w fotelu. – To było świetne przedstawienie, ludzie oszaleli z zachwytu. Chętnie obejrzałabym je jeszcze raz, ale nie wiem, kiedy znajdę czas, by znów wybrać się do Warszawy.

– Jakim cudem weszła pani na premierę, na którą obowiązywały specjalne zaproszenia?

– Firma mojego męża jest jednym z partnerów musicalu. Zenco dołączyło w tym roku do podmiotów wspierających teatr.

Ta informacja mnie zaskakuje. Obiecuję sobie sprawdzić później, czy wspomniana marka rzeczywiście patronuje *Aidzie*.

– W tym przedstawieniu grała moja żona – tłumaczę.

– Naprawdę? – Jej zdziwienie sprawia wrażenie autentycznego, ale i tak mu nie ufam.

– Długo jeszcze zamierza pani udawać? Te kwiaty – znów pokazuję fotografię w komórce, dotykając palcem niebieskiego bukietu w dłoniach Serafin – Nina dostała od pani. Postawiła je na stoliku nocnym w sypialni. Pachniały tak intensywnie, że nie mogłem spać, dlatego je pamiętam.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Nigdy wcześniej nie widziałam pańskiej żony, a bukiet, który trzymam na zdjęciu, kupiliśmy z mężem na krótko przed spektaklem i dostała go aktorka grająca główną rolę.

– Kłamie pani.

Łucja na moment przymyka powieki, po czym bierze głęboki wdech.

– Panie Tomaszu, spodziewam się, że nie zechce pan tego słuchać, ale uważam, że rozmowa ze specjalistą mogłaby panu pomóc – zaczyna. – Nie wiem, co wydarzyło się między panem a pana żoną ani gdzie ona teraz przebywa, ale ta obsesja pana wykończy.

– Dlatego nasłała pani na mnie psychiatrę?

– Nikogo na pana...

– Dość – ucinam. – Nie dam zrobić z siebie wariata. Przyjechałem tu z żoną i z nią stąd wyjadę.

Serafin odwraca wzrok. Kładzie palce na szklanym przycisku do papieru w kształcie kuli i w ciszy dotyka opuszkami gładkiej powierzchni.

– Czego właściwie pan ode mnie oczekuje? – pyta z wyrzutem.

– Prawdy.

– Bzdura. Pan chce potwierdzenia swoich urojeń, niczego więcej.

– Tak pani sądzi? A co z tym? – Wyciągam z kieszeni pomietą wiadomość od pokojówki i rzuca ją na biurko menadżerki.

Kobieta rozprostowuje kartkę, czyta jej zawartość, a potem spogląda na mnie pytająco.

– Co to ma być? Sam pan to napisał?

– Nie. Tę karteczkę pod moimi drzwiami chciała zostawić pani Kalina. To dowód, że Nina gdzieś tu jest, a wy o tym wiecie.

Serafin parska śmiechem.

– Nawet jeśli napisała to Kalina, to tylko dlatego, że jej pana żal. Ta dziewczyna przejmuje się losem każdego, od bezpańskich psów po głodujące dzieci. W swojej naiwności pewnie chciała jakoś pana pokrzepić, nic więcej.

Protestuję, kręcąc głową.

– To dlaczego zniknęła, co?

– Bo przez jakiegoś szaleńca wylądowała na SOR-ze z rozciętą ręką – cedzi.

Dotknięty jej uwagą, fukam, a później śledzę cienie tańczące na ścianie.

– Nikt nie jest bezkarny – mówię w końcu, usiłując stłumić złość. – Nawet pani przed kimś odpowiada. Kto jest pani zwierzchnikiem?

– Właściciel hotelu.

– W takim razie proszę do niego zadzwonić. – Wskazuję aparat telefoniczny na biurku. – Teraz.

Łucja Serafin z kamienną twarzą kiwa głową, po czym końcówką długopisu wybiera numer i uruchamia tryb głośnomówiący. W gabinecie rozbrzmiewa sygnał oczekiwania na połączenie. Przysiadam na krześle, opierając złożone ze sobą dłonie o usta, i w napięciu zaczynam podrygiwać stopą.

– Maciej Serafin, słucham – rozlega się nagle silny, męski głos.

Spoglądam na menadżerkę zakłopotany.

– Cześć, kochanie, to ja – mówi Łucja.

– A! Przepraszam, nie patrzyłem na telefon. Biegnę właśnie na negocjacje w sprawie tego hotelu w Karpaczu. Pali się czy możesz zaczekać? Jestem potwornie spóźniony, a wiesz, jacy oni potrafią być upierdliwi.

– Zajmę ci tylko minutę. Jeden z naszych gości chciał skontaktować się z właścicielem hotelu. Zadzwońisz do niego w wolnej chwili? Prześlę ci numer.

– A wiesz, w jakiej sprawie?

– Pewnie chce złożyć na mnie skargę. – Łucja prześlizguje się po mnie spojrzeniem. – To ten mężczyzna, który ubzdurał sobie, że jego żona zaginęła u nas, wspominałam ci.

Maciej Serafin stęka po drugiej stronie.

– Słuchaj, porozmawiamy o tym później, dobrze? Wchodzę właśnie na spotkanie. Kocham cię.

Kiedy mężczyzna się rozłącza, a słuchawka z trzaskiem wraca na widełki, w ciszy patrzymy sobie z Łucją w oczy. Jest mi niedobrze, gabinet zdaje się kurczyć i coraz trudniej zaczerpnąć tchu. Wargi menadżerki poruszają się, ale poza ogłuszającym dudnieniem nic nie dociera do moich uszu. Zrywam się z fotela, jakby ktoś zapalił pod nim ogień, i biegnę przed siebie, myśląc tylko o tym, że nie mam z nimi żadnych szans.

✱

Gorąca woda z deszczownicy sieka moje plecy. Łazienka stopniowo wypełnia się parą, gdy z pochyloną głową stoję pod prysznicem, obserwując mokre strugi spływające po kafelkach. Szum wody mnie uspokaja i łagodzi uporczywe łupanie w czaszce. Zaciskam powieki tak mocno, że przed oczyma zaczynają wirować nieforemne kolorowe kształty. Z bezradności wściekle uderzam pięścią w ścianę do czasu, aż skóra na moich kłykciach pęka i zaczyna z nich płynąć krew. Pisk w uszach wraca i jest na tyle silny, że muszę usiąść w brodziku.

Przyciągam kolana do piersi, pozwalając, by strumienie wody chłostały ciało. To zaraz minie, pocieszam się, i rzeczywiście – wizg powoli cichnie.

Podnoszę się ostrożnie, a gdy sięgam po ręcznik i odwracam się za siebie, na zaparowanej tafli lustra zauważam narysowane palcem serduszko. Ze wzruszenia zaczynam dygotać, a później śmiać się przez łzy, bo wreszcie znalazłem dowód na to, że moja żona była w tym apartamencie. Nina nakreśliła je pierwszego wieczoru, gdy zajrzałem do łazienki. Wstępuje we mnie nowa energia. Niecierpliwie pocieram ręcznikiem zaróżowioną skórę, zerkając na serce, które powoli niknie pod wpływem wkradającego się do łazienki chłodnego powietrza. Krzątam się chaotycznie, postanawiając, że gdy tylko włożę ubrania, ruszę, by dokładnie przeszukać hotel i pukać do każdych drzwi, dopóki nie znajdę Niny.

Z ręcznikiem na biodrach przechodzę do pokoju. Zegar radiobudzika wskazuje siedemnastą, co przypomina mi, że od dawna nic nie jadłem. By uciszyć burczący żołądek, wyciągam z minibarku dwa snickersy. Batoniki znikają w moich ustach, a ja mam wrażenie, że nigdy wcześniej nie smakowały tak dobrze. Na zewnątrz jest nadal widno, pofalowane wierzchołki Karkonoszy dumnie prężą swoje szczyty, w Modrzewiówce zaś odbija się błękitne niebo. Odwracam wzrok i skupiam się na prozaicznych czynnościach, a gdy otwieram szufladę komody, by sięgnąć po świeże skarpetki, w pokoju rozbrzmiewa donośne pukanie.

– Kto tam? – pytam przez drzwi, nie mając ochoty na kolejną rozmowę z Łucją Serafin.

– Nie wygłupiaj się, stary, i wpuść mnie do środka – odzywa się mężczyzna, a ja rozpoznaję głos Abarta.

Stękam z niechęcią, zastanawiając się, jakim cudem mnie znalazł. Ten człowiek jest jak przykry zapach, który wgryza się w skórę i w żaden sposób nie można go zmyć.

– Długo jeszcze będziesz się dąsać? – woła, a gdy nie reaguję, dodaje:  
– No dobrze, jeśli chcesz, możemy rozmawiać w ten sposób, nie ma sprawy.

Słyszę, jak sadowi się pod drzwiami, opierając o nie plecy. Pieprzony natręt, syczę pod nosem, z wściekłością naciągając spodnie.

– Myślałem sporo o naszej wcześniejszej wymianie zdań – odzywa się.  
– Tej, w której pytałem, czy kogoś zabiłeś, i chyba wiem już, dlaczego tak trudno było ci się przyznać... – Nie ma możliwości skończyć, bo przerażony tym, że usłyszy go cały korytarz, biegnę w stronę drzwi i otwieram je z impetem.

Abart upada na plecy, śmiejąc się, jakby to wszystko było dziecięcą igraszką. Jego tułów leży w moim apartamencie, a nogi nadal znajdują się na korytarzu, którym nadchodzi właśnie jakaś para. Ze zgrozą rozpoznaję w niej psychiatrę Leona Góreckiego oraz jego żonę z ręką na temblaku. Mierzą nas wzrokiem, szepcząc do siebie, a potem lekarz przyspiesza i zaczyna iść w moją stronę.

– Właź do środka – nakazuję Wiktorowi, chcąc jak najszybciej umknąć przed psychiatrą.

– Skoro tak pięknie prosisz – odpowiada.

Patrzę, jak niespiesznie wstaje, otrzepuje swoje ubranie, a potem, klepiąc mnie bratersko w ramię niczym dawno niewidzianego przyjaciela, wchodzi do apartamentu i rozsiada się w fotelu.

– Panie Engel – odzywa się Górecki, którego dzieli ode mnie już tylko parę kroków. – Czy moglibyśmy zamienić parę słów? – Wyciąga dłoń przed siebie, jakby chciał nią zatrzymać zamykające się drzwi, ale jestem od niego szybszy i nim zdoła je chwycić, zatrzasują się z łoskotem.

Dyszę zestresowany, a uderzenia mojego serca coraz bardziej przypominają stukot kół rozpędzonego pociągu. Z niepokojem zerkam na klatkę piersiową, która wydaje się nienaturalnie wybrzuszać po lewej stronie, jakby coś kotłowało się w środku i miało ją zaraz przebić, a potem wydostać się na zewnątrz.

– Nie czuję się najlepiej – tłumaczę mężczyźnie za drzwiami, sprawdzając, czy to dzikie stworzenie w mojej piersi nadal się porusza, ale z ulgą odkrywam, że przycichło. – Spróbuję złapać pana podczas kolacji, wtedy porozmawiamy – zapewniam.

– To delikatny temat – odpowiada psychiatra znajdujący się na korytarzu. – Naprawdę powinniśmy jak najszybciej ze sobą pomówić.

Martwię się, że...

– Jezu, jak przynudza. Weź go przegoń – wtrąca Abart, zagłuszając lekarza.

Siedzi rozparty w fotelu, z nogą na nodze i dłońmi zajętymi szkicowaniem na hotelowych serwetkach. Na jego twarzy rysuje się zniecierpliwienie.

– Albo ja to zrobię – rzuca i zrywa się na nogi, w ułamku sekundy dopadając do drzwi.

– Nie – powstrzymuję go, zastępując mu drogę w obawie, że mógłby powiedzieć coś, co postawi mnie w jeszcze gorszym świetle. – Sam się nim zajmę – dodaję, po czym zwracam się do Leona Góreckiego: – Dziękuję za troskę, ale naprawdę wszystko jest w porządku. Potrzebuję się tylko zdrzemnąć, a później znajdę pana w lobby.

Psychiatra po chwili wahania rzuca z kapitulacją w głosie mrukliwe „niech tak będzie”. Nasłuchuję jego oddalających się kroków, a gdy drzwi apartamentu mężczyzny trzaskają, mój oddech się uspokaja.

– Albo ty kontrolujesz ich, albo oni ciebie – komentuje z fotela Abart, który wyciąga z kieszeni papierosa, zapala go, po czym z właściwą sobie bezczelnością zaciąga się dymem i wydmuchuje idealny mglisty okrąg. – Jeśli chcesz być tym, którego się boją, sam musisz przestać dać się zastraszać.

– Co ty wyprawiasz? Tu nie wolno palić. – Wyrrywam mu z dłoni papierosa, a później gaszę go na parapecie i wyrzucam przez okno.

Szorstki język chłodnego powietrza, który wpełza do pokoju, prześlizguje się po moich ramionach, wywołując gęsią skórkę. Pospiesznie naciągam na plecy podkoszulek, nieustannie czując na sobie kpiący wzrok Wiktora.

– Jesteś strasznie spięty, Tomaszu – ocenia. – Co powiesz na szklaneczkę rozluźniającego złotego napoju? – Zerka w stronę minibarku.

– Myślę, że powinieneś już iść.

– Bo wolałbyś się napić w samotności? – Jego uwaga uderza mnie prosto w splot słoneczny, gdyż w istocie tak jest. Przed pukaniem do obcych drzwi chciałem wzmocnić się porcją alkoholu. – Daj spokój,

znamy się nie od dziś. To żaden wstyd, że lubisz sobie czasem przepłukać gardło.

Ściskam nasadę nosa w nadziei, że to pomoże mi nie wybuchnąć.

– Posłuchaj, po prostu stąd wyjdź – mówię. – Jestem zajęty.

– Czym? Użalaniem się nad sobą?

– Szukaniem żony.

Abart rozgląda się po pokoju, jakby wypatrywał dowodów mojej aktywności, po czym pytająco unosi brwi.

– Serio? Niby jak to robisz? Jakoś nie widzę, żebyś miał choćby odpalony komputer. Poza tym nie znajdziesz jej, siedząc na tyłku w pokoju. Jeśli zaginęła gdzieś tam – wskazuje na drzwi – to tam musisz jej poszukać.

– Dziękuję za tę dobrą radę. Sam nigdy bym na to nie wpadł.

Wiktor uśmiecha się, mrużąc oczy, gdy ja wkładam szary sweter zapinany na suwak.

– Zabierz mnie ze sobą – proponuje.

– Wykluczone.

– Ten hotel ma sto siedemdziesiąt pokoi. Jak myślisz, do ilu zdążysz zapukać, zanim ochrona zorientuje się, co robisz, i cię powstrzyma? Pięciu? Dziesięciu? Może dwudziestu, jeśli będziesz wystarczająco szybki i dopisze ci szczęście. I co potem?

– Zrobię to ponownie.

– Nie masz szans. Następnym razem wezwą policję i wyrzucą cię stąd bez mrugnięcia okiem. Nigdy już nie wejdiesz do hotelu. Żeby ich przechytryć, musisz wykazać się sprytem. Oni spodziewają się, że będziesz kombinował, dlatego wnikliwie cię obserwują, ale nie mają pojęcia o mnie. Nie podejrzewają, że możesz mieć współnika.

Słucham go uważnie, zawiązując sznurówki butów. To, co mówi, ma sens i rzeczywiście zwiększa prawdopodobieństwo odnalezienia Niny. We dwóch z pewnością zdołamy sprawdzić więcej apartamentów.

– Dlaczego tak ci na tym zależy? – pytam.

– Mówiłem już, potwornie się tu nudzę.

– To nie więzienie, możesz wyjechać.

– Nie w tej chwili. Muszę tu jeszcze załatwić kilka ważnych spraw. A skoro zdążyliśmy się zaprzyjaźnić, to chętnie pomogę kumpłowi

w potrzebie.

– Nie rozpędzaj się tak, nie jesteśmy przyjaciółmi. – Wymachuję groźnie palcem.

– Polemizowałbym, według mnie idealnie się uzupełniamy, ale zaczekam, aż sam dojrzejesz do tego wniosku. – Posyła mi tajemniczy uśmiech. – To jak będzie, zabierasz mnie?

Biję się z myślami, obserwując jego wypastowane buty, starannie odprasowaną granatową koszulę i pasek z grubą, srebrną klamrą. Wiem, że tym strojem, przystojną twarzą i niskim, lekko zachrypniętym głosem będzie budził zaufanie w gościach hotelu.

– Dobrze, ale pod jednym warunkiem: żadnych numerów – decyduję w końcu. – Rozmawiamy z ludźmi miło, pokazujemy im zdjęcie Niny, pytamy, czy ją widzieli, a jeśli się uda, to dyskretnie zaglądamy do ich apartamentów, szukając czegoś, co mogłoby budzić podejrzenia. Żadnych chamskich odzywek, prowokacji czy włożenia do kogoś na siłę. Nie możemy zwracać na siebie przesadnej uwagi. Jasne?

– Jak słońce – mówi i wstaje z fotela, zacierając ręce.

Sięgam po hotelowy notes składający się z pliku sklejonych grzbietem kartek, rozrywam go na pół i część oddaję Abartowi, który w międzyczasie wyrzuca do kosza porysowane chusteczki.

– W budynku B są trzy piętra – tłumaczę. – Zaczniemy od dołu. Ty sprawdzisz pierwsze, ja drugie, a później spotkamy się na trzecim i każdy z nas pójdzie w przeciwną stronę. W notesie zapisuj numery pokoi, w których już byłeś, z adnotacją, czy udało ci się porozmawiać z lokatorami. Musimy mieć pewność, że niczego nie przeoczyliśmy. Jeśli ktoś nie otworzy, po przejściu całego piętra wróć do tego pokoju, ale nie dobijaj się, tylko stanowczo pukaj, nie chcemy nikogo wystraszyć.

– Za rączkę też będziesz mnie prowadził? Wyluzuj, człowieku, zaraz dostaniesz zawału. To nie napad na mennicę, tylko spacer korytarzami hotelu i miłe pogawędki z jego gośćmi, tak na to patrz, bo inaczej żyłka ci pęknie i nikt nie zechce z tobą gadać. – Klepie mnie mocno w ramię.

Zdaję sobie sprawę, że rzeczywiście moja przepona jest ściśnięta, a dłonie wilgotne od potu. Odkręcam stojącą obok czajnika butelkę wody mineralnej i duszkiem wypijam jej zawartość.



– Daj mi swój telefon – żąda Wiktor, a gdy lustruję go nierozumiejącym wzrokiem, precyzuje: – Prześlę sobie zdjęcie Niny. Jeśli mam o nią pytać, muszę pokazywać ludziom, jak wygląda, tak?

– Pewnie, proszę – dukam zdenerwowany, otwierając w komórce fotografię, którą zrobiłem kilka dni przed wyjazdem.

Na zdjęciu Nina opiera brodę na dłoni, lekko przechyliła głowę w prawo, a kąciki jej ust unoszą się do szerokiego uśmiechu, odsłaniając rzędy równych białych zębów. W brązowych oczach tli się ciepłe światelko, włosy zaś wiją się wokół twarzy, dodając mojej żonie łobuzerskiego uroku. Po chwili Abart zwraca telefon.

– Do roboty – rzuca i posyła mi dziwne ironiczne spojrzenie, które czuję na skórze jeszcze długo po tym, jak mężczyzna opuszcza pokój.

Kiedy drzwi się za nim zamykają, podchodzę do minibarku i wyciągam stamtąd pięćdziesiątkę jacka danielsa. Nerwowo oglądając się przez ramię, odkręcam metalową nakrętkę, która pęka z trzaskiem. Już sam zimny dotyk szkła, znajomy słodkawy zapach i świadomość tego, że zaraz się rozluźnię, pomagają. Buteleczka idealnie leży w dłoni, przechyliłam ją, a alkohol spływa do gardła, następnie zaś przyjemnie rozgrzewa trzewia.

Gdy kończę, ocieram usta wierzchem dłoni, a później owijam szkło w chusteczki i ukrywam butelkę w koszu, jakbym się obawiał, że Wiktor wróci i ją odnajdzie. Po chwili jednak zdaję sobie sprawę, że nie musi tego robić, ponieważ doskonale wiedział, po co sięgnę, gdy nie będzie go już w apartamencie. To dlatego spojrzał na mnie w ten szyderczy sposób.

Przechodzi mnie dreszcz, bo choć upieram się, że nie jestem tym, za kogo mnie ma, to niekiedy myślę, że w pewnych okolicznościach mógłbym kimś takim się stać.

✱

Z pamiętnika Niny:

*Styczeń 2019 r.*

*Od jakiegoś czasu nie mogłam skupić się na treningach do musicalu Aida, który przygotowywaliśmy w teatrze. Bywałam rozkojarzona, nie słyszałam tego, co ktoś do mnie mówił, a przy tym czułam się nieustannie zmęczona. Rano zwymiotowałam po śniadaniu i choć nie zmierzyłam jeszcze temperatury, to gdy dotknęłam dłonią czoła, sprawiało wrażenie podejrzenie gorącego. Początkowo myślałam, że to jakiś wirus, ale gdy sprawdziłam daty w kalendarzu, nie mogłam się już dłużej oszukiwać. Spóźniał mi się okres, bolały piersi, a moje ciało stawało się w ostatnich dniach ciężkie i nieporadne. Byłam w ciąży.*

*Nie wiedziałam, co w związku z tym czuję ani co zamierzam. Nie mówiąc nic Tomaszowi, pojechałam taksówką na drugi koniec miasta na wizytę do ginekologa. Nie chciałam odwiedzać żadnej z przychodni, w których uczelnia Tomasza opłacała nam abonament, z obawy, że wtedy informacja szybciej wyjdzie na jaw. Być może potrzebowałam też dystansu, a półgodzinna podróż do odległego szpitala wytwarzała złudzenie poczucia bezpieczeństwa. W internecie znalazłam miejsce, które polecały inne kobiety w ciąży, i wybrałam cenionego przez pacjentki lekarza. A jednak, kiedy wchodziłam do jego gabinetu, trzęsły mi się nogi. Byłam pewna, że ginekolog, podobnie jak test ciążowy, potwierdzi mój stan. Nie przerażało mnie więc to, co spodziewałam się usłyszeć, lecz to, co będę musiała później z tą wiedzą zrobić.*

*Ludzie zawsze mówią, że obawiają się zmian. Według mnie w rzeczywistości lękają się nie nowego, lecz utraty starego, które zdążyli już dobrze poznać i oswoić. Poczułam wyraźnie ten strach, gdy leżąc na kozetce, usłyszałam radosne słowa lekarza:*

*– Gratuluję, jest pani w ciąży. To czwarty tydzień.*

*Zamiast uśmiechu po mojej twarzy przemknął grymas niepokoju. Jak przez mgłę widziałam ekran, na którym lekarz pokazywał mi ledwie dostrzegalny pęcherzyk ciążowy. Tłumaczył coś o witaminach, zdrowym odżywianiu i o tym, że powinnam się bardziej oszczędzać.*

*– Jestem tancerką – wyszeptałam.*

*– Nie powinna pani podejmować teraz bardzo intensywnego wysiłku fizycznego. Najpóźniej od dziesiątego tygodnia radziłbym pójść na*

zwolnienie.

Moje usta zacisnęły się w wąską kreskę, a do oczu napłynęły łzy. Myślałam o wszystkich szansach, które stracę, i o marzeniach, których już nie spełnię. Jednak najbardziej dręczyło mnie to, jak powiem o ciąży Tomaszowi.

– Nie wiem, czy to pocieszające – dodał lekarz, dostrzegając moje rozterki – ale doświadczenie nauczyło mnie, że zawsze gdy los coś nam odbiera, wkrótce dostajemy na to miejsce coś nowego. Natura nie znosi próżni.

Kiedy czekałam na taksówkę, po drugiej stronie ulicy, nieopodal skweru, przechodziła właśnie mama z kilkuletnią dziewczynką o orzechowych lokach. Patrzyłam, jak mała ściska kobietę za rękę, wstuchiwałam się w jej śmiech i obserwowałam dziecięce podskoki. W tym drobnym ciałku były tylko niewinność, radość i prawda. Na ich widok w moim wnętrzu rozlało się przyjemne ciepło. Po raz pierwszy pomyślałam, że może wcale nie musimy powtarzać błędów naszych rodziców. Na tę krótką chwilę pozwoliłam sobie uwierzyć, że ludzie nie dostają więcej, niż potrafią udźwignąć, i skoro to spotkało nas, to takie było nasze przeznaczenie.

Płynąc na fali entuzjazmu, już z taksówki zadzwoniłam do matki i opowiedziałam jej o wszystkim, zakładając, że się ucieszy. Ona jednak długo milczała, a kiedy w końcu otworzyła usta, wypadły z nich ciche i zimne słowa:

- Cieszę się.
- Na pewno? Nie słychać tego w twoim głosie.
- Tak, bardzo. – Siła się na radosny ton.
- Więc o co chodzi?
- Po prostu boję się, że jeśli kiedyś Tomasz okaże się kimś innym niż mężczyzną, za którego go uważasz, z powodu dziecka go nie zostawisz. Staniesz się jego zakładniczką.
- Na litość boską, mamo, jak możesz nawet tak myśleć?
- Po prostu znam życie.

*– To nieprawda! – wykrzyczałam. – Znasz tylko jedną smutną historię, którą powtarzałaś mi tak długo, że prawie w nią uwierzyłam.*

*Rozłączyłam się, czując, jak moje ciało dygocze. Kierowca zerknął na mnie w lusterku wstecznym, ale powstrzymał się od komentarza. Nagle zrobiło mi się potwornie duszno. Zaczęłam gorączkowo kręcić gałką w drzwiach, by zaczerpnąć świeżego powietrza, lecz zanim zdążyłam otworzyć okno, samochód wszedł w ostry zakręt, a mnie dopadła niespodziewana fala mdłości i po raz pierwszy w życiu zwymiotowałam w taksówce.*



Stoję pod drzwiami z numerem dwieście jeden z dłonią uniesioną do pukania, a stres, którego doświadczam, przypomina mi ten sprzed lat. Odczuwałem go za każdym razem, gdy odwiedzałem dom moich rodziców. Nie miało znaczenia to, że się w nim wychowałem, musiałem zastukać, a później czekać na pozwolenie, by wejść. W deszczu, śniegu albo silnym wietrze. Czasem chwilę, niekiedy zaś bardzo długo, bo ojciec chciał mi pokazać, gdzie jest moje miejsce. Wprawdzie byłem już wtedy dorosłym mężczyzną, miałem pracę i żonę, ale w środku nadal drżałem jak mały chłopczyk, który przychodził tam tylko po to, by zdobyć akceptację ojca, a zamiast niej wysłuchiwał, jak bardzo jest niedoskonały. Nabieram powietrza w płuca, rozmasowując dłonią napięty kark.

Z wnętrza apartamentu dobiega cichy śpiew. Zerkam na swoje łydki, wyczuwając ich drżenie, po czym napinam mocno mięśnie i uderzam kłykciami o drzwi. Śpiew ustaje, a zamiast niego rozlega się dźwięk kroków. Wstrzymuję oddech, przygotowując zdjęcie Niny, a wtedy słyszę piknięcie zamka i w progu staje dziewczyna. Wygląda na jakieś trzydzieści lat, ubrana jest w szare legginsy oraz długą, sięgającą połowy ud zieloną bluzę z kapturem. Baczenie mi się przyglądając, poprawia wysoki blond kucyk na czubku głowy. Na jej szyi dyndają słuchawki przyłączone do telefonu, który trzyma w dłoni.

– Tak? – pyta niepewnie.

– Dzień dobry, nazywam się Tomasz Engel i wynajmuję apartament na trzecim piętrze – zaczynam w sposób, który ma za zadanie ją uspokoić i pokazać, że ja również jestem gościem hotelu, a zatem kimś takim jak ona, bliskim. Następnie odwracam komórkę ekranem do dziewczyny. – Czy gdzieś w hotelu widziała może pani tę kobietę? To moja żona Nina. Wyszła dokądś wczoraj i nadal nie wróciła.

– Nie – odpowiada dziewczyna, kręcąc głową. – Ładna – dodaje, jakby to niosło jakąś pociechę.

Dziękuję jej uprzejmie, choć w głębi mnie coś zaczyna się łamać. A co, jeśli nikt mi nie pomoże? Jeżeli żaden z gości nie będzie pamiętał Niny? Odganiem te myśli jak naprzykrzające się muchy, notuję na kartce wynik rozmowy i pukam do kolejnego apartamentu. Tym razem odpowiada mi jedynie cisza. Niezrażony powtarzam pukanie, a gdy to nie pomaga, idę dalej. Ponawiam swój rytuał pod drzwiami z numerem dwieście pięć, zza których po dłuższym czasie wyłania się zaspany bosy mężczyzna w dżinsach i podkoszulku na ramiączkach, z odcisniętą na policzku poduszką i przekrwionymi oczyma.

– Przepraszam, że pana obudziłem – kajam się. – Szukam żony, czy widział pan może gdzieś tę kobietę? – Pokazuję zdjęcie.

Facet poprawia przyklejone do mokrego czoła włosy i ziewa, otwierając usta tak szeroko, że bez trudu mogę określić, w których zębach miał leczone ubytki.

– Nie, ale chętnie bym zobaczył. – Cmoka w sposób budzący obrzydzenie, po czym macha ręką, jakby chciał powiedzieć: „tylko żartowałem”. – Niech się pan nie martwi, ja to z moją w kółko koty drę, ale i tak zawsze wraca.

– Nie o to chodzi, ona...

– Stefan! – przerywa mi zniecierpliwiony kobiecy głos z głębi apartamentu. – Zrób coś z tym odpływem, bo nie można się normalnie kąpać.

– Już idę, złotko! – odkrzykuje mężczyzna, przewracając oczami, a następnie nachyla się i ściszone głosem dodaje: – Wie pan, jak to jest, baba bez bolca dostaje pierdolca. Jak pan będzie dbał o te sprawy, to żona nawet nie pomyśli o tym, żeby czegoś poza domem szukać.

Krzywię się zde gustowany, ale facet najwyraźniej tego nie zauważa. Śmieje się rubasźnie, po czym daje mi kuksańca w ramię i rzuca:

– Lecę, bo mi kobieta stygnie. Twardym trzeba być, nie miętkim, niech pan zapamięta. – Kiwa na mnie, by za moment zniknąć we wnętrzu apartamentu, skąd dolatuje najpierw jego niedźwiedzi ryk, a sekundę później kobiecy chichot, pełen ekscytacji.

Odchodzę stamtąd jak najprędzej, czując się ubrudzony tym spotkaniem. Czy ludzie nie mogliby mieć choć odrobiny więcej empatii? Rozgoryczony przygryzam wewnętrzną część policzka.

Numery apartamentów zaczynają rozmazywać mi się przed oczyma, a korytarz falować. Przystaję, opierając rękę na chłodnej ścianie, i na moment zamykam oczy. Czuję bujanie, jakbym znajdował się na pokładzie łodzi. Wyobrażam sobie Ninę, jej piegi, śmiech i słodki zapach, a później ruszam dalej, wiedząc, że nie mogę się poddać.

Przemierzając korytarz, czuję na karku wzrok obiektywów kamer wiszących u sufitu. Są jak wiecznie otwarte oczy tego miejsca, przed których spojrzeniem nie sposób umknąć. Mam wrażenie, że one nie tylko rejestrują zdarzenia, ale wręcz zagląдают w duszę. Obnażają nagą prawdę o człowieku. Bo przecież nie da się udawać przez cały czas, prędzej czy później coś nam się wymknie, odsłaniając to, co niekiedy próbujemy ukryć. Zastanawiam się, czy Łucja Serafin i jej ochroniarz patrzą teraz na mnie. A jeśli tak, to co widzą? Czy dostrzegają mężczyznę na krawędzi, którym jestem?

Masuję zmęczone skronie i pukam do następnego apartamentu, gdzie rozmawiam ze starszą, niedosłyszącą kobietą, która prosi, bym się streszczał, bo w telewizji właśnie leci odcinek serialu *Klan*. Później odwiedzam młode małżeństwo wyrażające zaniepokojenie z powodu zniknięcia Niny, bo przecież to mogło spotkać również ich. Poznaje także prawniczkę, która chce wzywać policję i odżegnuje się, że jeśli to, co mówię, jest prawdą, jej noga nigdy więcej nie postanie w tym hotelu. Z trudem upraszam kobietę, by nie robiła afery, i odwodzę ją od zamiaru kontaktu z menadżerką Wichrowych Wzgórz.

Z każdą rozmową staję się coraz bardziej wyczerpany, jakbym niczym gąbka nasiąkał energią tych ludzi. Większość spotkań jest krótka, osoba po drugiej stronie mówi, że nie widziała Niny, i zanim zdążę

zareagować, drzwi zamykają mi się przed nosem z głuchym trzaśnięciem, jak gdybym oferował urządzenie do masażu stóp, a nie pytał o zaginioną kobietę. W części apartamentów nikogo nie ma, w takiej sytuacji w notesie rysuję znaki zapytania. Tylko niektórzy goście sprawiają wrażenie przejętych, ale najczęściej dlatego, że świadomość, iż w tak eleganckim hotelu ktoś może tak po prostu zniknąć, napawa ich lękiem.

Tuż przed tym, zanim wsiądę do windy, we wnęce nad kanapą zauważam hotelową biblioteczkę. Kilkanaście książek ustawionych jedna obok drugiej na metalowej półce z wiszącym nad nimi cytatem wypalonym w drewnie: „Godzina czytania jest godziną skradzioną z raj” – Thomas Wharton. Moją uwagę przyciąga leżąca na kanapie otwarta książka, jakby jeszcze niedawno ktoś ją czytał. Znajoma okładka *Kwiatów na poddaszu* Virginii Andrews sprawia, że serce zaczyna szybciej bić. To oczywiście nie musi nic znaczyć, powieść mogła należeć do każdego innego gościa w hotelu, ale sięgam po nią, czując drżenie palców. „To historia o dzieciach, które muszą ukrywać się przed światem, jakby nigdy nie istniały” – czytam, a później zaciągam się zapachem jej stron, wertuję poźółkłe kartki, szukając jakiejś sekretnej wiadomości, lecz nie odnajduję żadnych śladów mojej żony.

Zmęczony odkładam egzemplarz, po czym wjeżdżam windą na trzecie piętro, gdzie czeka już na mnie Abart. Oparty ramieniem o ścianę, pogwizduje pod nosem, a jego twarz, w przeciwieństwie do mojej, nie zdradza oznak wyczerpania.

– Dowiedziałeś się czegoś? – pytam z nadzieją.

– Tylko tego, że ludzi obchodzi jedynie czubek ich własnego nosa. Żadna nowina, co nie? Nikt niczego nie widział ani nie słyszał.

– U mnie to samo. Jezu, przecież to niemożliwe, by zapadła się pod ziemię, ktoś musiał coś zauważyć. – Wzdycham ciężko.

– Chyba że zniknęła w nocy, wtedy gdy wszyscy spali – sugeruje Wiktor. – Ale jeśli ktoś ją uprowadził, to czy nie powinna krzyczeć i zaalarmować innych gości?

Zastanawiam się przez chwilę, skubiąc palcami zarost.

– Nie, jeżeli wyszła z pokoju sama – odpowiadam. – Może nie mogła spać i postanowiła się przejść? To się zdarzało w ostatnim miesiącu

w domu. Czasami wybudzała się w nocy i schodziła po cichu na dół do kuchni przyrządzić gorące kakao.

Nocne wędrówki Niny martwiły mnie od jakiegoś czasu. Twierdziła, że przeżywa nadchodzącą premierę w teatrze, choć teraz myślę, że chodziło o ciążę. Kiedy ona krzątała się w kuchni, ja zwykle przewracałem się z boku na bok w sypialni na górze, usiłując nie myśleć o powieści, na którą czeka mój wydawca. Jednak im bardziej się starałem, tym gorzej mi to wychodziło, przez co sam również sypiałem fatalnie i często zrywałem się o świecie.

Nagle zdaję sobie sprawę, że dwie ostatnie noce w hotelu przespałem znacznie lepiej niż wszystkie poprzednie w domu.

– Dziwne – zauważam. – Odkąd tu przyjechałem, codziennie budzę się w południe, co nigdy wcześniej mi się nie zdarzało.

– Widocznie górskie powietrze ci służy.

Przecząco kręcę głową.

– To raczej nie to, bo kiedy wstaję, moją głowę spowija ciężki kokon z mgły i długo nie potrafię się ocknąć. Jakby ktoś napchał mi do czaszki waty.

– Ciekawe. A czy możesz przypomnieć sobie, co robiłeś każdego z tych dni przed zaśnięciem?

Przed oczyma staje mi twarz łysego barmana, przynoszącego do stołu szklaneczkę z bursztynowym napojem, którego nie zamówiłem, i słowami „prezent powitalny od hotelu”. Myślę o dziwnie cierpkim smaku herbaty, o którą poprosiłem drugiego wieczoru, gdy pracownik w kitce namawiał mnie na alkohol, a kiedy dociera do mnie, co najpewniej się stało, z wrażenia krztuszę się własną śliną.

– Boże, oni dosypali mi czegoś do napojów – mówię z przejęciem w głosie, uspokoivszy duszący kaszel. – Chcieli, bym spał twardo, nieświadomy tego, co się wokół mnie dzieje, a kiedy byłem nieprzytomny, bez trudu mogli wejść do apartamentu i zabrać Ninę – wyrzucam z siebie gorączkowo. – To dlatego na nagraniu z monitoringu wyglądam, jakbym wypił całą butelkę whiskey, a nie trzy szoty.

Wiktor odchrząkuje.

– Nie chcę rujnować twojej teorii, ale byłem tam i zapewniam, że wlałeś w siebie znacznie więcej.



– To znaczy ile?

– Wystarczająco dużo, by nie trafić w drzwi windy.

Pochyliam głowę zakłopotany, wpatrując się w czubki swoich butów. Ludzie mówią, że najtrudniej jest spojrzeć prawdzie w oczy, ale ja uważam, że najciężej jest żyć z tą prawdą, którą się już ujrzało. Nieść ją przez wszystkie kolejne dni i nie móc się od niej uwolnić. Myślałem, że ten najgorszy okres, gdy traciłem panowanie nad tym, ile wypijam, dawno już minął. Myliłem się, jak widać.

– Założmy, że masz rację i twoja żona rzeczywiście wstała w nocy. – Abart wyrywa mnie z zamyślenia swoimi rozważaniami. – Dokąd mogła pójść?

– Do baru albo do recepcji – zgaduję, wzruszając ramionami.

– Ale tam nikt jej nie widział.

– Być może coś zatrzymało ją po drodze. Spotkała kogoś na schodach... – Zawieszam się, zdając sobie sprawę, że dotychczas omijaliśmy w naszych poszukiwaniach klatkę schodową, a przecież Nina bała się jeździć windą i z pewnością wybrałaby alternatywną drogę.

Bez wyjaśnienia podchodzę do drzwi prowadzących na klatkę i otwieram je. Chłód betonowych ścian i stopni sprawia, że się wzdrygam. Echo odbija dźwięk naszych kroków i powtarza każde słowo, jakby z nas drwiło.

– Zauważyłeś, że tu nie ma kamer? – pyta Wiktor, rozglądając się wokół.

Odpowiadam mu twierdząco, gdy tymczasem mój wzrok prześlizguje się po załamaniach schodów w poszukiwaniu wyrwanego w trakcie szarpaniny kolczyka albo fragmentu stłuczonego kubka, słowem: czegokolwiek, co mogłoby świadczyć o tym, że doszło tutaj do wydarzeń dalekich od normalnych.

Wreszcie unoszę głowę, a moim oczom ukazuje się zarys prostokąta, ledwie wyraźny na tle białego sufitu.

– Co to takiego? – Wskazuję dłonią swoje odkrycie.

– Wygląda jak właz na strych.

Obaj przyglądamy się uważnie klapie ukrytej w suficie. Została tam tak sprytnie wkomponowana, że gdyby nie srebrny zamek na środku,

zupełnie nie zwróciłbym na nią uwagi. Niespodziewanie dogania mnie myśl o czytanej przez Ninę książce, w której na takim poddaszu więziono dzieci.

– Musimy się tam dostać – oznajmiam.

Wiktor Abart zadziera głowę.

– Przydałby się jakiś stołek – stwierdza. – Stąd nie sięgniemy. Nie mówiąc już o tym, że wygląda na zamknięty.

Mrużę oczy, by lepiej przyjrzeć się zamkowi, gdy przypominam sobie o małym srebrnym kluczyku, który zabrałem z pokoju ochrony. Co z nim zrobiłem? Z pewnością leży gdzieś w moim apartamencie – a może nadal tkwi w kieszeni spodni, które miałem na sobie wczoraj? Zamierzam powiedzieć o tym Wiktorowi, kiedy dobiega nas hałas dudniących na piętrze kroków oraz czyjś podniesiony głos.

– Cholera, namierzyli nas – zaczynam panikować.

Odgłos zza drzwi narasta, lecz nie jestem w stanie nawet drgnąć.

– Wiejemy – mówi Abart, potrząsając moim ciałem, jakby chciał wyrwać mnie z letargu.

Kiwam głową zdezorientowany i choć wiem, że powinienem uciekać, nie potrafię się poruszyć. Z dłonią kurczowo zaciśniętą na poręczy, bezradnie zerkam w stronę wjazdu. Jeśli Nina tam jest, nie mogę jej zostawić. Kątem oka dostrzegam, jak Wiktor rzuca się w dół klatki schodowej, a po chwili słyszę już tylko dudnienie jego wielkich susów, gdy przeskakuje po kilka stopni. Kiedy drzwi na korytarz otwierają się nagle i staje w nich czerwona na twarzy Łucja Serafin, której nozdrza pulsują jak u byka na corridzie, blokada w moim ciele ustępuje.

✱

Biegnę w dół, potykając się i dysząc.

– Stój! – krzyczy menadżerka hotelu, która ściga mnie razem z otyłym ochroniarzem.

Kobiecie w butach na obcasach i mężczyźnie z okazałą nadwagą nie jest łatwo dogonić kogoś, kto regularnie biega oraz trenuje na basenie. Dzięki swojej kondycji zyskuję nad nimi niewielką przewagę. Z nerwów

moje ciało oblewa zimny, lepki pot o cierpkiej woni. Gdy docieram na parter, przyspieszone tętno sprawia, że zaczyna mi szumieć w uszach. Rwanie w piersi jest tak dojmujące, jakby wybuchła w niej bomba. Wyciągam wilgotną, rozedrganą dłoń, by chwycić klamkę drzwi wyjściowych i uciec na zewnątrz, lecz kiedy moje palce ją muskają, potężny cios, niczym uderzenie pioruna, spada na moje ramię i powala mnie na ziemię. Prąd przeszywa całe ciało, a przed oczyma robi mi się ciemno.

– Niech pan nawet nie próbuje uciekać. – Słyszę tuż przy uchu znajomy głos i czuję kwaśny oddech Filipa Hańczy. – Następnym razem będę celował nie w plecy, tylko w pana głowę.

Powoli, z poczuciem przegranej unoszę ręce i odwracam się na plecy, by spojrzeć w oczy ochroniarzowi. Chłopak ściska w prawej dłoni czarną pałkę, gotów w każdej chwili użyć jej ponownie. W jego oczach tli się wrogość, mięśnie są napięte, a usta wykrzywione. Niemal fizycznie odczuwam pogardę ochroniarza. Patrzy na mnie z wyrzutem, jak na kogoś, kto wyrządził mu krzywdę. Napięcie między nami narasta, a ja nie mogę przestać śledzić jego palców na rękojeści uniesionej broni.

Hańcza opuszcza ją dopiero wtedy, gdy dołączają do nas Serafin z panem Mieczysławem. Mężczyzna sapie, wypuszczając z ust drobne bąble śliny. Jego zwisające policzki mają kolor dojrzałej wiśni, a ręce wyraźnie drżą.

– Złamał pan nie tylko regulamin hotelu, ale też naszą umowę – wyrzuca Łucja z rękoma na biodrach pomiędzy przerwami na odzyskanie tchu. Od biegu jej spódnica przekręciła się tak, że rozporek zamiast na udzie znajduje się teraz na środku, między nogami. – Kilkoro gości wymeldowało się, ponieważ nastraszył ich pan tym, że w Wichrowych Wzgórzach giną ludzie. Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę, jak takie działanie wpłynie na opinię o naszym hotelu.

– Szczerze mówiąc, średnio mnie to interesuje, chcę tylko znaleźć żonę.

– Obawiam się, że to koniec poszukiwań, panie Engel. Jestem zmuszona zażądać, by w trybie natychmiastowym opuścił pan to miejsce.

– Wie pani, że nie mogę. Nie bez Niny.

– Spodziewałam się takiej odpowiedzi, dlatego wcześniej zadzwoniłam do aspiranta Miłoszewskiego. Zapraszam ze mną, zaczekamy na niego w moim gabinecie – oznajmia.

– Nie ma mowy. Dopóki nie pokażecie mi, dokąd prowadzi właz w suficie na trzecim piętrze, nigdzie się stąd nie ruszę.

– To nie są negocjacje – wojowniczo podkreśla Serafin.

Otwieram usta, by jej odpowiedzieć, ale nagle Filip Hańcza chwyta mnie za ubranie, podrywa do góry, a po chwili rzuca na ścianę. Uderzam policzkiem o twardą, chropowatą powierzchnię i nim zdołam zaprotestować, chłopak zapina na moich nadgarstkach kajdanki. Zimne, ciasne obręcze wpijają się boleśnie w skórę, a każdy ruch tylko zwiększa dyskomfort.

– Nie macie prawa! – Szarpię się.

– Odrobina upokorzenia panu nie zaszkodzi – szepcze złośliwie ochroniarz, nachylając się nad moim uchem tak, by ani jego szefowa, ani pan Mieczysław go nie usłyszeli.

Gdy idziemy łącznikiem do budynku głównego, patrzę przed siebie niewidzącym wzrokiem. Niektórzy mijający nas goście zwracają uwagę na to, że jestem prowadzony, i na widok kajdanek wymieniają komentarze pełnym ekscytacji szeptem, wskazując mnie palcami. Pochylam głowę, chcąc zapaść się w sobie i zniknąć. Spojrzenie sunie ociężale po podłodze, niczym w transie omiatając obce buty. Dopiero na widok bosych stóp w starannie wypastowanych mokasynach unoszę spojrzenie.

Abart, oparty plecami o ścianę, z kciukami zaczepionymi o kieszenie spodni, patrzy mi prosto w oczy. Nie staje w mojej obronie, nie powstrzymuje Hańczy, a jedynie odprowadza mnie pustym wzrokiem. Bezradność i smutek przeżerają moje ciało jak rdza. Z jakiegoś niejasnego powodu przypominam sobie opowieść o chłopcu, którego Wiktor zmusił do zabicia kundla.

„Albo ja, albo oni” – powtarzam w myślach. I wtedy zyskuję jasność, że czas przestrzegania reguł w tej grze właśnie się skończył.



Skrepowane za plecami ręce zaczynają drętwieć. Uderzone wcześniej ramię boli, jakby ktoś wykręcał je z dziką satysfakcją, a zdenerwowanie ściska tył głowy niczym imadło. Siedząc na skórzanym fotelu w gabinecie Łucji Serafin, myślę tylko o tym, jak mógłbym się stąd wyrwać. Nasłuchuję przyciszonej wymiany zdań między menadżerką a ochroniarzem, po której kobieta spogląda niecierpliwie na zegarek.

Filip Hańcza podchodzi do mnie. Przysiadając na biurku szefowej, niechcący przewraca kalendarz na kołowrotku, którego strony otwierają się na marcu. Przyglądam się górskiemu pejzażowi zdobiącemu dany miesiąc i zauważam, że trzynasty marca został obwiedziony czerwonym kółkiem, a obok drobnymi literami ktoś dopisał komentarz „kolacja w Senses”. Wysilam pamięć, ponieważ wydaje mi się, że gdzieś już słyszałem tę nazwę. Jednak zanim zdołam zrozumieć, dlaczego brzmi znajomo, ochroniarz uśmiecha się z wyższością, a następnie nachyla, by szepnąć:

– Zapewnił pan gościom niezłe widowisko.

– To przedstawienie nie było nikomu potrzebne – stwierdzam z wyrzutem, zastanawiając się, czy któryś z gapiów na korytarzu zrobił mi zdjęcie w kajdankach. Świadomość, że mogło trafić do internetu i dotrzeć w ten sposób do moich studentów oraz wydawcy, wywołuje skurcz żołądka.

– Na pewno nie zaszkodziło – odpowiada Hańcza, a po chwili dodaje: – Cały czas mnie to zastanawia. Co tak naprawdę jej pan zrobił?

Jego słowa trafiają mnie jak strzała wypuszczona z kuszy. Krzywię się pod wpływem ukłucia w okolicy serca. Łucja Serafin zastyga przy ekspresie do kawy z kubkiem w uniesionej dłoni, jakby obawiała się, że jej najdrobniejszy ruch mógłby zagłuszyć moją odpowiedź. Cisza w pokoju jest tak głęboka, że słyszę swój świszczący oddech.

– Nie dam się w to wciągnąć – mówię. – Nigdy nie skrzywdziłbym mojej żony.

– Ona uważała inaczej.

– Słucham?

Chłopak otwiera szufladę biurka i wyjmuję z niej dziennik w bladuróżowej okładce. Na jego widok gwałtownie wciągając powietrze, a moje palce instynktownie się zaciskają.

– Skąd go pan ma? – syczę.

– Był w torbie od laptopa, którą zostawił pan wczoraj w dyżurce. Nie myślał pan chyba, że oddałem te rzeczy bez sprawdzenia, co się w nich kryje. Przejrzałem wszystko bardzo dokładnie, dlatego że ta sprawa od początku śmierdzi, a ja za grosz panu nie ufam.

– Nie powinien pan być tego robić.

– Pan mnie poucza? Serio? Sorry, ale raczej nie przejmę się opinią faceta, który zataił przed policją dziennik zaginionej żony. Skoro tak bardzo chce pan ją odnaleźć, to dlaczego notatnik nie trafił do aspiranta Miłoszewskiego?

Odwracam wzrok i kulę się na krześle, wbijając paznokcie we wnętrza dłoni. Czuję na sobie ciężkie spojrzenie Serafin, której ściągnięte brwi wyrażają zaciekawienie.

– Potrzebuje pan odpowiedzi? – kontynuuje Hańcza. – Nie ma sprawy, podrzucę wskazówkę. Ukrył pan ten notes, bo stawia pana w niezbyt dobrym świetle. Irytacja, wybuchy agresji... Może to jest prawdziwa twarz Tomasza Engela?

– Nie, to nie tak – protestuję. – Po prostu miałem ostatnio trudny okres.

– Czyżby? Sprawdziłem historię pana wyszukiwarki. Swoją drogą radzę zmienić hasło do komputera, bo imię żony to naprawdę kiepski pomysł. – Kręci głową, jakby strofował gimnazjalistę. – Znalazłem tam dużo ciekawych rzeczy: artykuły o tym, czy agresja może być dziedziczona, publikacje na temat tego, dlaczego osoby stosujące przemoc nie potrafią przestać.

Usztywniam się na myśl, że jeśli szperał w moim komputerze, zapewne wie, że szukałem informacji również o nim i o Serafin.

– Te artykuły nie mają nic wspólnego ze mną – tłumaczę. – Czytałem je ze względu na ojca.

– A brakujące kartki z dziennika? Tam dopiero musiały być ciekawe rzeczy, skoro je pan wyrwał – stwierdza ochroniarz.

– To nie ja!

Szukam w rysach Łucji oznak zrozumienia, śladów tego, że mi wierzy, ale jej twarz sprawia wrażenie wykutej z marmuru i nie sposób wyczytać z niej żadnych emocji. Pełne napięcia oczekiwanie zakłóca dźwięk przychodzącej na telefon Serafin wiadomości. Menadżerka sięga do kieszeni, po czym w skupieniu śledzi tekst na ekranie komórki.

– Nie musi się pan przed nami tłumaczyć – mówi, odkładając smartfona. – O tym, czy ma pan coś wspólnego z zaginięciem żony, zadecyduje policja, nie my. Naszym obowiązkiem jest tylko przekazać funkcjonariuszom dziennik i powtórzyć te informacje aspirantowi Miłoszewskiemu, który właśnie napisał, że dołączy do nas za jakiś kwadrans.

Menadżerka odwraca się, by uruchomić ekspres do kawy. Pokój wypełnia chrzęst młynka, a później głośny syk spieniacza do mleka. Hańcza podchodzi do mnie, wyszczerzając żółte zęby.

– Od ośmiu do dwudziestu pięciu lat, tyle grozi za zabójstwo – rzuca jakby od niechcenia. – Wiedział pan o tym?

Milczę. Nie dam się sprowokować.

– Cholernie długo – ciągnie, drapiąc kark. – Chociaż za dwie osoby, a do tego jedną ciężarną, to pewnie będzie od razu dożywocie.

Wzdrygam się.

– O czym pan, do cholery, mówi?

– Dziennikarze szybko wyniuchają, że już jedna z pana żon zginęła w niejasnych okolicznościach. Pojawią się spekulacje, pismaki zaczną grzebać w pana życiu...

– To, jak zmarła Ewa, nie jest tajemnicą. Napisałem książkę o swojej żałobie.

– No tak, ale wtedy była mowa tylko o jednej żonie. Gdyby podobny los spotkał tę drugą, stałoby się to wyjątkowo podejrzanym.

– Niczego nie zrobiłem – podnoszę głos.

Błagalnie spoglądam na Łucję Serafin, ale jej oczy są zimne jak lód.

– A kogo to będzie obchodziło? – kontynuuje Hańcza. – Media to dziś władza, mogą zrobić potwora z niewinnego człowieka. Wystarczy je odpowiednio zainspirować. – Uśmiecha się cynicznie, unosząc jeden kącik ust.

– Ty gnojku! – Zrywam się z krzesła, lecz przez to, że mam spięte kajdankami ręce, i tak nie mogę nic zrobić.

Ochroniarz popycha mnie z powrotem na siedzenie. Upadam z łoskotem, uderzając się w ramię, a moje nozdrza i klatka piersiowa falują z wściekłości.

– Jak długo jeszcze zamierza pani na to pozwalać?! – zwracam się z wyrzutem do menadżerki.

– Na co? – Serafin rozkłada ręce, jakby nie rozumiała, o co pytam.

Furia w moich trzewiach buzuje niczym wrzątek.

– Czego tak naprawdę ode mnie chcecie? Chodzi o pieniądze, tak? – domagam się odpowiedzi. – Ile kosztuje prawda o mojej żonie?

– Niech pan nam to powie – proponuje menadżerka.

Otwieram usta, by wykrzyknąć, że nie pozwolę, by męcili mi w głowie, lecz wtedy z tylnej kieszeni moich spodni dobiega dźwięk dzwoniącego telefonu.

– Rozkujecie mnie, żebym mógł odebrać? – pytam, przesuwając wzrokiem po ich twarzach.

– I zwać? Nie ma takiej opcji – odpowiada Hańcza.

– Przecież doskonale pan wie, że nigdzie nie pójdę. Nie wystarczy, że widziało mnie tylu gości? To za małe upokorzenie? Poza tym to może być moja żona.

Łucja wzdycha, po czym kiwa na ochroniarza.

– Zdejmij mu kajdanki – nakazuje. – Tylko żadnych numerów, panie Engel, ma pan już wystarczająco dużo kłopotów, by prosić się o więcej.

Filip Hańcza niechętnie sięga po kluczyki, zawieszane na pasku tuż obok pałki. Z jego ust wymykają się ciche przekleństwa. Słyszę zgrzyt metalu, a później z wysiłkiem przenoszę uwolnione, zdrętwiałe ramiona do przodu i rozmasowuję nadgarstki, na których widnieją czerwone ślady po metalowych obręczach.

– Telefon – przypomina ochroniarz, jakby irytowała go moja odzyskana swoboda.

– Proszę odebrać na głośnomówiącym – dodaje Serafin, gdy podnoszę komórkę do ucha.

Potrząsam głową z niedowierzaniem, ale bez sprzeciwu kładę smartfona na blacie biurka. Numer, który wyświetla się na ekranie, nie



wydaje się znajomy. Z niepokojem przesuвам zieloną słuchawkę, a wtedy w pokoju rozbrzmiewa niepewny męski głos:

– Halo? Pan Engel? Z tej strony Dariusz Kwiatkowski, prosił pan, żebym oddzwonił.

Zauważam, że oblicze Filipa Hańczy tężeje. Chłopak posyła swojej szefowej pełne paniki spojrzenie.

– Tak, dzień dobry – wyjaśniam, mówiąc coraz szybciej, jakbym czuł, że mój czas się kurczy. – Kontaktowałem się z panem z powodu Pawła Kwiatkowskiego, pana syna. Jestem właśnie w hotelu...

Ochroniarz rzuca się na telefon i rozłącza rozmowę.

– Co pan wyprawia? – reaguję ostro.

– Mieliśmy sprawdzić, czy nie dzwoni pana żona, tak? A skoro wiemy już, że to ktoś inny, to rozmowa może poczekać.

Skonsternowany patrzę na Serafin, ale jej splecione na piersi ramiona i nachmurzone czoło nie zwiastują chęci pomocy.

– Chcę porozmawiać z tym człowiekiem – naciskam, a potem chwytam za telefon, usiłując wyrwać go z ręki Hańczy.

Kościste palce chłopaka nie chcą ustąpić. W jego oczach lśni nieugiętość. Przez moment walczymy ze sobą, aż wreszcie ochroniarz, który jest bez wątpienia silniejszy, mocnym szarpnięciem wydziera mi komórkę z rąk. Śliski od wilgotnej skóry smartfon wymyka mu się z palców i upada na wykładzinę. By zyskać na czasie, kopię telefon, a ten wsuwa się pod biurko. Hańcza pospiesznie przykuca, by sięgnąć po niego jako pierwszy, lecz gdy tylko się schyla, chwytam szklany przycisk do papieru w kształcie kuli i z uderzam ochroniarza w tył głowy.

\*

Z wrażenia trzęsą mi się ręce. Pokój zaczyna wirować i jestem pewien, że lada chwila zwymiotuję. Filip Hańcza leży nieruchomo na podłodze, a z jego głowy płynie brunatna krew, która wsiąka w wykładzinę.

Błada, jakby ktoś obsypał jej twarz mąką, Serafin podchodzi do swojego pracownika, klęka przy nim i przykłada dwa palce do szyi

chłopaka.

– Co pan najlepszego zrobił? – pyta drżącymi ustami.

Ze zgrozą patrzę na swoje dłonie, jakby należały do kogoś innego. Kogoś, nad kim zupełnie nie panuję, bo to on przejął kontrolę nade mną. Wypuszczam z dłoni szklaną kulę, po czym ściskam mocno nasadę nosa i liczę do pięciu. Oddychaj, powtarzam w myślach i gdy kołatanie serca nieco ustępuje, mówię, jakbym przekonywał bardziej samego siebie niż menadżerkę:

– Nic mu nie będzie.

Z emocji huczy mi w głowie i choć wiem, że powinienem żałować tego, co zrobiłem, odnajduję w sobie także satysfakcję. Przez krótką chwilę, gdy w oczach Łucji dostrzegam strach, doświadczam odurzającego poczucia kontroli, które jednocześnie mnie wabi i napawa lękiem.

Niemal w zwolnionym tempie obserwuję, jak wargi Serafin otwierają się do krzyku, jednak zanim zdoła wezwać pomoc, rzucam się na nią i przyciskam jej usta dłonią, przygważdżając ciało kobiety do ziemi.

– Nie rób tego – dyszę, ale ona nie słucha.

Zaczyna szarpać się ze mną, wierzga nogami i w końcu gryzie mnie w palec. Wyję z bólu, wymachując ręką, gdy tymczasem ona wyrывa się w kierunku drzwi. Huk napędzanej adrenaliną krwi sprawia, że przestaję myśleć. W szale wściekle chwytam menadżerkę za włosy i niczym szmacianką lalkę ciskam ją na metalową szafę z dokumentami. Dopiero po chwili orientuję się, co tak naprawdę zrobiłem. Trzęsę się, z trudem łapiąc oddech. Serafin uderza z łoskotem i osuwa się na wykładzinę. Z jej szyi spada zerwany wisiorek z zatopionym w żywicy koralikiem. Na ułamek sekundy zaciskam powieki, by zapanować nad pęczniejącą we mnie paniką. Gdy otwieram oczy, menadżerka wstaje, zataczając się na miękkich nogach, a z jej nosa płynie krew. Przez chwilę patrzymy na siebie jak dwaj drapieżnicy walczący o przetrwanie.

– Nie chce pan nikomu zrobić krzywdy – próbuje mnie uspokoić, mówiąc fałszywie miłym tonem.

Górny guzik jej bluzki jest urwany, a marynarka zaplamiona krwią.

– A skąd pani o tym wie? Przecież podejrzewacie mnie o zabicie żony.

Udaję odważnego, choć tak naprawdę cały dygoczę. Strużka potu spływa z mojej skroni aż na policzek, prawa łydka drży zaś tak bardzo, iż jestem pewien, że Łucja to dostrzega. Nozdrza mi pulsują, a napięta szczęka daje o sobie znać promieniującym aż do karku bólem. Zerkam w popłochu na leżące pomiędzy nami ciało Hańczy, a potem sprawnie sięgam po kajdanki, które upadły obok niego.

Serafin bezgłośnie kręci głową.

– To nie jest konieczne – mówi. – Może się pan jeszcze wycofać.

Nie słucham jej, ponieważ wiem, że kłamie. Droga, na którą wszedłem, jest jedną z tych bez powrotu i oboje zdajemy sobie z tego sprawę. Nie ma przecież decyzji bez konsekwencji. Kiedy ta prawda w pełni do mnie dociera, czuję nadciągającą falę smutku. Jestem gotów, przekonuję samego siebie. Zrobię, co trzeba, byle tylko uratować Ninę.

– Gdzie ona jest? – Daję Łucji ostatnią szansę.

– Nie wiem.

Ściskam mocno rękę kobiety, a kiedy przykuwam ją do grzejnika, Serafin znów zaczyna rzucać się i krzyczeć. To mnie rozsierdza. Jej opór uruchamia we mnie jakiś dawno uspiiony gniew, może na ojca, który całe życie uważał mnie za nieudacznika, a może na to, że odkąd zaginęła Nina, nikt w tym hotelu się ze mną nie liczył i nie traktował mnie poważnie. Czuję, jakby żółć, którą upychałem gdzieś w sobie, nie mogła się już we mnie dłużej pomieścić. Jej poziom podnosi się jak poziom wody w zakorkowanej wannie, a w końcu wylewa się przez usta z dzikim rykiem, który przejmuje strachem nawet mnie samego.

Od tej chwili wszystko dzieje się samo i nad niczym nie mam już kontroli. Staję się tylko obserwatorem zdarzeń, rejestruję moją dłoń uderzającą o policzek Łucji, to, jak siła ciosu odrzuca jej głowę, a potem pełen nienawiści wzrok kobiety. Słyszę czyjś oddech, dziki, jakby zwierzęcy, tak inny od mojego. Widzę ręce, które z szuflad jej biurka wyrzucają chaotycznie przedmioty, wyciągają szeroką taśmę i zakleją nią usta Serafin. Mocno, tak by nie mogła krzyczeć.

A później biegnę, jakbym chciał uciec przed tym wszystkim, co właśnie zrobiłem.



Z pamiętnika Niny:

Luty 2019 r.

Tomasz nadal nie wiedział o dziecku. Dziesiątki razy próbowałam mu powiedzieć, ale zawsze zwyciężał lęk. Zdawałam sobie sprawę, że sama go wychodowałam, karmiłam niepokojącymi wizjami, pozwalając, by z dnia na dzień stawał się silniejszy. Im bardziej się bałam, tym bardziej on się rozrastał, przez co chwilami miałam wrażenie, jakby nie było już mnie, tylko ten strach.

Niekiedy przerażało mnie podejrzenie, że Tomasz wszystkiego się domyśla. Czasami zniemacka rzucał mi zimne i obojętne spojrzenie, od którego po plecach przebiegał mi dreszcz. Tłumaczyłam sobie jednak, że to z powodu książki. Szło mu opornie, co w końcu zaczęłam regularnie śledzić. Zaglądałam do jego gabinetu w nocy, kiedy ciąża nie dawała mi spać. Tomasz pisał po kilka zdań, a następnego dnia je kasował, lecz za każdym razem, gdy pytałam o postępy, uśmiechał się pogodnie i mówił, że wszystko jest dobrze. Moje serce ścisnęło się wtedy z żalu, ale nigdy nie odważyłam się wyznać, że znam prawdę. Staralam się łagodzić presję, którą odczuwał, pokazywać mu, że kocham go z miliona powodów, i być obok, gdy tego potrzebował.

Najgorsze przychodziło nocami. Z powodu przewlekłego stresu Tomasz zaczął mówić przez sen. Czasami krzyczał głosem, którego nie znałam, a innym razem odpowiadał cienkim głosikiem małego, przestraszonego chłopca. Według mnie odtwarzał wspomnienia z dzieciństwa. Te zakopane pod dywan historie wyciągały po niego swoje kościste i długie łapska, chcąc, by przestał przed nimi uciekać. Pragnęły spojrzeć mu w oczy, które od lat skutecznie zasłaniał. Przeszłość zawsze nas dogoni, choćbyśmy nie wiem jak szybko biegali, tak mawiała moja nowa znajoma i trudno było mi się z nią nie zgodzić.

Poznałyśmy się podczas zajęć jogi. Ujęły mnie jej serdeczność, poczucie humoru i mądrość. Na co dzień mieszkała w Karkonoszach, ale

*dwa razy w tygodniu odwiedzała w Warszawie lekarza. By wypełnić czymś puste, spędzane w stolicy wieczory, dołączyła na zajęcia jogi, które odbywały się w budynku vis-à-vis hotelu. Szybko znalazłyśmy wiele wspólnych tematów do rozmów, a co najważniejsze, okazała się nieocenionym wsparciem dla rodzącej się we mnie mamy. Któregoś dnia, gdy ujrzałam wychodzące z sali matki z niemowlakami, wpadłam w niepohamowany szloch, a ona wzięła mnie wtedy za rękę i płakała razem ze mną. Niekiedy była jak siostra, której nigdy nie miałam. Imponowały mi jej życiowa siła i dobro. A z każdym spotkaniem czułam, że bliżej nam do siebie.*

*Wiedziałam o tym, jak modliła się wieczorami, by matka zostawiła despotycznego ojca. O jej dzieciństwie spędzonym w domach dziecka i pod opieką rodziców zastępczych, a wkrótce także o tym, że zмага się z ciężką chorobą, o której nic więcej nie chciała mi powiedzieć.*

*Pewnego dnia poczułam, że stała się dla mnie ważna, do tego stopnia, iż zapragnęłam przedstawić ją Tomaszowi.*

*– Co powiesz na kolację u nas w czwartek po zajęciach? – zapytałam.  
– Ty i twój mąż jesteście mile widziani.*

*– To nie jest najlepszy pomysł.*

*– Dlaczego? Tomasz jest wspaniałym człowiekiem. Na pewno się polubicie.*

*– Nie o to chodzi. Po prostu, gdy jesteśmy razem, rozmawiamy głównie o twojej ciąży. Mój mąż prędzej czy później chlapnie coś na ten temat i wybuchnie afera. – Zrobiła przeproszającą minę. – Nie uważasz, że już pora z nim porozmawiać?*

*– Czekam na idealny moment.*

*– Tak, słyszałam... Właściwa chwila, odpowiedni czas. One nigdy nie nadchodzą, wiesz o tym, prawda? Musisz to w końcu zrobić. Zabierz go na kolację albo do jakiegoś pięknego hotelu i zrzuc ten kamień z serca.*

*– A co, jeśli nie spodoba mu się to, co mam do powiedzenia?*

*– Wtedy przynajmniej poznasz prawdę. A najbrzydsza prawda jest lepsza od najpiękniejszego kłamstwa. – Ścisnęła moją rękę. – Jeśli chcesz, polecę ci jeden wyjątkowy hotel.*



Wiem, że nie mam zbyt wiele czasu. Kiedy wychodzę z gabinetu Serafin, stoję jak wryty, a moje serce zaczyna uderzać tak donośnie, iż jestem pewien, że słyszy je także rudobrody aspirant Miłoszewski, którego dostrzegam przy ladzie recepcji. Funkcjonariusz, gestykułując, rozmawia z Mariuszem Duńcem, który dłonią wskazuje mu kierunek. W ostatniej chwili ledwie udaje mi się zmusić nogi do pracy, a następnie cofnąć w głąb korytarza i umknąć przed badawczym wzrokiem policjanta.

Mój żołądek wykonuje salto. Nie mam pojęcia, co powinienem teraz zrobić. Muszę przytrzymać się ściany, by nie upaść i opanować zawroty głowy. W pierwszym odruchu zamierzam dać za wygraną. Przyznać się do wszystkiego i odpuścić to, co zdecydowanie mnie przerosło. Jednak gdy policjant zatrzymuje się w pół kroku na środku holu i wraca do recepcjonisty, by o coś dopytać, postanawiam wykorzystać szansę. Nie oglądając się za siebie, z pochyloną głową, jak najszybszym krokiem docieram do schodów prowadzących do łącznika między budynkami.

Tam znów zaczynam biec. W pachwinie odzywa się kłująca kolka, a pisk w uszach wraca z taką siłą, że muszę na moment przystanąć i mocno nacisnąć płatki uszu, by nie zwariować z bólu. Ktoś niespodziewanie podbiega od tyłu, szarpie mnie za ramię, sprawiając, że cały drętwieję ze strachu.

– Biegnij, do cholery! – ponagla Abart, który zjawia się nie wiadomo skąd.

Na jego twarzy maluje się pretensja połączona z ekscytacją. Z niepokojem zerkam w stronę schodów, jakby lada moment mieli nimi zbiec aspirant Miłoszewski wraz z Łucją Serafin, ale osoby, których kroki słyszę, to tylko przypadkowi goście.

– Na co czekasz?! – dopytuje Wiktor, klepiąc mnie w policzek, gdy w osłupieniu gapię się na grupkę mijających nas ludzi. – Chodź! – woła i rusza przed siebie, a ja podążam za nim.

Kiedy zasapani dobiegamy do budynku B, drzwi do łącznika zatraskują się z łoskotem za naszymi plecami. Sprzątaczką, która z mopem w rękach właśnie wchodzi do windy, wzdryga się w przestrachu. Jestem świadomy, że muszę wyglądać niepokojąco. Na moim swetrze widnieją bordowe plamy krwi Serafin, włosy są potargane, a ugryziona dłoń puchnie. Kobieta jednak wydaje się tego nie zauważać.

– Przetnę tylko szybciotko i zaraz znów będzie można jeździć – tłumaczy przepraszająco.

– Nic nie szkodzi, pójdziemy schodami – odpowiadam, lecz po chwili słyszę chrząknięcie i zauważam znaczące spojrzenie Abarta, które wędruje od zaparkowanego pod ścianą wózka serwisowego aż do drzwi.

– A mogłaby pani od razu zajrzeć do dwieście piątki na drugim piętrze?

– dodaję drżącym głosem, przypominając sobie napawającego niechęcią mężczyznę w podkoszulku na ramiączka. – Sąsiad narzekał, że ma jakiś problem z odpływem w prysznicu. Może dobrze byłoby to sprawdzić, zanim zadzwoni ze skargą do recepcji i będzie miała pani kłopoty. Facet wyglądał na takiego, co lubi robić awantury – dodaję poufale.

Przez twarz kobiety przemyka grymas niepokoju. Kiwa głową, dziękując mi, a po chwili odjeżdża na górę.

– Zaczynasz czytać w moich myślach, podoba mi się to – mówi Wiktor, przyglądając się, jak ustawiam wózek serwisowy pod klamką drzwi wychodzących na łącznik i wciskam w nim hamulce.

– To ich na moment spowolni, ale nie zatrzyma – stwierdzam. – Musimy iść.

Uda pieką mnie z wysiłku, gdy wspinamy się na trzecie piętro, a zadyszka jest już tak silna, że prawie nie mogę złapać tchu. Myśli w głowie brzęczą jak rój pszczół w ulu, przez co mam wrażenie, że zaraz zacznę krzyczeć. Otwieram kartą drzwi do naszego apartamentu, a później w amoku przeczesuję kieszenie spodni, które miałem na sobie poprzedniego dnia, lecz z zawodem odkrywam, że nie ma tam srebrnego kluczyka.

– On musi gdzieś tu być – mówię coraz bardziej sfrustrowany, po czym zaglądam do wszystkich szaf i szafek.

Abart obserwuje moją szamotaninę ze sceptycyzmem. Nie myślę racjonalnie, cały czas wydaje mi się, że słyszę dudnienie kroków nadciągających z dołu, a przed oczyma staje mi widmo leżącego nieruchomo Hańczy. Przetykam ślinę, nakazując sobie wziąć się w garść. W panice wysypuję zawartość torby od laptopa i obszukuję blaty, lecz bez żadnego skutku.

– Cholera jasna – ciskam się, mając wrażenie, że przetrząsnąłem już każdy zakamarek apartamentu, gdy mój wzrok pada na kosz na śmieci i zmięte serwetki z rysunkami Wiktora, które wcześniej wyrzucił.

Odwracam metalowy pojemnik dnem do góry, wytrząsając jego zawartość na podłogę, po czym na kolanach szperam w odpadkach i papierkach ze szkicami kobiecej twarzy, jak ludzie na wyprzedkach w koszach pełnych okazji. Rozgarniam je bezładnie, wypatrując tylko jednej rzeczy. Kiedy srebrny kluczyk błyska w świetle żarówki, rozpromieniam się. Abart posyła mi pełne uznania spojrzenie, a później wskazuje na kosz, mówiąc:

– Weź go, przyda się.

Gdzieś na korytarzu trzaskają drzwi. Usztywniam się, niemal przestając oddychać. Z wilgotną z nerwów dłonią zaciśniętą na kluczyku cały staję się nasłuchiowaniem. Dobiega mnie dźwięk pełnej emocji wymiany zdań. Nerwowo zerkam na Wiktora, ale on zdaje się nie zwracać uwagi na echa rozmowy z korytarza. Odgłosy na zewnątrz narastają, są coraz bliżej naszego pokoju i kiedy już spodziewam się, że do środka wtargnie policja, a moje ciało zastyga niczym betonowa rzeźba, rozmawiający mijają apartament, ze śmiechem zatrzymując się przy windzie.

Z westchnieniem ocieram mokre czoło. To musiał być ktoś inny, stwierdzam z ulgą. Czuję, jakbym przez minione dni postarzał się o kilka lat. Gdzieś w głębi mnie budzi się dziecięcy żal, że to nie tak miało wyglądać. Nagle przygniata mnie potworne zmęczenie. Chciałbym tylko przytulić żonę, móc przeprosić ją za te wszystkie chwile, gdy byłem zbyt zajęty swoimi sprawami, by ją zauważyć. Błagać o wybaczenie za to, że zrozumiałem, jak ważna jest dla mnie, dopiero gdy ją straciłem. Kto wie, może w życiu niczego nie dostajemy na zawsze, a jedynie na tyle, na ile zasługujemy.



– Dość tego mazgajstwa, musimy iść na strych. – Wiktor wrywa mnie z zamyślenia, szarpiąc mnie za ramię. – Nie mamy czasu, oni zaraz tu będą.

Podnoszę się z wysiłkiem z podłogi, chwytam kosz, a potem uchylam drzwi i ostrożnie wyglądając na korytarz, upewniam się, czy droga jest wolna. Krew pulsuje w żyłach tak intensywnie, że wyczuwam jej uderzenia w opuszkach palców. Po chwili znajdujemy się już na klatce schodowej. Kosz wydaje z siebie metaliczne zgrzytnięcie, gdy stawiam go na betonowej podłodze, i chrzęści pod moim ciężarem, kiedy na niego wskakuję. Wspinam się delikatnie na palce, starając się umieścić kluczyk w zamku.

– Szybciej – ponagla Abart, zerkając w dół klatki schodowej i za drzwi na korytarz.

– Coś jest nie tak – tłumaczę, walcząc z zamknięciem. – Ten klucz tu nie pasuje, jest za gruby.

Wtedy zauważam, że to, co wzięliśmy wcześniej za zamek, to tylko blokada, którą wystarczy przekręcić.

– Potrzebny jest mi jakiś przedmiot z płaską, cienką końcówką! – wołam, gdy nagle naszych uszu dobiega głuchy łoskot z dołu, a za nim echo czyichś głosów. Zastygam w bezruchu, uświadamiając sobie, że to koniec. – Przewrócili wózek serwisowy, nie mamy szans, zaraz tu będą! – panikuję.

– Zamknij się, Engel, i myśl, do kurwy nędzy! – nakazuje Wiktor, który przygryza ściśniętą w pięść dłoń i chodzi w kółko. – Karta kredytowa! – wykrzykuje. – Nosisz portfel w tylnej kieszeni spodni.

– Skąd...

– Nie teraz! Otwórz zamek tą cholerną kartą.

Drżącą ręką sięgam po cienki skórzany portfel i wyłuskuję z niego kartę. Z gorąca moja skóra zaczyna się lepić. Z parteru dobiega głos Łucji Serafin.

– Pojadę windą, a wy idźcie schodami! – krzyczy.

Z nerwów karta wypada mi z dłoni. Roztrzęsiony schodzę z kosza, podnoszę ją i wracam do dłubania w zamku, gdy tymczasem Abart przechyla się przez balustradę, sprawdzając, jak daleko znajdują się pozostali.

– Pospiesz się – mówi.

Pogłos kroków niesie się klatką schodową i jestem pewien, że nie zdołamy otworzyć wjazdu, zanim tutaj dotrą, ale w końcu rogiem karty kredytowej udaje mi się przekręcić blokadę i zamek z kliknięciem puszcza. Chwytam za srebrny uchwyt w kształcie koła, szarpię go lekko i wtedy prostokątna klapa się uchyla. Teraz wystarczy już tylko rozłożyć metalową drabinkę, co bez problemu robię. W popłochu przewracam kosz, który z metalicznym brzękiem uderza o ścianę, a po chwili słyszę wyraźny głos Filipa Hańczy:

– To on. Jest na trzecim piętrze.

Świadomość, że ochroniarz żyje, przynosi mi niewysłowioną ulgę. Robię długi wydech, kręcąc z niedowierzaniem głową. Mężczyźni na dole najwyraźniej zaczynają biec, ponieważ ich kroki zamieniają się w donośne dudnienie. Strach paraliżuje moje ciało i nie jestem w stanie się poruszyć. Tkwię niczym w letargu, z przerażeniem spoglądając w dół klatki schodowej, gdzie na ścianach rysują się już długie cienie ochroniarza i policjanta.

– Na górę! – nakazuje Wiktor, ordynarnie mnie popychając, lecz kiedy nie reaguję, sam zaczyna wdrapywać się po drabinie.

Wreszcie jakimś cudem udaje mi się wyrwać z apatii i zmusić ciało do wspinaczki. Abart, czekający na górze, macha ręką ponaglająco, a w jego spojrzeniu odbija się zdenerwowanie. Jestem już na przedostatnim stopniu, kiedy harmider narasta i słyszę za sobą odgłos przeładowywanej broni.

– Stój, policja! – woła aspirant Miłoszewski.

Z ramionami i tułowiem już powyżej wjazdu patrzę w oczy Wiktora, który zdecydowanie kręci głową.

– Nie słuchaj go, włącz na górę i zamykaj tę cholerną klapę.

– Stój, bo będę strzelać! – dolatuje ponownie zza moich pleców.

– Już za późno – mówię cicho, chcąc się poddać, ale wtedy Abart łapie mnie pod ramiona i wciąga na górę, naprężając się z wysiłku.

– Po moim, kurwa, trupie! – krzyczy, gdy ląduję na przykurzonych deskach podłogi.

Jego twarz czerwienieje, a oczy świecą dzikim blaskiem.

– Drabinka! – wrzeszczy.

Gorączkowo podciągam drabinę i zatrzasnę klapę, zaledwie chwilę przed tym, zanim Filip Hańcza, którego głowa przewiązana jest bandażem, zdoła jej dosięgnąć. Pot spływa mi na twarz, a serce kotłuje się w piersi jak zwierzę schwyte do worka. Z całych sił trzymam za szczebelek i przyciągam go do siebie, ponieważ mężczyźni po drugiej stronie szarpiają za uchwyt, usiłując otworzyć właz.

– Doigrałeś się, Engel! – woła ochroniarz.

– Gdzie on jest? – dobiega mnie głos Łucji Serafin.

– Zamelinował się na górze – odpowiada jej aspirant Miłoszewski. – Można się tam jakoś inaczej dostać?

– Nie bardzo – tłumaczy menadżerka.

Od ścisnięcia drabiny palce zaczynają mi drętwieć. Przez niewielkie okno w dachu na strych wpada wąska smuga księżycowej poświaty, w której dostrzegam stertę desek różnej długości i grubości.

– Trzymaj!

Polecam Wiktorowi, by zajął się pilnowaniem włazu, a sam sięgam po jedną z desek, którą pospiesznie wsuwam pod drabinę, na dobre blokując wejście.

Wreszcie wyczerpany opadam na podłogę. Kręci mi się w głowie, a z dołu dobiegają coraz bardziej donośne odgłosy uderzeń. Mój wzrok usiłuje rozpoznać napawające lękiem kształty skryte w gęstym mroku.

Przestrzeń sprawia wrażenie opustoszałej, przez co serce ścisną mi skurcz niepokoju, że może to wszystko było na marne i rzeczywiście nigdy nie odnajdę już żony.

✱

Po zapaleniu latarki w telefonie stwierdzam, że strych jest ogromny i ciągnie się przez całe piętro. Pachnie tu wilgocią, pleśnią i drewnem, a podłogę pokrywają surowe deski, na których zalega gruba warstwa pyłu, kurzu i piachu. Drewno ugina się pod stopami, a do tego skrzypi. Wsłuchuję się w to napawające niepokojem trzeszczenie, czując, jak włoski na przedramionach stają dęba.

Od podłogi na całej długości pomieszczenia zarysowuje się ceglany murek o wysokości około metra. Powyżej niego niczym żebra rozciągają się belki podtrzymujące dach. Konstrukcję dodatkowo wspierają trzy grube, drewniane filary, które dzielą tę okazałą przestrzeń. W środkowej części wnętrza jest na tyle wysokie, że nawet po podniesieniu ręki nie jestem w stanie dotknąć dachu i tylko kiedy przeszukuję zakamarki pod ścianami, muszę schylać głowę lub przykucnąć.

Odnajduję tam kilka podniszczonych, niskich regałów wykończonych politurą, z plastikowymi, nadłamanymi uchwytyami. Meble, jak się okazuje, służą do przechowywania starych zasłon, niewykorzystanych farb, rozpuszczalników, a także zapasowych listew przypodłogowych, kinkietów oraz resztek paneli podłogowych.

Penetrując strych, obserwuję, jak w smudze światła latarki tańczą wzniecone drobinki kurzu. Przypominają wirujące w powietrzu płatki śniegu. Czuję, jakbym trafił na cmentarzysko zapomnianych rzeczy. Dawnych stolików kawowych, których porysowane blaty czekają na naprawę, zapasowej wykładziny zwiniętej w gruby rulon czy łazienkowych płytek ceramicznych, grzecznie poukładanych w kartonach. Nigdzie jednak nie znajduję śladów obecności mojej żony.

Z dołu dobiegają łomot i trzeszczenie. Zauważam, że kłapa jest delikatnie uchylona i tylko deska, którą zablokowałem złożoną drabinę, uniemożliwia całkowite otwarcie wjazdu. Zdaję sobie jednak sprawę, że jeszcze kilka uderzeń łomem może spowodować, iż zawiasy łączące drabinkę i kłapę puszczą.

– Na co się, kurwa, gapisz? – syczy Wiktor.

To mnie otrzeźwia. Przemierzam z latarką dalszą część strychu, a kiedy moje poszukiwania nie przynoszą rezultatów, z desperacją spoglądam na Abarta.

– Przestańmy, tu jej nie ma – mówię z rezygnacją.

– Ogarnij się i szukaj – warczy.

– Ale po co? Nie rozumiesz, że to koniec? Nie znajdę Niny ani niczego, co mogłoby potwierdzić, że tu była. Mogli ją gdzieś wywieźć, zakopać, a ja nigdy nie dowiem się, co tak naprawdę ją spotkało.

Potrząsam głową, patrząc w dal niewidzącym wzrokiem.

– Przestań się mazgaić, tylko myśl, do cholery! Przypomnij sobie dokładnie tamtą noc.

– To nie ma sensu, robiłem to już tysiąc razy.

Wiktor dopada mnie jednym susem i stalowym uściskiem chwytając moją szczękę, zmuszając, bym patrzył mu w oczy.

– Skup się – nakazuje. – Co się po kolei działo? Dałeś jej prezent, uprawialiście seks, a później ty zszedłeś do lobby, a ona położyła się do łóżka. Tak?

Potwierdzam skinieniem, czując narastający ból żuchwy. Nagle uderza mnie, że przecież nie mówiłem mu wcześniej o halce, którą podarowałem żonie.

– Skąd wiesz o prezencie?

Abart puszcza mnie i na ułamek sekundy ucieka spojrzeniem.

– Zostaw, to teraz nieistotne – ucina. – Musisz odtworzyć, co było potem, gdy już wróciłeś na górę.

– Nina spała. Gdy wślizgnąłem się pod kołdrę, przytuliła się do mnie i wymamrotała coś przez sen.

– Co?! – Wymachuje rękoma przed moją twarzą.

– Nie wiem, byłem pijany.

– Wysil się, to ważne.

Zamykam oczy i mocno zaciskam powieki, by wrócić wspomnieniami do sypialni naszego apartamentu tamtej nocy. Pamiętam słodki zapach unoszący się w powietrzu, mrok spowijający przestrzeń i miękki dotyk jedwabnej halki, gdy najciszej, jak potrafiłem, wsunąłem się pod kołdrę. Objąłem Ninę ramieniem, zanurzając twarz w jej włosach, a wtedy ona odwróciła głowę w moją stronę i nie otwierając oczu, wybełkotała jakieś słowo. Nie potrafię go jednak wydobyć z mgły.

– „Przepraszam” – mówi nagle Wiktor, jakby właśnie je odgadł. – To było to słowo.

Moje wargi otwierają się ze zdziwienia, ponieważ dociera do mnie, że Abart ma rację i to właśnie ledwie słyszalne „przepraszam” padło wtedy z ust Niny. Marszczę brwi, nie mogąc uchwycić sensu tego, co powoli staje się coraz wyraźniejsze.

– To byłeś ty – wyrzucam z niedowierzaniem. – Od samego początku. Dlatego cały czas kręciłeś się wokół mnie. Śledziłeś nas, tak? – Patrzę

na niego z przestraczem. – Musiałeś być wtedy w naszym pokoju, bo skąd inaczej wiedziałbyś, co powiedziała?

– Ty naprawdę niczego nie rozumiesz. Lepiej zastanów się nad tym, z jakiego powodu twoja żona cię przeprosiła.

– O nie, nie pozwolę ci teraz zmienić tematu – mówię, zdając sobie sprawę, że kobiece portrety na serwetkach w koszu na śmieci przedstawiały Ninę. – Boże, ty miałeś obsesję na jej punkcie – odkrywam, z przerażeniem unosząc dłonie do czoła.

– Nie większą niż ty.

Kręcę głową z niedowierzaniem. Robi mi się słabo i duszno.

– Narysowałeś ją jeszcze przed tym, zanim dałem ci jej zdjęcie. Skąd wiedziałeś, jak wygląda?

– Litości, Tomaszu, w końcu jest moją żoną, znam położenie każdego pieprzyka na jej skórze.

Zaczynam oddychać coraz szybciej, a moje dłonie mimowolnie zwijają się w pięści. Pisk w uszach sprawia, że krzywię się z bólu.

– Brednie, Nina nigdy nie miała innego męża poza mną – wykrztuszam z trudem, opierając rękę na belce dachowej w obawie o to, że lada chwila się przewrócę. Nagły łoskot od strony wjazdu przyciąga naszą uwagę.

Obaj odwracamy głowy w kierunku klapy, która jest już otwarta. Z dołu na strych wdziera się szeroka wiązka światła. Dobiega nas ożywiona wymiana zdań, a później szczepek rozsuwanej drabiny.

– Oni tu zaraz będą, musimy uciekać – stwierdza Wiktor.

Chwytam go za koszulę, by uniemożliwić mu unik, ale odpycha moje ręce.

– Jesteś mi winien wyjaśnienie – domagam się zachrypłym z emocji głosem.

– Nie teraz. Nie rozumiesz, że trzeba wiać?

– Nie mamy dokąd!

Abart podąża wzrokiem w stronę okna dachowego. Rozgląda się wokół, po czym podnosi jeden z uszkodzonych stolików kawowych i stawia go dokładnie pod oknem.

– O nie – mówię, kręcąc głową. – Nigdy w życiu. To byłoby czyste szaleństwo.

– Jak chcesz. Ja uważam, że to nasza jedyna szansa – oznajmia, a potem bez cienia wahania łapie za klamkę, otwiera okno i wspinając się po stoliku, wychodzi na dach.

– Niech cię szlag – stękam, z przerażeniem nasłuchując zbliżających się po drabinie kroków.

Nie zamierzam iść w ślady Wiktora, ale kiedy we włączniku ukazuje się wykrzywiona złością twarz aspiranta Miłoszewskiego, instynkt przetrwania wygrywa z rozumem i ja również przeciskam się przez okno dachowe, by po chwili spojrzeć w oczy jednemu ze swoich największych lęków.



Pierwszym, co mnie uderza, gdy wychodzę na zewnątrz, jest odurzające tchnienie wieczornego powietrza, od którego aż kręci się w głowie. Na niebie nieprzyzwoicie pięknie mruga kilka złotych gwiazd. Moja dłoń kurczowo trzyma ramę okna, a blachodachówka skrzypi pod stopami. Jest zimna i śliska.

Czuję, jak ogarnia mnie panika. Wbijają ostre szpony w moje ciało, nie mając litości. Tylko nie patrz w dół, powtarzam sobie, dziękując opatrności za mrok, dzięki któremu nie widzę wyraźnie, jak daleko od ziemi się znajduję. Ciśnienie krwi wzrasta tak bardzo, iż jestem pewien, że lada chwila żyły mi eksplodują. Do tego ucisk w klatce piersiowej, jakby usiadł na mnie kilkutonowy słoń, utrudnia oddychanie.

– Uciekaj! – krzyczy Abart, który kawałek dalej chwiejnie kroczy po stromej powierzchni dachu, zmierzając w stronę sąsiedniego budynku.

– Niech się pan zatrzyma! – nakazuje dobiegający ze strychu głos policjanta.

Nie wiem, co robić, moje nogi drżą, a w ustach czuję suchość. Spoglądam niepewnie za siebie, trzęsąc się jak osika, lecz w końcu powoli zaczynam iść w stronę Wiktora. Chcę wyjaśnić to, co nie daje mi spokoju. Muszę tylko chwycić się komina, który znajduje się na wyciągnięcie ręki, i nie spoglądać w dół. Napinam wszystkie mięśnie

i wstrzymuję oddech. Opuszki moich palców muskają twardą, zimną powierzchnię, a po chwili chwytają wystającą krawędź.

Sapiąc, obejmuję ramionami murowany komin tak mocno, aż bołą mnie ręce. Zaciskam powieki, by uspokoić oddech, a gdy je z powrotem unoszę, dostrzegam nieopodal zarys oddalającej się sylwetki Abarta

– Czy to ty zabiłeś moją żonę? – wołam, a echo niesie dźwięk tych słów.

Przemawiają przeze mnie jednocześnie desperacja i błaganie. Mam wrażenie, jakby śmierć zaglądała mi w oczy swoimi czarnymi jak noc ślepiami. Wiktor przystaje tuż obok drugiego komina, po czym odwraca się w moją stronę.

– Niczego jej nie zrobiłem – mówi.

– Nie wierzę ci! Sam przecież powiedziałeś, że pozwoliłeś komuś umrzeć. Musiało chodzić o Ninę!

– Nie.

– W takim razie o kogo?

Abart zwleka z odpowiedzią. Stoi na lekko ugiętych nogach z rękoma wyciągniętymi na boki, balansując ciałem dla utrzymania równowagi. Nad jego głową wisi srebrny księżyc w kształcie cienkiego rogala.

– Przecież wiesz. Czujesz to w głębi duszy.

– Przystań mną manipulować – odpowiadam wściekle. – Skąd niby miałbym to wiedzieć?

– Bo tam byłeś.

Jego słowa mnie zaskakują. Cisza, która po nich zapada, przyprawia o ból uszu. Jakby wszystko nagle znikło. Wichrowe Wzgórza, Modrzewiówka w dole, zimny, skrzypiący pod stopami dach i my dwaj. Jak gdyby została już tylko nicość, w którą mam ochotę się osunąć, lecz wtedy nagle jedna z moich nóg się ślizga. Przerażony piskiem podeszwy trącej o dachówkę, z całej siły chwytam rękoma ceglany komin i w ostatniej chwili udaje mi się uniknąć upadku.

Powoli uspokajam oddech, zastanawiając się, czy to możliwe, bym kiedykolwiek wcześniej przed przyjazdem do hotelu spotkał Wiktora, ale jestem pewien, że nie. Delikatny wiatr lekko muska moją zroszoną potem szyję, przez co po plecach przebiega zimny dreszcz. Ten człowiek chce namieszać mi w głowie, myślę, gdy zza pleców dobiega



trzeszczenie. Kiedy oglądam się za siebie, w otwartym oknie dachowym dostrzegam aspiranta Miłoszewskiego.

– Panie Engel, niech się pan nie rusza – mówi, uspokajająco wyciągając w moją stronę rękę. – Pomoc już nadchodzi. Ktoś wyjdzie do pana i pomoże panu bezpiecznie wrócić do budynku, dobrze?

– Nie ma mowy. Nigdzie nie pójdę.

Desperacko wczepiam się w komin, bojąc się nawet drgnąć. Moje usta rzucają pod nosem wiązaną przekleństw, a mięśnie drętwieją. Świadomość, że od ziemi dzieli mnie wysokość około czterech pięter, sprawia, że krew ścina się w żyłach.

– Proszę mnie posłuchać – kontynuuje policjant przyjaznym tonem. – Wiem, że nie chce pan zrobić sobie krzywdy. Jestem tu, by panu pomóc.

– Trzeba było mi uwierzyć, gdy o to prosiłem, teraz jest już za późno.

– Nigdy nie jest za późno, by żyć. Nadal może pan zawrócić.

Z lękiem spoglądam w czerń na dole, rozpraszaną światłami latarni. Mój umysł odtwarza słowa policjanta. Jednak myśl, że Abart może wiedzieć, co stało się z Niną, a co więcej, może być odpowiedzialny za jej zniknięcie, nie pozwala mi odpuścić.

– Chyba nie zamierzasz dać się na to nabrać? – wtrąca Wiktor, który dotychczas przysłuchiwał się rozmowie z policjantem i najwyraźniej dostrzegł moje wahanie. – To glina, skuje cię z dziką przyjemnością, gdy tylko wejdiesz na strych.

– Zamknij się! – Roztrzęsiony, zaczynam słyszeć wszystko podwójnie.

Moja głowa pulsuje, a chłód nocy sprawia, że wpadam w dygot. Dlaczego wszyscy cały czas mówią mi, co mam robić? Zerkam w kierunku aspiranta Miłoszewskiego, który wychyla się z okna, jakby zamierzał wyjść na dach.

– Nawet o tym nie myśl! – krzyczę.

– Nie planuję się stąd ruszać. Sprawdzałem tylko, jak wysoko jesteśmy.

Cholernie wysoko, myślę. Funkcjonariusz zastyga z dłońmi w górze, wyraźnie nie chcąc mnie spłoszyć. Po jego twarzy przemyka ledwie dostrzegalny niepokój, jakby spodziewał się, że w każdej chwili mogę

runać w gęsty mrok. Mężczyzna przełyka ślinę i patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami, w których czai się strach.

– Wspaniałe uczucie, co? – woła Abart, który chwiejąc się, powoli podchodzi bliżej, po czym chwyta palcami krawędź komina, do którego przywarłem ciałem, i zagląda mi w oczy. – Mieć władzę nad życiem i śmiercią.

– Coś o tym wiesz, prawda? – pytam z przekąsem. – Może w końcu opowiesz, jak to jest z bliska patrzeć na czyjąś śmierć? Obiecałeś mi to.

Kąćki jego ust się unoszą.

– Cudownie – mówi. – Z niczym na świecie nie da się porównać doznań, których dostarcza obserwowanie kogoś, kto umiera. Jakby w tej krótkiej chwili kryła się cała tajemnica naszego istnienia. Zauważyłeś, że ludzie najbardziej kochają życie tuż przed śmiercią? Musiałeś zauważyć, przecież słyszałeś, jak błagała o pomoc.

Jego słowa przyprawiają mnie o dreszcze. Kulę się w sobie, z każdą sekundą mając coraz większą ochotę, by zrobić mu krzywdę. Wyciągam rękę, chcąc go pochwycić i ścisnąć z całej siły, ale uchyla się ze śmiechem, a ja prawie tracę równowagę.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – syczę przez zęby, na powrót łapiąc się komina.

– Masz, ale jeszcze tego do siebie nie dopuszczasz. Przypomnę ci. – Uśmiecha się w sposób, od którego robi mi się zimno, po czym zaczyna wspominać: – Przyjechałem do domu tylko na chwilę. Ona akurat stała na pomoście. Płakała. Tamtego dnia postanowiła, że to koniec. Chciała mnie zostawić, bo według niej niszczyłem naszą rodzinę i dzieci, którymi się opiekowaliśmy. – Prycha.

Obserwuję jego gesty i mimikę, dostrzegając w nich jedynie arogancję. Bliskość tego człowieka budzi we mnie obrzydzenie. Wyginam usta z odrazą, w myślach rozważając, że gdybym mocno przytrzymał się prawą ręką, lewą mógłbym go popchnąć.

– Godziła się na to tak długo i nagle jej odbiło – ciągnie. – Wprawdzie już od jakiegoś czasu przebąkiwała, że się zmieniłem, nie jestem sobą, a moje metody ją niepokoją, ale potrafiłem ją przekonać, że robię to wszystko w dobrej wierze. – Uśmiecha się szelmowsko. – Zresztą poza mną i starą, schorowaną matką nie miała nikogo. Uzależniłem ją od

siebie, pewien, że nigdy nie odejdzie, ale myliłem się, a ona pewnego dnia uznała, że więcej nie zniesie.

Spogląda w dal ze smutkiem, jakby decyzja żony o rozstaniu nadal go uwierała.

– Dziwisz się? – pytam.

Wiktor mruży oczy i patrzy na mnie jak na kogoś, kto jeszcze niewiele wie o życiu. Dzieli nas jakiś metr, a ja mimo tej odległości czuję jego wyraźną niechęć do mnie. Przypominając sobie, że mam do czynienia z człowiekiem nieobliczalnym, odsuwam się delikatnie, ale on zdaje się tego nie dostrzegać.

– To mnie zabolalo, wiesz? – kontynuuje. – Byłem przekonany, że rozumie, dlaczego tak wiele od nich wymagam. Nagle wydała mi się słaba i żałosna. Zasługująca na tę samą pogardę, co one. – Krzywi się ze wstrętem. – Powiedziała, że musi się uwolnić, by móc wreszcie decydować o swoim losie.

– I co się stało?

– Pomogłem jej się uwolnić. Od wszystkiego. – Śmieje się w sposób, który wywołuje ciarki.

Spoglądam za siebie, mając nadzieję, że nie jestem jedyną osobą, która słucha wyznań tego szaleńca, ale aspirant Miłoszewski, którego głowę zauważam w oknie dachowym, jest zajęty rozmową telefoniczną.

– Co zrobiłeś?! – przyciskam Abarta.

– Odwróciłem się, by odejść, a kiedy spojrzała na jezioro, popchnąłem ją – wspomina niemal z rozmarzeniem. – Ewa wpadła w panikę, wymachiwała rękami i błagała, bym ją stamtąd wyciągnął, raz po raz nabierając ustami wody, ale ja tylko patrzyłem.

Oczy zachodzą mi mgłą. Prawa ręka drży już tak bardzo, że nie jestem w stanie dłużej obejmować nią komina, i zaczynam się chwiać.

– Jak śmiesz?! – wykrztuszam przez ściśnięte gardło. – Dlaczego się nade mną znęcasz? Przeczytałeś moją książkę, tak? Stąd wiesz, że moja pierwsza żona, Ewa, utonęła w jeziorze za domem? Kim ty, do licha, jesteś?

– Tobą, Tomaszu – odpowiada, a ja patrzę na niego jak na człowieka, który stracił rozum.



Po słowach Abarta czuję, jakby w moich trzewiach wybuchł granat. Ból rozlewa się od brzucha do wszystkich kończyn, a później eksploduje w głowie. Nie rozumiem, dlaczego tak bardzo dudni mi w skroniach. Przecież to, co powiedział, nie ma sensu.

– Oszalałeś! – krzyczę.

– Czyżby? A może jestem tą częścią ciebie, której istnienie odrzucasz? Twoim cieniem. Tym wszystkim, co w sobie tłumisz i do czego nie przyznajesz się nawet sam przed sobą, bo nie jest to zgodne z obrazem mężczyzny, za którego chcesz uchodzić?

Wbija we mnie prowokacyjne spojrzenie, jakby prosił się o to, bym mu przyłożył. Zaciskam palce na kominie, byle tylko nie dać się podpuścić.

– Jesteś obłąkany – stwierdzam z przerażeniem.

– Jeśli tak, to obaj jesteśmy. – Śmieje się. – W obawie przed odrzuceniem zdusiłeś wszystkie swoje brzydkie pragnienia i popędy. To, co uznałeś za złe i obrzydliwe, zepchnąłeś do piwnicy świadomości, dając początek mojemu istnieniu. Jestem tym, czego w sobie nie akceptujesz.

Prycham, z niedowierzaniem kręcąc głową. Ten człowiek naprawdę wierzy w to, co mówi.

– Żałuję, że dałem się w to wszystko wciągnąć, powinienem był od razu wysłać cię do najbliższego szpitala psychiatrycznego.

– Mogłeś, ale w głębi duszy czułeś, że jestem ci potrzebny.

Palce znów mnie świerzbią, a samozadowolenie na jego twarzy rozjusza. W oddali na niebie dostrzegam światła nadlatującego helikoptera. Wiatr niesie furkot śmigieł tnących powietrze, a ja zaczynam żałować, że wyszedłem na ten cholerny dach.

– To tylko twoje urojenia. – Wracam do rozmowy. – Wszystko ci się pomieszało. Nazywasz się Wiktor Abart, masz niewiele ponad trzydzieści lat i z jakichś chorych powodów dręczyłeś psychicznie swoje dzieci. To nie ma nic wspólnego ze mną.

Obserwuję, jak razem ze słowami z moich ust wypadają krople śliny.

– Ależ ma! – Uderza płaską dłonią w komin. – Wymyśliłeś mnie jako młodego, aroganckiego mężczyznę, bo dzięki temu łatwiej było ci zaakceptować, że nie przestrzegam żadnych reguł, niczego sobie nie odmawiam i robię to, na co mam ochotę. Pragnąłbyś być taki, ale sobie na to nie pozwalasz.

– Taki jak ty? Nigdy w życiu.

Unoszę wzrok, gdy nieopodal przelatuje żółto-czerwony śmigłowiec, omiatający nas wiązką światła.

– Nie zastanawia cię, skąd znam przebieg twojego ostatniego wieczoru z Niną? – dąży Wiktor. – A do tego pamiętam jej słowa?

Podchodzi na tyle blisko, że czuję cierpki zapach jego potu.

– Zatrzymaj się. – Powstrzymuję go gestem dłoni. – Jesteś nieobliczalny, mogłeś nas śledzić albo nawet wdrzeć się do naszego apartamentu.

– Sprytne, ale nie. Dobrze wiesz, że jest tylko jedno wytłumaczenie.

Protestuję, potrząsając głową. W dole dostrzegam migoczące światła nadjeżdżających radiowozów policyjnych. Na myśl o tym, że oczy wszystkich skierowane są teraz na mnie, zaczynam się trząść.

– Przez lata trzymałeś mnie na uwieczni – kontynuuje Abart, patrząc mi prosto w oczy. – Chciałeś zadowolić ojca, być idealny, ale kiedy powiedziałeś mu, że zamierzacie przyjąć dzieci, a on wykrzyczał ci, że jesteś nikim i te dzieci staną się takimi samymi miernotami jak ty, coś w tobie pękło. Szczelne grodzie w twojej głowie zaczęły puszczać, a wtedy to, co tłumione, wypłynęło na wierzch. Wszedłem z lochów i przejąłem kontrolę.

– To niemożliwe, pamiętałbym – bronię się przed tym szaleństwem.

Szukam wzrokiem drogi ucieczki, ale jestem za bardzo roztrzęsiony, a dach zbyt stromy, by udało mi się bezpiecznie wrócić na strych.

– Prędzej byś umarł, niż przyznał się do tego, co robiłeś tym dzieciom – mówi Wiktor. – Ludzka psychika to zabawne narzędzie, za wszelką cenę usiłuje nas ochronić i czasem owija mgłą zapomnienia to, co wydaje się nie do udźwignięcia. Tak jak potworne psychiczne tortury, które stosowałeś na dzieciach, albo ten moment, gdy wepchnąłeś Ewę do jeziora. Musiałeś wymazać z pamięci czas, gdy zawładnęła tobą twoja mroczna strona.

Kładzie na moim nadgarstku swoje zimne, szczupłe palce, jakby zamierzał zrobić mi krzywdę. W przestkach zabieram rękę. Robi mi się niedobrze. Rozglądam się niespokojnie, czując narastające zawroty głowy, gdy z okna w dachu niespodziewanie pada na nas snop światła. Zerkam w jego stronę, osłaniając dłonią oczy. Do moich uszu sączy się opowieść Wiktora i nagle nie stoję już na śliskich dachówkach, ale pod łukowatym sklepieniem zdobiącym wejście do uniwersytetu w Olsztynie.

✱

Nie rozumiem, co się dzieje. Patrzę panicznie wokół, próbując odnaleźć w tym sens.

Wszystko wydaje się zamglone jak we śnie. Kadry przesuwają się niczym sceny filmu, na którym ktoś, kto wygląda jak ja, przeszukuje nerwowo skórzaną aktówkę na dokumenty, a potem klnie pod nosem, biegnie do samochodu i w pośpiechu odpala silnik. Droga ucieka spod kół, za oknami rozmazują się pejzaże, gdy wreszcie samochód się zatrzymuje. Nogi tego innego mnie, na którego spoglądam, deptają spękany betonowy chodnik, a później zamiast do domu kierują się do zagajnika. Liście wierzby i brzozy szeleszczą.

Na końcu drewnianego pomostu, obejmując ramionami ciało, siedzi kobieta. Jezioro spowija gęsta i lepka mgła, zza której wyłaniają się rozmyte kontury drzew. Kobieta nabiera tchu i drży. Mleczny widok tonie w ciszy. Niebo zasnuwają gęste, szare chmury przypominające kłęby dymu. Kobieta chowa niesforne pasmo włosów za ucho, a później zatrzymuje wzrok na czarnej toni jeziora tuż przy pomoście. Zwilża językiem spierzchnięte wargi, po czym przymyka na moment powieki, a jej paznokcie wbijają się głęboko w ramiona.

Stopy mężczyzny przedzierają się przez wysokie trawy, nadeptując leśne gałązki. Kobieta wzdryga się i powoli odwraca głowę. W jej ogromnych, przerażonych źrenicach odbija się nie człowiek, lecz potwór. Ramiona mężczyzny popychają kobietę. Bo jeśli ona zniknie, bestia

w jej oczach również przestanie istnieć. Coś upada i uderza o deski pomostu jak garść rzuconych kamieni.

Po wszystkim nastaje cisza. Mężczyzna zaciska powieki. Mgła już nie kłuje w nozdrza, lecz jedynie łaskocze. Nasłuchuje szmeru własnego oddechu. Wreszcie otwiera oczy, spogląda na gładką taflę jeziora, później zaś na pogrążony w bezruchu dom. W jego wnętrzu rozlewa się łagodne ciepło.

Zabiera z garażu papierową teczkę i odjeżdża. Spokojny jak nigdy dotąd.

Kadr blednie, rozmywa się i jaśnieje, aż w końcu razi w oczy, by wreszcie stać się światłem policyjnej lampy.

✱

Znów jestem na dachu, z przedramieniem uniesionym na wysokość twarzy. Mrugam zdezorientowany, po czym spoglądam wokół bezradnie, jak ktoś, kto zabłądził w labiryncie i nie ma pojęcia, w którą stronę powinien się udać, bo każda z dotychczas obranych dróg okazała się niewłaściwa. Kiedy mój wzrok napotyka Abarta, kręcę głową z rozczarowaniem.

– Zobaczyłeś to, prawda? Kiedy mówiłem, zamknąłeś oczy i wyobrażałeś sobie, jak to mogło wyglądać, czyż nie?

– Zamknij się! – ucinam. – Nie wmówisz mi niczego. Kochałem Ewę. Wiedziałbym, gdybym to zrobił. Takich rzeczy się nie zapomina.

Wiktor patrzy na mnie z litością.

– Mylisz się, dlatego że czasem umysł tworzy fałszywą rzeczywistość, by chronić nas przed cierpieniem. Zakrywa to, co jest nie do zniesienia, by strzec nas przed koszmarem, którego nie sposób sobie nawet wyobrazić. To dlatego wsiadłeś do samochodu, jakby nic się nie wydarzyło, i bez trudu wygłosiłeś na uczelni referat. Gdy spojrząłeś w oczy bestii, którą nosisz pod skórą, przeraziłeś się. Potwór znów został zepchnięty do lochów, a ty stałeś się dawnym sobą, usunąłeś z pamięci zło, którego dopuszczała się twoja mroczna część. Psychologowie nazywają to wyparciem albo amnezją dysocjacyjną.

Oponuję, potrząsając głową.

– Kłamiesz – odpowiadam. – Tamtego dnia nie było mnie w domu. Znalazłem Ewę dopiero po powrocie z pracy. Policja wszystko sprawdziła.

Wiktor parska i zerka na mnie z politowaniem.

– Z powodu konferencji na uczelni panował zamęt – tłumaczy. – Wyszedłeś tylko po teczkę. A że uniwersytet dzieliło od waszego domu raptem jakieś dwadzieścia minut, wróciłeś, nim ktokolwiek zdołał zauważyć twoją nieobecność, i wygłosiłeś porywający referat. To dało ci alibi. – Dźga moją pierś palcem. – Sprytnie, nie powiem.

Napinam mięśnie, coraz bardziej rozszerzony. Wbijam zęby we wnętrze policzka i z nienawiścią patrzę na Abarta, którego pyszałkowatość mnie odrzuca. Jego wątpliwa teoryjka nie ma nic wspólnego z logiką, co właśnie zamierzam udowodnić.

– Co w takim razie stało się z dziećmi, nad którymi rzekomo się znęcałem? Nawet jeśli wyparłem ich istnienie, to przecież nie rozplynęły się w powietrzu – oznajmiam, wymachując ręką.

– Ewa zawiozła je do matki. Powiedziała, że przyjedzie po nie wieczorem, gdy już załatwi swoje sprawy. Chciała zaczekać w domu, aż wrócisz, i rozstać się z tobą bez świadków. Nikomu na zewnątrz nie mówiła o tym, kim się stałeś, ani że planuje odejść. Może wstydziła się tego, że przez dwa lata pozwalała ci niszczyć te dzieci, a może aż tak cię kochała? Ona zawsze była strasznie uległa, nie uważasz? – Nachyla się konfidencko.

– Dosyć! – syczę i unoszę dłoń z wyciągniętym palcem, jakbym groził Wiktorowi.

On jednak nie sprawia wrażenia przejętego i snuje dalej swoją opowieść:

– Po jej śmierci rozpadłeś się na milion kawałków. Całkowicie straciłeś kontakt ze światem. Trwałeś w apatii, zamknięty w domu, upijając się do nieprzytomności. – Wzrusza ramionami, jakby chciał powiedzieć „taka prawda”. – Dlatego nie zobaczyłeś już dzieci. Zamroczony podpisywałeś dokumenty, które twój ojciec i pracownicy powiatowego centrum pomocy rodzinie podsuwali ci pod nos. Na ich podstawie dzieci



wróciły do placówek, a ty uciekłeś do stolicy i twoje dawne życie przestało istnieć.

Palce, które wbijam w komin, zaczynają mrowić. Wydaje się, że jeśli mocniej je zacisnę, cegły popękają z trzaskiem.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo – warczę.

– A powinienesz.

Arogancki wyraz twarzy Abarta doprowadza mnie do pasji. Rzucam się mu do gardła, zapominając o tym, że nie wolno mi puszczać komina. Sekunda roztargnienia wystarcza, by stracić równowagę. W panice chwytam Wiktora za koszulę. Czuję, jak moje ciało się chwieje, a stopy zaczynają tańczyć na metalowych dachówkach jak na lodzie. Upadam i sunę w dół po stromym dachu. Sparaliżowany strachem, nie jestem w stanie nawet krzyknąć. W irracjonalnym odruchu zamykam oczy, jakby to miało uchronić mnie przed bólem zderzenia z ziemią. Mam wrażenie, że spadam całą wieczność, choć zapewne trwa to zaledwie ułamek sekundy. Napinam wszystkie mięśnie, chcąc opóźnić tę straszną chwilę, i po raz pierwszy od lat w myślach wzywam imienia Boga, o którym zdążyłem już zapomnieć.

✱

Słyszę huk, po którym moich uszu dobiega przyprawiający o ból zębów zgrzyt i trzask metalu. Trwam w bezruchu, leżąc na plecach, a ciało przenika lodowate zimno. Wszystkie mięśnie drżą i choć bardzo się staram, nie potrafię nad nimi zapanować. Wreszcie mimo paraliżującego lęku powoli unoszę powieki.

Znajduję się na tym samym dachu, ale znacznie niżej, ze stopami opartymi o metalowy płotek służący do zatrzymywania śniegu. Tylko dzięki niemu nie runąłem w dół. Przez chwilę patrzę w rozgwieżdżone niebo, ciesząc się swoim oddechem, gdy nagle odzywa się zniechęcony, zachrypnięty głos:

– Mieliśmy farta, co?

Obracam głowę, natrafiając spojrzeniem na spokojne oblicze Wiktora. Jego widok sprawia, że mam ochotę gryźć, ale wiem, że nie wolno mi

nawet drgnąć. W dole przesuwają się drobne postaci w piaskowych kombinezonach i czerwonych hełmach. Przenoszą coś, co przypomina wielką poduszkę z narysowaną na górze tarczą strzelecką. Na samą myśl, że miałbym na nią skoczyć, miękną pode mną nogi. Spoglądam na jadące drogą samochody i niknącą w nocy połać Modrzewiówki. W tym wszystkim, co mówił Wiktor, jedna rzecz nie daje mi spokoju.

– Jeśli po śmierci Ewy wyparłem cię z pamięci, to dlaczego wróciłeś po szesnastu latach? – pytam.

Uśmiech, który wykwita na twarzy Abarta, zdaje się wręcz prosić, by ktoś go stamtąd starł.

– Z powodu dziecka. Tamtej nocy w barze dowiedziałeś się, że zostaniesz ojcem. Zaczęły się w tobie budzić dawne, trudne do zatrzymania emocje, a ja mogłem wypełznąć z mroku.

Patrzę na jego kamienne oblicze, przygryzając wargę. Wciąż nie wierzę, by była to prawda. Ten człowiek jest psychopata. To jedyne racjonalne wytłumaczenie.

– Panie Engel, proszę się nie ruszać! – Z zamyślenia wyrywa mnie głos strażaka, który wygląda z okna w dachu.

Po tym, jak napinają się mięśnie jego twarzy, wnioskuję, że boi się równie mocno jak ja. Sięga po krótkofalówkę i wykrzykuje do niej jakieś słowa, które giną porywane przez wiatr. Tuż obok niego dostrzegam bladą Łucję Serafin, przyciskającą do ust dłoń zwiniętą w pięść. W dole migają niebieskie światła karetek i wozów strażackich, obok których, za rozciągniętą taśmą, zdążyli się już zgromadzić gapie. Czy jest wśród nich Nina? Nie sądzę. Zwieram szczęki, by zdusić w sobie napływającą falę żalu. Przed oczyma stają mi szkice Abarta, na których rozpoznałem żonę, i znów wraca to przeczucie, graniczące z pewnością, że Wiktor zna odpowiedź na dręczące mnie pytanie.

– Gdzie jest Nina? – wołam.

Wzrusza ramionami, jakby to wszystko było zabawą.

– Sam chciałbym zrozumieć, co się z nią stało. A może po prostu cię przejrzała i odeszła? Nie przyszło ci to do głowy?

– Moja żona nigdy by mnie nie opuściła.

– Ciebie nie, ale mnie tak, a tamtej nocy na nowo powołałeś mnie do życia.

Zapada między nami kłująca cisza. Wóz strażacki z podnośnikiem hydraulicznym ustawia się tyłem do budynku, po czym do kosza wchodzi dwie osoby w czerwonych hełmach z latarkami i powoli zaczynają jechać do góry. Wprawdzie strażacy na dole odganiają ciekawskich obserwatorów, jednak jestem pewien, że filmiki nagrane telefonami wkrótce i tak trafią do sieci. Przeklinam pod nosem, a moje słowa natychmiast rozplywają się w nocy. Mężczyźni w piaskowych kombinezonach dosuwają do ściany hotelu skokochron, a oczy wszystkich zwrócone są na mnie. Stres sprawia, że zaczynam się chwiać. Niemal słyszę, jak tłum wstrzymuje oddech, a z ust co niektórych wyrywa się jęk przerażenia.

Kiedy podnośnik kosza hydraulicznego jest już blisko, w jego wnętrzu obok strażaka dostrzegam aspiranta Miłoszewskiego. Obaj mają na sobie uprząże i są przypięci linami do kosza.

– Panie Engel, jestem tu, by panu pomóc – mówi policjant. – Wyciągniemy pana.

Wiem, że powinienem mu zaufać. Ostrożnie wysuwam palce w stronę mężczyzny, ale wtedy mój wzrok natrafia na kpiący wyraz twarzy Wiktora i zmieniam zdanie. To moja jedyna okazja, by zmusić go, aby przyznał się przy świadkach przynajmniej do zabójstwa Ewy.

Spoglądam porozumiewawczo na aspiranta Miłoszewskiego, po czym zwracam się do Abarta:

– Żałujesz tego, że zepchnąłeś Ewę z pomostu i pozwoliłeś jej umrzeć?

– Ja nigdy niczego nie żałuję – odpowiada z dumą. – Gdybym mógł cofnąć czas, z przyjemnością zrobiłbym to ponownie. Możliwość odebrania życia to najwyższa forma władzy.

W napięciu zerkam na funkcjonariusza, mając nadzieję, że dociera do niego każde słowo. Oczekuję, że to skomentuje, zapyta mnie, kim jest ten człowiek, ale on tylko dziwnie popatruje to na mnie, to na Wiktora.

– Niepotrzebnie się wysilasz – dodaje Abart. – Jestem wytworem twojej wyobraźni, nikt poza tobą mnie nie widzi ani nie słyszy. To tylko halucynacje. W pewnym sensie poza tobą nie istnieję.

– Nie dam się na to nabrać.

– A nie zastanowiło cię, dlaczego wszyscy chcą ściągnąć z tego dachu tylko ciebie?

Jego słowa są jak silne uderzenie w tył głowy. To nie może być prawda, myślę, spazmatycznie nabierając tchu.

– Dość tego – wypalam, po czym wpatrując się w skonsternowaną twarz aspiranta Miłoszewskiego, oznajmiam: – Ten mężczyzna nazywa się Wiktor Abart, przyznał się do zabicia mojej żony, Ewy Engel. Musicie go zatrzymać.

– Jaki mężczyzna? – Funkcjonariusz zerka na towarzyszącego mu strażaka i obaj wzruszają ramionami.

– On! – Wskazuję Wiktora palcem, ale policjant z zakłopotaniem rozgląda się po dachu, jakby udawał, że go nie widzi.

Abart zaczyna się śmiać, a jego złośliwy chichot wwierca się w moją głowę niczym korkociąg.

– Przestań! – dopominam się, zatykając dłońmi uszy. – Masz natychmiast przestać, słyszysz?

Kiedy Wiktor ignoruje moje żądanie, tracę panowanie nad sobą, a zdrowy rozsądek przykrywa kurtyna wściekłości i rozżalenia.

– Panie Engel, niech pan się nie rusza! – prosi strażak, ale jego słowa nikną w chichocie Abarta.

Mam wrażenie, jakby czas się zatrzymał. Na policzkach czuję muśnięcie chłodnego wiatru. Coś przyniesie lub coś zabierze, powtarzam w myślach. Nie słyszę już aspiranta Miłoszewskiego ani towarzyszącego mu strażaka. W ich twarzach odbija się strach, a w ruchach można odczytać niepokój. Nad nami rozciąga się bezwstydnie piękne, rozgwieżdżone niebo. Pod takim niebem nie może stać się nic złego, tłumaczę sobie.

Drżąc, wyciągam rękę w stronę Wiktora. To będzie proste. Wystarczy jeden zdecydowany ruch, myślę. Pograżony w obłąkańczym śmiechu, nie zdąży nawet zareagować. Moje ciało dygocze, nogi gną się pod mną i gdy jestem już pewien, jak postąpię, dobiega mnie przejmujące wołanie. Wmawiam sobie, że to tylko złudzenie, omam słuchowy zdesperowanego człowieka, ale znajomy głos ponownie wykrzykuje moje imię. Spoglądam w dół, szukając twarzy Niny, lecz zanim zdążę wyłuskać ją z tłumu, tracę równowagę i zaczynam się przechylać.

Wszystkie dźwięki milkną. Przed oczyma miga mi nabrzmiała paniką twarz Miłoszewskiego, dostrzegam czyjeś ręce usiłujące mnie chwycić,

a później natrafiam na zdjęte grozą oblicze strażaka. Świat zdaje się obracać, a gwiazdy tańczyć na niebie. Wszystko szumi i pędzi. W dole połyskują kolorowe światełka – jak lampki na choince. Moje ciało nie reaguje już na żadne polecenia, sunąc w bezdenną ciemność. Chłód ogarnia każdą komórkę, mięśnie kurczą się ze strachu.

I gdy wiem, że nie zdołam zrobić już nic, by się uratować, zaciskam palce na ręce Abarta, którego zabieram ze sobą.



Z pamiętnika Niny:

*Marzec 2019 r.*

*Od chwili, gdy umówiliśmy się w restauracji Senses, myślałam tylko o tym, co zamówię, kiedy wreszcie zasiądziemy przy stoliku. Niewątpliwą zaletą bycia w ciąży jest bowiem niepohamowany apetyt oraz całkowita bezkarność w kwestii przyjmowanych kalorii. W końcu karmiłam dziecko, nie mogłam odmawiać sobie przyjemności. O Senses mówiono, że wizyta tam to doświadczenie, które na długo pozostaje w pamięci, dlatego gdy taksówka wypluła mnie pod oszklonym budynkiem przy Bielańskiej, nie mogłam przestać się uśmiechać.*

*Zdecydowanym krokiem weszłam do środka i pomachałam do przyjaciółki siedzącej przy jednym z okrągłych stołów nakrytych białym obrusem. Kelner przywitał mnie zapraszającym gestem, a później szarmancko odsunął krzesło.*

*– Pięknie tu – stwierdziłam. – Elegancko, ale bez zadęcia. Podobno zdobycie stolika graniczy z cudem, jak to zrobiłaś?*

*– Mam swoje sposoby.*

*Rozglądałam się po wnętrzu z ciekawością, zachwycając się potężnymi oknami, futurystycznym żyrandolem i obrazami na ścianach. Salę wypełniał przyjemny gwar rozmów, przerywany niekiedy spontanicznym wybuchem śmiechu albo pomrukiem podziwu dla wyglądu i smaku dania.*

– Dlaczego przy naszym stole stoi tyle krzeseł? – zapytałam, zauważywszy, że jest ich zdecydowanie za dużo.

– Po kolacji chciałabym ci kogoś przedstawić.

– Swojego męża?

– Nie.

Jej twarz napięła się, jakby moje pytania wywoływały w niej dyskomfort. Dostrzegłam, że gniecie w palcach serwetę z logo restauracji, unika mojego spojrzenia, a jej głos lekko zadrżał, kiedy rozmawialiśmy.

– Wszystko w porządku? Dobrze się czujesz? – zapytałam.

– Tak. Zamówmy, a później porozmawiamy. Obiecuję.

Zgodziłam się, choć nagle to miejsce stało się w moich oczach mniej wytworne, fotel niespodziewanie zaczął uwierać, a dźwięki dochodzące z sąsiednich stolików – drażnić. Tylko przystawki podane z wypiekanym na miejscu pieczywem łagodziły moje zdenerwowanie i powstrzymywały przed powrotem do dyskusji. Oscypek z pudrem z żurawiny smakował obłudnie, a menu degustacyjne składające się z sześciu niewielkich dań wyglądało zachwycająco.

Mimo wybornych smaków potraw żadna z nas nie potrafiła się nimi cieszyć. Jadłyśmy pospiesznie, jedynie omiatając siebie wzrokiem. Czas upływał w ciszy lub przy dźwiękach rozmowy grzęznącej jak samochód w gęstym błocie. Urok wspólnego wieczoru prysł, a jego miejsce zajęła niepewność.

W którymś momencie przyjaciółka odstawiła kieliszek z winem, po czym rzuciła mi przepaszające spojrzenie i zrozumiałam, że jest już gotowa.

– Mów – zachęciłam ją, czując, jak krew we mnie zastyga.

– Wszystko, co o mnie wiesz, jest prawdą. Poza jednym. Nasze spotkanie nie było przypadkowe. Zaplanowałam je w najdrobniejszych szczegółach, wiedząc, kim jesteś i o co pewnego dnia cię poproszę.

Kiwnęłam jedynie głową, by dać jej znak, że słyszałam, a moje serce zaczęło galopować w piersi.

*– Zbliżyłam się do ciebie, by zdobyć twoje zaufanie. Musiałam mieć pewność, że zechcesz przynajmniej wysłuchać tego, co za chwilę powiem, a może nawet mi uwierzysz.*

*– Więc cała ta przyjaźń to fikcja? – Do moich oczu napłynęły łzy.*

*– Nie. Ja... – Uciekła spojrzeniem w bok.*

*– Po prostu to powiedz.*

*– Początkowo udawałam sympatię, chciałam tylko osiągnąć swój cel, ale kiedy cię poznałam, odkryłam w tobie kobietę, którą naprawdę polubiłam.*

*– Tamte łzy też były udawane? – zapytałam, przypominając sobie, jak ścisnęła moją rękę i razem ze mną wzruszała się widokiem niemowląt.*

*– Tak – przyznała, opuszczając głowę.*

*Ogarnął mnie żal. Pragnęłam wstać od stołu i nigdy więcej nie oglądać tej kobiety, która podstępem wdarta się do mojego życia, bez skrępowań udając kogoś, kim nigdy nie była. Świadomość, że opowiadałam jej absolutnie o wszystkim, piekła mnie w gardle niedającą się przełknąć goryczą. Zamierałam domagać się odpowiedzi, zarzucić ją pretensjami, ale do naszego stołu podeszli dwaj mężczyźni w jasnych koszulach i młoda kobieta w sukience w kwiaty.*

*– Kim są ci ludzie? – zapytałam.*

*– Twoim ratunkiem – odparła, a po jej policzku potoczyła się łza.*

*\**

Pierwszym, co słyszę po odzyskaniu świadomości, jest miarowe pikanie i usypiający szum. Usiłuję podnieść ołowiane powieki, ale są zbyt ciężkie, by je dźwignąć. Suchość w ustach sprawia, że nie mogę wydobyć z siebie żadnego dźwięku ani nawet poruszyć wargami, jakby były zabetonowane. W powietrzu zaś unosi się zapach środków do dezynfekcji, który gryzie w nozdrza. Z jakiegoś powodu od szyi w dół nie czuję swojego ciała, jakby ono nie istniało. Ta myśl przejmuję mnie lękiem. Znów podejmuję walkę z powiekami, dzięki czemu wreszcie udaje mi się je lekko uchylić. Przez wąską szparę wdziera się kłujące

światło, a z moich oczu zaczynają lecieć łzy. Mrugam, broniąc się przed bólem, lecz nie kapituluję. Po kilku próbach w końcu udaje mi się otworzyć oczy na dłużej, ale na razie widzę jeszcze niewyraźnie. Wzrok powoli przyzwyczajają się do sztucznego oświetlenia, a po chwili z przymglonych plam zaczyna wyłaniać się coraz bardziej czytelny obraz.

Pierwszym, co zauważam, jest rama szpitalnego łóżka z białą pościelą. Z lękiem przenoszę spojrzenie w dół, a gdy odkrywam wybrzuszenia na kołdrze w miejscu, gdzie powinno być moje ciało, oddycham z ulgą. Przed sobą mam ścianę w kremowym kolorze, a po prawej stronie zakratowane okno z wyblakłą zasłonką. Pomieszczenie ma w sobie surowość i chłód, od których kurczę się w sobie. Próbuję odwrócić głowę, ale nawet najdrobniejszy ruch wywołuje bolesne dżganie w czaszce. Z moich ust wydobywa się ciche stęknienie, wzrok zaś śledzi długą świetlówkę na suficie i żółty zaciek na ścianie w rogu pokoju.

Prześlizgując się po otoczeniu spojrzenie natrafia na fragment kolorowego prostokąta przyklejonego do ściany. Obiekt znajduje się jednak poza polem mojego widzenia, a każda próba przesunięcia głowy choć o milimetr kończy się wrażeniem, jakby ostro zakończony ptasi dziób wbijał się w moje prawe oko. Czuję, że jestem bliski omdlenia. Z wysiłku czoło pokrywa się potem, a słone krople spływają na brwi i skronie, przyprowadzając o swędzenie skóry. Dlaczego moje ciało nie działa? – frustruję się. Napinam mięśnie, ale jedynymi, które wprawiam w ruch, są te wokół szczęki i na karku. Raz jeszcze próbuję wydobyć z siebie głos, lecz i to spełza na niczym. Wiszący na ścianie obrazek staje się moją obsesją. Nie mogąc znieść własnej bezsilności, zaciskam zęby, które trzeszczą, jakby miały się połamać, i z jękiem nieznacznie przesuwam głowę. To jednak wystarczy, bym mógł objąć spojrzeniem rodzinne zdjęcie przyklejone do ściany.

Fotografia została wykonana w Olsztynie, na tle naszego starego domu, który sprzedałem po śmierci żony. W kadrze znajduję się ja z Ewą i czwórką nieznanymi mi dziećmi. Wszyscy sprawiamy wrażenie lekko spiętych, widać to w zwartych w pięści dłoniach, nerwowych spojrzeniach, martwych jak u ryb oczach i ustach rozciągniętych do



sztucznych uśmiechów. Najstarsza na zdjęciu dziewczynka ma mlecznobiałe włosy, a stojący obok niej chłopiec podszczypuje ją w bok, przez co oboje zamiast w obiektyw patrzą na siebie. Ona z pretensją, on ze złośliwym uśmieszkiem i dołeczkami w policzkach. Młodszy chłopczyk trzyma większego za nogę, z przestraczem spoglądając na mnie, gdy tymczasem Ewa tuli drobną, płaczącą dziewczynkę, która wyrywa się z jej rąk.

Powtarzam sobie w myślach, że to tylko fotomontaż, ale z jakiegoś powodu coraz trudniej nabrać mi powietrza. W uszach rozlega się potwornie wysoki dźwięk, taki, od którego pękają bębny i trzaska szkło. Pocę się, lecz jestem uwięziony w swoim ciele i nic nie mogę zrobić. Pisk narasta, a wraz z nim w pokoju słychać coraz szybsze pikanie, które doprowadza mnie do obłędu. Zaczynam się dusić. Obraz przed oczyma traci barwy i ginie za mgłą. Nim całkowicie zniknie, spoglądam raz jeszcze na fotografię i jasnowłosą dziewczynkę, a potem zapadam się w nicość.

\*

Studnia bez dna, do której wpadam, składa się z zamazanych obrazów, jakbym oglądał je z rozpędzonej karuzeli. Widzę ojca, który uderza mnie w twarz. Plastikowe okulary lecą w powietrzu, a później z trzaskiem uderzają o komodę. Słyszę szkła chrzęszczące pod butami i słowo „nikt” wyskakujące z wykrzywionym wrzaskiem, tryskających śliną ust. Po chwili pejzaż się zmienia i do starego domu z drewna wchodzi dwie przestraszone dziewczynki. Ich ciała są wychudzone, a pod oczami rysują się fioletowe półksiężycy. Płacz tej mniejszej wwierca się w czaszkę. Dostrzegam dłoń, która przyciska jej usta tak mocno, że dziewczynka ze strachu przestaje płakać. Ta scena się powtarza, jak fragment melodii na zaciętej płycie. I gdy zaczyna mnie od niej mdlić, kadr znika, a w jego miejscu pojawia się inny.

Tym razem patrzę na dwóch chłopców. Uderza mnie obraz pleców z bliznami po gaszonych papierosach. Moje uszy rozdziera dziecięcy krzyk, który rozlega się, gdy w pokoju gaśnie światło. Drzę, lecz sen

pędzi dalej, przenosi mnie do łazienki, gdzie w zimnej wodzie dygocze malec o fioletowej skórze, do kuchni, w której dzieci jedzą zimny obiad rękoma, pod drzwiami, zza których słychać wrzask i psie ujadanie. Widzę krew na czyjejś twarzy, przy zdartych dziecięcych paznokciach i na drobnych rękach. Wszędzie czuję gryzący zapach krwi.

Karuzela przyspiesza i jestem już gdzie indziej. Kondukt żałobny niesie trumnę, nad którą unosi się płaczliwe zawodzenie. Z czyichś rąk na nierówną asfaltową drogę wypada bukiet białych kalii o duszącej woni. Dźwięki są niewyraźne, jakby dochodziły z głębin. Obraz chwieje się i przewraca, a potem znowu wstaje i wszystko jest jak dawniej, choć całkiem inaczej. Jest gruby ksiądz o błyszczącej twarzy, smak gorzkiej wódki w gardle, wymioty na przykościelnym trawniku i garście piachu spadającego z głuchym łoskotem na wieko trumny. A potem szloch, wilgotny dotyk ziemi przenikający pod garnitur, gluty zwisające z nosa i te dławiące w gardle.

I wreszcie jest ona. Jasnowłosa dziewczynka. Chcę, by kadr się zmienił, lecz sen zwalnia, jakby się ze mną droczył. Nagle wszystko staje się rażąco wyraźne. Chuda nastolatka nie patrzy na mnie, leżącego na świeżo usypanym grobie, lecz na moje buty. Schyla się i spomiędzy rowków w podeszwie wyłuskuje coś małego. Jestem przekonany, że to kamienie, chcę jej podziękować, ale twarz dziewczynki zamiera. W bladej dłoni o długich palcach trzyma dwa złote koraliki. Jej ręka zaczyna drżeć, a znalezisko upada na rozgrzebaną ziemię. Dźwigam się na kolana, w panice rozgarniam rękoma miękką czerń, jakby te koraliki nagle stały się sensem mojego życia. A kiedy natrafiam na drobną, okrągłą kulkę, przekazuję ją dziewczynce o zapadniętej twarzy, w której znajduję jedynie nienawiść.

Nim sen się rozwieje i stracę pewność, czy to wszystko kiedykolwiek się wydarzyło, z odmetów umysłu dobiega szept powtarzający to jedno imię, które doskonale znam. Imię dziewczynki.

Łucja.



Budzę się, zachłannie chwytając powietrze, jak człowiek, który zbyt długo przebywał pod powierzchnią wody i właśnie się wynurzył. Nadal czuję się bardzo słaby, jakby ktoś wyssał ze mnie całe życie, ale zauważam, że zdołałem unieść tułów, a w opuszkach palców wyczuwam pulsujące tętno. Z westchnieniem ulgi opadam na poduszkę, odganiając resztki snu, o którym usiłuję zapomnieć. Zdjęcie ze ściany znikło, jakby nigdy go tam nie było.

Leżę nieruchomo, ze wzrokiem utkwionym w suficie, obserwując muchę, która przysiada na rozgrzanej świetlówce i natychmiast stamtąd odlatuje. W nogach i ramionach czuję łaskoczące ciepło, jakby przepływał przez nie prąd. Wreszcie ściągam z siebie kołdrę i natychmiast moja mina rzednie. Prawą nogę, od uda aż po palce stopy, okala biały gips. Podobnie jest z lewym barkiem, który razem z ręką został usztywniony gipsową skorupą. Pukam palcami w pancerz, wsłuchując się w głuchy łoskot, do którego dołącza rytmiczne uderzanie z korytarza.

Nagle w zamku zgrzyta klucz, klamka drga, a potem uchylają się drzwi, lecz nie dostrzegam nikogo, a jedynie wytarte zielone linoleum. Słyszę jednak szorstki męski głos:

– Ma pani kwadrans – informuje, a po nim do środka wchodzi postać, na której widok wszystko, co dotychczas napięte, rozluźnia się we mnie.

Moje spojrzenie natychmiast się rozjaśnia, a kąciki ust ledwie zauważalnie drgają.

– Nina! – wyrywa się z wysuszonego gardła.

Na powrót zamykam i otwieram oczy, obawiając się, że tylko ją sobie wyobraziłem i zaraz rozwieje się niczym dym, ale ona nie znika. To tak surrealistyczne i zaskakujące, że wzruszenie zaczyna szczypać mnie pod powiekami. Nina sprawia wrażenie przejętej. Nerwowo poprawia potargane włosy, jej ręce drżą, a twarz wydaje się bledsza niż zazwyczaj. Ma na sobie džinsy i luźny sweter, który dostała ode mnie na ostatnie święta. Omiatam spojrzeniem jej brzuch, zastanawiając się, czy to wszystko, co wydarzyło się w hotelu, było prawdą, czy może tylko długim, niepokojącym majakiem. Może nigdy nie trafiliśmy do Wichrowych Wzgórz, a jedynie do szpitala po nieoczekiwanym zderzeniu z sarną.

– Spadłeś z dachu – tłumaczy, dostrzegając moją dezorientację. – Jakimś cudem udało ci się trafić w skokochron. Pękła ci śledziona, masz też złamaną kość udową, pogruchofaną piszczel i bark, ale żyjesz.

Jej głos jest zimny jak stal. W lustrze na ścianie za plecami Niny dostrzegam nasze odbicie. Obraz mężczyzny uwięzionego w szpitalnym łóżku i kobiety splatającej ramiona na piersi. Dzieli nas dystans kilku kroków, lecz z jakiegoś powodu mam wrażenie, jakby pomiędzy nami rozciągała się nieskończona przepaść. Dlaczego ona do mnie nie podchodzi? Nie rzuca się mi na szyję?

Twarz mojej żony wydaje się martwa, usta zacięte, a wzrok pociemniały.

– Kochanie – mówię, wyciągając do niej dłoń, lecz Nina nie rusza się z miejsca, jakby jej stopy były przyklejone do podłogi.

Zaczynam się martwić, że może coś jej zrobili lub, co gorsza, straciła dziecko. Drapiące poczucie winy rozlewa się w moim gardle, a palce zaciskają się na poszewce.

– Czy oni... – Urywam, szukając odpowiednich słów. – Czy ktoś cię skrzywdził?

Moja żona wzdycha, podciągając rękawy swetra.

– Nie – szepcze.

Przypominam sobie o Abarcie, o serwetkach, na których rysował Ninę, i nagle jestem już pewien.

– To Wiktor Abart, prawda? Był z nimi w zмовie. Przekupił nawet policję. – Kręcę głową z niedowierzaniem. – To on cię uprowadził tamtej nocy, a później bawił się mną, czerpiąc z tego chorą przyjemność.

Nina odwraca spojrzenie, w zamyśleniu pocierając wargi, a po chwili mówi:

– Wiktor Abart nie istnieje.

Jej słowa spadają na mnie jak lawina.

– Nie, to nieprawda – bronię się. – Wielokrotnie rozmawiałem z nim w hotelu.

– Nikt taki nie mieszkał w Wichrowych Wzgórzach.

– Być może zameldował się pod innym nazwiskiem, ale zapewniam cię, że tam był. Ten psychopata wiedział o nas wszystko. To on wyszedł

ze mną na dach, ale tylko udawał, że chce cię odnaleźć. Ukartował to od początku. – W moim głosie pobrzmiwa desperacja.

Chcę, by mi uwierzyła. Wpatruję się w nią błagalnie, lecz zamiast zrozumienia odnajduję jedynie chłód. Nina podchodzi bliżej, milcząc, przysiada na łóżku, ale gdy próbuję jej dotknąć, odsuwa się ze wstrętem. Niczego nie rozumiem. Nie wiem, czy to nadal moja żona, czy ktoś zupełnie obcy. Zagląda mi w oczy, jakby w nich kogoś szukała.

– Wiktor Abart to ty – mówi tonem tak pewnym i spokojnym, że tracę oddech.

Zginam się wpół, charcząc, jakbym otrzymał cios w brzuch.

– Nie – wyrzucam z siebie z trudem, a wtedy Nina wyjmuje z torebki telefon i bez słowa komentarza odpala filmik, najpierw jeden, a później kolejne.

Oglądam je w ciszy, trzymając dłoń na klatce piersiowej, która zdaje się zapadać do środka. Na jednym z nich widnieje kadr z baru. Nalewam sobie do szklanki whiskey i gestykulując, mówię do pustego fotela po drugiej stronie stołu. W którymś momencie wstaję, przenoszę rzeczy na inne miejsce, a później sekwencja zdarzeń się powtarza i znów rozmawiam z powietrzem. Przełykam ślinę, nie mogąc uwierzyć w to, co widzę. Dyskutuję z niewidzialnym kompanem, krzyczę na niego, zatykam uszy dłońmi, a w końcu zrywam się z miejsca i wybiegam z pomieszczenia.

– Zmontowali to tak, byś im uwierzyła – mamroczę, przekonany o swojej słuszności.

– To również?

Uruchamia filmik, na którym widać, jak uderzam w twarz menadżerkę hotelu i rzucam nią o metalową szafę na dokumenty. Odwracam wzrok.

– To nie tak... ja... To wszystko oni... – bełkoczę.

– Jacy oni?

– Abart, Serafin, Hańcza... – wymieniam. – Oni wszyscy są zamieszani w twoje zniknięcie.

Nina przecząco potrząsa głową.

– Nigdy nie zniknęłam – rzuca, a ja mam wrażenie, że trzęsie się pode mną ziemia. – Ukryłam się na trzy dni. Taka była umowa.

– O czym ty mówisz?

– Tamtej nocy przekupiony barman dosypał ci do alkoholu środek nasenny – wyjaśnia, wpatrując się w dal. – Kiedy wróciłeś do apartamentu i odpłynąłeś, zebrałam wszystkie swoje rzeczy i uciekłam.

– Ale... – Głos więźnie mi w gardle.

– Musiałam to zrobić tak, by nikt mnie nie zauważył. Wiedzieć mogli tylko ludzie biorący udział w zмовie. – Prześlizguje się po mnie lodowatym wzrokiem. – Łucja, Mariusz, Filip i Kalina – starannie wymawia każde imię. – A tak naprawdę Łucja, Paweł, Kuba i Iga. To dzieci, które szesnaście lat temu, po śmierci Ewy, odebrał ci sąd.

W pokoju robi się duszno, jakby ktoś odkręcił kaloryfer.

– Nigdy nie miałem żadnych dzieci!

Moja żona uśmiecha się blado.

– Ja też na początku nie chciałam im wierzyć. – Nabiera tchu. – Gdyby nie przypadkowe spotkanie z Pawłem w taksówce, pewnie nigdy nie dowiedziałabym się o ich istnieniu. Łucja Serafin nie zaczęłaby przyjeżdżać do Warszawy i nie doszłoby do spotkania, na którym poznałam pozostałą trójkę. A co najważniejsze, nigdy nie powstałby plan.

– Jaki plan, do cholery? – Unoszę się.

Nina wstaje z łóżka i podchodzi do okna, gdzie przysiada na parapecie.

– Zobacz, to były tylko dwa lata, a ty zniszczyłeś ich na całe życie. – Przygryza wargę. – Wiesz, że Paweł nigdy nie przestał bać się psów? Problemy zaczął rozwiązywać pięściami. Spędził rok w więzieniu, a kiedy wyszedł, myślał tylko o tym, że stał się taki przez ciebie. Po naszym spotkaniu w taksówce obiecał sobie, że zrobi wszystko, by uratować mnie i dziecko przed horrorem, jaki wcześniej zgotowałeś im.

Zaciskam pięści i dobitnie powtarzam:

– Przysięgam, że nie znam tych ludzi. Nie wiem, o czym mówisz.

– Znasz, to wróci. Możemy zapomnieć o przeszłości, ale ona nigdy nie zapomina o nas – mówi spokojnie Nina, patrząc na mnie ze smutkiem. – Kuba, choć dla ciebie Filip Hańcza, nigdy nie ujarzmił lęków, które zrodziły się na twoim strychu. Pamiętasz, jak zdzierał paznokcie do krwi i błagał, byś go wypuścił? – pyta, a gdy w panice potrząsam głową,

dodaje: – Przez wiele kolejnych lat zagłuszał strach alkoholem i narkotykami... – Przygryza wargę, mrugając intensywnie, jakby chciała przegonić napływające łzy. – Kalina, która naprawdę ma na imię Iga, wyszła z tego najmniej poturbowana. O ile można tak powiedzieć. Z dzieciństwa niczego nie pamięta. Było jej ciebie żal. Dlatego poszła pod twoje drzwi z wiadomością.

Uchylam usta, niezdolny do wypowiedzenia jakiegokolwiek słowa.

– I wreszcie Łucja. – Nina uśmiecha się. – Poznałyśmy się na jodze. Ona jedyna z całej czwórki sobie poradziła, nowa rodzina zastępcza pomogła jej się wykształcić. Wyjechała na studia do Niemiec, a potem wróciła do Polski i zajęła się prowadzeniem najpierw pensjonatów, a następnie hoteli. Poznała Macieja, który później wybudował Wichrowe Wzgórza i uczynił swoją żoną osobą zarządzającą. Życie jak z bajki, prawda?

– Kochanie, przecież mnie znasz. Ja nigdy...

– Daj mi dokończyć – żąda. – To Łucja obmyśliła plan. Na pogrzebie Ewy zrozumiała, że odpowiadasz za jej śmierć, i chciała tego dowieść.

Przed oczyma staje mi kadr ze snu, ze mną i jasnowłosą dziewczynką na cmentarzu, która trzyma w dłoni złoty koralik, a później przypominam sobie naszyjnik, który zerwałem Serafin podczas naszej szarpaniny. W żywicy zatopiony był identyczny paciorek jak ten ze snu. Ściany pokoju zaczynają się zwężać, czuję mdłości podpełzające do gardła, a moje ciało obejmuje bolesny skurcz.

– To niemożliwe – szepczę, mając wrażenie, jakby przez gardło przechodziły nie słowa, lecz żyletki.

Nina opiera jedną stopę o parapet i przytula do siebie kolano.

– Poprosili mnie o trzy dni, obiecując, że nie stanie ci się żadna krzywda. Trzy dni za pewność, że mój mąż nie jest sadystą, a ja urodzę dziecko mężczyźnie, który zapewni nam bezpieczeństwo, to niewiele, prawda? – Spogląda na mnie chłodno. – Miałam zniknąć, by mogli wyrzucić na tobie presję, ujawnić potwora, którym jesteś, i zmusić cię do wyznania prawdy.

– Nie jestem potworem! – warczę przez zęby.

– Jesteś. Teraz już to wiem – odpowiada z gniewem, lecz również ze smutkiem. – Ale wtedy wierzyłam jeszcze, że to wszystko okaże się

kłamstwem. Dlatego w chwili słabości zadzwoniłam z apartamentu Góreckiego.

– On też był w to zamieszany?

Nina kiwa głową.

– To on odkrył, że żyje w tobie druga, wyparta osobowość, która w każdej chwili może przejąć kontrolę. Zaczęliśmy podejrzewać, że nie pamiętasz tamtych zdarzeń i że nigdy nie przyznasz się do zabójstwa Ewy. – Opuszcza wzrok. – Łucja chciała się wtedy wycofać, może nawet zaczęła ci w pewien sposób współczuć. Ostatecznie jednak stwierdziła, że twoja trauma nie usprawiedliwia okrucieństwa, którego dokonałeś. Każdy ma przecież jakiś wybór. – Patrzy na mnie smutno.

Krew huczy mi w głowie i coraz trudniej panuję nad drżeniem rąk.

– A policja?

– Policja nie miała z tym nic wspólnego, po prostu wykonywali swoją robotę. Po wszystkim powiedziałam im, że się pokłóciliśmy i musiałam pobyć trochę sama. Dlatego wyłączyłam telefon.

Moja żona wstaje z parapetu i poprawia torebkę na ramieniu, jakby szykowała się do wyjścia.

– Zdajesz sobie sprawę z konsekwencji? – pytam, usiłując opanować wściekłość. – Twoja matka umierała ze strachu.

– Udawała. Przed zniknięciem wyznałam jej prawdę.

Nina przybiera minę niewiniątka. Nie mogę uwierzyć w to, co słyszę. Oddycham spazmatycznie, wbijając paznokcie w kołdrę.

– A drabina? I mój wypadek? – pytam.

– Życie czasem pisze najlepsze scenariusze. Nikt z nas by tego nie zaplanował, po prostu stało się.

Patrzemy na siebie z wzajemnym żalem. Ból ogarnia moją czaszkę, jakby ktoś wbijał w nią dłuto. Od słodkiego zapachu perfum Niny robi mi się niedobrze. Czuję się oszukany i zdradzony. To wszystko wierutne kłamstwa. Mam ochotę wrzeszczeć, ale głos więźnie mi w gardle.

Nina rusza w stronę drzwi.

– Nie powiedziałam ci najciekawszego – oznajmia z satysfakcją. – Jesteś w szpitalu psychiatrycznym. Umieszczono cię tu bez twojej zgody, ponieważ lekarze orzekli, że stanowisz zagrożenie dla siebie



i innych ludzi. Gdy byłeś operowany, hotel dostarczył im wyjątkowo dużo materiałów do analizy.

Rozglądam się z niedowierzaniem, zatrzymując wzrok na kratkach w oknie.

– Nie mogą mnie tu trzymać!

– O tym zadecyduje sąd. Choć myślę, że niełatwo będzie wytłumaczyć, dlaczego rozmawiałeś sam ze sobą i biegałeś po hotelowym dachu. – Podchodzi bliżej i nachyla się nad moim uchem. – Podziękuj Wiktorowi Abartowi i nigdy mnie nie szukaj.

Nina rusza w stronę drzwi.

– Zatrzymaj się! Nie wolno ci tak odejść! – krzyczę, wściekły na swoje ciało, że nie pozwala mi jej gonić.

– Czyżby? Nie należę już do ciebie, tak jak oni. Wszyscy w końcu jesteśmy wolni. – Uśmiecha się w sposób, który kiedyś kochałem. – Widzisz, może nie udało im się udowodnić, że jesteś mordercą, ale odzyskali poczucie sprawiedliwości i postarają się o to, byś posiedział tu długo. Leon Górecki, który jest kierownikiem szpitala, dopilnuje tego – rzuca na odchodne.



Z pamiętnika Niny:

*Marzec 2019 r.*

*Nie chciałam tam jechać. Te chwile, gdy Tomasz przez sen wrzeszczał: „Jesteś cholernym zerem i już zawsze nim pozostaniesz”, dostatecznie zraziły mnie do pomysłu wyprawy na Warmię, ale z jakiegoś powodu czułam, że muszę to zrobić. Ten jeden raz.*

*Wybrałam się tam w chłodny, mglisty poranek. Dom już z drogi wyglądał na nadgryziony zębem czasu. W oczy rzucały się farba obłaząca z drzwi, wyblakłe deski elewacji i dachówki pokryte sadzą. Wokół rośło zielsko i trawy po kolana, a między wybujalymi chwastami przechadzał się czarny dachowiec. Przez moment, gdy kot przeciął mi*

drogę, chciałam zawrócić, ale dostrzegłam ruch za poźótkłą firanką i poczułam się przyłapana.

Ze środka wyrztał zasuszony mężczyzna o posępnej twarzy i głowie tak małej, że w połączeniu ze szczupłym ciałem przywodziła na myśl łąpek od szpilki. Ubrany w brązowy sweter w romby, szare spodnie z kantem i szurające kapcie, przesunął okulary na czubek nosa, przyglądając mi się badawczo.

– Czego pani tu szuka? – zapytał.

Przełknęłam ślinę. Mogłam wymyślić cokolwiek, a jednak powiedziałam prawdę.

– Nazywam się Nina Engel. Jestem żoną pańskiego syna.

Ojciec Tomasza drgnął, zacisnął jeszcze bardziej i tak już wąskie usta, a w końcu machnął ręką, wydając z siebie zduszone stęknienie, po czym wszedł do domu, zostawiając otwarte drzwi. Uznałam to za zaproszenie i podążyłam za nim.

Wewnątrz panował chłód, jakby mężczyzna oszczędzał na ogrzewaniu. W powietrzu unosił się słodko-duszący zapach, charakterystyczny dla starszych ludzi, wymieszany z wonią niedawno smażonej jajecznicy. Na suszarce dostrzegłam umyte naczynia, a na pokrytym ceratą stole leżała otwarta krzyżówka z wetkniętym między strony długopisem. Mężczyzna nalał wody do aluminiowego czajnika i zapalił pod nim gaz. Jego dłonie szperały w szafce pełnej pudełek oraz słoiczków. Wreszcie wyciągnął stamtąd metalową puszkę z wizerunkiem słońca. Otworzył, wetknął nos do środka i powąchał.

– Została mi tylko czarna, może być? – zapytał.

Skinęłam głową, obserwując, jak zdejmuje z półki dwie szklanki i wypełnia je liściastą herbatą.

– Nie poczęstuję pani ciastem, bo żona zmarła rok temu i nikt w tym domu już nie piecze.

– Nie szkodzi.

Przez jakiś czas krzątał się, unikając mojego spojrzenia, a gdy rozwrzeszczał się gwizdek czajnika, uzupełnił naczynia wrzątkiem i zasiadł na skrzypiącym krześle po drugiej stronie stołu.

– To po co pani przyjechała?

Odchrząknęłam, nie wiedząc, od czego zacząć. Cienkie siwe włosy okalały błyszczący łusy placek na środku jego głowy, czas porała twarz głębokimi bruzdami, a oczy zapadły się w głąb czaszki. Nie mogłam odgonić wrażenia, że patrzę na starszą wersję mojego męża. Ten sam kolor tęczy, bliźniacze gesty i podobny, wyważony sposób mówienia.

– Chciałam zrozumieć, dlaczego Tomasz nigdy mi pana nie przedstawił – odparłam w końcu.

Emerytowany nauczyciel zamieszał łyżeczką w szklance. Nakrapiana brązowymi plamami skóra na jego dłoniach marszczyła się, jakby miał jej za dużo.

– I tylko z tego powodu tłukła się pani z Warszawy aż na Warmię? Trzeba było zadzwonić.

Podniosłam do ust szklankę, by pociągnąć łyk herbaty i ukryć zakłopotanie. Napar miał ciemny kolor i gorzki smak.

– On w ogóle wie, że pani tu jest? – drażnił.

Zaprzeczyłam.

– Wyjechał na wycieczkę ze studentami. Odwiedzają Muzeum Kinematografii w Łodzi.

– A pani postanowiła złożyć mi wizytę? Dlaczego teraz?

Popatrywał na mnie spod rzadkich brwi, a ja, nie mogąc znieść przenikliwego wzroku mężczyzny, odwróciłam twarz w stronę okna i nabrałam powietrza.

– Jestem w ciąży. – Moja dłoń sięgnęła po cukiernicę. – Nie planowaliśmy tego, Tomasz nie chciał mieć dzieci.

Staruszek podrapał się po łysinie, a gdy jego milczenie się przedłużało, zanurzając łyżeczkę w cukrze, dodałam:

– Obawiał się, że nie będzie dobrym ojcem. Mówił, że mieliście trudne relacje.

Mężczyzna pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Mój syn zawsze uważał mnie za potwora – oznajmił. – Widzi pani, przez całe życie starałem się zrobić z niego wartościowego człowieka, ale

on tego nie rozumiał. Twierdził, że wymagam zbyt wiele. I w efekcie do niczego nie doszedł.

– Czy ja wiem? – zaczęłam nieśmiało. – Wydał książkę, która osiągnęła sukces...

Mężczyzna przerwał mi prychnięciem.

– Niech pani nawet nie nazywa tych wycpin książką. Wystawił się tylko na pośmiewisko.

– A film, tłumaczenia zagraniczne? Nie był pan dumny z syna?

– Nie, bo wiem, że stać go było na więcej. – Drżącą ręką podniósł do ust herbatę. – Tomasz niczego w życiu nie potrafił zrobić porządnie. Ani się mądrze ożenić, ani dzieci wychować, ani nawet poradzić sobie ze śmiercią jak mężczyzna. Tchórz musiał uciec w gorzałę, wstydu nam narobić, a potem czmychnąć jak ta mysz, do stolicy.

Od jego słów cała się usztywniłam.

– Tomasz miał dzieci? – zapytałam z udawanym zaskoczeniem.

– Wypożyczył cudze, wyobraża sobie pani? Jak się pożyczka książkę z biblioteki. Wziął je na zastępstwo.

– To szlachetne, na pewno chciał pomóc – starałam się bronić męża.

– Bzdura. Chodziło mu tylko o to, by udowodnić, że będzie lepszym ojcem niż ja.

– I był?

Mężczyzna spojrzał na mnie z powątpiewaniem i uśmiechnął się gorzko.

– Nie wiem, nigdy nie widziałem go z dziećmi. Zerwał z nami kontakty niedługo przed tym, zanim je wzięli. Od znajomej nauczycielki dowiedziałem się, że przyjęli dwa rodzeństwa. Najstarsze z dzieci chodziły do szkoły. Nie były wybitne, ale podobno pilne. W mieście raczej nie było ich widać. Nie szwendały się jak te inne bachory po sklepach czy placach zabaw, tylko siedziały w domu. – Cmoknął z uznaniem. – Po tym, jak Ewa rzuciła się na mnie w Olsztynie, wywnioskowałam, że Tomasz trzymał je krótko.

Przechyliłam głowę z zaciekawieniem.

– Co takiego panu powiedziała?

– Była wściekła. Krzyczała coś o znęcaniu psychicznym, twierdziła, że Tomasz stał się takim samym sadystą jak ja, i kazała mi zatrzymać to, co zacząłem. – Machnął ręką. – Same brednie. Najwyraźniej nie miała pojęcia, jak należy wychowywać dzieci. Zresztą mój syn całe swoje życie był tylko jednym. Nikim – oznajmił. – Kiedy jego żona umarła, uciekł, a my musieliśmy posprzątać jego bałagan. Odwiedzać sądy, wypełniać dokumenty, by ktoś inny mógł się pobawić w rodziców tych dzieci. – Wydał pomarszczone wargi z pogardą. – Zresztą niech pani mu to odda.

Ojciec Tomasza podniósł się z krzesła, wyszedł z kuchni, a po chwili wrócił i z brzdękiem postawił na stole czarną kasetkę zamykaną na kluczyk.

– Co tam jest?

– Zdjęcia, papiery sądowe, jednym słowem: śmieci. Nie wyrzuciłem ich tylko dlatego, że poważnie traktuję urzędowe pisma. Niech je sobie zabierze.

W drodze do drzwi czułam na plecach ciężar, a w przetyku gorycz. Przystanęłam w progu.

– Traktuje go pan niesprawiedliwie.

– Żelazo hartuje się w ogniu, człowieka w trudnościach – odparł sucho.

✱

Kiedy Nina znika, zapadam się w sobie. Czuję, jakbym płonął żywcem, tak bardzo pali mnie całe ciało. Niczym echo wracają wszystkie wypowiedziane przez nią słowa, którym towarzyszy coraz głośniejszy dźwięk drapania paznokciami po tablicy, rozbrzmiewający w mojej głowie. Kulę się i przyciskam dłoń do uszu, błagając, by ten horror się skończył, i rzeczywiście po chwili odgłos przycicha.

Trzęsę się jeszcze, spocony tak bardzo, że szpitalna piżama klei się do mojego ciała. Gdy zauważam, że nadal trzymam zaciśnięte szczęki, otwieram je i zmuszam się do wzięcia oddechu. Na podłodze obok łóżka dostrzegam metalową skrzynkę, na której leży znajomy srebrny kluczyk. Stękając, przysuwam się do krawędzi łóżka i z wysiłkiem,

krzywiąc się z bólu, palcami prawej ręki podnoszę najpierw kluczyk, a później kasetkę. Leżę przez jakiś czas nieruchomo i czekam, aż tańczące przed oczyma mroczki pierzchną. Kiedy odchodzą, zerkam na dziwny przedmiot.

Skrzynka jest zimna w dotyku. Wsuwam kluczyk w zamek i przekręcam go, nasłuchując, jak mechanizm zgrzyta, a następnie bez trudu unoszę wieko kasetki. Moje serce uderza coraz szybciej, dłonie zaś pokrywają się wilgocią.

Pierwszym, co zauważam, są zdjęcia Ewy, mnie i czwórki dzieci, zrobione najpewniej tego samego dnia, co fotografia, którą widziałem we śnie. Poznaję to po ubraniach, które mamy na sobie, i starym, drewnianym domu w tle. Przerzucam wyblakłe prostokąty, wpatrując się w twarze Łucji, Pawła, Kuby i Igi. Niemal słyszę, jak coś w środku mnie pęka, gdy z przerażeniem rozpoznaję w tych dzieciach rysy pracowników hotelu.

Trzęsącą się dłonią sięgam po dokumenty leżące na dnie kasetki. Rozkładam kolejne kartki, a mój wzrok zachłannie podąża za każdym słowem suchych urzędowych pism, z których jasno wynika, że osiemnaście lat temu Tomasz i Ewa Engelowie zostali rodzicami zastępczymi dla dwóch dziewczynek, Igi oraz Łucji Stawskich, a niedługo później także dla braci, Jakuba i Pawła Woźniaków.

Moje dłonie z bezsilnością opadają na kołdrę, gdy spomiędzy pliku dokumentów wysuwają się pomięte kartki. Oszołomiony chwytam je w palce i rozpoznaję drobne pismo Niny. To brakujące strony z notatnika.

Przełykając narastającą w gardle gulę, czytam o spotkaniu w restauracji Senses i o wstrząsającej wizycie żony u mojego ojca. Litery rozmazują mi się przed oczami, gdy docieram do wpisu sprzed naszego wyjazdu.

*Marzec 2019 r.*

*Początkowo uważałam, że to szaleństwo. Usiłowałam odgadnąć, po co ci ludzie opowiadali mi te wszystkie kłamstwa? Chodziło o pieniądze, a może o zniszczenie reputacji mojego męża? To nie miało sensu. Znałam*

Tomasza i wiedziałam, że nie był tym, za kogo go uważali. Po spotkaniu w restauracji przestałam odbierać telefony od Łucji, wiadomości od niej natychmiast kasowałam. Nawet gdy prawnik potwierdził autentyczność dokumentów poświadczających, że Tomasz i Ewa osiemnaście lat temu stali się rodziną zastępczą dla czwórki dzieci, odrzucałam możliwość, by mój mąż mógł kiedykolwiek je krzywdzić. To po prostu nie mieściło mi się w głowie. Dopiero wizyta w domu Jana Engela sprawiła, że zaczęłam dopuszczać do siebie tę niewygodną prawdę. Nadal nie rozumiałam jednak, na jakiej podstawie twierdzili, że Tomasz zabił Ewę, i czego właściwie ode mnie chcieli?

Umówiłyśmy się w niewielkiej kawiarni na Ochocie. Tym razem miała przyjść tylko Łucja. Nie mogąc znaleźć sobie miejsca w domu, wyszłam wcześniej i dotarłam do kafejki przed czasem. Fala smutku dopadła mnie nad bezkofeinowym cappuccino. Łzy kapwały jak grochy na drewniany stolik, a ja wmawiałam sobie, że to wina hormonów. Zamknęłam się w toaletowej kabinie i płakałam tak, jakbym po raz pierwszy w życiu robiła to naprawdę.

W pewnym momencie do łazienki ktoś wszedł. Zamilkłam. Drzwi sąsiedniej kabiny zatrzasnęły się z hukiem. Usłyszałam szum wody lecącej z kranu i przebijające się przez niego głosy dwóch kobiet.

– A co, jeśli on nie jest już tamtym człowiekiem? Może śmierć żony go odmieniła?

– Tej żony, którą zabił? – Prychnęła druga kobieta, a ja rozpoznałam, że to Łucja. – Ten facet, gdy płakałaś, zamykał ci usta dłonią, aż ze strachu zamilkłaś na lata. Uważasz, że naprawdę mógł się zmienić?

W kabinie obok ktoś spuścił wodę. Drzwi trzasnęły.

– Byłam małą dziewczynką, nie pamiętam tamtego czasu.

– Zazdroszczę, ja robię wszystko, by o nim zapomnieć – usłyszałam odpowiedź Łucji.

Położyłam dłonie na brzuchu, czując napływające mdłości.

– Postuchaj, po prostu nie chcę, żebyśmy się pomylili – dotarło zza drzwi. – Wiem, jak ciężko jest samotnie wychowywać dziecko. Nie

darowałabym sobie, gdybyśmy zniszczyli szczęśliwy związek i skazali to maleństwo na dorastanie w rozbitej rodzinie.

– Kalina, ten człowiek to potwór! – Moja przyjaciółka podniosła głos. – To, że udaje miłego, nic nie znaczy. Zapewniam cię, że gdy jego żona urodzi, tamten horror się powtórzy. Zafunduje im to samo piekło, które zgotował nam i Ewie. Poza tym wiesz, że muszę chociaż spróbować, zanim...

Po drugiej stronie drzwi zapadła cisza, tak głęboka, że obawiałam się nawet oddychać. Dotknęłam palcami mokrego od potu czoła.

– Wiem – odparła w końcu ta druga. – Chodźmy, może już czekać.

Gdy wyszły, przez kilka minut stałam nad umywalką, gapiąc się na wodę znikającą w odpływie. Później umyłam ręce i odnalazłam kobiety przy stoliku w kącie sali. Kiedy kelnerka przyniosła im kawę, poprosiłam o wodę. Atmosfera była tak napięta, że powietrze sprawiało wrażenie naelektryzowanego. Odchrząknęłam i by nie tracić czasu, zapytałam:

– Dlaczego uważacie, że Tomasz zabił Ewę?

Lucja dotknęła wisiora na szyi.

– Rankiem, w dniu śmierci matki podarowałam jej bransoletkę ze złotych koralików – zaczęła wspominać. – To miał być amulet na szczęście. Tamtego dnia zamierzała powiedzieć Tomaszowi, że odchodzi i zabiera nas ze sobą. Znałam jej plany, jako jedyna z dzieci. A może w ogóle jako jedyna, bo wstyd z powodu tego, na co miesiącami pozwalała mężowi, sprawiał, że Ewa nikomu nie chciała mówić o przyczynach rozstania.

Do naszego stolika podeszła kelnerka, pospiesznie postawiła na stole szklankę i butelkę wody mineralnej. Moja przyjaciółka zaczęła czekać, aż kobieta się oddali, nabrała tchu i wróciła do swojej historii:

– Na pogrzebie Ewy, kiedy wszyscy żałobnicy opuścili już cmentarz, Tomasz położył się na świeżo usypanej ziemi i płakał. – Z niedowierzaniem pokręciła głową. – Obserwowałam go, nie mogąc znaleźć w sobie nawet odrobiny współczucia dla jego smutku. Po tym, co nam zrobił, wypełniała mnie tylko nienawiść. – Przełknęła ślinę, a Kalina złapała ją za rękę i kiwnęła zachęcająco. – Podeszłam bliżej,



chcąc rzucić garść ziemi na grób, i wtedy zobaczyłam, powbijane w podeszwy jego butów złote koraliki.

– To nic nie znaczy – stwierdziłam.

– Gdyby Ewa zwyczajnie wpadła do jeziora, utonęłaby razem z bransoletką – tłumaczyła Łucja z pewnością w głosie. – Fakt, że Tomasz miał w butach błyszczące paciorki, świadczył o tym, że ozdoba została zerwana, a on był tym, który to zrobił.

– Nie wierzę – broniłam się. – On ją kochał, widziałam, jakie listy do niej pisał.

– Manipulował tobą. Zresztą sama mówiłaś, że listy do ciebie przygotował w jedną noc.

Próbowałam wydobyć z siebie jakieś słowa, ale wszystkie wydawały się niewystarczające. Kawiarniany gwar stawał się coraz bardziej dotkliwy. Upiłam łyk wody, a później słabym głosem zapytałam:

– Jeśli rzeczywiście tak było, to dlaczego nie powiedziałaś o tym policji?

– Bałam się go – odparła. – Po dwóch latach psychicznych tortur wiedziałam, że jest zdolny do wszystkiego. Poza tym umówmy się, komu uwierzyliby funkcjonariusze: szanowanemu mieszkańcowi Olsztyna czy nastolatce z patologicznej rodziny? – Wzruszyła ramionami. – Gdyby prawda o tym, co działo się w czterech ścianach ich domu, wypłynęła wtedy, zniszczyłabym nie tylko Tomasza, ale też pamięć o Ewie. Bo przecież nie powstrzymując go, ona również przyczyniła się do naszej krzywdy. Nie chciałam, by ludzie mówili, że była potworem. Ona po prostu nie potrafiła... – Urwała, przetykając żal.

Kalina bezradnie błędziła wzrokiem po stoliku

– To dlaczego teraz? – Chciałam wiedzieć. – Minęło szesnaście lat.

Kobiety spojrzały po sobie ze smutkiem. Łucja przygryzła wargę, a Kalina położyła rękę na ramieniu siostry.

– Ta choroba, o której ci wspominałam, to samoistne zwłóknienie płuc. Zostało mi co najwyżej kilka lat – wyjaśniła przyjaciółka. – Zdażyłam się z tym już pogodzić, ale kiedy Paweł powiedział mi o waszym spotkaniu

*w taksówce i twojej ciąży, uznałam, że zanim odejdę, chcę doprowadzić tę sprawę do końca.*

*Powoli wypuściłam powietrze.*

*– Ale co właściwie zamierzasz zrobić?*

*– Udowodnić ci, kim naprawdę jest Tomasz, doprowadzić go do ostateczności i skłonić, by wyznał prawdę o śmierci Ewy.*

*– Niby jak?*

*Łucja zwilżyła językiem wargi.*

*– Zabierzemy mu kogoś, na kim najbardziej mu zależy, a później sprawdzimy, ile jest w stanie poświęcić dla kobiety, którą rzekomo kocha. – Łucja robi pauzę. – Dla ciebie.*

Moje wargi szepczą bezgłośnie „nie”, kartka z wpisem wysuwa się z palców, a ja mrugam zdezorientowany, gdy nagle wyczuwam czyjąś obecność w pokoju.



Na sąsiednim, dotychczas pustym łóżku siedzi nonszalancko rozparty Wiktor Abart z dłońmi zaczepionymi kciukami o kieszenie spodni. W ustach ma gumę do żucia, z której właśnie robi wielkiego balona, a gdy ten pęka, mężczyzna wyjmuje ją i ściska w palcach. Z niepokojem obserwuję, jak podchodzi do okna, schyla się, a potem podnosi z podłogi starą rodzinną fotografię i za pomocą gumy przykleja ją do ściany.

*– Teraz jesteśmy już tylko my dwaj – stwierdza, patrząc mi w oczy z satysfakcją.*

*– Jak tu wszedłeś? – pytam.*

*– Daj spokój.*

Spogląda na mnie jak na dziecko, które pyta o oczywiste rzeczy, po czym wraca na łóżko obok i rozsiada się wygodnie.

*– Być może oszukałeś wszystkich, ale nie mnie – gramię. – Udowodnię, że mnie wrobiłeś.*

Wiktor wybucha gromkim śmiechem, który napawa mnie wstrętem.

– Przestań – mówię, ale on nie reaguje.

Robi mi się duszno, jakby Abart wysysał z pomieszczenia cały tlen i nic już nie zostawało dla mnie. Zatykam palcami uszy, ale nawet wtedy nadal słyszę jego szyderczy chichot, którym można by straszyc dzieci. Skóra zaczyna mnie swędzieć, a w głowie rozlega się znany metaliczny wizg. Z wściekłością chwytam kasetkę i rzucam nią w Wiktora, lecz z jakiegoś powodu zamiast w niego trafia ona w lustro na przeciwległej ścianie.

Brzęk tłuczonego szkła alarmuje personel, który zjawia się po chwili.

– Zabierzcie go stąd – proszę, ale pielęgniarka i mężczyzna w białym kitlu tylko spoglądają na siebie znacząco. – Błagam, dłużej tego nie wtrzymam – mówię, gdy rechot Abarta nie ustaje, a ciśnienie w mojej czaszce narasta.

Brakuje mi powietrza. Kulę się, zagryzając wnętrza policzków do krwi, gdy w spękanej tafli lustra zauważam odbicie pokoju. Widać w nim mnie w dziwnej zgarbionej pozycji oraz sąsiednie łóżko, na którym nikogo nie ma.

To niemożliwe, myślę. I wtedy to do mnie dociera – a wraz ze świadomością obraz Abarta blednie, a hałas cichnie jak ucięty nożem.

Biorę głęboki wdech, po czym prostuję się na pościeli, jakbym właśnie ocknął się z głębokiego snu. Nie czuję już bólu, tylko siłę. Znika otępienie i powraca jasność. Nie rozumiem, dlaczego lekarz z pielęgniarką tak dziwnie mi się przyglądają, jakby oczekiwali, że na ich oczach zamienię się w bestię. Prowokacyjnie unoszę więc wargi, wyszczerzam zęby i warczę niczym pies, z lubością rejestrując ich przestraszone miny, na których widok zaczynam się dziko śmiać.

## Od autorki

Ta historia zaczęła kiełkować we mnie, gdy trzy lata temu przeczytałam reportaż Pawła Piotra Reszki w „Dużym Formacie”. Publikacja dotyczyła małżeństwa Małgorzaty i Witolda P., które miało status zawodowej rodziny zastępczej, choć według mnie na miano rodziny ci państwo w żaden sposób sobie nie zasłużyli. Gdy refleksje po lekturze artykułu połączyły się z fascynującymi mnie od lat wątkami niewyjaśnionych zaginięć, rodzinnej traumy i zagadek ludzkiego umysłu, powstał zarys książki, w której tworzeniu wspierało mnie wielu niezwykłych ludzi.

Z niewysłowioną wdzięcznością kłaniam się J.: kryminalistyk i doktor nauk prawnych, za jej mądrość, otwartość na rozmowy i wyrozumiałość.

Dziękuję dr Ewie Wach, biegłej psycholog Instytutu Ekspertyz Sądowych w Krakowie oraz biegłej sądowej Polskiego Towarzystwa Psychologicznego, dr. n. med. Maciejowi Klimarczykowi, psychiatrze, seksuologowi i psychoterapeucie, Irenie Najbar, psychoterapeutce i psychiatrze, która na Instagramie prowadzi profil „O psychiatrii po ludzku”. Dzięki Państwa wskazówkom i wyjaśnieniom mogłam zaadaptować mój niekonwencjonalny pomysł do rzeczywistości, a zarazem nieco lepiej zrozumieć meandry ludzkiej psychiki. Staralam się jak najrzetelniej wykorzystać zdobytą dzięki Państwu wiedzę, niemniej z góry proszę o wybaczenie, gdybym w ramach *licentia poetica* pewne aspekty nakreśliła niewystarczająco grubą linią. Biorę to wszystko na siebie.

Ta książka nie powstałaby również, gdyby nie olbrzymie wsparcie Pani Pauliny Duniec z hotelu Lake Hill w Karkonoszach, który stał się pierwowzorem dla książkowych Wichrowych Wzgórz. Pani Paulina z niebywałą cierpliwością odpowiadała na dziesiątki pytań i pomagała okiełznać moją wyobraźnię tak, by realia tej historii były jak najbardziej prawdopodobne. Kłaniam się Pani z olbrzymią wdzięcznością. Dodam również, że na pamiątkę naszych rozmów jeden z bohaterów książki otrzymał nazwisko Duniec.

Na podziękowania zasługuje Pan Adrian Socha, zawodowy strażak. Po rozmowie z nim zaczęłam rozważać napisanie książki ze strażakami w roli głównej. Dziękuję również Panu Łukaszowi Mosakowskiemu, dowódcy sekcji z OSP w Legionowie. Panowie, wykonujecie genialną robotę.

Z wielkim podziwem kieruję słowa docenienia do Pani Aleksandry Nawrockiej, koordynator ds. prawnych Fundacji Przystanek Rodzina, oraz do Pani Karoliny Tatarzyńskiej, odpowiedzialnej za kampanię Rodzina Jest dla Dzieci, dzięki którym mogłam dowiedzieć się sporo o funkcjonowaniu rodzin zastępczych. Przy tej okazji chciałabym nadmienić, że z szacunkiem patrzę na wielu wspaniałych ludzi, którzy podejmują się pieczy zastępczej, i uważam te osoby za bohaterów. Rodziny, które tworzą ciepły, dobry dom dla przybranych dzieci, robią coś niezwykłego. Zdaję sobie sprawę, że w mediach często słyszymy o nadużyciach w rodzinach zastępczych, dlatego w tym miejscu wyraźnie chcę podkreślić, że moją intencją nie jest i nigdy nie było pokazywanie ich w złym świetle, a historia, którą przedstawiam, opowiada losy jednej konkretnej, a przy tym wyimaginowanej osoby.

Dziękuję Panu Konradowi Metelskiemu, który pod pseudonimem Konersky opowiada w sieci o militariach, za to, że wyperswadował mi umieszczenie w wyposażeniu hotelowego ochroniarza broni palnej, a także podzielił się swoim wieloletnim doświadczeniem zawodowym.

Z tego miejsca uśmiecham się także do Karoliny Borowiec-Pieniak, mojej redaktor, która jest tak inteligentna i dowcipna, że zastanawiam się, dlaczego poprawia książki innych ludzi, a nie pisze własnych, oraz do Joanny Łopusińskiej, wspaniałej kobiety i utalentowanej pisarki, która czytała tę książkę, nim zobaczyły ją czyjekolwiek inne oczy.

Dziękuję Państwu za wspólnie spędzony czas. Jeśli zechcecie Państwo porozmawiać o tej historii, zapraszam do odszukania mnie w sieci, chętnie podyskutuję.

Do przeczytania!

Izabela Janiszewska

Warszawa, marzec 2022 r.



**że spodobała Ci  
się ta KSIĄŻKA**

po więcej zajrzyj do księgarni

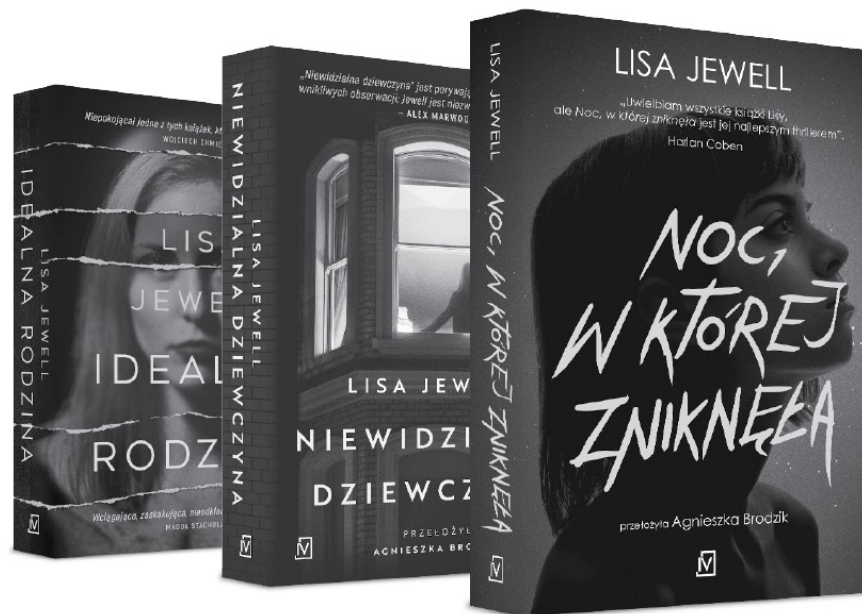
[www.wydajenamsie.pl](http://www.wydajenamsie.pl)

**TRYLOGIA KRYMINALNA,  
KTÓRĄ POKOCHAŁY  
TYSIĄCE CZYTELNIKÓW**





# PRZECZYTAJ TAKŻE ŚWIATOWE BESTSELLERY LISY JEWELL



# Spis treści

Strona przedtytułowa

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Cytat

Wtedy

Teraz

Od autorki

Polecamy również